

# SF

# MICHAŁ ACHMANOW

№ 3 - CZERWIEC/LPIEC 2012  
ISSN 2084-1191 INDEX 280864  
CENA 25,99 ZŁ (w tym 8% VAT)



# PRZYBYSZE Z CIEMNOŚCI INWAZJA



Michał Achmanow

*Cykl „Przybysze z ciemności”*

Tom 1

# INWAZJA

*Вторжение*

Przełożyła z rosyjskiego

Agnieszka Chodkowska-Gyurics

## WSTĘP

*Wśród planet pętały się szajki awanturników w poszukiwaniu skarbów, uciskając i siecząc tłumy aborygenów, dziesięcionogie potwory wszelakie o zwierzęcym spojrzeniu. Z*

*powodu swej umowności, nieprawdopodobieństwa i teatralności fantastyka tego rodzaju otrzymała ironiczną nazwę „kosmicznej opery”. Ale, wyszumiawszy się, kosmiczna opera zeszła ze sceny i dożywa teraz swych dni w komiksach, stawszy się rozrywką dwunastoletnich chłopców.*

*Georgij Gurewicz, 1969*

Przedmowę niniejszą chciałem rozpocząć od wykładu na temat: „Czym jest space opera?”. Wspaniały, jak się zdawało, początek rozprawki o rosyjskiej (radzieckiej) space operze, którą para się między innymi Michaił Achmanow. Po pewnym czasie nadeszła jednak refleksja - czy po książkę, w której przedmowa ta ma się znaleźć, sięgną czytelnicy przypadkowi, którzy na hasło „space opera” układają buzię w ciup i pytają „Ale o csssooo chodzi?”? Czy możliwe jest, że nie mają pojęcia, z czym mogą mieć do czynienia, jeśli po nią sięgną, że to będzie ich pierwszy kontakt z tym gatunkiem?

Odpowiedź może być tylko jedna - mało prawdopodobne!

Zatem chyba powinienem darować i sobie, i wszystkim pozostałym próbę wywodu na tematy oczywiste i skupić się na tym, co wspomnianemu czytelnikowi nie musi wydawać się aż tak oczywiste. Na przykład - że tradycje rosyjskiej space opery sięgają początków ubiegłego wieku.

Podwaliny kosmicznej fantastyki położyli w Rosji Konstanty Ciołkowski (notabene -

syn polskiego zesańca), który opisał w wydanej w roku 1918 powieści „Poza Ziemią” raketę o napędzie odrzutowym, oraz Aleksiej Tołstoj, którego powieść „Aelita”, opublikowana początkowo pod tytułem „Zachód Marsa” (1922-1923), uważana jest za najważniejszą książkę wczesnego okresu rozwoju radzieckiej s.f.

W „Aelicie” czuć wyraźnie echa marsjańskiego cyklu Edgara R. Burroughsa.

Genialny naukowiec Łoś buduje raketę i wyrusza na Marsa, zabierając ze sobą czerwonoarmistę Gusjewa. Na Czerwonej Planecie, gdzie egzystuje zgnusiała cywilizacja atlantów, pierwszy próbuje zdobyć serce pięknej księżniczki, drugi - jak na prawdziwego komunistę przystało, organizuje rewolucję.

W latach dwudziestych pojawiły się i inne książki, których akcja toczyła się w kosmosie. Oto bohaterowie dylogii „Межпланетный путешественник” („Międzygwiazdny podróżnik”) i „Психомашина” („Psychomaszyna”) Wiktora Gonczarowa pomagają zorganizować rewolucję na Księżycu. Najbliższą okolicę naszej planety eksplorują bohaterowie powieści „Аргонавты Вселенной” („Argonauci Wszechświata”) Aleksandra Jarosławskiego oraz opowiadań „Лунная бомба” („Księżycowa bomba”) Andrieja Płatonowa i „Путешествие на Луну и Марс” („Podróż na Księżyc i Marsa”) Walerija Jazwickiego.

Spotkania z obcym rozumem opisywali Graal Arelski (zbiór „Повести о Марсе” -

„Opowieści o Marsie”) i S. Gorbатов (nowela „Последний рейс «Лунного Колумба»” -

„Ostatni rejs «Księżycowego Kolumba»”), a międzyplanetarną wojnę przy użyciu broni laserowej nakreślił Nikołaj Muchanow w powieści „Пылающие бездны” („Płonące otchłanie”).

Kilka lat później do rąk czytelników trafiły „Планета КИМ” („Planeta KIM”) Abrama Paleja, „Страна счастливых” („Kraj szczęśliwych”) Jana Łarriego oraz „Прыжок в

ничто” („Skok w nicość”) Aleksandra Bielajewa. Łarri, opisując komunistyczne społeczeństwo niedalekiej przyszłości, wyraził m. in. przekonanie, że społeczeństwo to powinno podbić kosmos, Bielajew natomiast przedstawił wyprawę grupy burżujów, którzy na statku kosmicznym chcą przeczekać rewolucję, jaka właśnie wybuchła na Ziemi. Szyki krzyżuje im bunt załogi; ta, zwycięska, wraca z kilkoma nawróconymi burżujami na rodzimą planetę, gdzie tymczasem zdążyła nastać komunistyczna utopia.

W 1934 roku odbył się pierwszy ogólnokrajowy zjazd pisarzy radzieckich, na którym zakreślono m. in. zadania dla fantastyki naukowej. Jako literatura skierowana do młodzieży miała się zajmować krzewieniem wiedzy naukowej i technicznej w duchu socjalistycznego realizmu. Oznaczało to, że na długie lata obowiązującym wzorcem dla radzieckiej s.f. stała się tak zwana fantastyka bliskiego zasięgu; dla kosmosu w zasadzie nie było w niej miejsca. Do wyjątków w latach 1936-41 należały teksty wspomnianego już Bielajewa („Звезда КЭЦ” -

„Gwiazda KEC”, poświęcona orbitalnej stacji kosmicznej, czy „Небесный гость” -

„Niebiański gość”, o podróży do gwiazd), Władimira Władko („Аргонавты Вселенной” -

„Argonauci Wszechświata”, opisujący podróż na Wenus), Borysa Anibala („Моряки

Вселенной” - „Marynarze Wszechświata”, którego bohaterowie wyruszają na Marsa) czy A.

Tarasowa (opowiadanie „Над лунными кратерами” - „Nad księżycowymi kraterami”, o wyprawie na Księżyc).

Po zakończeniu wojny fantastyce kosmicznej nadal trudno było się przebić. Sztuka ta udawała się naprawdę nielicznym; do grona owych szczęśliwców zaliczyć należy powieści: wojenno-przygodową Siergieja Bieljanina „Десятая планета” („Dziesiąta planeta”) czy początkującego wówczas jeszcze Iwana Jefremowa „Звездные корабли” („Gwiezdne okręty”; wydanie polskie -

1949), rozwijającą idee różnorodności życia we wszechświecie.

Zmiany w świecie polityki, które zaszły po śmierci Stalina, odcisnęły swe piętno również na radzieckiej fantastyce. Znowu pojawiać się zaczęły utwory z kosmosem w tle, autorstwa m. in. Władimira Sawczenki czy Georgija Martynowa.

A w roku 1957 ukazała się „Туманность Андромеды” („Mgławica Andromedy”; wydanie polskie - 1961) Iwana Jefremowa. Rzecz absolutnie kanoniczna, początek prawdziwego odrodzenia radzieckiej fantastyki naukowej, z akcją toczącą się w odległej komunistycznej przyszłości na zjednoczonej Ziemi zamieszkaney przez nowy, długowieczny gatunek ludzi, którym ciężka praca przynosi satysfakcję, ludzi, którzy wyruszyli w kosmos i nawiązali kontakt z innymi cywilizacjami. Dwa lata później ukazało się osadzone w tej samej rzeczywistości „Сердце Змеи” („Serce Żmii”), poświęcone kontaktowi Ziemi z Obcymi.

W 1959 roku wyszła debiutancka powieść Arkadija i Borysa Strugackich „Страна

багровых туч” („W krainie purpurowych obłoków”; wydanie polskie - 1961), opisująca pierwszą wyprawę na Wenus. Niektóre wątki i pomysły z tej powieści znalazły rozwinięcie w opowieściach wchodzących w skład cyklu o Świecie Południa (m. in. - „Путь на Амальтею”

- „Droga na Amalteę” czy „Стажеры” - „Stażyści”).

W pierwszej połowie lat sześćdziesiątych tematykę kosmiczną znaleźć można w twórczości Igora Zabelina (powieść „Пояс жизни” - „Pas życia”, bodaj jako pierwsza w radzieckiej s.f. opisująca proces terraformowania innej planety), Genricha Altowa (zbiór opowiadań „Легенды о звездных капитанах” - „Legendsy o gwiazdnych kapitanach”), Walentyny Żurawlowej (powieść „Летающие по вселенной” - „Lecący przez wszechświat”), Georgija Gurewicza (powieść „Мы - из Солнечной системы” - „My, z Układu Słonecznego”), Igora Rosochowatskiego, Anatolija Dnieprowa czy Władimira Michajłowa.

W roku 1966 ukazał się pierwszy, a dwa lata później - drugi tom epickiej trylogii Siergieja Śniegowa „Люди как боги” („Ludzie jak bogowie”; wydanie polskie obu tomów w jednym woluminie - 1972). Cykl ów, przez wielu określany mianem jedynej radzieckiej space opery z prawdziwego zdarzenia, którego akcja osadzona została w dalekiej komunistycznej przyszłości, opisuje na niespotykaną w ówczesnej radzieckiej fantastyce skalę m. in.

galaktyczną wojnę. Nieprzychylnie przyjęcie przez krytykę dwóch pierwszych tomów spowodowało, że trzeci tom, „Кольцо обратного времени” („Pętla wstecznego czasu”) wydany został dopiero w roku 1977 (w Polsce - 1984).

Oryginalną, bo romantyczną kosmiczną fantastykę tworzyła Olga Łarionowa („Вахта

«Арамиса»” - „Wachta «Aramisa»”, liczne opowiadania). Kosmos pojawiał się w utworach braci Strugackich („Малыш” - „Koniec akcji «Arka»”), Jewgienija Wojskuńskiego i Isaja Łukodjanowa („Плеск звездных морей” - „Plusk gwiazdnych mórz”), Siergieja Żemajitsa („Багряная планета” - „Purpurowa planeta”) czy w cyklu opowieści o kosmicznym lekarzu Pawłysz Kira Bułyczowa.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych i przez całe lata osiemdziesiąte zainteresowanie kosmosem wyraźnie spadło. Trudno się zresztą dziwić, skoro wyścig kosmiczny wygrali Amerykanie, a romantyka podboju kosmosu zmieniła się w nudną rutynę mało spektakularnych małych kroków.

Z wydanej w tym czasie prozy na wyróżnienie zasługuje bodaj jedynie dylogia Siergieja

Pawłowa

„Лунная

радуга”

(„Księżycowa

tęcza”),

zajmująca

się

niebezpieczeństwami, które mogą się pojawić przy okazji osvajania odległych przestrzeni.

Bohaterowie powieści, byli kosmonauci, dzięki nabytym w trakcie owego osvajania cechom praktycznie przestają być ludźmi.

Pierestrojka tylko pogłębiła niechęć do zajmowania się problemami kosmosu. Do czasu jednak - nadchodziły oto lata dziewięćdziesiąte XX wieku, a wraz z nimi wielkie zmiany na politycznej mapie świata. Nadchodziły też lepsze czasy dla rosyjskiej space opery.

Za pierwszą rosyjską space operę pełną gębą krytyka uznaje trylogię „Лорд с

планеты Земля” („Lord z planety Ziemia”; wydanie polskie - 2003) Siergieja Łukjanienki.

Trylogia ta przetała szlaki współczesnej rosyjskiej space operze. Ta zalała półki księgarń, udanie konkurując z produkcją spod znaku fantasy. Poza nielicznymi wyjątkami nie odbiega ona od klasycznych stereotypów: oto dzielny kosmiczny komandos dziesiątkami zabija podłych, podstępnych Obcych, którzy zapragnęli podbić naszą kochaną Ziemię, szczywany zwiadowca kosmiczny wykrada sekrety potężnych broni wprost z najlepiej strzeżonych sztabów odległych kosmicznych imperiów, a niezwycześony ziemski policjant staje na przeszkodzie knowaniom przedstawicieli obcych ras... I tak dalej, i tym podobne.

Coś nowego próbują zaproponować wspomniany Łukjanienko, Julia Łatynina, Aleksander Zoricz. Niezbyt jednak często i nie zawsze z oczekiwanym skutkiem.

Ale kosmos wciąż jest obecny w dzisiejszej rosyjskiej fantastyce. Podejrzewam, że nawet wielki fan rosyjskiej space opery nie zdołałby się zapoznać z wszystkimi wydanymi ostatnimi czasy pozycjami z tego gatunku. Kosmiczne przestworza obecne są w twórczości Aleksandra Gromowa, H.L. Oldiego,

Wiaczesława Rybakowa, Leonida Kudriawcewa, Swiatosława Łoginowa, Olega Diwowa, Władimira Wasiljewa, Julii Zonis czy Maksima Chorsuna... A to tylko początek listy.

Znaleźć można na niej również nazwisko Michaiła Achmanowa.

Urodził się Achmanow w roku 1945 w Leningradzie. Ukończył fizykę na uniwersytecie w tym mieście, specjalizował się w fizyce ciała stałego, chemii kwantowej i matematycznej obróbce rezultatów eksperymentów. Dłuższy czas pracował w biurze konstruktorskim, które z czasem przekształciło się w instytut naukowy. Trwało to do 1998

roku, kiedy odszedł z pracy i poświęcił się pisarstwu.

Wcześniej próbował swych sił w przekładzie; znajomość języka angielskiego wykorzystał, tłumacząc na rosyjski m. in. utwory Van Vogta, Farmera (cykl Świata Rzeki), McCaffrey (Pern) czy „Doca” Smitha. Potem zabrał się do pisania: zaczął od kontynuacji serii przygód Richarda Blade’a, pisanej przez Jeffreya Lorda; dało mu to, jak sam twierdzi, niezłą literacką szkołę. Na tyle dobrą, że w następnej kolejności zabrał się do dopisywania przygód Conana Barbarzyńcy (pod pseudonimem Michael Manson), co z czasem zaowocowało samodzielną już, wydaną z nazwiskiem Achmanow na okładce, powieścią „Кононов

Барвар” („Kononow Barbarzyńca”; wydanie polskie - 2003).

Między Conanem a Kononowem Achmanow napisał i wydał szereg innych książek -

fantastycznych, przygodowych i historycznych. Wśród nich znaleźć można między innymi rozwinięcie znanego cyklu Harry Harrisona o Planecie Śmierci („Мир Смерти. Недруги по

разуму” - „Planeta Śmierci. Nieprzyjaciele z rozsądku”).

Poza wymienionymi powyżej wydał Achmanow jeszcze kilkadziesiąt innych książek, większość z nich pogrupowana jest w kilka cykli. Wymienić wśród nich należy: dwutomową serię „Двеллеры” (Dwellerzy, 1996), również dwutomową „Зов из бездны” („Zew z otchłani”, 2010-2011), sześciotomową jak na razie, zatytułowaną „Прибыше з темноты”, w której

skład

wchodzą:

„Вторжение”

(„Inwazja”,

2005),

„Ответный

удар”

(„Kontruderzenie”, 2005), „Бойцы Данвейта” („Wojownicy Dunwaita”, 2005), „Темные небеса” („Ciemne niebiosy”, 2006), „Врата Галактики” („Wrota Galaktyki”, 2009) oraz „Миссия доброй воли” („Misja dobrej woli”, 2011, do spółki z Romanem Karawajewem) oraz powiązaną z nią, czterotomową (piąty tom ukaze się wkrótce) „Iwar Treweljan”.

Pierwszy tom cyklu „Przybysze z ciemności” trzymasz właśnie, Szanowny Czytelniku, w ręku.

*Paweł Laudański*



# PROLOG

*Ziemia, Moskwa, Kreml,*

*3 lipca 2088 r.*

Nagranie z wydarzeń było krótkie - około sześciu minut od początku ataku do ostatniego wystrzału, który zniszczył krążownik Tiburón. Na ogromnym, zajmującym całą ścianę ekranie wybuchały okręty ugodzone laserowym promieniem, myśliwce płonęły jak meszki w płomieniach, wszędzie unosiły się purpurowe obłoki rozgrzanego gazu, cienkie oślepiające strumienie plazmy z uporem drapieżników szarpały pancerze. Za tło służyła ciemność rozświetlona iskierkami gwiazd.

Obejrawszy nagranie, siedzący przed ekranem człowiek podniósł rękę i władcym gestem strzelił palcami. Film wyświetlono jeszcze raz, wolniej, z komentarzami analityków podkreślających wybrane najbardziej przygnębiające momenty. Pierwszy, trwający dwadzieścia sześć minut, poprzedzał walkę. Na ekranie pojawiły się: gigantyczny statek gwiazdny błyszczący w świetle dalekiego Słońca, dziewięć ziemskich krążowników otaczających pierścieniem przybysza i startujące z jego powierzchni kanciaste pojazdy.

Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści... jak seria z automatu... Maszyny bojowe utworzyły dwa wachlarze - powyżej i poniżej płaszczyzny ekliptyki, zasłaniając cylindryczny korpus statku gwiazdowego. Był ogromny - dzięki wyświetlonej obok podziałce jego długość można było ocenić na pięć albo sześć kilometrów. Nie mogły się z nim równać nawet największe stworzone w ciągu ostatniego półwiecza bazy i stacje orbitalne.

Otoczający przybysza krąg ziemskich krążowników nieoczekiwanie się poruszył i zaczął wirować, wypuszczając długie ogniste smugi; wydobywające się z dysz napędowych strumienie pomknęły ku gwiazdom, przyćmiewając ich nieśmiały blask. Karuzela nabierała prędkości, było jasne, że krążące w niej okręty szykują się do bitwy: obracały się wieże artyleryjskie, lufy miotaczy plazmy i swomów1 drżały jak zwierzę przed atakiem, w ciemnych kanałach luków świecił metal. Wtem rój srebrnych strzałek oderwał się od Sachalina, najpotężniejszego rajdera flotylli, i runął w ciemność. W tej samej chwili, nie przerywając 1 Swom (z ang. swarm - rój, chmara) - broń wyrzucająca dużą liczbę drobnych elementów, najczęściej stalowych igieł lub kulek lecących z ogromną prędkością. Aby nie zaśmiecać przestrzeni metalem, w broni kosmicznej wykorzystywane są kryształki lodu.

wirowania, rakiety odpaliły Pamir i Lancaster, a po nich Sydney i pięć innych krążowników.

Salwa, salwa i znowu salwa... Strzelano nie do małych maszyn przybyszów, lecz do gwiazdolotu, a był to cel tak ogromny, że pociski nie mogły go ominąć.

Armatnie salwy były początkiem ataku, uderzenie myśliwców - jego kontynuacją.

Otworzyły się luki w burtach statków, zwinne „gryfy” i „kanie” wyleciały w pustkę; utworzyły gęsty bezkształtny obłok, z którego wytrysnęły cztery ostrza. Wbiły się w szereg wroga, mrok rozświetliły setki purpurowo-fioletowych wybuchów - strzelano z laserów i swomów.

Wyglądało to na śmiertelny atak, ale głos analityka, cichy i chłodny, oznajmił, że przewaga jest po stronie wroga. Ich aparaty były skuteczne i śmiertelne, choć nie miały ani rakiet, ani miotaczy plazmy, ani niczego, co chociażby przypominało laser. Jedynym środkiem wykorzystywanym podczas ataku była wiązka antyprotonów zdolna z ogromnej odległości osiągnąć celu z zabójczą precyzją. Jej energia i gęstość były tak wielkie, że powodowały anihilację nawet nielicznych cząstek płynących przez pustkę kosmosu.

Sydney był pierwszą ofiarą; z maszyny Obcych wysunął się szeroki karminowy język, zlizął trzy osłaniające go myśliwce, uderzył w rufę, prosto w reaktor zabezpieczony kilkoma warstwami pancerza, i krążownik znikł w fontannie płomieni. Rozrzucone na wszystkie strony odłamki, a może resztki broni gryfów, zakryły aparat Obcych, lecz ten, wbrew oczekiwaniom, nie wybuchł, a zaczął rozpadać się na kawałki, jakby pocięty niewidzialnym ostrzem. Trzy maszyny, przerwawszy kordon kań, atakowały Lancastera, dwie - Newę; miały nie tylko przewagę liczebną, lecz także wyglądały na zwinniejsze i szybsze od ziemskich okrętów.

Lancaster odpalił ostatnie rakiety... Znikły w ciemności, potem mrok znowu ustąpił

miejsca purpurowym strugom ognia biegnącym od maszyn przybyszów. Promienie spotkały się na krążowniku w samym środku, ale ułamek sekundy wcześniej Lancaster niby śmiertelnie ranne zwierzę podjął wysiłek w przedśmiertnym spazmie i zdołał wystrzelić z dział plazmowych. Tam, gdzie przecięły się potoki plazmy i antimaterii, wybuchła oślepiająca gwiazda, a chwilę później eksplodował reaktor termojądrowy. Na miejscu krążownika i trzech modułów bojowych kłębiła się rozżarzona mgła, jej brzegi szaleńczo pulsowały, wyciągając w przestrzeń pomarańczowe palce, jakby chciały wyrwać kawałki ciemności.

- Piętnaście sekund do głównego celu - dobiegł zza kadru głos analityka. - Czterysta siedemdziesiąt rakiet w trzech grupach o łącznej mocy stu trzydziestu ośmiu megaton.

Sądziliśmy, że ich pole ochronne nie wytrzyma. Jednakże...

Przez chwilę wydawało się, że wściekły ogień zalewa cichy gabinet. Siedzący przed ekranem mężczyzna zadrzał. Miał wrażenie, że kosmos, skręcając się w mękach i jęcząc bezgłośnie, urodził nową gwiazdę i rzucił ją prosto w rozpalone niebo. Filtry, przytłumiwszy światło, zmieniły ją w upiorny cień, lecz mimo to budziła przerażenie. W jej wnętrzu kotłowała się rozpalona masa, wybuchała na powierzchni potwornymi karminowymi garbami przechodzącymi w cienkie igły protuberancji, wyrzucała w ciemność kłaki gorącej plazmy; świat, jeszcze niedawno przypominający obsydian z nielicznymi iskierkami gwiazd, zmienił

się nagle w ogniste piekło.

W nowym oknie wyświetlonym pośrodku ekranu zaczęły się przewijać kadry przedstawiające wydarzenia, które miały miejsce w tym samym czasie co wybuch. Pamir -

ciężki rajder z załogą liczącą dwieście dwadzieścia osób - znikł w chmurze płomieni po zderzeniu z aparatem Obcych; eskadra gryfów spłonęła w czerwieni wyrzuconej przez anihilatory; obłokami gazu rozpląły się Fudzi i Newa; martwa Parana płynęła przez mrok, rozpadając się na części. Ale

walczył jeszcze Sachalin, bił ogniem ciągłym z laserów i swomów, a w górnym sektorze przestrzeni broniły się wciąż Tiburón i Ren. Powołana do życia przez wybuch jądrowy gwiazda, na której tle przewijały się te obrazy, stopniowo przygasła, protuberancje i fale plazmy zamierały, energia rozproszyła się w pustce rojami kwantów. Oddalone krańce przestrzeni już nie oślepiały, przez półprzezroczysty miraż widać było gwiazdolot Obcych, nieruchomy i niepokonany.

- Próba przełamania ochrony nie powiodła się - skomentował analityk. - Połowa flotylii utracona. Do boju rzucono rezerwy: krążowniki Wiking i Wołga i admiralską fregatę Suzdal. Ich myśliwce próbują uderzyć we flankę przeciwnika... - Po chwili milczenia dodał: -

Akcja nie powiodła się.

Ekran na mgnienie wypełniły trzy atakujące okręty, po czym na ich miejscu wybuchł

rozszarzony obłok, taki sam jak ten, który pochłoniął Lancastera; znikły Sachalin i Ren, a wraz z nimi kanie i gryfy; po przerażającej karuzeli potężnych maszyn pozostał tylko gorący gaz.

W przestrzeni wisiały trzy dziesiątki aparatów zlizujących karminowymi językami nieliczne meszki myśliwce, a za tą zasłoną mknął ku wrogiemu gwiazdolotowi Tiburón - ostatni krążownik flotylii. Jego działa milczały. Z pociemniałym pancernem, z nadtopionymi wieżyczkami i śluzami szedł na zderzenie, szedł do beznadziejnego ataku, jak wojownik z rozbitej armii nie mogący pogodzić się z klęską. Dwóch Obcych leniwie zwróciło się ku niemu, plunęło ogniem i w ciemności wybuchł obłok plazmy.

Na dole ekranu przemknęły nazwy utraconych krążowników wraz z nazwiskami kapitanów, danymi technicznymi i liczebnością załóg; żałobny spis z admirałem Tymochinem i Suzdałem - flagowym okrętem floty - na czele.

Koniec filmu. Właściciel gabinetu siedział przez chwilę ze wzrokiem wbitym w ziemię, jakby się zastanawiał, czy nie obejrzeć go jeszcze raz, potem podniósł głowę i powiedział:

- Połączcie mnie z Waszyngtonem. Szybko.

*Układ Słoneczny,**przestrzeń między orbitami Plutona i Jowisza*

Okręt Trzeciej Fazy podążał ku żółtej gwiazdzie nad płaszczyzną ekliptyki od skraju galaktycznego rękawa, gdzie za całunem rozszarpanej mgły zostały Nowe Światy. Już nie bezbronny, odkąd Okrętowi i flocie maszyn bojowych udało się odnaleźć ten układ gwiazdny, tak dogodnie położony i z pewnością zamieszkały. Pomijając te oczywiste zalety, piąta planeta - gazowy gigant otoczony przez rój satelitów - nosiła ślady daskinów, a dokładniej ich działalności astronawigacyjnej. Chwilowo nie była to potwierdzona wiedza, a jedynie hipoteza, którą należało zweryfikować, dlatego Okręt, biorąc za punkt odniesienia daleką białawą plamę, zwrócił się ku ogromnej planecie. Ten gigantyczny świat należało zaliczyć raczej do protogwiazd mających liczne satelity - tak jak przepowiedzieli Antyczni.

Wyłączono umożliwiający podróżowanie po Galaktyce napęd hiperświatłny - Okręt płynął teraz niesiony falami grawitacji. Sunął nieśpiesznie, tracąc dwanaście cykli na przejście nad orbitami zewnętrznych planet. Najdalsza z nich, dziewiąta, nie budziła zainteresowania - pozbawiona atmosfery elipsoida obrotowa, zimna i jałowa, nadawała się tylko do rozmieszczenia forpoczty z aparaturą dalekiego wykrywania. Ósma, obecnie ukryta za żółtym ciałem niebieskim, nie różniła się zbyt od siódmej (jeśli pominąć długi okres obrotu): obie były duże, o masie o rząd wielkości przewyższającej optymalną i oddalone od gwiazdy centralnej, a tym samym ubogie w energię. Szósta była znacznie ciekawsza: jeszcze masywniejsza, z czterema satelitami i pierścieniem z brył kosmicznego lodu i kamiennych odłamków. Rzadki fenomen, nietypowy dla zamieszkałych systemów; rzadki, ale przydatny, gdyż pierścień mógł posłużyć jako źródło różnorodnych surowców, począwszy od niezbędnej Okrętowi wody, a skończywszy na polimetalicznych rudach.

Nie prowadzono tu jednak badań. Być może zasoby zamieszkanego świata nie zostały jeszcze wyczerpane, a może jego mieszkańcy, znający już elektromagnetyzm i zasady przesyłania sygnałów, nie wyruszyli jeszcze w kosmos. Nie dało się także wykluczyć, że rozdrobniona materia pierścienia nie była im potrzebna, gdyż dysponowali położonym na granicy obszaru planet wewnętrznych pasem asteroid, znacznie bliższym i wygodniejszym w eksploatacji. Prawdziwy skarb dla każdej galaktycznej rasy! Źródło rud i minerałów, łatwo dostępnych w warunkach zerowej grawitacji, a tym samym całkiem tanich. Skala prac w pasie asteroid mogła służyć za kryterium oceny stopnia technicznego rozwoju miejscowych bino tegari, ale ta kwestia wciąż pozostawała otwarta, podobnie jak sprawa artefaktów Starożytnych. W chwili obecnej Okręt zanotował tylko niewyraźny potok sygnałów radiowych z zamieszkanego świata rozchodzących się we wszystkich kierunkach, lecz zbyt słabych, by można je rozszyfrować. Jednakże sam fakt był równie obiecujący, wspaniały i wartościowy jak strategiczne położenie systemu, dostępne zapasy minerałów i anomalia w gazowym gigancie. A nawet znacznie ważniejszy - wszak pożądane zapasy nie mogą się równać z obecnością rozumu.

Nie zniżając się do płaszczyzny ekliptyki, Okręt płynął ku piątej planecie. Na razie bezimiennej, jak i pozostałe cztery wewnętrzne planety, satelity, komety i asteroidy należące do świata żółtej gwiazdy.

Bez wątpienia bino tegari nadali imiona wszystkim ciałom niebieskim, a informacja ta niedługo zostanie udostępniona Okrętowi i Wiązce. W

zamieszkanym systemach zawsze zachowywano nazwy nadane przez autochtonów, nawet jeśli były niewymawialne. Zdarzało się, że pozostawały jedyną pamiątką po rasach, które nie przeżyły kontaktu z obcą cywilizacją, wymarłych lub wymordowanych. Choć całkowite wytępienie było niepożądane, gdyż każda międzygwiazdowa cywilizacja potrzebowała sług i pomocników.

Protogwiazda z jasnej plamki stała się dużym białym dyskiem usianym żółtoszarymi wirami cyklonów. Przepływy gazowych mas w atmosferze były chaotyczne i szybkie; nagle powstawał wir, mknął po powierzchni giganta, dryfował od bieguna do bieguna, nurkował w głąb, ku jądru z płynnego wodoru, i w końcu rozsypywał się, topniał, znikał. Tylko jeden z cyklonów był nieruchomy i stabilny. Wielka czerwona elipsa zajmowała jedną ósmą południowej półkuli; wewnętrzne planety - od pierwszej do czwartej: wszystkie razem albo każda po kolei - mogłyby utonąć w ogromnym leju. Potężna anomalia, stworzona nie przez siły natury, lecz przez moc i rozum Starożytnych...

Okręt wystrzelił moduł zwiadowczy. Niewielką kapsułą sterował tho, częściowo rozumny pilot podłączony biointerfejsem do systemu nawigacji. W kuli obserwacyjnej Okrętu widać było, jak błyszcząca iskierka spada na planetę. Wraz z jej ruchem przestrzeń rozświetliły drobniutkie ogniki satelitów gazowego giganta: cztery duże, porównywalne z planetami, i ponad dziesięć drobnych. W kuli obserwacyjnej na wysokości równika pojawiła się pajęczyna informacji o rozmiarach, masach i okresach obrotu.

Pilotujący moduł tho nieoczekiwanie coś wymamrotał. Jak wszyscy wspomagający robotnicy, nie był specjalnie rozmowny i poza polem mentalnym stworzonym przez członków załogi niełatwo go było zrozumieć. Nie brakowało natomiast czytelności meldunkom związanej z Okrętem kapsuły, która przesyłała nie dźwięki, lecz informację wizualną. Z kuli obserwacyjnej znikły symbole i dane liczbowe, obraz przedstawiający ogromny białawy segment wraz z czerwonym okiem anomalii stracił ostrość, za to zbliżył się jeden z satelitów -

trzeci pod względem wielkości. Jego widok budził grozę: kolory purpurowo-czerwony, pomarańczowy i żółty mieszały się w nieprzyjemnej dysharmonii z czernią i bielą; czeluści wulkanów wyrzucały trujące opary i lawę; setka karminowych szczelin przecinała powierzchnię usianą ogromną liczbą kraterów. We wnętrzu tego świata buzowały płomienie, a siły przyływu - potężne na niewielkiej odległości - rozłamywały kruchą powierzchnię, wydymając przelewającą się wzdłuż równika ognistą falę.

Okropne widowisko sprawiło, że prowadzący obserwację bino faata zadrżał.

Przesyłane przez moduł dane wizualne napływały bez przerwy, obrazy przemykały w zawrotnym tempie, ognista kula oddalała się, zmieniając w rozmyty, otoczony karminową poświatą dysk, a z boku niczym ledwie zauważalny cień wychynęło coś nieforemne - duża struktura jakby ulepiona z grudek ciemnego pyłu. Cienki, oślepiająco jasny promień pomknął

od niej ku zwiadowcy - po czym nastąpił błysk wybuchu i moduł przestał istnieć.

Obraz w kuli zamigotał, ale ciemny obiekt został już rozpoznany przez systemy obronne Okrętu. Nie prowadzono z nim negocjacji. Negocjacje nie miały sensu; każde spotkanie bino faata i silmarri kończyło się tak samo - salwą z anihilatorów i roztopieniem wroga w obłok plazmy. Przy równowadze sił taki finał był nieunikniony dla obu stron, tym razem jednak szczęście odwróciło się od silmarri: Okręt napotkał nie flotę, lecz pojedynczego rajdera. Silmarri nie próbowali się ukryć; ich kolektywny umysł nie znał strachu przed śmiercią, a instynkt - przynajmniej gdy chodziło o bino faata - nie pozostawiał wyjścia innego niż atak.

Okręt odpalił moduły bojowe - sześć, aby zablokować wszystkie kierunki w przestrzeni i nie przeciągać potyczki dłużej niż to absolutnie konieczne. I rzeczywiście, nie trwała długo przy przewadze liczebnej sześć do jednego; salwa z anihilatorów przebiła pola ochronne silmarri, błysnęło oślepiające światło i obłok rozżarzonego gazu rozjaśnił pustkę jak nowa mgławica, która w swoim czasie zrodzi gwiazdę, planety i być może życie.

Złudzenie, tylko złudzenie! W skali kosmosu masa mgławicy była znikoma, a większość energii została wyemitowana w postaci twardego promieniowania kwantowego.

Gdy sześć modułów przybiło do Okrętu, światło wewnątrz obłoku i rozbite atomy - wszystko co zostało z rajdera silmarri - przepadły w wiecznej ciemności i zapomnieniu.

Jednakże na Okręcie pamiętano o nich. To, że Obcy dotarli do tego rękawa Galaktyki, stanowiło zagrożenie dla Nowych Światów, chociaż silmarri raczej nie planowali aneksji kolonii Trzeciej Fazy. Być może w okolicy żółtej gwiazdy przyciągnęło ich promieniowanie długofalowe, oznaki istnienia cywilizacji wykorzystującej sygnały radiowe; być może planowali wykorzystanie artefaktów daskinów albo zainstalowanie się w pasie asteroid; być może mieli jakiś inny cel, całkowicie niezrozumiały, bo któż z humanoidów mógł odgadnąć priorytety i myśli robaków? Ale tak czy siak zjawili się tutaj, więc należało to potraktować jako ostrzeżenie - przecież za silmarri mogli podążać inni.

Pośpiech nie leżał w naturze bino faata, lecz w tym wypadku trzeba było działać szybko. Po chwili Okręt otoczony półprzezroczystym polem ochronnym zawisł nieruchomo obok gigantycznej gazowej kuli, jakby rozmyślał, czy dalej ją badać czy skierować się w stronę wewnętrznego świata, z którego napływał potok sygnałów. Wreszcie pole ochronne zbladło, ogromny cylinder płynnym ruchem odwrócił się podstawą ku gwiazdzie, błyszczący korpus złapał i odbił jeden z jej promieni. Fale grawitacji schwyciły Okręt, a ten ruszył do przodu, nabierając prędkości, lecz nagle stanął jakby spętany niepokonaną siłą piątej planety.

Nadciągał nowy obiekt. Tym razem całkiem niewielki - o masie znacznie mniejszej niż moduł bojowy.

*Układ Słoneczny, orbita Jowisza,*

*14 maja 2088 roku czasu ziemskiego*

Mesa oficerska na Skowronku była niewielka: osiem kroków długości, sześć szerokości i wysokości. Wszystkie elementy niezbędne do spożywania posiłków i odpoczynku rozmieszczono wzdłuż ścian; wszystkie były albo płaskie, albo wąskie. Płaskie ekrany, obok których zwisały pasy bezpieczeństwa, płaskie pokrywy luków prowadzących do korytarza i do łazienki, wąskie składane stoliki przypominające półki, wąskie stanowiska automatów wydających żywność. Za to środek pomieszczenia zgodnie z przepisami był

pusty: nic nie zagrażało drogi do luków i dalej, do korytarza na pokładzie C. Skaczesz, biegiesz do śluz w czerwonej ścianie, rzucasz się do oznaczonej odpowiednim numerem i już jesteś w swoim myśliwcu. Potem kokon się zamyka i pneumatyczne tłoki wyrzucają stateczek w pustkę... W ciągu przepisowych dwudziestu siedmiu sekund od ogłoszenia alarmu.

Siedzenia też wstawiono wąskie, toteż Paweł Litwin ledwie się mieścił między podłokietnikami. Oznaczało to, że jego warunki fizyczne są bliskie granicy normy - zbyt dużych mężczyzn i kobiet nie zatrudniano w ZSK2. A w każdym razie nie zatrudniano w jednostkach wykonujących loty, gdyż wysoki człowiek o dobrze rozwiniętej muskulaturze potrzebował więcej powietrza, więcej wody, więcej jedzenia, a i jego fotel powinien być szerszy. Do tego duzi ludzie nie odznaczali się zwinnością i szybkością ruchów niezbędną we flocie kosmicznej i wojskach powietrzno-desantowych, szczególnie w nieważkości i przy częstych zmianach siły przyciągania. W bajkonurskiej szkole, którą ukończył Litwin, wysokich i dobrze zbudowanych przezywano koszykarzami, a ścieżkę kariery mieli tylko jedną - prowadziła ona do drużyn naziemnych i sztabu. Ilekroć z trudem wciskał się w siedzenie, przypominał sobie, że tylko centymetr wzrostu dzieli go od losu pechowców pełzających po powierzchni Ziemi.

Ale teraz, podczas lotu, siedzenia były schowane w ścianach, a Litwin unosił się pod 2 ZSK - Zjednoczone Siły Kosmiczne, utworzona w 2054 r. organizacja międzynarodowa kontrolująca przestrzeń okołoziemską i kosmos w obrębie Układu Słonecznego i podlegająca Radzie Bezpieczeństwa ONZ; wchłonęła takie organizacje, jak NASA, wojskowe siły kosmiczne Rosji, USA i państw europejskich.

sufitem przypięty pasem bezpieczeństwa. Miał dość miejsca, aby wyprostować nogi i pomachać rękami bez obawy, że trafi w czyjaś głowę lub tyłek. Skowronek, średniej wielkości krążownik Pierwszej Floty Kosmicznej, miał na pokładzie szesnaście opancerzonych amfibii i tyle samo MU3 klasy gryf, dlatego pomieszczenie mesy było przewidziane na szesnastu pilotów desantowców. Jednakże podczas tego rejsu było ich tylko czterech, dzięki czemu cieszyli się niezwykłą ilością wolnej przestrzeni, a do tego mogli leniuchować, gdyż krążownik nie był w stanie gotowości bojowej, nie wizytował kopalń na Merkurym ani w pasie asteroid, nie ochraniał przed niepożądanymi ciałami kosmicznymi komunikacji między Ziemią a Księżycem. Jego misja była całkowicie pokojowa - rozstawiał

boje.

Latarnie nawigacyjne umożliwiały orientację w przestrzeni tam, gdzie nie docierał

Ultranet - w odległości dziesięciu jednostek astronomicznych<sup>4</sup> od Słońca, czyli w rejonie orbity Saturna. Eksperci ZSK zakładali, że latarni starczy na kilkanaście lat, do początku nowego stulecia, gdyż wyprawy na oddalone planety: Urana, Neptuna i Plutona, chwilowo były wielką rzadkością. Saturna i Jowisza odwiedzano jednak częściej, chociaż nie było to zadanie okrętów i korpusu desantowego, lecz służb naukowo-badawczych Zjednoczonych Sił

Kosmicznych i pracowników naukowych uczelni. Panowało przekonanie, że rozwój przemysłu i budowa baz na satelitach to pieśń odległej przyszłości, ale i tak zaczynało się tak samo jak podczas gorączki złota na Alasce - od ustawiania słupków i tyczek.

Boja była w istocie miniaturową automatyczną stacją zasilaną ogniwami cienkowarstwowymi, krążącą za Jowiszem po heliocentrycznej orbicie. Każda z trzydziestu radiolatarni nadawała na innej częstotliwości, każda też charakteryzowała się innym współczynnikiem wypełnienia, dzięki czemu można je było jednoznacznie zidentyfikować; rozchodzące się we wszystkich kierunkach sygnały powtarzały się mniej więcej co dziesięć minut - tyle czasu trzeba na zgromadzenie energii. W ciągu kilku miesięcy, jakie upłynęły od rozpoczęcia pracy, Skowronek rozstawił dwadzieścia osiem latarni i znajdował się obecnie w pobliżu Jowisza. Widok zagadkowej planety urozmaicił nieco życie załogi - każdy, kto miał

ochotę, mógł zachwycać się cyklonami na jej powierzchni i rozmyślać o tajemnicach Czerwonej Plamy. W pewnym stopniu kompensowało to jednostajność racji żywnościowych, tęsknotę za błękitnym niebem i inne nieprzyjemności, takie jak regularne ćwiczenia 3 MU - myśliwiec uniwersalny, mały wielozadaniowy aparat kosmiczny przeznaczony do działań wojskowych.

<sup>4</sup> Jednostka astronomiczna (j.a.) równa jest ok. 149 600 000 km, czyli średniej odległości Ziemi od Słońca. Mierzona w tych jednostkach odległość do Jowisza wyniosłaby ok. 5 j.a., do Saturna - 10 j.a., a do Plutona - 39,5 j.a.

zarządzane przez Be Jaya.

Jowisz w całej swej mrocznej i groźnej urodzie królował na sufitowych ekranach.

Wystarczyło zamknąć oczy i nie słuchać mamrotania Louisa Rodrigueza, by odnieść wrażenie, że szybuje się na granicy atmosfery bez osłony skafandra i pancerza okrętu, a czerwone oko Plamy mruga zadziornie. Zawsze jakaś rozrywka - myślał Litwin, patrząc na białawe chmury unoszące się nad Plamą. - Lepsze to niż wysłuchiwanie narzekania Rodrigueza tęskniącego za kobiecymi wdziękami na plażach Acapulco. Latynoski temperament sprawiał, że nawijał po raz setny o tym samym, a twarz słuchającego go Corcorana zastygła w wyrazie nieopisanej męki. Abbie McNeal, która podobnie jak Litwin, miała dość Louisa, umknęła do najbardziej oddalonego kąta, nałożyła hełm i słuchała muzyki. Sądząc po ruchach ręki, był to stary rap.

- Dziewczyny - głędził Rodriguez - ależ tam są dziewczyny, Richardzie! Żeby tak jutra nie dożył!



Piękności! Nasze Meksykanki, a do tego Argentynki i Peruwianki, jeszcze Mulatki ze Stanów i w ogóle mnóstwo Amerykanek... Leżysz na piasku i widzisz: nogi, nogi, nogi! Do samej szyi, gładkie i smagłe jak..

- A piersi? - bez przekonania zapytał Corcoran. - Piersi nad nogami są? Czy oglądałeś tylko do kolan?

- A jakże! Wspaniałe cycki, ale między nimi a kolanami są jeszcze tyłki. A tyłek, Richardzie, to najważniejsza rzecz u dziewczyny, to jak rakieta w torpedzie. Wszystko się na niej trzyma, i to, co przyczepili na górze, i to, co przykręcili na dole. Szczególnie u Amerykanek! Popatrzysz na taką i ręce same się wyciągają, a cała reszta... hmm... no sam rozumiesz...

- My też mamy Amerykankę - zauważył Corcoran, patrząc spod oka na Abbie. - Nie gorsza od tych z Acapulco.

- Ale ma nie takie proporcje. To znaczy chciałem powiedzieć: rozmiary... - Rodriguez także rzucił spojrzenie na miniaturową McNeal. - Chuda, ruda, blada, a jeśli chodzi o tyłek i cycki...

Litwin przerwał obserwację Jowisza i znacząco odchrząknął. Rodriguez umilkł, po czym scenicznym szeptem oznajmił Corcoranowi:

- Komandor podporucznik<sup>5</sup> wyraża niezadowolenie. Nasz komandor nie lubi 5 Stopnie oficerskie we flocie kosmicznej utworzono zgodnie z tradycją angielskiej i amerykańskiej marynarki wojennej: podporucznik (ensign), porucznik (junior lieutenant), kapitan (lieutenant), komandor (lieutenant commander), komandor porucznik (commander), komandor i kontradmirał, kolejne stopnie to admirał i admirał floty.

wspominać babskich balonów i tyłków, interesuje go tylko służba. Nie szkodzi, nie szkodzi...

Gdy wrócimy, zabiorę go do Acapulco. Tam Słowianie mają ogromne wzięcie, klnę się na reaktor! Mówię ci, Richardzie, tam...

Z ekranu znikł Jowisz, a jego miejsce zajęła twarz oficera łączności, Istvána Szabó.

Pełne czerwone wargi drgnęły i rozległ się głos:

- Komandor wzywa na mostek dowódcę drużyny desantowej. Szybko! Alarm niebieski.

- Dobrze, że nie zielony - wymamrotał Rodriguez. - Ani nie czerwony.

- Znowu ćwiczenia - westchnął Corcoran, idąc w stronę ulubionego kącika McNeal.

Poklepał dziewczynę po ramieniu. - Obudź się, ruda! Be Jay znalazł ci zajęcie.

Szczęknęła metalowa klamra pasów bezpieczeństwa, Litwin przycisnął do ściany podeszwy butów, odbił się i wślizgnął do luku. Korytarz na pokładzie C był na tyle szeroki, że dwie osoby mogły spokojnie się minąć zarówno w pionie, jak i w poziomie. W

pomalowanej na budzący niepokój czerwony kolor ściany błyszczały ponumerowane płaskie pokrywy włazów; położona naprzeciwko ściana, podłoga i sufit miały spokojny niebieskozielony kolor. Osiem luków umieszczonych w szarej ścianie prowadziło do dwuosobowych kabin; Litwin dzielił swoją ze starym przyjacielem Corcoranem, McNeal i Rodriguez podczas tego rejsu mieszkali w pojedynkę. Mimo to dla nikogo nie było tajemnicą, że Richard od czasu do czasu odwiedza Abbie. Co prawda w grupach desantowych nie pochwalano takich nieformalnych związków, ale i nie zakazywano ich. W dowództwie ZSK

zasiadali mądrzy ludzie rozumiejący, że w walce z tęsknotą i samotnością wszystkie środki są dobre.

Litwin jak pocisk wpadł do szybu i chwytając dłońmi stopnie trapu, przeszedł na pokład B, gdzie mieszkała załoga, a następnie na pokład A zajmowany przez dowództwo i nawigatorów. Tu było luźniej - wyciągnąwszy w bok ręce, nie można było jednocześnie dotknąć obu ścian. Zgodnie z morską tradycją - jedną z wielu przejętych przez flotę kosmiczną - korytarz na pokładzie A nazywano „rufowym”, to tutaj odbywały się uroczyste zbiórki załogi. Zbudowany w 2060 roku Skowronek latał już od dwudziestu ośmiu lat, był

więc okrętem nienowym; przeżył dwa pokolenia załóg, dlatego korytarz zdołało ponad dwieście holograficznych portretów. Kapitanowie i nawigatorzy, desantowcy i piloci, oficerowie służb inżynierskich, łącznościowcy i strzelcy patrzyli surowym wzrokiem na podążającego w stronę mostka Litwina. Biegł „księżycowym krokiem”: odpychając się palcami od podłogi, przelatował zdecydowanym skokiem trzy, cztery metry. Przy takim sposobie poruszania najważniejsze to nie zawadzić głową o sufit - nawet w nieważkości uderzenie było nieprzyjemne.

Skrzydła owalnego luku rozsunęły się, Litwin zanurkował na mostek dowodzenia, zaczepił stopą o zamek i zameldował:

- Komandor podporucznik melduje się na rozkaz, sir!

Be Jay Cassidy, pierwszy po Bogu na pokładzie Skowronka, z niecierpliwością machnął ręką. Wachtę pełnił Prizzi, drugi zastępca, ale na mostku byli wszyscy: sam komandor, pierwszy oficer Jacques Chevreuse, starszy nawigator Zajdel i Bondarienko - szef sekcji technicznej. Oprócz nich byli jeszcze dwaj oficerowie wachtowi i młody podporucznik Szabó, łącznościowiec. Prizzi i piloci siedzieli przy tablicy przyrządów, cała reszta stała za ich plecami.

Litwin wbił wzrok w duży ekran sufitowy, na którym w kółko powtarzano to samo nagranie: ciemna przepaść upstrzona gwiazdami mniej więcej w obszarze kosmicznego bieguna północnego, nieoczekiwany wybuch i zmuszający do zmrużenia oczu obłok gorącego gazu, podobny do purpurowego karalucha z rozczapierzonymi czułkami, szybko blednący na brzegach, rozplływający się w kosmicznej otchłani, by znowu przepuszczać światło gwiazd.

Obraz powtarzano raz za razem, a przez ekrany lokalizatorów przemykały cyfry: odległość, współrzędne, jasność, przybliżona ocena mocy, dyspersja fal.

- Głównie twarde kwanty gamma - oznajmił basem Bondarienko. - Do tego bardzo szybkie, cały cykl trwał poniżej jednej minuty.

- Właśnie, bardzo szybkie - potwierdził Prizzi. - Czujniki pokazują już normalne tło, lokalizatory też niczego nie widzą. Optyka również nic nie pokazuje. Pustka! Dziwne...

Chevreuse, pierwszy oficer, uśmiechnął się pod wąsem.

- Wolno myślącym wyjaśniam: nastąpiło zderzenie pozytronu i elektronu lecących z prędkością światła, o masie dynamicznej dwóch megaton. Gdyby była sto razy większa, narodziłby się nowy wszechświat... A stary razem z nami, koledzy, odwaliliby kitę!

- Wychodzi na to, że mieliśmy niesamowite szczęście - skomentował Zajdel, rozciągając w uśmiechu wąskie wargi. - I my, i Układ Słoneczny, i cała Galaktyka. Co prawda trudno uwierzyć w takie zderzenie. - Przebiegł palcami po klawiszach bloku obliczeniowego i oznajmił: - Sami zobaczcie! Prawdopodobieństwo wystąpienia takiego procesu wynosi dziesięć do potęgi minus pięćset. Taka liczba nie ma nawet nazwy!

- A po co przyrodzie nazwy? - z francuską dezynwolturą zaprotestował Chevreuse. -

Przyrodzie wystarczy pozytron, elektron i...

- Zatkajcie się - nakazał kapitan, nie podnosząc głosu, i na mostku zapanowała cisza. -

Po pierwsze nie jestem zwolennikiem teorii Wielkiego Wybuchu<sup>6</sup>, a po drugie chcę wiedzieć, co tam się dokładnie stało. Olafsson - Be Jay poklepał pilota po ramieniu - jaka jest odległość do tego fenomenu?

- Trzysta dwanaście i czterdzieści pięć setnych megametra, komandorze.

- Trzy godziny lotu... I nic tam nie ma i nie było? Ani statku, ani sondy, ani asteroidy, ani żadnego parszywego śmiecia? Zajdel, sprawdź to!

Nawigator usiadł w fotelu przed modułem obliczeniowym, pozostali pochylili się nad ekranami, gdzie wyświetlana była spektralna charakterystyka wiązki. Litwin widział tylko plecy odziane w kombinezony, ciemne loki Chevreuse'a i ogromną łysinę Bondarienki.

Potem usłyszał głos inżyniera.

- Jacques ma rację! Spektrum jest takie, jakby anihilacji uległa masa kilku ton! Może ktoś z antywszechświata wrzucił nam kamyczek? Chociaż nie... przy takiej odległości pełna anihilacja spaliłaby nas jak karaluchy w piekarniku... Ale to ma sens... ma sens, niech diabli porwą! Albo anihilacja, albo wybuch jądrowy...

Młody Istvan Szabó, stojący obok Litwina, zrobił wielkie oczy i szepnął mu do ucha:

- Jak myślisz, Paul, wybuchł reaktor w jakimś nierejestrowanym statku? Ale co to za nierejestrowany statek? Tutaj, o krok od Jowisza? Mahometanin czy jakiś żółty? A może neoluddysta?

Litwin pokiwał głową. Co za głupie pomysły! Usprawiedliwiała je tylko młodość i brak

doświadczenia Szabó. Islamscy terroryści, Dzieci Allaha, Czerwony Dżihad i cała reszta, w tym neoluddyści, na szczęście nie latali w kosmos. A statkom Państwa Środka brakowało mocy, by dotrzeć do zewnętrznych światów. Terroryści mieli dość zajęć na Ziemi, a co jedno, to ciekawsze: zminiaturyzowana broń, wirusy tetradzmy i preparaty psychotropowe dawały tyle możliwości, że ataki na Marsa czy Jowisza miały się z celem. Jeśli chodzi o Chińczyków, to ci, oczywiście, chętnie wycięliby jakiś numer w kopalniach Demeter albo w kopułach Marsa, ale ich flotę kontrolowały orbitalne oddziały ZSK. Poza tym, chociaż w Państwie Środka budowano stacje termojądrowe, to kompaktowy reaktor nadający się do lotów kosmicznych pozostawał dla nich nadal w sferze marzeń. Polityka technicznej izolacji Chin nie została nigdy oficjalnie ogłoszona, ale działała skutecznie.

- Co u ciebie, Kurt? - rozległ się głos komandora.

6 Zgodnie z poglądami współczesnej astrofizyki, Metagalaktyka powstała w wyniku Wielkiego Wybuchu i rozszerzania się powstałej w ten sposób materii. Jeden z możliwych scenariuszy zakłada, że Wielki Wybuch był następstwem zderzenia cząstki materii i antymaterii poruszających się z prędkością bliską prędkości światła, a tym samym mających ogromną energię i masę.

- Jeszcze sprawdzam, sir - zameldował Zajdel. - Kamieni na niebie jest tyle, ile błota w bagnie... według katalogu osiemdziesiąt dziewięć tysięcy.

- Jakiś statek? Albo sonda?

- To już sprawdziłem... na pewno nie. Przez ostatnie osiem tygodni nie było żadnych lotów na orbitę Jowisza. Wcześniej szwendał się tutaj Kopernik z polskimi i szwedzkimi planetologami. Kolejne badania Czerwonej Plamy. Wspólna akcja uniwersytetów krakowskiego i sztokholmskiego.

- A może to właśnie Kopernik?

- Raczej nie, sir. Sześć dni temu podczas seansu łączności z Barakudą mieliśmy o nim informacje. Łajba szczęśliwie podążała na marsjańską stację Mariner.

O nielegalnym statku nie ma nawet co gadać - doszedł do wniosku w myślach Litwin.

Teoretycznie nie można było wykluczyć takiego wariantu: duża korporacja międzyplanetarna, taka jak Boeing Cosmic albo Neo Polimetal, mogła wyposażyć statek albo automatyczną sondę i wysłać ją w dowolne miejsce, podając nieprawdziwe informacje o trasie i celu lotu.

Ale w takich firmach potrafią liczyć pieniądze i nie wyrzucają ich na bezsensowne awantury.

Wielcy szefowie to nie profesorowie uniwersyteccy - interesują ich złoża rud w pasie asteroid, a nie zagadki Czerwonej Plamy.

Moduł obliczeniowy zakończył przeszukiwanie katalogu i zadzwonił melodyjnie.

Zajdel odsunął się tak, by komandor mógł lepiej widzieć ekran. Potem burknął:

- Niczego nie ma, sir.

- Niczego nie ma i być nie może - powiedział Prizzi. - Co najwyżej jakiś drobny kamyczek... Przecież nie da się wszystkich skatalogować!

- A jeśli to nie nasz kamyczek? - zahuczał basem Bondarienko. - Mógł przecież przybyć z zewnątrz, a jeśli rzeczywiście był z antymaterii...

- Koniec dyskusji - przerwał Be Jay, prostując się. - Bierzemy kurs na rejon wystąpienia fenomenu, a tam się rozejrzemy. Zajdel, oblicz trajektorię, Chevreuse, przejmij wachtę od Prizziego. Wszyscy na stanowiska bojowe! - Nachylił się nad komunikatorem i ryknął: - Mówi kapitan, alarm zielony!

- Jakie jest moje zadanie, sir? - zapytał Litwin.

- Wyjść w kosmos i zbadać przestrzeń w promieniu dwóch megametrów od statku.

Szukaj wszelkiego rodzaju odłamków i promieniowania. Jeśli lokalizatory coś pokażą, zostaniesz dodatkowo poinformowany. Czas rozpoczęcia operacji... Kurt, o której tam będziemy?

- Za trzy godziny siedem minut, komandorze. Przy przyspieszeniu dwie dziesiąte g.

- Może być. Idź już, Paul! - Be Jay popchnął Litwina w stronę wyjścia. - Wyrzucimy was na podejściu za jakieś dziesięć minut. Czekaście na sygnał!

Litwin wydostał się na korytarz, ale nie zdążył dopłynąć do szybu, gdy powietrze przeszył dźwięk syreny. Zawyla trzy razy z pięciosekundowymi przerwami - był to znak, że trzeba przygotować się na przyspieszenie. Złapał za zamek, rozluźnił mięśnie, usłyszał

odległy łoskot budzących się silników i w tej samej chwili poczuł siłę ciągnącą go w dół.

Podłoga stała się podłogą, sufit - sufitem, a komandor podporucznik Litwin nie był już szybującym w powietrzu balonikiem, lecz ważył równo sześćdziesiąt kilogramów. Z

przyjemnym uczuciem przynależności do panującej w całym wszechświecie siły przyciągania runął w stronę szybu i zjechał na pokład C. Za jego plecami z miękkiem szelestem otwierały się luki, rozbrzmiewał tupot stóp, szum głosów i wyraźne pojedyncze rozkazy. Załoga zajmowała stanowiska bojowe.

\* \* \*

Sygnał nadano po dwóch godzinach i pięćdziesięciu sekundach. Płaskie pokrywy włazów o numerach od jednego do czternastu znikły w ścianach, desantowcy przykucnęli równocześnie, jakby wykonywali jakieś ćwiczenie akrobatyczne, a potem - wsunawszy nogi w czarne otwory i przyciskając ręce do bioder - zjechali w dół, tam, gdzie w okrętowej ładowni stały gryfy. Każdy w oddzielnym maleńkim boksie, jak pociski w łódce naboju; osiem wzdłuż lewej burty, osiem wzdłuż prawej. Za nimi, w hangarze dziobowym, stały

„simy”, czołgi amfibie przeznaczone do działań lądowo-wodnych, zwane ze względu na szybkość i zwrotność karaluchami. I jedno, i drugie były groźną bronią z arsenału krążownika i bez wątpienia

najmądrzejszą - przecież kierowali nimi ludzie. Oczywiście, nie bez pomocy komputerów.

Szeroki elastyczny wąż wyrzucił Litwina prosto w objęcia fotela-kokonu. Powłoka ochronna otuliła ramiona i piersi, brzuch i biodra, kolana i łydki, pozostawiając swobodne ręce i szyję; z góry opadł hełm, za nim nasunęła się osłona kabiny, w jej matowej głębi zapłonęła siatka wskaźnika celu. Litwin odruchowo napiął mięśnie lewej nogi, potem prawej i gryf zakołysał się w gnieździe w przód i w tył. Kiedy człowiek pokręcił szyją i poruszył

oczami, zabłysło światółko modułu medycznego, a kontrolki rakiet, laserów i wielolufowych swomów posłusznie spłynęły po osłonie będącej teraz również ekranem. Teraz, wepchnięty w naszpikowaną bioczujnikami tkaninę kokonu, podłączony do autopilota Litwin stanowił

jedność ze swoją maszyną, czuł ją jak przedłużenie własnego ciała - przede wszystkim kończyn i oczu. Było to dobrze mu znane uczucie, do którego zdążył się przyzwyczaić podczas dziewięciu lat lotów w próżni i w atmosferach trzech planet.

- Pierwszy gotowy - oznajmił Litwin i usłyszał takie same meldunki trzech swoich podwładnych. Potem komunikator burknął głosem Chevreuse'a: „Zgoda na katapultowanie!”.

Litwin delikatnie poruszył lewą stopą. Błona śluzi rozstała się, strumień sprężonego gazu wyrzucił gryfa na odległość stu metrów od okrętu, cicho zamruczał silnik, a w osłonie -

teraz już przezroczystej - zabłysły gwiazdy i pojawiła się tarcza Jowisza - ogromna, trzy razy większa od ziemskiego księżyca. Siatka wskaźników celu zaświeciła jaśniej.

Świat w kratkę, żartowali piloci desantowcy.

Litwin obserwował, jak trzy srebrne strzały wyfrunęły ze śluz w obłokach białawej pary. Rodriguez natychmiast ustawił się z tyłu, Corcoran i McNeal zatoczyli koło pod płaskim brzuchem Skowronka. Na powierzchni statku blisko dziobu widniał wizerunek ptaka, ale sam krążownik przypominał raczej rybę. Ogromnego pstrąga pływającego w ciemnych nocnych wodach. Tylko anteny lokalizatorów, lufy miotaczy plazmy i wieżyczki strzelnicze zaburzały opływowy kształt kadłuba. Za rufą statku ciągnął się język ognia.

- Gryfy w przestrzeni - zameldował Litwin. - Przystępujemy do wykonania zadania.

- Ruszajcie - rozbrzmiał komunikator, tym razem głosem kapitana.

Myśliwce odleciały w różne strony - jedna para po spirali w górę, druga w dół.

Skowronek z wielkiej ryby zmienił się w małą rybkę, a po chwili znikł zupełnie -

pozostała tylko plamka na ekranie lokalizatora. Plamek było w sumie pięć - krążownik, trzy MU i ostatnia z rozstawionych boi mająca na krawędzi jak ledwie dostrzegalna iskierka.

Poza tym Litwin nie widział nic - nie licząc, oczywiście, Jowisza i gwiazd. Ale te ciała niebieskie ani trochę go w tej chwili nie interesowały.

- Pierwszy do drugiego. Kurs równoległy do statku, odległość jeden megametr. Trzeci i czwarty taka sama marszruta, ale w dolnym sektorze.

- Zrozumiałem - odezwał się Corcoran. - Przejmujemy dolny sektor, odległość jeden megametr.

Louis także potwierdził odległość, potem chrząknął i dodał:

- A propos Acapulco. Najlepsze są tam kubańskie Mulatki czekoladki. Mają takie...

- Gryfy, nie zaśmiecać eteru! - warknął kapitan. - Co pokazują lokalizatory i czujniki?

- Nic, sir - zameldował Litwin. - Reliktowe promieniowanie kosmiczne i składowa słoneczna.

- Meldować co pięć minut.

- Tak jest, sir.

Litwin uruchomił timer i sygnał dźwiękowy, potem delikatnie odchylił głowę, napawając się widokiem nieba. Wyraźne punkty gwiazd pobłyskiwały wśród obłoków pyłowych i mgławic, jaśniała zakrzywiona ścieżka Drogi Mlecznej, w ciemnej otchłani kryło się nieznanne - galaktyki, których światło jeszcze nie dotarło do Ziemi, czarne dziury, gwiazdy neutronowe... Obraz ten zawsze zachwycał Litwina i jakby na zasadzie kontrastu wywoływał

wspomnienia o rodzinnym Smoleńsku; Droga Mleczna stawała się Dnieprem, a z konturów gwiazdozbiorów przebijały znajome stare mury z ceglanymi wieżami, kopuły cerkwi, teatr miejski albo dom na ulicy Gagarina, gdzie mieszkali jego bliscy: matka, ojciec, siostra z mężem, dwójka siostrzeńców... Po każdym rejsie wracał do domu; stromy brzeg Dniepru przyciągał go bardziej niż plaże Acapulco, a jeśli chodzi o dziewczyny, to żadne czekoladowe Kubanki nie mogły się równać ze smoleńskimi ślicznotkami. Chociaż i czekoladki warto by spróbować - tak dla odmiany. Litwin nie był Don Juanem, ale nie gardził damskim towarzystwem.

Timer zaśpiewał melodyjnie. Litwin odczytał wskazania czujników i zaraportował:

- Gryf Jeden do okrętu. Optyka nic. Lokalizatory nic. Rejestruję typowe promieniowanie tła.

- Gryf Trzy do okrętu - natychmiast odezwał się Corcoran. - Sytuacja analogiczna.

Tylko tło trzy procent powyżej normy.

- Przyjąłem. Kontynuujcie obserwacje.

Wszystko wskazywało na to, że ten rejs na Skowronku będzie dla Litwina ostatni.

Podejrzewał, że w sztabie ZSK przygotowano już rozkaz o awansie i przeniesieniu do Trzeciej Floty - być może na ciężki krążownik, taki jak Barakuda, Starfire albo Syberia. Nie ma co, potężne skorupy! Osiem pokładów, baseny, sale gimnastyczne, galerie spacerowe i żadne tam kubryki - dla każdego oddzielna kajuta... A przede wszystkim trzydzieści sześć MU, i to nie gryfów, które czasy

światłości miały już dawno za sobą, a kań najnowszej konstrukcji. Dowodzenie takim desantem kusiło ogromnym prestiżem, choć rozstanie ze Skowronkiem wywoływało smutek i melancholię. Pewnie nigdy już nie spotka Richarda, cichej Abbie ani gadatliwego Rodrigueza... Każde z nich miało własny harmonogram urlopów, więc jeśli w ogóle się kiedyś spotkają, to za dziesięć lat, gdy przejdą w stan spoczynku. Być może nie pozbędą się ich bezceremonialnie, lecz jako zasłużonych weteranów skierują do jakiejś jednostki naziemnej, na stację orbitalną albo do księżycowej bazy ZSK... Na razie nie miał ochoty o tym myśleć, mimo że w bazie były przestronne salony, a kuchnia zasługiwała na wszelkie pochwały. Litwin wolał ciasny kubryk i monotonne racje, byleby tylko loty się nie skończyły. Coraz dalej i dalej, z Jowisza na Saturna, z Saturna na Urana, Neptuna, Plutona i wreszcie w ciemną otchłań oddzielającą Układ Słoneczny od najbliższych gwiazd...

Westchnął. Takie marzenia raczej nie spełnią się za jego życia. Napęd termojądrowy dawał statkom prędkość wystarczającą do podróży po Układzie Słonecznym, lecz wyprawa do gwiazd wymagała czegoś innego. Czegoś, co wynajdą dopiero przyszłe pokolenia...

Timer znowu brzęknął.

- Gryf Jeden do okrętu. Wszystkie parametry bez zmian.

- Gryf Trzy do okrętu. Wizualnie ani na lokalizatorach nic nie stwierdzam, ale wartość promieniowania tła wzrosła o dwanaście procent.

- U nas o pięć procent. Prawdopodobnie zbliżamy się do miejsca wybuchu.

To był Chevreuse, po którym natychmiast zabrzmiał głos komandora.

- Gryf Trzy i Gryf Cztery, określić gradient wzrostu promieniowania. Idę w waszą stronę, podejdźcie do epicentrum. Gryf Jeden, Gryf Dwa, za mną. Odległość od trzynastu do piętnastu kilometrów.

- Zrozumiałem - odpowiedział Litwin.

- Rozpaczynam manewr - oznajmił Corcoran.

Miał wraz z McNeal krążyć w pustce, kierując się wskazaniem czujników. Zrodzone w dziwnym wybuchu potoki zjonizowanych cząstek i kwantów gamma jeszcze się nie rozplynęły, dzięki czemu przy pewnym nakładzie pracy można było określić epicentrum fenomenu. Coś tam zawsze znajdziemy - pomyślał Litwin, zmieniając trajektorię. - Jeśli wałnął reaktor, będą odłamki, a jeśli rozsypał się kamień, to jego prochy jeszcze unoszą się nad Jowiszem.

Z kamieniami miał do czynienia już wcześniej. Jednym z głównych zadań ZSK było zapewnienie bezpieczeństwa, czyli ochrona Ziemi przed intensywnymi wybuchami na Słońcu i ciałami kosmicznymi, które spadając na powierzchnię Ziemi, mogły zakończyć pochód cywilizacji ku gwiazdom. Wśród małych planet było z pół setki obiektów o średnicy od jednego do ośmiu kilometrów, których orbity przecinały ziemską, a energia potencjalnego zderzenia wynosiła sto tysięcy megaton. W roku 1937 jeden z nich, Hermes, przemknął w odległości ośmiuset megametrow od Ziemi, czyli w skali kosmicznej tuż obok. Arsenał



jądrowy i statki kosmiczne gwarantowały, że katastrofa podobna do tej, która doprowadziła do wyginięcia dinozaurów, więcej się nie powtórzy. Przykładowo - flota złożona z dziesięciu statków rozniosła w proch jeden z obiektów w pasie asteroid<sup>7</sup>. Litwinowi pozostały wspaniałe wspomnienia z tej operacji.

Timer przypominał, że pięć minut minęło.

<sup>7</sup> Pod koniec XX w. znano ponad trzydzieści takich potencjalnie niebezpiecznych asteroid.

Zakwalifikowano je do oddzielnego typu „grupa Apollo”.

- Gryf Jeden do okrętu. Odnotowałem wzrost promieniowania tła o szesnaście procent.

Znajduję się w strefie widoczności optycznej. Na lokalizatorze nic.

- Gryf Trzy do okrętu. Minałem obszar trzykrotnego wzrostu promieniowania tła, prawdopodobnie epicentrum. - Pauza. - Do wszystkich gryfów! Konfiguracja x-cztery.

Oznaczało to, że myśliwce powinny patrolować w ariergardzie ustawione w krzyż albo romb; taki schemat był odpowiedni do obserwowania peryferii. Dowódcy grupy przypadła pozycja u góry, jeśli za punkt odniesienia przyjąć północny biegun Galaktyki.

Litwin poprowadził więc gryfa ku wierzchołkowi krzyża, śledząc na lokalizatorze położenie maszyn McNeal, Corcorana i Rodrigueza; Abbie znajdowała się dokładnie pod nim, Louis i Richard - niżej, z prawej i z lewej. Malutkie myśliwce zaginęły w kosmicznym mroku, ale Skowronka można było rozpoznać w wizorze optycznym: srebrna strzałka z purpurowym strumieniem gazu na końcu. Ogień zgasł, po czym buchnął znowu, ale tym razem płomienie wylatywały z silników pomocniczych, otaczając krążownik różową migotliwą aureolą.

- Hamujemy. Półtora g - padł rozkaz Chevreuse'a. - Do wszystkich gryfów: kapitan nakazał zbliżyć się na odległość pięciu kilometrów.

Litwin wprowadził poprawkę i ruszył naprzód, ale po minucie pod hełmem rozblysnął

czerwony sygnał błędu. Było to nie tylko dziwne, lecz wręcz nieprawdopodobne: podczas wspólnych lotów gryfy otrzymywały dane o kursie bezpośrednio z KAN-u8. Niemniej...

- Oddalają się od nas - zabrzmiał głos Corcorana. - Nie hamują, tylko się oddalają z dotychczasową prędkością! Śnię czy nasz komputer oszalał?

- Śpisz - wtrącił Rodriguez. - Tylko ciekawe, z kim?

McNeal milczała. Była nadzwyczaj spokojną i milczącą dziewczyną. A do tego zdyscyplinowaną: wiedziała, że dowódca ustali, co jest powodem opóźnienia.

- Gryf Jeden do okrętu - powiedział Litwin. - Proszę o potwierdzenie rozkazu hamowania.

Komunikator milczał. Minęła sekunda, druga, trzecia, po czym Be Jay wrzasnął:

- Pełna moc, Chevreuse! Co się tam, do diabła, dzieje?!
- Hamujemy, komandorze. Coś nas przyciąga...
- Gdzie? Tam niczego nie ma! Niczego, klnę się na reaktor!

Ano niczego - potwierdził w duchu Litwin, rzucając okiem na lokalizator. Na kursie Skowronka była tylko próżnia. Trzy atomy wodoru na metr sześcienny. Ani czarnych dziur, ani białych karłów, ani innych anomalii.

8 KAN - kompleks astronawigacyjny.

- Alarm czerwony! - nieoczekiwanie krzyknął komandor. - Powtarzam, alarm czerwony! Swomy, gotowość bojowa, na moją komendę ognia!

Swomy były bronią humanitarną - oczywiście w porównaniu z laserami i resztą arsenału okrętu. Rój lecących z ogromną prędkością lodowych kryształów zmieniał w sito panczerze, skafandry, mechanizmy i ludzkie ciała, jednakże nie powodował tak zgubnych zjawisk, jak promieniowanie czy fala uderzeniowa; rój czyścił tylko ograniczoną przestrzeń, nie pozostawiając nieprzyjemnych następstw.

- Może uderzymy rakietami? - ochryplym głosem wyszeptał Chevreuse.

- Nie, nie wiemy, co tam jest - odmruknął komandor. - Swomy od pierwszego do szóstego, wąską wiązką, ognia!

Ekran lokalizatorów pokazały sześć półprzezroczystych plamek. Oderwały się one od ciemnej strzały okrętu i pomknęły w pustkę, przecinając ekran. Przy prędkościach kosmicznych uderzenia drobnych kawałków lodu miały większą moc niż kiedyś wybuch pocisku artyleryjskiego.

- Manewr okrążający. Przygotowanie do ataku - zarządził Litwin.

Ustawił swoją maszynę z lewej strony, a Rodriguez natychmiast podążył za nim; Corcoran i McNeal zajęły pozycje z prawej na tej samej wysokości. Szyk gryfów przypominał

w tej chwili kleszcze gotowe w każdej chwili się zacisnąć.

- Kogo atakujemy, Pierwszy? - zapytał Rodriguez. - A może co? Próżnię?

Pytanie było nie od rzeczy: Litwin nie widział nic, co można by zaatakować...

- Gryf Jeden do okrętu. Proszę o instrukcje. Co...

Nie zdążył dokończyć, bo słabo pobłyskująca z przodu łuna wybuchła, zalewając, zdało się, cały wszechświat. Zawyla syrena, autopilot przejął sterowanie, gwałtownie szarpnął

stateczkiem w górę, próbując sprowadzić go z linii ognia, ale w tej samej chwili poszycie zadudniło. Pękła pokrywa, coś przebiło lewą rękę i nogę Litwina, wbiło się w żebra. Poczul

ciepłe strużki krwi wypływającej z ran. Potem ogromny ciężar rozmazał go po powłoce kokonu, a gasnący umysł podpowiedział: przyśpieszenie co najmniej piętnaście g.

Ostatnie, co zobaczył, to poprzebijany korpus Skowronka; z setek dziur wyciekało powietrze, zmieniając się w białawe śnieżne płatki. Zginęli, wszyscy zginęli - przemknęła myśl. - Ale jak?...

Stracił przytomność.

*Przestrzeń okołozemska,*

*Ziemia i Księżyc*

Wybuchy w pobliżu Jowisza zauważył astronom Li Chen dyżurujący przy dużym teleskopie zwierciadlanym w obserwatorium Kepler. Obserwatorium orbitalne, uruchomione dwa lata temu, należało do Związku Uniwersytetów Europy i Ameryki Północnej.

Finansowano je szczerze, a teleskop był rzeczywiście wielki - średnica zwierciadła wynosiła sto dwadzieścia cztery metry. Każdy astronom na Ziemi marzył, by dopaść tego instrumentu, a ci, którzy nie marzyli, byli albo inwalidami niezdolnymi nawet do lotów w bliski kosmos, albo kompletnymi przygłupami bez żadnych widoków na uzyskanie stopnia naukowego.

Była jeszcze trzecia kategoria: obywatele mocarstw stanowiących potencjalne zagrożenie dla społeczności ziemskiej. Ich nie dopuszczano do najnowszych technologii. Li należał do grona takich osób - był Chińczykiem, i to nie z KSZ ani z UEA9 lecz z Chin - czyli tak chińskim Chińczykiem jak to tylko możliwe. Niechętny stosunek innych do jego obecności na Keplerze miał wiele przyczyn: to, że co czwarty człowiek na Ziemi był

Chińczykiem; to, że chińską ekspansję na Amerykę, Australię i Syberię, nie wspominając o krajach Azji Południowo-Wschodniej, uważano za realne zagrożenie; a także to, że Chińczycy sprzeciwiali się asymilacji, uparcie twierdząc, że Państwo Środka jest centrum świata. John E. Bradford, brytyjski astrofizyk i dyrektor Keplera, mógł co najwyżej zgadywać, jakim cudem Li Chen znalazł się w jego obserwatorium. Ale dokumenty Li były w porządku, dwumiesięczny okres stażu też wyglądał rozsądnie, tak więc nie zdołano odprawić Chena do Szanghaju przed terminem.

Z zawodowego punktu widzenia Chińczyk był znakomitym obserwatorem.

Spostrzegawczym, choć oczy miał wąskie i skośne. Vad Griko, zastępca Bradforda, przydzielił Li do zadań związanych z kontraktem z ZSK, w którego ramach Kepler śledził

ruchy asteroid grupy Apollo między orbitami Marsa i Jowisza. Jeśli takie ciało wpadło w pole grawitacyjne gigantycznej planety, zmieniało trajektorię lotu - dlatego Jowisz był cały czas 9 KSZ - Kanada i Stany Zjednoczone; UEA - Unia Europejsko-Azjatycka skupiająca Rosję, Białoruś, szereg krajów kaukaskich i Gubernię Mongolską.

obserwowany zarówno przez obserwatoria ziemskie, jak i orbitalne. Zadanie to uważano za nudne i mało prestiżowe, ale zajmowało się nim setki astronomów żyjących z dotacji ZSK. A wśród nich - spostrzegawczy Li.

Gdyby Chen był tylko spostrzegawczym Chińczykiem na dwumiesięcznym stażu, Bradford by go jakoś zniósł. Ale jego wyobraźnia!... Te niewiarygodne domniemania!... Ta pewność siebie, te bezsensowne żądania!... A mówią, że Chińczycy są narodem pragmatycznym, bez skłonności do fantazjowania.

Fizjonomia Li majaczyła przed Bradfordem w jego gabinecie, a sam Li Chen usadowił

się na twardym krześle. Bardzo twardym, ale przy mniejszej o połowę sile ciężenia mógł tak siedzieć dzień i noc. Siedzieć i marudzić.

- To była anihilacja, sił! - Li nie wymawiał głoski „r”. - Anihilacji w pobliżu Jowisza nie można uznać za naturalny proces, sił. Jak pan wie, obecnie odległość między Ziemią i Jowiszem wynosi sześć i trzy dziesiąte jednostki astronomicznej. Żeby wybuch był widoczny z takiej odległości, nawet przez nasz teleskop, musiał mieć moc co najmniej stu megaton. A miał większą, sił, dużo większą!

- No dobrze... - Bradford skinął głową z miną skazańca. - Odkrył pan niezwykle interesujące zjawisko. Zajmiemy się nim. Przeprowadzimy obliczenia, przeanalizujemy zdjęcia, nawet nadamy fenomenowi pańskie imię. Czego pan jeszcze chce, Li?

- Nie trzeba żadnego imienia. Jestem skłomnym człowiekiem. Chcę tylko, żeby pan poinformował o moim odkłyciu sztab Zjednoczonych Sił Kosmicznych. I prezydenta KSZ, prezydenta Łosji i przewodniczącego Łady Eułopy. I jeszcze przewodniczącego ONZ.

- A co z królową brytyjską i kanclerzem Niemiec? - zapytał Bradford z nieskrywanym sarkazmem.

- Ich nie trzeba. Ich poinformuje Łada Eułopy.

- A Chiny? Dlaczego nie chce pan posłać wiadomości do Chin?

- Chiny nie zobowiązały się do ochłony Ziemi przed zagrożeniami z kosmosu. Chiny nie mają kłazowników.

I dzięki Bogu - pomyślał Bradford, a na głos powiedział:

- Ma pan świadomość, jak... hmm... niezwykła jest pańska hipoteza?

- Dlaczego niezwykła? Kiedyś to musiało się zdarzyć.

- Kiedyś! Za jakiś milion lat! Jeśli odwołamy się do klasycznych dzieł, do opinii Szkłowskiego<sup>10</sup>, który udowodnił...

<sup>10</sup> Chodzi o stwierdzenie Szkłowskiego, że życie we Wszechświecie jest zjawiskiem unikatowym.

- Z całym szacunkiem, sił, niczego nie udowodnił, sformułował hipotezę, której nie można udowodnić. A moją można! W ciągu kilku dni albo w ciągu miesiąca. Z kolei jeśli nie będziemy gotowi, gdy ich statki dotną do Ziemi... i jeśli nie mają szlachetnych celów...

Weźmie pan na siebie taką odpowiedzialność?

Kłótnia trwała już ponad godzinę. John E. Bradford zamknął zmęczone oczy, potarł

powieki i wymamrotał:

- Bzdury! Bzdury, głupstwa i kompletny idiotyzm!

- Dlaczego bzdury? Zobaczyłem w pobliżu Jowisza niewytłumaczalne zjawisko przypominające anihilację i mówię, że to statek Obcych. Być może włączyli silniki planetalne albo wysadzili asteroide, albo przepłowodzili jakiś eksperyment... W każdym razie niedługo będą tutaj i lepiej by było, gdyby flota ZSK przywitała ich gdzieś na orbicie Małsa. Przywita i zdecyduje, czy wpuścić ich na Ziemię.

Kretyn - pomyślał Bradford. - Głupi, uparty skośnooki kretyn!

Nieoczekiwanie w głowie zaświtała mu myśl. Wspaniała, godna Brytyjczyka, wszak zawsze uważano ich za urodzonych dyplomatów.

- Dlaczego chce pan, żebym to ja kontaktował się z ZSK, ONZ i tymi wszystkimi osobami, które należy poinformować? Mógłby pan sam wysłać im wiadomość. I nie tylko im, w końcu do tego właśnie służy Ultranet.

- Ale sił, Ultranet jest pełen kłamstw! Kto by mi uwierzył?! Dlatego zasugerowałem, by nawiązał pan kontakt osobiście i popał łopółt. Znają pana i w ZSK, i w ONZ, a pańska reputacja...

- Jej właśnie nie chcę narażać - odparł Bradford z niewinną miną.

Li ze smutkiem uniósł brwi ku górze.

- Nie chce pan być zbawcą Ziemi?

- Z przyjemnością odstąpię panu ten zaszczyt, Li. Przecież to pańska hipoteza, nie moja! Jeśli zwróci się pan do prasy i telewizji, zezwolę, by używał pan tytułu współpracownika Keplera... - w oczach Bradforda błysnęły złośliwe ogniki. - W takim przypadku jestem gotów potwierdzić, że korzystał pan z teleskopu i że w naszych archiwach mamy zdjęcia tajemniczego wybuchu w okolicach Jowisza, a także pełny komputerowy zapis wydarzenia. Podzielimy się tak: dla mnie materiały naukowe, dla pana oryginalny komentarz.

Umowa stoi?

Zwiesiwszy głowę, Li wymruczał coś po chińsku. Potem powiedział:

- Stoi. Chociaż oczywiście płaśa i telewizja to nie to samo co ONZ i ZSK. W telewizji pełno jest oszustów, w płaśie też. Czego szukają? Sensacji, tylko sensacji!

Bradford wzruszył ramionami i z uśmiechem wpatrywał się w Li.

- To jak będzie, mój drogi?

- Nie rozumiem, sił...

- Jest pan u nas na stażu dopiero od tygodnia. To jedna strona medalu. Z drugiej strony chce pan jak

najszybciej ogłosić swoją hipotezę, bo czasu jest mało, a statek Obcych zbliża się do Ziemi. Kontakty z reporterami będą wymagały pańskiego osobistego zaangażowania...

Co w tej sytuacji zamierza pan zrobić?

- A, o to panu chodzi... - Li Chen westchnął i pokiwał głową jak chiński bałwanek. -

Nie mam wyjścia! Muszę przełwać płacę w tym szacownym miejscu. Bałdzo żałuję, sił...

przypadła mi w udziale niepowtarzalna okazja płacy pod pańskim okiem i mądrym kielownictwem doktoła Gliko... Wyłuszę na Ziemię z piełwyszym tanspołtem, sił. Oczywiście, za pańską zgodą.

John E. Bradford spojrział na zegarek.

- Wyrażam zgodę! Ale proszę się pośpieszyć, mój drogi Li. Rakieta transportowa odlatuje za trzydzieści siedem minut. Nie chciałbym zatrzymać pana do jutra. Chodzi przecież o ratowanie Ziemi...

\* \* \*

- Panie Angelotti, depesza od Fossa. Pilna!

Pierre Angelotti, wydawca „KosmoSpiegła”, sapnął ze zdziwienia, zakręcił fotelem i podniósł wzrok na sekretarkę. Dziś Michelle miała na sobie wrzosowy kombinezon bez rękawów, którego błyszczący materiał opinał piersi i zgrabne biodra, podkreślając ich niewątpliwe zalety. Dziewczyna jak z reklamy! A reklama to dźwignia handlu, w tym także newsami. „KosmoSpiegel” - wpływowy dziennik z siedzibą główną w Brukseli - proponował

je czytelnikom w sześciu językach, włączając w to rosyjski i arabski, i w trzech formach: jako tradycyjną gazetę, program TV i witrynę w Ultrancie.

Nacieszywszy oczy widokiem Michelle, Angelotti chrząknął z aprobatą i wyciągnął

przed siebie rękę. Smukłe palce dziewczyny upuściły na wysuniętą dłoń chip wielkości drobnej monety. Günter Foss, najlepszy reporter „KosmoSpiegła”, nie dowierzając nowoczesnym środkom komunikacji, wolał kontaktować się z gazetą po staremu - korzystając z kurierów. Dobry nawyk! Większość poczty w Ultrancie można było przechwycić, a informacje od Fossa zazwyczaj miały poufny charakter. Należał do dziesiątki najbardziej wścibskich żurnalistów i kosztował „Spiegła” niemałe pieniądze.

Co też tym razem wygrzebał?... Kołyszając chip w ogromnej dłoni, Angelotti doszedł

do wniosku, że może liczyć na sensację. Foss był na dwumiesięcznym urlopie twórczym, na którym poświęcał się pracy nad książką mającą mu przynieść nagrodę Pulitzera 11. Minął

zaledwie tydzień - zbyt mało na przygotowanie książki, zatem szef „KosmoSpiegła” mógł być pewien, że chipnie ma z nią nic wspólnego. Günter Foss coś wywachał! Może prawdę o starciu

nowych zielonych z ekoterrorystami w Monachium albo o kolonizacji Wenus...

Angelotti wbił wzrok w okno, jakby szukał odpowiedzi wśród obłoków płynących po błękitnym jesiennym niebie. Biura „KosmoSpiegla” zajmowały czterdzieste i czterdzieste pierwsze piętro wieżowca Sky Ship - z tej wysokości niebiosy wyglądały wspaniale: i ich lazuruwa nieskończoność, i krążące nad budynkami ptaki, i srebrzysty samolot pasażerski odlatujący w stronę Atlantyku.

Angelotti znowu odchrząknął i zerknął z ukosa na Michelle.

- Poproszę koktajl, moja droga. Martini z wódką. Jak zwykle wstrząśnięte, nie mieszane.

Dowcip miał brodę do samej ziemi, ale Michelle uśmiechnęła się, jak na dobrze wyszkoloną sekretarkę przystało. Angelotti poczekał, aż przyszykuje mu drinka i wyjdzie do sekretariatu, pociągnął łyk i przycisnął lewy podłokietnik fotela. Był to ogromny mebel z drewna i skóry kryjących tytanowy stelaż. Mogłyby na nim siedzieć równocześnie trzy osoby o typowych rozmiarach. Wszelako Angelotti do takich się nie zaliczał - ważył sto sześćdziesiąt kilogramów. Trafił nawet do Księgi rekordów Guinnessa jako najgrubszy wydawca w Układzie Słonecznym.

W podłokietniku rozchyliła się szczelina deszyfratora. Włożywszy do środka chip, Angelotti sapiąc i chrząkając z wysiłku, wyciągnął cienki kabelek i podłączył

cienkowiekowy ekran. Dotknął zdobionej blaty figurki egipskiej bogini Neit. Złota rzeźba wielkości dłoni była oryginałem znalezionym w grobowcu Tutenchamona przed półtora wiekiem i kosztowała ogromne pieniądze.

Popijając koktajl, Angelotti śledził przemykające przez ekran linijki. Brwi powoli wędrowały w górę po podobnej do księżyca twarzy, czoło pokryły zmarszczki, a szparki oczu, zazwyczaj ukryte pod opuchniętymi powiekami, stawały się coraz szersze.

Doczytawszy do końca, dopił koktajl jednym haustem i warknął:

- Madonna mia! Czy on oszalał?

Potem przeczytał tekst jeszcze raz i wyłączył deszyfrator.

11 Nagroda Pulitzera - jedna z najbardziej prestiżowych nagród w dziedzinie dziennikarstwa, ustanowiona w 1917 r. przez Josepha Pulitzera, znanego dziennikarza i wydawcę. Jest przyznawana przez Wyższą Szkołę Dziennikarstwa Uniwersytetu Columbia.

12 Grób Tutenchamona w Dolinie Królów został odkryty w 1922 r. przez Howarda Cartera i hrabiego Camavona.

Nie zdradzając źródła informacji, Foss donosił, że obserwatorium Kepler zarejestrowało wybuch w pobliżu Jowisza. Najprawdopodobniej anihilację, co można tłumaczyć dwojako: wtargnięciem antymaterii lub wizytą Obcych przybyłych z Alfa Centauri, Syriusza, Procyona lub galaktycznych otchłani, których rozum nie ogarnie, a komputer nie wyliczy. Hipoteza o przybyszach wydawała się bardziej prawdopodobna (w tym miejscu Foss powoływał się na opinię specjalisty), co znaczyło, że



służby bezpieczeństwa wyślą na miejsce zdarzenia krążowniki i desant. Foss zakładał, że operacja zostanie utajniona - przynajmniej do czasu, gdy jednostka Obcych nie będzie dostępna dla teleskopów ziemskich, a tym samym niezależnych obserwatorów. Co mogło nastąpić w ciągu tygodnia lub miesiąca. Byłaby to sensacja tysiąclecia.

To prawda - bezgłośnie zgodził się Angelotti. - Ale prawdą jest też co innego: na sensacji zarobi ten, kto będzie pierwszy...

Wiedział o tym nie gorzej od Güntera sugerującego, że za tydzień nowina nie będzie warta ani grosza.

Angelotti wezwał sekretarkę i zażądał, by połączyła go z redaktorem naczelnym, Sidem Chapmanem, i szefem działu ogłoszeń, Claude'em Parillaudem. Narada trwała niecałe dziesięć minut; postanowiono, że materiał Fossa pójdzie na pierwszej stronie, nakład zostanie podwojony, a cena reklam wzrośnie pięciokrotnie. Potem Angelotti wypił drugi koktajl, oparł

się wygodnie, złożył ręce na sterczącym jak góra brzuchu i zamknął oczy. W jego wyobraźni płynęły najprzeróżniejsze statki Obcych: srebrzyste stożki, niebieskie torusy, śnieżnobiałe otoczone światłem kule i różowe latające talerze.

Czy to możliwe?... - pomyślał. Poczul lodowaty dreszcz, zawołał Michelle i kazał

sobie zrobić jeszcze jedno martini z wódką.

\* \* \*

Bazę księżycową uważano za najważniejszą w systemie ZSK. Zbudowano ją na północno-zachodnim brzegu Morza Deszczów, tam, gdzie dotarł słynny rosyjski łunochod<sup>13</sup>, który wylądował na Księżycu w ubiegłym wieku, po czym przebył odcinek długości dziesięciu i pół kilometra. Obecnie ta kosmiczna relikwia stała na wysokim postumencie z księżycowego bazaltu tuż przed wejściem do przezroczystej kopuły śluzu. Za kopułą na astrodromie stały okręty Pierwszej Floty, dalecy potomkowie raket napędzanych paliwem chemicznym: ciężkie krążowniki Tetyda, Aretuza, Azow i Oberon, średnie Jenisej i Praga oraz fregaty i korwety. Nazwy zaczerpnięto z dawnej floty morskiej: historyczny Oberon był

<sup>13</sup> Sonda Łuna 17 wraz ze zdalnie sterowanym pojazdem Łunochod I wystartowała 10 listopada 1970 r., a 17 listopada szczęśliwie wylądowała i dostarczyła Łunochod I na powierzchnię satelity Ziemi.

kiedyś brytyjską łodzią podwodną o napędzie diesel-elektrycznym, żelazną łupiną rozwijającą prędkość siedemnastu mil na godzinę, uzbrojoną w trzydzieści torped. Nowy Oberon, potworna wieża z superwytrzymałego kompozytu, siedemnaście mil pokonywał w ciągu sekundy i mógł bez trudu zniszczyć floty wojenne wszystkich mocarstw XX wieku.

Flota stacjonowała na powierzchni, natomiast bazę wkopano w księżycowy grunt na głębokość od stu do stu osiemdziesięciu metrów. Określenie „baza” nie całkiem pasowało do tej konstrukcji, ale przeznaczenie militarne nie pozwalało uznać jej za miasto. Dlatego -

choć mieszkało w niej dwadzieścia tysięcy osób - nazywano ich nie mieszkańcami, lecz personelem; podobnie najpopularniejszy typ zabudowań nazywano nie osiedlem, lecz koszarami. Niemniej koszary te były wyposażone zupełnie znośnie, miały moduły osobiste o przyzwoitej kubaturze, baseny, sale rekreacyjne i bary piwne.

Dwa dolne pokłady nad pomieszczeniami reaktora: dwudziesty i dwudziesty pierwszy, przeznaczono na sztab ZSK. Właściwie sztab zajmował tylko poziom dwudziesty, a dwudziesty pierwszy traktowano jako rezerwę na wypadek zwiększenia liczebności sił

zbrojnych i dowództwa. Ale wszystko wykonano tutaj z takim samym rozmachem jak na górze: kilometrowa aleja, osiem poprzecznych korytarzy, tysiąc dwieście sal i pomieszczeń o różnorodnym przeznaczeniu, od biur po saunę, część medyczną i ładownię. Centralny korytarz, podobnie jak pozostałe główne aleje w bazie, biegł z południa na północ, a w jego północnej części zaczynała się strefa Z, czyli apartamenty triumwirów, sale konferencyjne, punkty łączności i dowodzenia flotą.

Pomieszczenia te, położone przy bocznym korytarzu, były dodatkowo oddzielone przedsionkiem, przed którym stały jak symbole władzy skrzydlate lwy z twarzami dawnych cesarzy. Admirał floty Tymochin nie miał pojęcia, gdzie je znalazł: może w ruinach Niniwy albo Babilonu, może w miastach Achemenidów, w Suzie albo w Ekbatanie. Nie przeszkadzało mu to jednak podziwiać posągów. Namówił nawet kolegów, by pracowali z nim piętro niżej w jednym z rezerwowych gabinetów. Tam się naradzali, a starożytne lwy, wysmagane przez deszcze i wiatry, strzegły ich spokoju.

Czy aby na pewno spokoju? Nawet tutaj, z dala od krzątaniny dwudziestego poziomu, spokój był co najwyżej względny. I co z tego, że zupełnie nie było tu ludzi, panowało odwieczne milczenie, a ciszy można było mieć ile dusza zapagnie... Wszystko to nie mogło zastąpić spokoju. Spokój jest stanem ducha w nirwanie błogości, a tych trzech przychodziło do pracy z bagażem trosk. Ale przynajmniej cisza pomagała. Tutaj, w wykończonym jasną dębiną gabinecie, nie niepokojeni drobiazgami podejmowali najważniejsze decyzje.

- Zakładam - powiedział Orlando Chávez - że poinformowano już was o nieoczekiwanej sytuacji ze Skowronkiem. Wczoraj i dzisiaj o dwudziestej drugiej czasu Greenwich krążownik nie nawiązał łączności. Nie wiemy, co się z nim stało w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, gdy krążył wokół Jowisza. Poprzednie seanse łączności nie budziły niepokoju. Prace szły zgodnie z harmonogramem, ustawiono dwadzieścia osiem latarń.

Chávez sprawował pieczę nad Pierwszą Flotą i wszystko, co dotyczyło Skowronka, leżało w jego kompetencjach. Trzech admirałów dowodzących ZSK mianowała Rada Bezpieczeństwa. Po jednym reprezentującym Amerykę Północną, Europę i Rosję, noszącą oficjalną nazwę Unii Europejsko-Azjatyckiej. Skład był wiernym odbiciem układu sił

politycznych na Ziemi, niezmiennego od jednej trzeciej stulecia, od czasów admirałów Younga, Robina i Ilina - ich portrety zdobiły teraz ścianę gabinetu. Ci, którzy zostali za burtą

- świat arabski, sułtanat kurdyjski, Chiny z sojusznikami, Indie i czterdzieści państw afrykańskich - liczyli się na powierzchni planety, lecz nie w przestrzeni.

W triumwiracie Tymochin reprezentował Rosję, Joseph Haley był Kanadyjczykiem, Chávez - Kastylijczykiem z Franspanii 14. Ale Kastylijczykiem urobionym na brytyjską modłę: żadnych emocji, tylko zimna krew i precyzyjne kalkulacje. Nawet teraz, informując o prawdopodobnej zagładzie krążownika, zachowywał spokój jak starożytne lwy u wejścia do strefy Z.

- Jakież przypuszczenia na temat przyczyn? - zapytał Joseph Haley.

Chávez wzruszył ramionami.

- Wiesz, Jo, że systemy łączności są solidne i zdublowane, a niektóre nawet potrojone.

Zakładam więc najgorsze. Reaktor...

- Reaktory zazwyczaj nie wybuchają - wyszeptał Tymochin.

- Były precedensy.

- Były. W przestrzeni są jednak niezwykle rzadkie... - Tymochin szperał w pokładach pamięci. - W czterdziestym drugim na trasie Mars-Księżyc nastąpił wybuch włoskiego transportowca, reaktor TR-15, niezbyt solidny i raczej niestabilny. Powtórka w pięćdziesiątym czwartym, chiński stateczek, ten sam model reaktora. Wycofany z produkcji pod koniec lat czterdziestych, ale latano na nim jeszcze przez jakiś czas. Ostatni przypadek: katastrofa Brazylijczyka w siedemdziesiątym dziewiątym. Wyjątkowy pech, zderzenie z mikrometeoroidem. Uszkodzone cewki magnetyczne, utrata kontroli nad reaktorem, plazma zniszczyła silnik... Pozostałe wypadki były związane ze zmianą ciężenia przy starcie i 14 Franspania - zjednoczona Francja i Hiszpania.

lądowaniu. Wenus, Ziemia, Merkury, Mars... oczywiście pas asteroid.

- Naszym okrętom w przestrzeni nigdy nic się nie przytrafiło - zauważył Haley. - We flocie panuje porządek.

Chávez pokiwał głową. Najwyraźniej przyjął wypowiedź Haleya za stwierdzenie faktu, nie pretensję. We flocie naprawdę panował porządek.

Flota oczywiście ponosiła straty zarówno w wyniku klęsk żywiołowych, jak i błędów ludzkich, złości, agresji czy fanatyzmu. To pierwsze zdarzało się głównie na Wenus z jej nieprzewidywalnymi szalonymi burzami, drugie - na Ziemi podczas wspierania z powietrza operacji antyterrorystycznych. Ale w przestrzeni, poza atmosferą, ZSK miały władzę absolutną. A zgromadzone przez lata doświadczenia sprawiły, że silnik termojądrowy był

urządzeniem superstabilnym.

- Jakież propozycje? - rzucił Tymochin, spojrzał na Cháveza i natychmiast odgadł, jaką otrzyma odpowiedź.

- Powinniśmy zbadać ten przypadek, i to jak najszybciej, starannie i w tajemnicy. Nic nas nie nagli... Skowronek miał wrócić dopiero za miesiąc. - Szczeka Cháveza drgnęła nieoczekiwanie, po czym

Tymochin odgadł skrywane napięcie triumwira. Choć może była to rozpacz połączona z poczuciem winy: w całej historii ZSK nie zaginął żaden krążownik.

Mimo to głos kastylijskiego admirała nadal brzmiał spokojnie. - Mamy do wyboru dwa warianty szybkiego dochodzenia. Możemy wysłać w rejon Jowisza Barakudę; ten krążownik ma najdogodniejszą pozycję, gdyż patroluje właśnie pas asteroid. Niedaleko znajduje się jeszcze jeden statek, ale naukowo-badawczy; Kopernik zakończył prace w pobliżu Jowisza i podąża w stronę Marsa. W drugim wariacie możemy go wysłać razem z krążownikiem, o ile kierownik ekspedycji nie wyrazi sprzeciwu. Na pokładzie znajdują się planetolodzy wyposażeni w specjalistyczny sprzęt. Mają nawet sondę zdolną wytrzymać wysokie ciśnienie.

- Coś w rodzaju batyskafu? - zapytał Haley.

- Tak.

- Sądzisz, że Skowronek wleciał w atmosferę Jowisza?

- Nie można tego wykluczyć, aczkolwiek byłby to szaleńczy manewr. Cassidy to stary wyjadacz.

Zapanowała cisza. Barakuda wchodziła w skład Trzeciej Floty, dowodzonej przez Tymochina, toteż decyzja należała do niego.

Admirał zmarszczył czoło i burknął:

- Warto by pomyśleć o budowie bazy w pobliżu Jowisza. Na przykład na Ganimesie? Albo na Kallisto? Spełniają wszystkie warunki... Ale o tym porozmawiamy później. Sądzę, że Barakuda powinna polecieć sama. Nie da się, tak po prostu zawrócić tych całych planetologów, zmiana trasy wymaga wielu uzgodnień i tylko stracilibyśmy czas. Nie wspominając o kłopotach z zachowaniem tajemnicy... Zgadza się z Chávezem: jeśli Skowronek uległ zagładzie, powinniśmy poznać przyczyny i chwilowo nie ujawniać informacji. Na wszystko przyjdzie czas.

- Zasadniczo zawsze tak robiliśmy - powiedział Haley, spoglądając na portrety. - Od czasów Younga, Robina i Ilina. Wewnętrzne sprawy floty to wewnętrzne sprawy floty.

Nieprawdaż, koledzy?

Gdy admirałowie szli w stronę windy, Tymochin odwrócił się, by popatrzeć na kamienne lwy z głowami władców w wysokich tiarach. Ich twarze były nieprzeniknione i Tymochin pomyślał, że zwiastują nieszczęście.

*Przestrzeń w pobliżu orbity Jowisza*

Leżał na czymś miękkim i sprężystym, przyjemnie pieszczącym ciało. Uczucie to nie miało nic wspólnego z nieważkością - czuł, jak powierzchnia pod nim ugina się, czuł ciężar rąk i nóg, a wieloletnie doświadczenie podpowiadało, że grawitacja jest rzędu ośmiu g.

Dziwne! Ostatnie, co pamiętał, to ucisk nie do wytrzymania, ból i coś jeszcze, coś przerażającego, złego. Teraz nie czuł ani bólu, ani ucisku, ale niemiłe wspomnienie majaczyło gdzieś na obrzeżach pamięci, nie dając spokoju. Z zaciśniętymi szczękami przebijał się przez mgłę zapomnienia, dopóki zasłona nie znikła. I nie zobaczył.

Widział korpus Skowronka z setkami dziur, widział, jak przez otwory ucieka powietrze, jak kłębi się i zmienia w białawe płatki...

Litwin jęknął z bezsilnej złości i otworzył oczy.

Nad nim unosiła się ciemna sferyczna kopuła. Wrażenie bezdennej głębi nie pozwalało określić odległości; miał wrażenie, że mógłby dotknąć powierzchni, a jednocześnie rozumiał, że dzieli go od niej co najmniej dziesięć metrów. Podparł się na łokciu, pokiwał

głową, popatrzył dookoła. Nie była to ani ciasna kabina gryfa, ani kubryk na krążowniku, ani oświetlony migotliwymi ekranami mostek kapitański... Więc co?

Przestronne pomieszczenie przypominało kształtem hantle lub dwie butelki złączone szyjkami. Litwin znajdował się blisko tylnej ściany, a obok niego leżeli McNeal i Corcoran.

Na ich widok poczuł ogromną ulgę. Tu i teraz byli wszystkim - towarzyszami broni, przyjaciółmi, załogą, całą ludzkością. Abbie spoczywała skulona z kolanami przyciśniętymi do piersi, Corcoran rozrzucił ręce, ale oboje chyba oddychali. Kombinezony mieli całe, bez śladów krwi.

Tylna ściana płynnie przechodziła w kopułę sufitu, a boki pomieszczenia stopniowo zwężały się, tworząc „szyjkę butelki” - krótki, ale dość szeroki korytarz; Litwin wypatrzył, że za nim jest drugie identyczne pomieszczenie. Coś się tam poruszało: niewyraźne sylwetki zwróciły jego uwagę tylko na chwilę. Prawą ręką obmacał lewą dłoń, po czym dotknął uda i żeber. W tych miejscach kombinezon był przebity. Ciemne plamy zaschniętej krwi okalały otworki. Podwinął rękawy, rozpiął kombinezon, ale na skórze nie dostrzegł żadnych śladów.

Podpełzł do Richarda i Abbie, posłuchał, czy oddychają, dotknął tętnicy szyjnej i doszedł do wniosku, że z przyjaciółmi wszystko w porządku. Puls mieli równy, oddychali spokojnie i głęboko; nie była to utrata przytomności, lecz głęboki sen.

Czegoś jednak brakowało. Patrząc na twarze leżących, przez cały czas w skupieniu marszczył czoło, a w końcu uderzył się pięścią w pierś, pogłaskał rude włosy McNeal, poklepał Corcorana po ramieniu i...

Ręka zawisła w powietrzu. Rodriguez! Gdzie jest Rodriguez?!

Jeszcze raz obejrzał pomieszczenie. Rodrigueza nigdzie nie było.

Wstał i pokuśtykał korytarzem.

Było to przejście szerokie na pięć metrów. Z bliska Litwin zauważył, że jest przegrodzone błoną przezroczystą jak kryształ i lekko błyszczącą pod wpływem wpadającego z zewnątrz światła, którego źródła nie potrafił ustalić, choć widział, że pomieszczenie za membraną jest rzęsiście oświetlone, jakby gdzieś wysoko włączono potężne reflektory.

Dotknął dłońmi przegrody, poczuł, jak ustępuje pod naporem, zrobił jeszcze jeden mały krok i zamarł.

W drugim segmencie przebywały trzy osoby. Na pierwszy rzut oka ludzie. Litwin zlustrował postaci uważnie, doszukując się podobieństw. Istoty były wysokie, miały białą skórę oraz kończyny o typowych proporcjach i jak się zdawało, zakończone pięcioma palcami... Jednakże ich twarze nie można było pomylić z żadną ludzką rasą: stojący najbliżej wyróżniał się za ostrym podbródkiem i zbyt szeroko rozstawionymi oczyma z błękitnawymi białkami, w których pobłyskiwały szare pasma. Nos był niemal europejskiego kształtu, ale linia ust zupełnie inna: górna warga, opuszczona pośrodku, zachodziła na dolną jak ptasi dziób. Istota odziana w trykoty sprawiała wrażenie kruchej i delikatnej, a przy tym wytwornej i była mimo dziwnych rysów ładna. Tak kiedyś wyobrażano sobie elfy: porcelanowa skóra, długie ciemne włosy z wyraźnym przedziałkiem i zagadkowe oczy bez źrenic...

Para stojąca z tyłu wyglądała inaczej. Bezwłosi, przysadziści, o twarzach szerokich z jakby zatartymi rysami, byli do siebie bliźniaczo podobni. Ubranie także było inne - coś w stylu zbroi nie osłaniającej rąk i nóg. Skóra na gładkich karkach błyszczała, zbroja zakrywała ciało od szyi po biodra. Pancierz nie przypominał skafandra bojowego desantowców -

przylegał do piersi jak rękawiczka. Widać było, jak przelewają się pod nim i prężą potężne mięśnie. Na nadgarstkach i pod kolanami nosili szerokie gładkie bransolety. I te fizjonomie: wyprane z emocji, przecięte linią wąskich, zaciśniętych warg...

Ochroniarze - domyślił się Litwin. - Ten pierwszy przypomina elfa, a ci dwaj to wykapanne trolle, w żaden sposób nie można ich nazwać pięknymi. Ale rasa ta sama, co poznać po karnacji i dziwnych oczach nie pozwalających złowić spojrzenia...

Ale strażnicy na niego nie patrzyli, obserwowali przywódcę w obcisłej odzieży.

Litwina na chwilę opanowało uczucie nierealności otaczającego go świata. Trójka stojąca za ekranem z elastycznej błony z pewnością nie przyszła na świat na Ziemi; promienie Słońca nie dotykały ich śnieżnobiałych twarzy i ciał, ziemskie powietrze nie napełniało ich płuc, ziemska woda nie gasiła pragnienia, zieleń ziemskich lasów nie pieściła oczu. Być może urodzili się na którejś z planet Arktura lub Gwiazdy Barnarda, na którymś ze światów Procjona lub Wegi, Altairu lub Rigel, z tamtej strony mroku i zimna ciągnącej się przez lata świetlne... Lecz mimo wszystko byli ludźmi, jakież to zadziwiające i wspaniałe! Radosne!

Oczywiście, jeśli zapomnieć o zniszczonym Skowronku, o Be Jayu, Prizzim, Chevezie, Bondariencie, Zajdlu, młodym Istvánie Szabó i pozostałych stu trzydziestu poległych.

Litwin o nich pamiętał.

Uderzył się w pierś, wystawił palec, wskazał Richarda i Abbie, wyprostował jeszcze dwa palce. Dodał czwarty, rozczapierzył je i potrząsnął dłonią przed przegrodą.

- Było nas czworo, rozumiesz! Gdzie jest Rodriguez? Gdzie?

Litwin zaliczył w bajkonurskiej szkole semestr ksenologii, nauczono go porozumiewać się z rozumnymi mrówkami, pajakami, ptakami i ośmiornicami. Tymczasem w praktyce zadanie okazało się łatwiejsze - napotkał nie głowonogi, nie owady czy ptaki, lecz ludzi. Było bardzo prawdopodobne, że ich psychika i fizjologia nie odbiega zbytnio od naszej, co dawało nadzieję na kontakt. Chociażby za pomocą gestów, które często niosą więcej treści niż słowa: zaciśnięta pięść - pogróżka, otwarta dłoń - znak dobrej woli, rzucenie się na klęczki ze spuszczoną głową - poza pokory. Liczenie na palcach to także uniwersalny znak, w każdym razie wśród humanoidów.

Trolle ochroniarze trwali w bezruchu, natomiast elf wyciągnął smukłą rękę, wskazując ku górze. Światło zgasło, kopuła nad głową Litwina nagle nabrała kosmicznej głębi, ukazując znajome gwiazdozbiory, satelity Jowisza i tę ogromną planetę; zdawało się, że biaława gazowa kula z czerwoną poświatą zawisała tuż pod sufitem, wirując przy tym niespiesznie i płynnie. Z oddali podążał ku niej walec obwieszony niezliczonymi prostokątnymi konstrukcjami - twór wyraźnie sztuczny, ale niezemskiego pochodzenia. Po chwili Jowisz i satelity znikły, pozostały tylko gwiazdy i obcy statek. W końcu i on zniknął otoczony połyskliwą zasłoną. Mknęło ku niej pięć srebrnych iskieł: jedna większa i cztery mniejsze, połączone w parę. Skowronek i gryfy - pomyślał Litwin.

Z błysków skrywających przybysza wychynęła przerywana kreska, jej koniec wydał

się jak balon, przechwycił ziemskie pojazdy, linia zaczęła szybko się kurczyć, ciągnąc za sobą zdobycz. Czerwony alarm! - przemknęło przez głowę Litwina. Wtedy właśnie Be Jay ogłosił

czerwony alarm, potem wystrzeliły swomy... Jakby w odpowiedzi na jego myśli od krążownika oderwało się sześć plamek, kropki te zlały się w całość, wykonały zwrot i uderzyły w błyszczącą osłonę. Miliony lodowych kryształów mknących z ogromną prędkością, zdolnych podziurawić pancierz jak sito... Zasłona skrywająca Obcych odbiła je, podwajając, a może nawet potrajając początkowy impet. Litwin niczym we śnie obserwował, jak wystrzelony przez krążownik pocisk zawrócił, pokrył Skowronka, zaczepił brzegiem dwie mniejsze iskry i roztajał w pustce. Na koniec pokazano mu gryfa z rozdartym poszyciem; martwy pilot leżał w resztkach kokonu, a przed zastygłą twarzą krążyły czerwone kuleczki.

Rodriguez... Nie będzie się wylegiwać na plażach Acapulco, nie będzie oglądać dziewczęcych nóg...

Litwin poczuł gulę w gardle. Zaciśnął pięści, spróbował pokonać przezroczystą barierę, zrobił kilka kroków w przód, ale membrana odrzuciła go w tył. Zagryzł wargi, wbił

wzrok w nienawistnego elfa i nagle odchylił głowę. Pod czaszką działo się coś dziwnego.

Ból? Raczej nie... Ciśnienie? Też nie to... Odkrył, że brakuje mu słów, by opisać nowe wrażenie - pewnie dlatego uczucie wykraczało poza granice ludzkich doświadczeń. Coś obcego dobijało się do świadomości, przed oczyma przemykały niejasne obrazy, a do uszu docierały dziwne dźwięki, choć słuch i wzrok zdecydowanie nie miały z tym nic wspólnego.

Dobierają się do mojego mózgu, dranie ptasiodziobe! - nieoczekiwanie pojął Litwin.

Uznał, że konieczna jest obrona mentalna, jakiś wysiłek, monotony i nudny jak jesienny deszcz. Zaczął obliczać kolejne wyrazy ciągu Fibonacciego<sup>15</sup> i nieprzyjemne wrażenie znikło.

Ale coś zostało, bez wątpienia zostało! Litwin nie miał pewności, czy to wynik zerwanego kontaktu myślowego czy jego własne wnioski, ale tak czy inaczej zrozumiał, że przebywa na statku kosmicznym, że statek ten jest ogromny i że stworzenia prowadzące go w przestrzeni są podobne do ludzi. Być może nie we wszystkim, ale przynajmniej podobieństwo zewnętrzne było bezsprzeczne, co już nie cieszyło, a raczej przerażało. Można tworzyć najrozmaitsze hipotezy mówiące o tym, jak myśli rozumna ośmiornica, ale w przypadku ludzi było znacznie mniej wariantów. Dokładnie dwa, oba sformułowane jeszcze w starożytności: *homo homini deus est, homo homini lupus est* <sup>16</sup>.

<sup>15</sup> Ciąg Fibonacciego - ciąg liczb naturalnych, w którym pierwszy wyraz jest równy 0, drugi jest równy 1, każdy następny jest sumą dwóch poprzednich: 0, 1, 2, 3, 5, 8, 13, 21...

<sup>16</sup> *Homo homini deus est* - człowiek człowiekowi bogiem; *homo homini lupus est* - człowiek człowiekowi wilkiem (przysłowia łacińskie).

Który wybrać? A właściwie który wybiorą te elfy czy trolle?

Istota w trykotach dotknęła piersi obiema rękami i zdecydowanym szczekliwym głosem krzyknęła:

- B'ino f'ata. - Po chwili powtórzyła wolniej: - Bino faata.

Nazwa ich rasy - odgadł Litwin. Pewność, z jaką interpretował usłyszane słowa, była całkowicie irracjonalna, lecz mimo to wiedział, że się nie myli: oznajmiono mu nie imię jednostki, lecz coś ogólniejszego. Kopiując gest Obcego, przyłożył dłoń do piersi i rzekł:

- Ziemianin. - Potem wskazał rozmówcę elfa i znowu stuknął swój kombinezon. -

Człowiek. Ty człowiek, ja człowiek.

- Bino faata - powtórzył elf, pochylając głowę i przyciskając do piersi lewą rękę.

Prawą wyciągnął w stronę Litwina, machnął dłonią, jakby coś odganiał, i burknął: - Bino tegari!

Odwrócił się i w towarzystwie ochroniarzy znikł w przejściu.

Litwin chrząknął, pokiwał głową.



- No tak, bracie w rozumie... Mówisz, że jesteś bino faata, a ja bino tegari! I mamy ze sobą tyle wspólnego co orzeł z żółwiem..

Obejrzał się, słysząc za plecami jakiś szmer. McNeal siedziała, Corcoran wciąż leżał, ale oczy miał otwarte.

- Paul! Gdzie jesteście, Paul?

Litwin wrócił do kajuty, zauważając przy tym, że membranę dzieli od tylnej ściany szesnaście kroków.

Klęknął obok Abbie.

- Jak tam, Abigail, wszystko w porządku? - Gdy dziewczyna potakująco skinęła głową, zapytał mężczyznę: - Richard, słyszysz mnie? Jesteś przytomny?

- Najzupełniej. Dokąd nas zaniósł, dowódczo?

- Na statek Obcych. Tam - Litwin machnął w stronę korytarza - jest przegroda.

Podobna do przezroczystego syntalenu, rozciąga się, ale nie przepuszcza. Nad nami jest projektor holograficzny. Kiedy drzemaliście, obejrzałem film. Ich wersję wydarzeń.

Wargi McNeal zadrżały.

- Skowronek?...

- Zniszczony. Ich statek skrywa się za polem siłowym, za czymś w rodzaju odbijającego pola. Kiedy Be Jay uderzył ze swomów, odrzuciło pociski z powrotem, moim zdaniem z prędkością większą niż początkowa. Przebiły pancierz... Tyle widziałem z gryfa... -

Litwin pokręcił głową, jakby chciał odegnać sprzed oczu odrażający obraz. - Brzeg roju zahaczył Rodrigueza... to pokazali mi Obcy... Sam oberwałem lekko w rękę, nogę i w bok, ale nie ma żadnego śladu! Spójrzcie! - podwinął rękaw kombinezonu. - A co z wami?

- Wygląda na to, że wszystko w porządku... - McNeal wbiła wzrok w kolana. -

Pamiętam tylko przeciążenie... Pewnie jakieś piętnaście g... Dużo, za dużo... Odpłynęłam.

Prawie natychmiast.

- Ja też - przytaknął Corcoran, rozcierając skronie. - Nie pamiętam czegoś takiego z treningów. Aż kości trzeszczały!

- Zdecydowanie za dużo - potwierdził Litwin. - Śpieszno im było zaciągnąć nas na tę ichnią łajbę. Jeszcze trochę i zamiast jeńców mieliby trupy. I naruszenie konwencji genewskiej... Chociaż nie sądzę, by ich to powstrzymało.

McNeal drgnęła, jakby dopiero teraz dotarł do niej sens słów Litwina.

- Ich? Oni? Kim są „oni”?

- Ludźmi. A dokładniej, tak jak my dwunogimi istotami bez piór. Wszystko mają tam gdzie trzeba: uszy, nos, oczy, nawet brwi. Wygląd, oczywiście, egzotyczny... Zresztą sami zobaczycie.

- A więc ludzie... - smętnie jęknął Corcoran. - Złapali nas na grawitacyjne łąso, a my uderzyliśmy w nich ze swomów... a wtedy oni nas... - rozpiął kombinezon, wyciągnął na wierzch wiszący na szyi krzyżyk i wyszeptał: - Wieczny odpoczynek racz dać, Panie, Louisowi Rodriguezowi i wszystkim pozostałym, z którymi razem przelewaliśmy krew, a światłość wiekuista niechaj im świeci. Niech odpoczywają w pokoju wiecznym. Amen.

- Amen - powtórzyła McNeal. Podobnie jak Austriak Corcoran, była katoliczką.

Nastąpiła chwila ciszy, lecz Litwinowi wydawało się, że słowa modlitwy wciąż dźwięczą w uszach.

Może nie jest tak źle, jak mogłoby się wydawać - rozmyślał. - Może zniszczenie Skowronka to tylko tragiczne nieporozumienie, efekt strachu, o którym wspominał Corcoran.

Może popełniliśmy błąd, jak i oni... Zaufanie to taka delikatna sprawa! Trzeba lat, by je zbudować, a wystarczy sekunda, by zniszczyć...

- Mówisz! - pod kopułą rozległ się nagle zdecydowany władczy głos. - Mówisz jeszcze! Mówisz dużo!

Litwin uniósł oczy. Pod kopułą coś połyskiwało i wirowało, przybierając kształt ogromnej głowy z rozdziawionymi ustami.

Twarz była dziwna - rysy Corcorana i McNeal zlały się z jego własnymi.

- Słuchają nas, chcą się nauczyć języka - powiedział Richard. - Bystre chłopaki!

Lepiej będzie...

Przyłożył palec do warg, a Abbie i Litwin potakująco pokiwali głowami. Ni słowa więcej ani po rosyjsku, ani po niemiecku! Litwin nie miał z tym problemu. W ciągu długich lat służby nabrał zwyczaju rozmawiania wyłącznie po angielsku.

Prześladowało go jakieś wspomnienie. Automatycznie dotknął skroni i wyszeptał:

- Mówią o sobie bino faata. I wygląda na to, że władają trzecim sposobem...

- Telepatia? - McNeal spochmurniała.

- Nie, nie czytanie w myślach, raczej komunikacja mentalna. Ale z nami nie bardzo im wychodzi, a w każdym razie ze mną. Można to zablokować. Wystarczy tabliczka mnożenia.

- Ciekawe - powiedział Corcoran. - Komunikacja mentalna, napęd międzygwiazdny i pole, które odepchnęło rój... w końcu nasze lokalizatory... przecież nie widzieliśmy ich ani w przyrządach optycznych, ani na ekranach... Wygląda na to, że zabezpieczyli się ze wszystkich stron. Lepiej nie wchodzić z nimi w konflikt, no nie, Paul?

- Zobaczymy, jak wyjdzie - odparł Litwin, niezdolny wygonić z myśli obrazu ginącego Skowronka. Westchnął ciężko. Powietrze było chłodne i świeże jak w górach na wysokości kilometra. Jeszcze jeden dowód na to, że Ziemia była dla Obcych odpowiednim miejscem.

Omówili tę myśl, potem McNeal podniosła głowę, wbijając wzrok w kopułę.

- Ej, wy tam, słyszcie mnie? Potrzebujemy wody... Wody, pokarmu i urządzenia do defekacji.

- Powtórzycie! Jeszcze słowa! Dużo słów! - rozległo się z góry.

McNeal powtórzyła.

- Nasza amerykańska ruda praktykantka ma łeb - z uśmiechem zauważył Corcoran.

- Po prostu nie mogę wytrzymać - burknęła dziewczyna, patrząc, jak pod kopułą przemykają kolorowe obrazy.

Instrukcje były proste i zrozumiałe: w każdej z bocznych ścian znajdowało się pomieszczenie ukryte za membranami; z lewej sanitariat, z prawej blok żywnościowy z niskim ośmiobocznym stolikiem. Po zwiedzeniu lewej komory, która zadziwiła ich kuriozalną formą utylizatora, ruszyli do stołu. W jego półprzezroczystym blacie migały srebrzyste iskierki mknące od środka, gdzie widniał rysunek przypominający skorupę żółwia.

- To aktywator. - McNeal przesunęła dłoń w stronę żółwia. - Zaraz toto zacznie pracować. Raz, dwa...

Nad stołem pojawił się obraz naczynia z szarawą masą. Masa nieznacznie pulsowała.

- Według mnie robaki - powiedział Corcoran. - Zdrowe! Wielkości palca!

McNeal z obrzydzeniem wydeła wargi.

- To nie dla mnie. Nie będę jadła tego świństwa.

Ponownie uniosła rękę nad stołem, szara masa znikła, a jej miejsce zajęła waza pełna różowawych kulek.

- Kawior. Tylko duży, z żab wielkości krowy - skomentował Corcoran. - Zjadłbym, ale nie jestem pewien, czy nam wyjdzie na zdrowie. Przy naszej przemianie materii i ontogenezie.

- Wyleczyli mnie, to znaczy, że rozpracowali biochemię. - Litwin uderzył w stół i naczynie z kulkami wynurzyło się z otworu na środku blatu. - Wziął jedną, spróbował i sapnął

aprobująco. - Owoc, chyba jakaś jagoda, bardzo przypomina winogrona, tylko bez skórki...

Smaczne! Spróbuj, Abigail! Coś takiego nie rośnie u was, w Kalifornii.

- Nie jestem z Kalifornii, tylko z Ohio - oznajmiła McNeal i energicznie przystąpiła do jedzenia.

Gdy waza z owocami była już pusta, powietrze w segmencie zasnęła mgła sącząca się jakby prosto ze ścian. Pachniała czymś znajomym i przyjemnym, ni to wiosennymi liśćmi, ni to kwiatami jabłoni. Wdychając aromat, Litwin przeniósł się na brzeg Dniepru, pod starą wieżę strażniczą, gdzie dawnymi czasy chadzał z wędką. Głowa opadła mu na klatkę piersiową, powieki zaczęły się kleić, lecz zanim usnął, zdążył jeszcze zobaczyć, jak Abbie upada na Richarda. Zasnęli, nie odchodząc od stołu: mężczyźni siedzieli oparci o miękkie obicie ścian, a dziewczyna leżała przytulona policzkiem do Corcorana.

Zapach znikł.

Wysoki smukły Obcy w przylegającym ubraniu przeszedł przez membranę, za nim podążył drugi - potężny i o szerokich ramionach. Jego ręce i nogi zdobiły bransolety.

Ten, który wszedł pierwszy, był stary; wargi miał mocno obwisłe, przypominające nie ptasi dziób, lecz trąbę, policzki pokreślone licznymi zmarszczkami, a włosy o barwie bladozielonkawej jak więdnąca trawa. Mimo wyraźnych oznak zaawansowanego wieku poruszał się z gracją młodzieńca.

Podszedł do trójki ludzi i znieruchomiał z głową przechyloną na bok. Sprawiał

wrażenie śpiącego; oczy miał zamknięte, ręce opuszczone bezwładnie, oddech niedosłyszalny. Stał w tej pozycji około kwadransa, a kiedy podniósł powieki, od kącików warg pobiegły nowe zmarszczki. Każdy Ziemianin nazwałby to uśmiechem, jednakże bardzo by się pomylił - stary bino faata nie znał uśmiechu. Co więcej, w tej chwili odczuwał nie radość, lecz złość.

Wyciągniętą ręką wskazał Corcorana, odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia.

Ochroniarze bez trudu podnieśli śpiącego i pomaszerowali śladem starca. Membrana zamknęła się za ich plecami.

\* \* \*

- Richard! Paul, obudź się! Zabrali Richarda!

Krzyk McNeal sprawił, że Litwin oprzytomniał. Wyprostował nogi, roztarł zdrętwiały kark, rzucił okiem na chronometr wbudowany w mankiet kombinezonu. Minęła niecała godzina, ale czuł się świeżo, jakby odpoczywał całą noc. Na pewno nie uśpiono ich gazem obezwładniającym, po którym zawsze go mdliło i kręciło mu się w głowie. Litwin posmakował tego jeszcze w czasach studenckich - była to część obowiązkowych ćwiczeń.

Wstał, przeciął na skos kabinę i zajrzał do węzła sanitarnego. Corcorana tam nie było.

Był utylizator podobny do grzbietu wielbłąda dwugarbnego, była kratownica z mnóstwem rurek - najpewniej do rozpryskiwania wody, i było jeszcze coś - pochyły pomost pod kołpakiem, z którego promieniowało błękitnawe światło. Ale nie dało się tam zgubić.

Abbie odzyskała już równowagę i śledziła Litwina pełnym niepokoju wzrokiem. Bo choć brakowało jej doświadczenia - latała pierwszy rok - to jednak była mimo wszystko oficerem wojsk desantowych, do których nie przyjmowano ludzi o słabych nerwach. Litwin wiedział, że może na niej polegać.

Wyszedł na środek, stanął pod kopułą i zadarł głowę.

- Gdzie jest nasz kolega? Gdzie Corcoran?

Milczenie.

- Czy rozumiecie moje pytanie?

- Zrozumienie ograniczone. Potrzebne inne sformułowanie.

Ostry skrzekliwy głos należał prawdopodobnie do maszyny. Litwin pomyślał, że tylko komputer był w stanie rozgryźć obcy język w ciągu paru godzin na podstawie usłyszanych rozmów. Docenił moc takiego urządzenia i poczuł zimne dreszcze. Powiedział wolno:

- Gdzie jest trzeci człowiek, który był z nami?

- Nie istnieje termin określający miejsce.

Jak nic, maszyna - przemknęło Rosjaninowi przez myśl. - Komputerowy intelekt bez względu na to, kto go zaprojektował, podlega prawom logiki: jeśli pytają go „gdzie”, zakłada, że chodzi o miejsce.

- Trzeci człowiek, który był z nami, znikł. Dlaczego? Z jakiego powodu?

Tym razem sformułowanie okazało się zrozumiałe. Z sufitu zaskrzeczało:

- Skonfiskowany w celach badawczych.

- Jakich?

- Brak terminów pozwalających na udzielenie odpowiedzi.

- Zaczął lepiej mówić - skomentował Litwin na stronie. - Buduje poprawne zdania.

- Z tym że nadal nie dostarcza żadnych informacji - zauważyła ponuro McNeal.

- Nie bądź zbyt surowa. W końcu to tylko maszyna.

Zamilkli, wymieniając trwożne spojrzenia. Głos rozległ się ponownie.

- Bino tegari powinni mówić. Więcej słów, lepsza możliwość zrozumienia. Wzajemna korzyść: zadać pytania, odpowiadać na pytania.

- W tym masz rację, złomie - zgodził się Litwin. - Powiedz, co znaczy bino tegari.

- Rozumni Obcy.

- Zatem nie jest tak źle, jak mogło się wydawać... Termin bino faata też ma znaczenie?

Jakie?

- Istoty rozumne Trzeciej Fazy.

- Trzecia Faza to planeta? Ciało niebieskie?

- Nie. Stadium rozwoju cywilizacji.

Rozgadał się - pomyślał Litwin. - Pora zapytać o coś ważniejszego.

- Człowiek... skonfiskowany... Czy badania mogą być dla niego groźne?

- Pytanie niezrozumiałe.

- Czy badania mogą wyrządzić mu krzywdę? Naruszyć funkcjonowanie organizmu?

- Brak terminów pozwalających na udzielenie odpowiedzi.

Litwin przeszedł do innego tematu.

- Cel przybycia bino faata do Układu Słonecznego? Czego chcecie, chłopaki?

- Brak terminów pozwalających na udzielenie odpowiedzi.

Litwin zadał jeszcze kilka pytań, po czym zakończył rozmowę. Wedle zapewnień komputera, terminów brakowało wręcz katastroficznie. Szczególnie wtedy, gdy Litwin próbował wyjaśnić coś istotnego.

- Ten blaszak mąci nam w głowach - mruknęła Abbie.

Litwin mruknął potakująco, usiadł obok niej i zaczął opowiadać o tym, jak w osiemdziesiątym trzecim po raz pierwszy lądował na Wenus. Nie nadawały się do tego ani statki transportowe, ani fregaty o małej mocy; za zaopatrzenie stacji naukowych ZSK i wymianę personelu odpowiadały krążowniki. Jednakże nawet one nie ryzykowały zanurzania się w bulgoczącą atmosferę bez wcześniejszego zwiadu. Sęk w tym, że masy obłoków nie pozwalały na głębokie sondowanie, więc statek dostawszy się między warstwy chmur, mógł

wpaść w cyklon lub prąd powietrzny, a dalej wszystko zależało od szczęścia: albo uderzy o skały,

albo utonie w lawie, albo wpadnie do oceanu, skąd tylko teoretycznie można się wydostać. Dlatego krążowniki wysyłały obserwatorów w małych pojazdach: byli to najlepsi z najlepszych, ale też narażeni na wielkie ryzyko, gdyby nieostrożnie podlecieli do strefy turbulencji. Mimo to ochotników nie brakowało, bo tylko pilotów mających praktykę na Wenus uważano za pełnowartościowych. Litwin miał szczęście - wrócił.

McNeal słuchała i nie słuchała, jej spojrzenie biegało w tę i z powrotem od kopuły do membrany zasłaniającej wejście, ale Litwin uparcie kontynuował opowieść. Z jednej strony skracał w ten sposób czas oczekiwania, z drugiej - przekazywał informacje komputerowi Obcych. Obopólna korzyść, tak jak sugerowano: zadać pytania, odpowiadać na pytania.

Przeszedł do opisu wichrów obracających gryfa, gdy w przegrodzie pojawiło się dwóch ochroniarzy. Za nimi kroczyło jeszcze dwóch, prowadzących Richarda - przeszli razem przez błonę, puścili go i znikli. Corcoran zrobił kilka niepewnych kroków. Jego twarz wyglądała dziwnie: oczy miał błędne, kącik ust mu drżał, a po brodzie ciekła strużka śliny.

Litwin i Abbie rzucili się ku niemu.

- Co ci jest? - Ręce McNeal spoczęły na ramionach słaniającego się Corcorana.

- Wszystko w porządku - powiedział bez przekonania, pozwolił, by go posadzili, i powtórzył: - Wszystko w porządku.

Litwin spochmurniał.

- W porządku? Gdzie byłeś, Richardzie?

Corcoran potarł skronie. Spazmatyczne drżenie warg nasiliło się, lecz mimo wszystko wydusił z siebie:

- Słabo pamiętam... Światło... dużo światła... dźwięki, szepty, hałasy... coś błyska w blasku stroboskopów... za szybko, nie mogę rozpoznać... - Nagle jego twarz uległa zmianie.

Litwin nie od razu pojął, że Richard uśmiecha się. - Posłuchałem... posłuchałem twojej rady...

mówiłeś, pamiętasz?... o tabliczce mnożenia... Rozwiązałem zadanie... swobodne spadanie ciała...

- Grzebali ci w mózgu? - zapytał Litwin, czując biegnący po plecach zimny dreszcz. -

Te badania to eksperyment mentalny? Co z tobą robili?

- Światło... - znowu wybełkotał Corcoran. Patrzył tępym wzrokiem, skórę twarzy miał

obwisłą, z ust ciekła mu ślina. - Światło i szelest... Oczy... bez źrenic... włosy... zielone... Jeśli grawitacja... ciało... spada...

Richard mamrotał coraz mniej zrozumiale - zasypiał. Abbie blada jak ściana milczała.

Rude włosy w nieładzie spływały jej na ramiona, wargi zacisnęła tak, że została z nich tylko cienka kieszka.

Litwin pogłaskał ją po ramieniu. Nie wtykał nosa w osobiste sprawy podwładnych i o prawdziwych uczuciach Abigail McNeal i Richarda Corcorana nic nie wiedział. Wyglądało jednak na to, że połączył ich nie krótkotrwały flirt, lecz coś poważniejszego...

- Niech śpi. Sen to najlepsze lekarstwo - oznajmił, podnosząc głowę i wbijając wzrok w sufit. Na usta cisnęły mu się groźby i przekleństwa, ale powiedział tylko: - Zwracam się do dowódcy bino faata i do całej załogi statku. Wszelkie eksperymenty prowadzone na ludziach będą traktowane w naszym świecie jako zbrodnia. Chcecie wojny z nami? Z całą planetą? To niemądra decyzja. Potrafimy walczyć.

*Homo homini lupus est* - dodał w myślach.

Komputer milczał. Minęła minuta, jedna, druga, potem z góry coś zaskrzypiało:

- Informacja przyjęta do wiadomości. Proszę określić... - komputer zaciął się, szukając odpowiedniego słowa - status.

- O jaki status chodzi? O miejsce w społeczeństwie?

- Nie. Rozumny w ograniczonym stopniu czy w pełni rozumny.

- W pełni! - warknął Litwin, dając na chwilę upust złości. - Nie można być bardziej rozumnym! Dorosły, rozumny, zdolny do samodzielnego działania! Tak samo jak ludzie, którzy są ze mną!

- Jest wśród was ksa. W waszej rasie bywają w pełni rozumne ksa?

- Nie rozumiem. Co to jest ksa?

McNeal drgnęła.

- Chodzi mu o mnie, Paul. Tak sędzę.

- Ksa to stworzenia zdolne produkować potomstwo - potwierdził komputer. -

Powtarzam pytanie: w waszej rasie bywają w pełni rozumne ksa?

- Wszystkie kobiety są rozumne. Tak samo rozumne jak mężczyźni - zmęczonym głosem odparł Litwin.

Miał dość tej gry w bezsensowne pytania i odpowiedzi. Oczywiście ludzie różnili się pod względem płci, statusu czy zachowania; byli wśród nich mądrzy i mniej bystrzy, dobrzy i źli, dzierżący władzę i nie mający niczego poza parą rąk, ale wszyscy oni, kobiety i mężczyźni wszystkich ras, narodowości i plemion, byli stworzeniami rozumnymi. Może poza przypadkami klinicznymi... Aksjomat ten nie podlegał dyskusji - przynajmniej w czasach, w których przyszło żyć Litwinowi. Ludzie mieli wiele



wad związanych bezsprzecznie z używaniem rozumu: wszak wśród zwierząt nie ma terrorystów, sprzedajnych polityków, bezwzględnych morderców, gwałcicieli, notorycznych złodziei ani jednostek żądnych władzy.

Ale nawet najbardziej krótkowzroczni przedstawiciele gatunku *Homo sapiens*, nie dostrzegający skutków zła, gwałtów i okrucieństwa, byli mimo wszystko w pełni rozumni; po prostu koncentrowali się wyłącznie na chwili obecnej.

Czy może być inaczej?... - dumął Litwin. - I to wśród istot tak podobnych do ludzi?

Pragnących badać wszechświat i osiagających w tej dziedzinie tak wiele, wędrujących wśród kosmicznego mroku od gwiazdy do gwiazdy...

Ale co to znaczy - rozumny w ograniczonym stopniu? Android, niewolnik, idiota?

Niepełnosprawny umysłowo, uszkodzony klon? A może przedstawiciel innego gatunku - na przykład istota wyhodowana sztucznie z kosmicznych małp? Rozmyślając, Litwin niepostrzeżenie usnął.

Abbie krzyczała.

- Paul! Co się z nim dzieje, Paul?!

Wyrwany ze snu natychmiast rzucił się w stronę Corcorana. Twarz Richarda była cała sina, usta szeroko otwarte, lecz mimo to wyraźnie brakowało mu powietrza, a właściwie próbował złapać oddech, lecz nie mógł. Zamknął oczy, mięśnie twarzy mu skamieniały, z gardła wydobywał się charkot.

Asfiksja! - odgadł Litwin. - Zamartwica!

Bez automedyka utraconego wraz z rozbitym gryfem, bez lekarstw, bez lekarzy, którzy zginęli na Skowronku, był bezsilny. Pomogliby... bez wątpienia by pomogli!

Skóra Corcorana przybrała szaroniebieski odcień, zaczęła się agonizować. McNeal przytrzymała go za barki, Litwin rozpiął mu kombinezon, masował pierś i szyję.

- Zawołaj ich - powiedziała Abbie grobowym głosem. - Zawołaj ich, Paul. Może oni...

- Nasz kolega umiera - głośno oznajmił Litwin. - Czy możecie coś zrobić? Nie wiemy, co mu jest, nie mamy potrzebnych środków. Jesteśmy bezsilni!

- Paraliż centralnego układu nerwowego - rozległo się pod kopułą. - Leczenie niemożliwe. Wasz mózg... brak określenia... brak kontaktu z... brak określenia... Jesteśmy tak samo bezsilni jak wy.

Corcoran zwiotczał. Przestał charczeć, zbladł, zastygły wzrok wbił w sufit. Przemiana była tak szybka, tak nieoczekiwana! Jak każdy desantowiec, Litwin nieraz miał do czynienia ze śmiercią, a mimo to nie potrafił do niej przywyknąć. Szczególnie gdy umierał ktoś bliski.

Jura Sawiełow na Merkurym podczas słonecznej erupcji, Guram Kawsadze i Fred Bene w pasie asteroid, Marc Goldoni na Ziemi od kuli snajpera terrorysty... Wszyscy zginęli młodo, tak jak Richard Corcoran. Miał dwadzieścia sześć lat. A może dwadzieścia siedem? Litwin w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć.

Abbie podskoczyła, wbiła oczy w kopułę i potrząsając pięściami, krzyknęła:

- Brak określenia! Brak określenia, dranie? A niech was szlag trafi za to, co mu zrobiliście! Żebyście tak nigdy nie zobaczyli błękitnego nieba! Żeby każda droga była dla was ostatnią! Żeby wam pod samym nosem wybuchł reaktor! Żeby...

Powietrze zapachniało świeżymi liśćmi i Litwin zobaczył, że pod dziewczyną uginają się kolana - umilkła, przysiadając na podłodze. On padł moment później. Pomieszczenie wokół niego zbladło, w uszach mu zaszumiało, a potem słodka nieświadomość opanowała ciało i rozum. W ciągu sekundy był już nad brzegiem Dniepru, ale obraz rzeki szybko uległ

zmianie i pokonany przez senność Litwin uznał, że to Dunaj.

Matka Richarda mieszka chyba w naddunajskim miasteczku... Trzeba ją będzie zawiadomić - przemknęła myśl. - Zawiadomienie bliskich poległego to obowiązek dowódcy.

To samo będę musiał zrobić dla załogi Skowronka... Z tych, co przeżyli, jestem najstarszy stopniem.

Tragiczny obowiązek. Gdyby jednak pomogła mu Abbie...

Kiedy odzyskał przytomność, Abbie nie było. Ani Abbie, ani ciała Richarda Corcorana.

*Ziemia i Księżyc*

Regularne

konferencje

prasowe

ZSK

odbywały

się

w

nowojorskim

przedstawicielstwie - trzypiętrowej przybudówce obok wieżowca ONZ zwanej Bunkrem.

Mimo skromnego wyglądu budynek był wygodny i niezwykle wytrzymały: ściany jak w krążowniku kosmicznym wypełniono kompozytem, okna - skądinąd małe, podobne do iluminatorów - zabezpieczał przezroczysty pancerz. Zburzyć tę konstrukcję mogłaby tylko megatonowa bomba, a bronią o takiej mocy nie dysponował ani Czerwony Dżihad, ani neoluddyci. Dlatego Bunkier był oazą spokoju i bezpieczeństwa pomimo ciągłych wybuchów i akcji dywersyjnych przeprowadzanych w głównej kwaterze ONZ.

Sala spotkań z piszącym i gadającym towarzystwem, zdolna pomieścić pięćset osób, znajdowała się na pierwszym piętrze. Zazwyczaj zbierało się ich około setki: dziennikarze

„Washington Post”, „New York Herald”, „Chicago Tribune”, ich europejscy i azjatyccy koledzy, a także przedstawiciele trzech dziesiątek kanałów informacyjnych. Sam Clemens, szef służb prasowych, perorował przed tym zgromadzeniem, opowiadając a to o pokojowej misji ZSK, a to o romantyzmie wędrówek kosmicznych, a to o ekranach magnetycznych rozpostartych nad Ziemią dla ochrony przed efektami wybuchów na Słońcu. Czasami na spotkaniach omawiano bardziej sensacyjne wydarzenia: walkę z przemytem narkotyków do kopalń w pasie asteroid czy powstrzymanie kolejnej akcji dywersyjnej Dzieci Allaha. W

takich przypadkach dziennikarzy było więcej, ale i wtedy miejsca starczało dla wszystkich; nikt nie musiał przepychać się w korytarzu, nikt nie włąził na głowę sąsiadowi.

Jednakże dziś sala była przepełniona. Clemens, stary wyjadacz, wyczuwał napięcie i -

bodaj pierwszy raz w życiu - bał się go. Zbyt głośnie rozmowy, zbyt gwałtowne gesty, zbyt dużo kamer, mikrofonów i facetów o nieznanym twarzach - to wszystko znaczyło, że nie mógł być pewien,

czego się spodziewać... Oprócz Udziałowców (tak nazywano założycieli ZSK: Rosję, Stany i kraje europejskie) przybyli Latynosi (chyba wszyscy, od Meksyku po Chile), Arabowie, Hindusi, Afrykanie, było też od metra Azjatów. Do Japończyków Clemens nic nie miał, uważał ich za ludzi cywilizowanych, ale reszta, reszta!... Weźmy chociażby takich Chińczyków - cały pluton, a wszyscy jak jeden mąż odziani w niebieskie płaszcze! I mordy mają wszyscy takie same! Jak ich rozróżnić?

Wszedł na trybunę w mrocznym nastroju, czując, że nie obejdzie się bez awantury.

Źle, bardzo źle! Przecież za to płacili Samowi Clemensowi, żeby awantur było jak najmniej, a publicity - jak najwięcej.

Clemens przywitał zebranych, po czym nie zwracając uwagi na hałas, odczytał

przegląd wydarzeń ostatniego miesiąca i poprosił o pytania. Wstał smagły chudy typ - a właściwie stanął nogami na siedzisku krzesła.

- Kostakis, „Nowości Ateńskie”. Krążą plotki o pewnym ciele kosmicznym, które wtargnęło do Układu Słonecznego. Co może pan powiedzieć na ten temat?

Clemens z rozdrażnieniem wyduł wargi.

- Nie komentuję plotek. Ale jeśli chodzi o artykuł w przedwczorajszym

„KosmoSpieglu”, który wywołał histerię w środkach masowego przekazu, mogę poradzić jedno: nie należy być zbyt łatwowiernym.

Wstała pulchna dama w ogromnych okularach.

- Diana Paley, „London Express”. Zapewniam pana, że nie cierpimy na brak krytycyzmu. Jednakże „KosmoSpiegel” poinformował o wybuchu w pobliżu Jowisza zaobserwowanym przez Li Chena, astronoma z Szanghaju i współpracownika obserwatorium Kepler. To, panie Clemens, konkretne dane, które można zweryfikować. Pańskie służby tego nie zrobiły?

- Oczywiście, że tak, proszę pani.

W sali podniósł się harmider, ale ścisł natychmiast, gdy Clemens podniósł rękę i wykrzyczał:

- Wszystko zostało sprawdzone!

Trzy dziesiątki reporterów wstały z miejsc, żądając głosu, ale wszystkich przekrzyczał

Miedwiediew ze „Świateł Moskwy”. Z Clemensem był w dobrej komitywie: nieraz częstował

go kawiozem i wódką w rosyjskich knajpkach. Było ich w Nowym Jorku nie mniej niż włoskich pizzerii.

- Sam, nie ściemniaj! W przeglądzie nie było na ten temat ani słowa!

- W przeglądzie podajemy sprawdzone fakty - odparował Clemens. - Co się zaś tyczy Li Chena, to nie jest on pracownikiem Keplera, a tylko stażystą bez doświadczenia. To po pierwsze. Po drugie ustaliliśmy, że nikt go nie skierował do Keplera, a dokumenty najprawdopodobniej są sfałszowane. Na Uniwersytecie Szanghajskim nie ma takiego pracownika naukowego.

Teraz zaczęli krzyżeć Chińczycy. Ich głosy przypominały Clemensowi wrzaski marcowych kotów.

- Mao Chen, „Rénmin Ribào”. To odrażająca insynuacja, panie Clemens! Jej celem jest zniesławienie nauki Kraju Środka! Dobrze wiem, że ZSK nie wysłały żadnego zapytania do Uniwersytetu Szanghajskiego!

- Istnieją inne kanały oprócz oficjalnych - zauważył Clemens.

Niebieskie płaszcze podskoczyły, a Clemens natychmiast padł ofiarą ich kanonady:

- Co pan sugeruje?

- Kto dla was pracuje? CIA? Rosyjskie służby specjalne?

- A może Mossad?

- Albo MI-6?

Clemens znowu dał znak ręką.

- Panie i panowie, proszę o spokój! Zajrzyjcie do Ultranetu, znajdziecie tam pełny spis pracowników wszystkich placówek naukowych na świecie, w tym także filii działających poza atmosferą. Jeśli dotrzecie do nazwiska Li Chena, zjem swój kapelusz z majonezem. -

Począł, aż hałas ucichł, i dodał: - Potwierdzam, że w okolicach Jowisza miało miejsce dziwne zdarzenie. Moim źródłem jest nie mityczny Li Chen, ale John Bradford, dyrektor obserwatorium Kepler. Zjawisko to jest obecnie badane i za miesiąc lub dwa będziemy mogli poinformować państwa o wynikach. Zadowoleni?

- Nie! - rozbrzmiał zgodny krzyk.

Tym razem wyrwał się Patrick MacCaffrey, z którym Clemens zazwyczaj degustował

whisky.

- Nie kręć, Samuelu! Rzecz nie w tym przeklętym wybuchu, lecz w tym, co on oznacza! Zdaniem „KosmoSpiegła” zawitał do nas statek z innej planety. Materiał podpisał

Günter Foss, a on byle czego nie publikuje. Ten Foss to łebski facet. Ufamy mu co najmniej w pięćdziesięciu procentach.

- Zaufanie okazane oszustowi lub głupkowi pozwala mu czynić zło - burknął Clemens.

- Tak twierdzili Rzymianie, a ja się z nimi zgadzam. I nie w pięćdziesięciu procentach, tylko w stu!

- Powiedziałby pan to Fossowi? - krzyknęła okularnica z „London Express”. - Tak by pan powiedział? Prosto w twarz?

Clemens zrobił ironiczną minę.

- Proszę w to nie wątpić. Tak właśnie bym powiedział.

I wtedy, jak grom z jasnego nieba, na sali pojawił się Günter Foss. Z nim też Clemens pił od czasu do czasu, ale niezbyt często, dlatego nie pamiętał, jaki alkohol preferuje.

- Wygląda na to, że ktoś mnie oskarża o oszustwo lub o głupotę - warknął. - A ja oskarżam ZSK o ukrywanie informacji o kluczowym znaczeniu dla całej ludzkości! - Zrobił

dramatyczną pauzę, po czym oświadczył: - Po pierwsze, mogę udowodnić, że moje źródło jest absolutnie godne zaufania. Li Chen jest człowiekiem z krwi i kości, po prostu zanim zaczął staż na Keplerze, pracował w jednym z tajnych laboratoriów, a o nich niewiele piszą w Ultranece. To nie żaden niedoświadczony stażysta, jak niektórzy próbują nam wmówić, lecz uczonego, który dokonał wielkiego odkrycia. I powierzył prawo jego rozpowszechnienia

„KosmoSpiegłowi”. Wyłączne prawo!

- Li Chen! Li Chen! - zgodnie wrzeszczeli Chińczycy.

Foss przeczekał wybuch patriotyzmu i kontynuował:

- Po drugie, jeśli Li Chen ma choć częściowo rację, należy sprawdzić fakty na miejscu, i to jak najszybciej. Przybysz może stanowić zagrożenie i lepiej przywitać go na orbicie Jowisza, niż dopuścić do Ziemi. Przecież takie jest podstawowe zadanie ZSK, naszego obrońcy! A tymczasem co widzimy? Pierwsza Flota Kosmiczna nadal w bazie księżycowej, Druga w rejonie Marsa, a Trzecia rozsypana od Merkurego po pas asteroid... Żadnego zainteresowania, żadnej aktywności, a przecież każda godzina pogarsza naszą sytuację strategiczną! Pytam więc - Foss uderzył pięścią w oparcie krzesła - pytam, czym w takim razie zajęci są nasi admirałowie? Piją koktajle w swoich gabinetach? Planują polowanie na marsjańskie pchły? Pytam! Pytamy! - spojrzał gniewnie na Clemensa. - Czy choć jeden okręt wyruszył w stronę Jowisza? I co to za statek: potężny krążownik czy parszywa fregata?

„Nie panikuj, przeklęty gryziopiórku, to Barakuda!” - omal nie krzyknął Clemens, ale w porę ugryzł się w język. Rejs Barakudy był supertajny i nie miał nic wspólnego z tajemniczym wybuchem, w który Clemens nie wierzył. O ile tylko w pobliżu Jowisza nie wybuchł Skowronek... Zresztą gdyby nawet tak się stało, wybuchu nie dałoby się zobaczyć -

byłby zbyt odległy i zbyt krótki.

Dlatego nie wspominając ani słowem o Barakudzie, oznajmił:

- Z wielkim zainteresowaniem wysłuchałem pana Fossa. Bardzo, bardzo ekspresywna wypowiedź! Ale muszę państwa rozczarować: w Układzie Słonecznym nie zaobserwowano żadnych tajemniczych obiektów, a co się tyczy flot, to pełnią one służbę zgodnie z planem.

Możecie mnie zlinczować...

- Zlinczujemy - dobiegło z lewej strony.

- ...a i tak nic nowego wam nie powiem. Przypomnę za to trwającą siedemdziesiąt lat historię z ubiegłego wieku. Przypomnę tysiące oszustów i psychopatów spotykających latające talerze i zielone ludziki, yeti, potwora z Loch Ness i inne cuda i dziwy. Mnóstwo książek, fotografii i filmów, mnóstwo naocznych świadków, a wszystko to okazało się...

- Zagadujesz nas, Sam! - wrzasnął Patrick MacCaffrey. - Zagadujesz! A my potrzebujemy informacji!

- Informacji! Informacji! - skandowała sala.

Potem Chińczycy zaczęli łamać krzesła i Clemens wezwał ochronę.

\* \* \*

Wysłuchawszy ostatniego komunikatu, admirał Tymochin sposepniał i wezwał

komandora porucznika Magi, swego czwartego adiutanta pochodzącego z Eastlotwy17. Cenił

go za nadbałtycką solidność i małomówność, dlatego przydzielił mu odpowiedzialne zadanie: nadzór nad kontaktami z mediami.

Adiutant pojawił się natychmiast, jakby czekał na wezwanie tuż za drzwiami gabinetu.

Usiadł we wskazanym fotelu i zastygł: blady i wysuszony jak mumia.

- Nasza ostatnia konferencja prasowa zakończyła się skandalem - powiedział

Tymochin.

- Tak jest, sir - potwierdził Magi. Korzystał zazwyczaj z mieszaniny niemieckiego, angielskiego i rosyjskiego.

- Wygląda na to, że Clemens nie stanął na wysokości zadania.

- Bezsprzecznie, sir.

- Skąd te idiotyczne plotki o Obcych? Kto je rozprzestrzenia?

- Niejaki Günter Foss, sir, reporter „KosmoSpiegla”.

- Cel?

Magi wzruszył ramionami.

- Jak zawsze, pieniądze. Na tej zawierusze zarobił dwa miliony eularów 18.

Tymochin w zamyśleniu pocierał brwi. Cała ta historia interesowała go o tyle, o ile była związana z rejsem Barakudy, czwarty dzień trzymającej kurs na Jowisza. Co do losu Skowronka nie było żadnych wątpliwości - krążownik dotąd nie nawiązał łączności.

- Na konferencji prasowej mówiono o jakimś wybuchu!.. Wiemy coś na ten temat?

- Tak, sir. Dostaliśmy raport Bradforda, dyrektora obserwatorium Kepler.

- I co?

- Przekazaliśmy go do analizy służbom naukowym, sir. Pełnymi informacjami 17 Eastłotwa - państwo nadbałtyckie, w którego skład wchodziły trzy prowincje: Estonia, Łotwa i Prusy.

18 Konkurencja między euro a dolarem zakończyła się w 2042 roku, gdy wprowadzono zunifikowaną amerykańsko-europejską walutę o nazwie eular. Oprócz niej zachowały się także: funt brytyjski, rubel rosyjski, chiński juan, japoński jen, a w niektórych krajach rupie i pesos.

dysponuje Jarvis.

Jarvis, bratanek jakiejś szyszki, przedstawiciela KSZ w Radzie Bezpieczeństwa, był trzecim adiutantem i odpowiadał za kontakty z korpusem naukowo-badawczym.

- Wybuch może mieć jakiś związek ze Skowronkiem?

- Wykluczone, sir. Zjawisko, jeśli rzeczywiście miało miejsce, wyzwoliło znacznie więcej energii.

- Niech Jarvis melduje, jak tylko będą wyniki - zarządził admirał i po chwili milczenia zapytał: - Jak pan sądzi, Magi, czy to coś poważnego? Mam na myśli informacje Fossa.

Warto zainteresować nimi wywiad?

- Nie, sir. Zwyczajne pogłoski. Wszystko ucichnie w ciągu tygodnia.

Tymochin pokiwał głową, a potem zauważył:

- Ale mimo wszystko Clemens nie stanął na wysokości zadania... Starzeje się! Pora szukać następcy.

- To prawda, sir.

- Jakież propozycje?

Cienkie wargi komandora porucznika Magi rozciągnęły się od ucha do ucha.



Tymochin zrozumiał, że za chwilę zakosztuje nadbałtyckiego poczucia humoru.

- Ten cały Foss by się nadał. Mówią, że to łebski facet!

\* \* \*

Walka była zacięta, ale krótka. Krążownik Asahi zawisł na granicy stratosfery nad dżunglami Borneo w rejonie pasma Apo Duat<sup>19</sup> i po krótkiej obserwacji ruchów wroga zrzucił

szesnaście gryfów. Myśliwce zniszczyły zewnętrzną sieć ochronną. Stracono przy tym jedną maszynę - przeciwnik wykorzystał precyzyjną broń, pociski T-16. To właśnie z ich powodu zaatakowano bazę asasynów<sup>20</sup>, gdyż istniały przypuszczenia, że w pieczarach Apo Duat pracuje cała fabryka. Wibratory magnetyczne umożliwiały rozgrzanie deuteru bez wybuchu jądrowego do temperatury panującej we wnętrzu gwiazd, a to otwierało drogę do stworzenia miniaturowych pocisków nuklearnych; technologia była prosta, a T-16 wykorzystywali terroryści o wszelakich przekonaniach i kolorach skóry. Co najmniej jedna czwarta z nich otrzymała broń stąd, z terytorium królestwa Kali<sup>21</sup>.

<sup>19</sup> Apo Duat - grzbiet górski na północy wyspy Borneo, o długości około 500 km; wysokość 2500-4000

m; wzdłuż jego południowej części przebiega granica między Malezją i Indonezją.

<sup>20</sup> Asasyni lub neomasasyni - sekta, która na początku XXI wieku oderwała się od islamu. Ich prorok Al-Musafar, jakoby pod wpływem anioła, przerobił Koran, nadając nowej księdze tytuł Biran. Biran ma tyle wspólnego z Koranem, ile Mein Kampf z Biblią.

<sup>21</sup> Królestwo Kali (nie uznawane przez ONZ) powstało w 2036 roku wskutek zajęcia przez Gdę rozprawiono się z górną osłoną twierdzy, Asahi zrzucił desant - sześć naziemnych oddziałów, każdy po dwudziestu ludzi. Simy były praktycznie bezużyteczne w dżunglach, co znacznie komplikowało operację - desantowcy atakowali bez osłony pancerzy.

Skafandry bojowe dobrze zabezpieczały przed kulami, ale nie broniły przed swomami i laserami.

Kapitan Stig Olsen, dowódca czwartej grupy, przedostał się wraz ze swoimi ludźmi do jednego z tuneli prowadzących do pieczary. Resztę przejść blokowały pozostałe oddziały, które na sygnał wysłany z krążownika zaczęły szybko przeć do przodu, zalewając boczne chodniki gazem i wrzucając bomby zamrażające do pionowych korytarzy. Asasyni bronili się rozpaczliwie; większość była fanatykami ślepo wierzącymi w to, że za granicą śmierci czekają na nich szaszłyki, sorbet i stadko hurys. Mimo to ci najemnicy chcieli przeżyć, wydostać się na zewnątrz i zniknąć w nieprzebytych lasach. Zanim Olsen ze swoimi ludźmi dotarł do kompleksu przemysłowego, miał już trzech rannych.

Podłożyli ładunki - silniejszy wariant T-16 - i wycofali się. Gdy prom zabrał ich na pokład krążownika, góry zadrżały, ze wszystkich szczelin buchnęły płomienie, a gorące pomarańczowe jęzory zaczęły lizać drzewa i krzaki. Gryfy zeszły niżej, zrzuciły bomby zamrażające i nagle w tropikalnej dżungli rozszalała się zamieć. Ogień zgasł.

Po trzech godzinach Stig Olsen, umyty i bez bojowej odzieży, stał w barze singapurskiej bazy ZSK.

Pił aromatyczny jamajski rum i zagryzając ananasem i melonem, próbował zapomnieć o ciemnych podziemnych przejściach i błyskach promieni lasera wycelowanych litościwie prosto w jego czoło. Takich jak on, pragnących pozbyć się wspomnień, było tu około sześćdziesięciu. Jedni siedzieli tête-à-tête z butelką, inni zbici w grupkę rozmawiali albo oglądali telewizję, gdzie drużyna Teksaskich Byków dorzynała rzymskich Gladiatorów.

- Za szczęśliwy powrót, Stig - wybełkotał ktoś stojący za plecami Olsena.

Odwrócił się, odstawił szklankę i uściśnął ogromną dłoń Roya Buncha. Typ ten, mimo imponującego wzrostu i krzepkiej budowy ciała, nie był desantowcem, służył jako goniec w sztabie, ale najprawdopodobniej pełnił rolę oczu i uszu służb bezpieczeństwa. Nie rozpieszczał sztabu zbyt częstą obecnością, znikał a to na dzień, a to na tydzień - wyraźnie biegał tam i sam, wypełniając tajne rozkazy. Desantowcy nie lubili takich typów, widząc w nich kapusiów, i dlatego uśmiech Olsena był bardzo chłodny.

Bunch nalał sobie whisky z automatu dystrybutora.

buntowników indonezyjskiej części Borneo. Reakcyjne państwo islamskie, w którym świętą księgą jest Biran.

- Słyszałeś nowiny, Stig?

- Jakie znowu nowiny? - Olsen zerknął z ukosa na ekran, gdzie stado Byków w szkarłacie przebijało się przez szereg Gladiatorów. - O meczu stulecia? Mam ich wszystkich gdzieś! Ich mać... i w tyłek... i tam gdzie ciemno!<sup>22</sup>

- A co to za nowina? - Bunch niespiesznie wyciągnął pocketer<sup>23</sup> i stuknął paznokciem małego palca w maciupci klawisz. Z cichym szelestem rozwinął się cienkowarstwowy ekran, przeleciały reklamy witryn informacyjnych, po chwili wypłynęła nazwa „KosmoSpiegel” w fikuśnej ramce i wyraźne linijki tekstu, srebrne litery na tle kosmicznej ciemności. - To jest nowina! Mamy gości, Stig! Jeśli dolecą na Ziemię, roboty będzie powyżej uszu. Sam przeczytasz czy włączyć generator mowy?

Olsen rozejrzał się, zobaczył, że siedzi za nim ze dwudziestu ludzi, i pokiwał głową.

- Włącz dźwięk. Widzisz, chłopaki też są ciekawi.

Pociągnął spory łyk ze szklanki i zaczął słuchać. Istotnie, nowiny były wstrząsające.

<sup>22</sup> Przyzwoitość nie pozwala zacytować w całości stów Olsena, ale choć był Duńczykiem, wysławiał się on głównie po rosyjsku.

<sup>23</sup> Pocketer - komputer kieszonkowy, spełniający także funkcję telefonu i urządzenia służącego do diagnostyki medycznej.

*Przestrzeń między orbitami Jowisza i Marsa*

Klatka, przekłeta klatka - myślał Litwin, po raz dziesiąty obmacując membranę zasłaniającą wyjście. Ustępowała bez trudu pod naciskiem dłoni, ale gdy napierał na nią całym ciałem, mógł zrobić jeden, góra dwa kroki, po czym leciał do tyłu jak kamień wystrzelony z procy. Materiał przypominał syntalen wykorzystywany w muzeach, parkach zoologicznych i wszędzie tam, gdzie potrzebna była przezroczysta, wytrzymała i nieprzenikalna przegroda. Z tym że przez błonę z syntalenu nie dało się przebić, nie uszkadzając jej, a ta membrana przepuszczała ludzi - Litwin pamiętał, jak przeszli przez nią ochroniarze prowadzący Richarda. Oni mogli, a on nie mógł... Wychodziło na to, że trolle znały jakiś trick! Ech, wziąć w obroty któregoś i porządnie wypytać... najlepiej nie ochroniarza, a elfa, ptasiodziobego drania... Wyglądał na szefa, a więc nie był rozumny w ograniczonym stopniu...

Rozejrzał się ze smutkiem i zaczął spacerować od ściany do ściany. Sam! Choć nie minęły nawet dwie doby, Richard był już w lepszym świecie, a Abbie nie wiadomo gdzie...

Wspominając ich, czuł ogromny żal i gorzkie zdumienie. Nie tak wyobrażał sobie spotkanie z braćmi w rozumie, zwłaszcza podobnymi do ludzi.

Ksenologiczne scenariusze Kontaktu poznane podczas studiów nie na wiele się przydały - być może dlatego, że u ich podstaw leżały nie sprawdzone fakty, lecz hipotezy fantastów. Ten rodzaj literatury niespecjalnie pociągał Litwina; wolał pamiętniki, wspomnienia, biografie i opracowania historyczne - jednym słowem opisy realnych losów i zdarzeń. Natomiast wszystkie scenariusze spotkania z Obcymi sprowadzały się do dwóch podstawowych wariantów: kontakt ze stworzeniami odmiennymi, takimi jak rozumne ośmiornice czy mrówki, gdzie zrozumienie było niezwykle trudne lub wręcz niemożliwe, i kontakt z humanoidami, przy czym tutaj występowały podwarianty: humanoidy mogły być przyjazne albo wrogie. Wszystko wskazywało na to, że bino faata pasują do ostatniego przypadku, Litwin jednak nie miał stuprocentowej pewności. Nie opuszczało go niejasne wrażenie, że wygląd przybyszów może być mylący; rozmyślał o licznych ziemskich narodach i plemionach, identycznych pod względem fizjologii, ale tak różnych, gdy chodziło o psychologię, kulturę, obyczaje i światopogląd. Życie Rzymian określał obowiązkiem, Helleni byli obrońcami wolności, podczas gdy Egipcjanie z okresu Starego Państwa nie mieli nawet takiego słowa w języku; u Majów i Azteków normą było składanie ofiar z ludzi, na Wyspach Salomona - kanibalizm, a w krajach azjatyckich kwitła poligamia w czasach, gdy w Europie uważano ją za skrajną rozpustę; Japończycy nie jedli mięsa, Niemcy przepadali za krwawą kiszka, buddyści wierzyli w karmę i nieskończony łańcuch reinkarnacji, a chrześcijanie w niepokalane poczęcie. Co więcej, zawsze i wszędzie istniał szeroki diapazon akceptowalnych zachowań seksualnych, mieszczący w sobie i stosunki między jednostkami tej samej płci, i dziwne ciągoty do zwierząt, i inne, nieraz bardzo egzotyczne nawyki. Bezspornie ludzie nie byli jednorodni pod względem psychiki, a ocenianie ich postępów w oderwaniu od kontekstu obowiązujących norm etycznych nie miało sensu.

Jako że bino faata nie byli z Ziemi, to, co działo się w ich głowach i duszach, było tajemnicą chronioną siedmioma pieczęciami... Litwin starał się do niej zbliżyć, popatrzeć inaczej na zdarzenia, znaleźć jakieś usprawiedliwienie. Zniszczenie Skowronka mogło być nieszczęśliwym wypadkiem:

Obcy nie wiedząc, jak działa broń Ziemiaków, po prostu odbili ją polem siłowym. Z drugiej strony nie wykazali najmniejszego żalu z powodu śmierci ponad stu trzydziestu ludzi - albo nie znali takiego uczucia, albo śmierć była dla nich zjawiskiem pospolitym. Chociaż samego Litwina ocalili - wychodziło na to, że do czegoś był im potrzebny...

To, co stało się z Corcoranem, też można było tłumaczyć na wiele sprzecznych sposobów. Oczywiście eksperymenty na żywych ludziach uznawano za okrutne, niehumanitarne, ale na czym polegały te konkretne doświadczenia? Wspomniane przez komputer badania mogły oznaczać cokolwiek, począwszy od wiwisekcji i chirurgii psychicznej, a skończywszy na niegroźnej diagnostyce. Niegroźnej z punktu widzenia bino faata, lecz jak się okazało - zgubnej dla ziemskiego organizmu. Czyżby ich także zwiodło podobieństwo? Jakoś trudno było uwierzyć, że tak zaawansowane istoty mogły przejawiać podobną bez troskę - a właściwie zabójczy brak rozsądku! Przecież na statek razem z ludźmi przybyły ziemskie mikroorganizmy, a biocenoza świata Obcych mogła stanowić śmiertelne zagrożenie dla Ziemiaków. Dotyczyło to przede wszystkim jedzenia i picia, aczkolwiek Litwin nie odczuwał żadnych dolegliwości; napoje gasiły pragnienie, jedzenie syciło. A więc przynajmniej ten problem rozwiązano. Może bino faata doszli do wniosku, że nie ma żadnego zagrożenia? A może poddali ludzi jakimś szczepieniom?

Uśmiechnął się gorzko na wspomnienie przeczytanej w dzieciństwie książki Jefremowa. Wyglądało na to, że braterstwo cywilizacji w duchu Wielkiego Pierścienia z

„Mgławicy Andromedy” nie istnieje.

Wy na nas grawitacyjny arkan, my wam po łbie swomami... Niezbyt przyjemna perspektywa! Powiedzmy szczerze, rozczarowująca! - rozwodził się w myślach Litwin.

W przyływie nagłego gniewu uderzył pięścią w miękką ścianę.

McNeal! Gdzie jesteś, McNeal? Co z tobą zrobili?

\* \* \*

Nadeszła pora kolejnego posiłku - tym razem zjadł coś lekkiego i słodkiego, podobnego do zielonej piany. Nie trzeba było jej przeżuwać, roztopiała się w ustach i sama spływała do przełyku. Zakończywszy ucztę, z braku innych rozrywek postanowił pospać, lecz wtedy zjawili się goście.

Cała delegacja! Dwóch muskularnych ochroniarzy, a za nimi starzec z obwisłymi wargami i pomarszczoną twarzą otoczoną aureolą zielonych kosmyków, niewysoki mężczyzna z łysą czaszką i kobieta niebywalej piękności: małe, ale wyraziste usta, srebrzyste oczy z cieniami błękitnych źrenic, delikatny nosek, ciemna grzywa bujnych włosów i figura baletnicy. Litwin gapił się na nią ze zdumieniem; z jakiegoś powodu sądził, że wśród przybyszów nie ma kobiet. Cała trójka miała na sobie przylegającą błyszczącą odzież, toteż Litwinowi znowu przyszło do głowy porównanie z elfami: jeden podstarzały, jeden młody i przepiękna czarodziejka.

Przeszli przez membranę, elfy przysiadły na podłodze, a strażnicy znieruchomieli tuż obok. Wszyscy mieli nieludzko spokojne twarze; ani drgnienia powiek czy warg, ani śladu uśmiechu. Na łysej

głowie mężczyzny pobłyskiwała kryształowa kulka przymocowana do skroni; kobieta umieściła podobną ozdobę we włosach.

Łysy mężczyzna przycisnął rękę do piersi.

- Jegg, tho, rozumny w ograniczonym stopniu pomocnik Aiwe. - Ręka z szacunkiem wskazała staruszkę, po czym dotknęła ręki kobiety. - Io, też pomocnik, też rozumny w ograniczonym stopniu.

Głos był cichy, chrapliwy, ale całkiem niepodobny do głośnego krakania komputera.

Połykał niektóre głoski jakby z nadmiernego pośpiechu. Ale zasadniczo mówił praktycznie bez obcego akcentu.

Litwin z trudem odwrócił wzrok od kobiety i spojrzał na starca.

On tu jest najważniejszy - przemknęła myśl. - Ważny kosmiczny typ, a z nim para pomocników. Czego ode mnie chcą?

- Paweł - powiedział. - Mam na imię Paweł. Jako najstarszy stopniem oficer okrętu kosmicznego Skowronek reprezentuję tutaj Ziemię. Kim jesteś, Aiwe?

- W pełni rozumny - zabrzmiała odpowiedź, a po chwili, jakby ten, który przedstawił się jako Jegg, znalazł brakujące słowo: - według waszej terminologii, pośrednik.

- Co to znaczy?

Jegg znowu się zamyślił, a wtedy rozległ się wysoki kobiecy głos:

- Pośrednik. Ten, kto kontaktuje się z bino tegari w imieniu bino faata.

Mówiła czysto, bez zająknięcia. Mała kryształowa kulka pobłyskiwała w jej włosach, od czasu do czasu rozsypując tęczowe iskry. Kulka na skroni Jegga wyglądała inaczej, świeciła niezbyt jasno jak słaba żarówka latarki.

Czyli polityk - pomyślał Litwin. - Dyplomata, stary cwaniak, i dwóch młodych tłumaczy... Chcą zacząć rokowania? A może coś wy badać?

Jak większość mieszkańców Ziemi nie dowierzał politykom, postanowił więc zachować ostrożność. Wbił wzrok w ślicznotkę Io i burknął:

- Dobrze pani opanowała nasz język.

- W pewnym stopniu - odezwał się Jegg. - Odbieramy sygnały z wasza planeta i uzupełniamy słownik. Mamy już trochę pojęć.

- I wszystko trzymacie w głowie?

- Nie wszystko. Nam p'maga to... - Jegg dotknął kulki. - Kaff. Klucz. Interfejs łączący mnie i Io z urządzeniem pamięci.

- Z komputerem? - Litwin wskazał oczami kopułę sufitu.

- Ty byś go tak nazwał. Dla nas to s'fler. Podpowiada potrzebne określenia. - Jegg zawahał się i zapytał: - D'brze mnie rozumiesz?

- Słyszę znajome słowa, ale czy rozumiem? - Litwin wzruszył ramionami. - Pewnie nie. Nie rozumiem, dlaczego zabiliście Richarda. Nie rozumiem, co zrobiliście z McNeal. Nie rozumiem, czego ode mnie chcecie.

- Rich'rd, M'cNeal - powtórzył Jegg. - Ci, co byli z tobą? To ich imi'na? - Nie czekając na odpowiedź, wypluł kilka słów. Głośnych, oddzielnych, przypominających metaliczny głos komputera. Litwin odgadł, że słyszy mowę bino faata.

Staruszek odpowiedział... „Rrr-drr-tratata”...? Ludzkie gardło nie było w stanie powtórzyć dźwięków nadlatujących z prędkością serii z automatu.

- Pośrednik powiedział: rozumie, że zadajesz pytania. Powiedział jeszcze, że nie ma pytanie, kt're zostać bez odpowiedzi. Ale trzeba db'ć o... jak to będzie?... tak, wzaj'mność.

M'że być ekwiwalentność albo równ'waga. Poprawny termin, tak? Pośrednik proponuje współpr'cę. My odebrać transmisje z Ziemia, analizować, wybr'ć taki termin: transakcja.

Pośrednik Aiwe mówi: umowa, kiedy korzyść dla was i dla nas. Ty pytanie, my pytanie. Ty odpowiedź, my odpowiedź. Tak?

Staruszek wygłosił całą przemowę jak jedno krótkie zdanie. Czy tłumacz dodał coś od siebie?... Być może, ale rozmyślać o tej zagadce nie było warto, Litwin miał ważniejsze problemy. Na przykład taki: jeśli Obcy odbierali sygnały radiowe i jako tako dawali sobie radę z angielskim, do czego był im potrzebny komandor podporucznik Paweł Litwin? Ziemia wysyłała informacje - a właściwie nie wysyłała, a wyrzaskiwała, krzyczała! - w zakresie długich fal; tysiące stacji telewizyjnych i radiowych były jak tysiące otwartych ust wyrzucających z siebie wiadomości, spektakle i filmy, reklamy i informacje giełdowe, muzykę, klipy, programy rozrywkowe i naukowe. Na każdy gust: masz ochotę, badaj historię Sumeru; masz ochotę, napawaj się pejzażami Nowej Gwinei; masz ochotę, obserwuj kopulację ludzi, pszczoł albo aligatorów. Potok ten zawierał szczegółowe informacje o Ziemi, o językach i obyczajach różnych narodów, o technologii i geografii, polityce, ustroju społecznym i całej reszcie. Oprócz tego był jeszcze Ultranet, wystarczyło podłączyć się za pośrednictwem satelity i wszystkie tajemnice rozwiązane.

A jednak: ty - pytanie, my - pytanie, ty - odpowiedź, my - odpowiedź... Korzyść dla ciebie, korzyść dla nas... Transakcja! Na szczęście jej istota pozostała ukryta przed przybyszami, bo przecież nie chodziło o wzajemne korzyści. Transakcja polega na tym, kto kogo wykiwa i kto zrobi to sprytniej i lepiej.

Litwin chrząknął, spojrzął spod oka na ochroniarzy stojących obok membrany i powiedział:

- Transakcja wymaga wzajemnego zaufania. Zniszczyliście nasz statek, zabiliście Richarda, zabraliście Abbie, zamknęliście mnie w klatce... Gdzie tu zaufanie?

Jegg przetłumaczył, wyrzucając z siebie serię szczekliwych i głośnych dźwięków.

Starzec odpowiedział, wstał bez wysiłku i skierował się do wyjścia. Ochroniarze ruszyli jego śladem.

To dobry moment - zdecydował Litwin; nie wątpił, że zdoła pokonać obu tłumaczy.

Napiął odruchowo mięśnie, jednakże napotkawszy wzrok kobiety, rozluźnił się. Ślicznotka obserwowała go - takie przynajmniej odniósł wrażenie. Nie miał całkowitej pewności, ponieważ z trudem dostrzegł minimalne ruchy źrenic srebrnych oczu.

- Pośrednik Aiwe powiedział: z'ufanie oświetla drogę ku zrozumieniu. Wróci, gdy zbudujemy zaufanie.

Kulka - kaff - na skroni kobiety zamigotała i Litwin znowu usłyszał jej wysoki czysty głos:

- My zostać... zostaniemy. Nie rozumiesz. Wyjaśnimy.

- Walcie śmiało - zachęcił Litwin. - Chociaż czy można wierzyć wyjaśnieniom rozumnych w ograniczonym stopniu?... - Odniósł wrażenie, że nie zrozumieli znaczenia jego słów, dlatego dodał: - Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Wyjaśniajcie.

Zacznijcie od zniszczenia mojego statku. Słucham.

- Wy atakować, my się bronić - powiedział Jegg. - Jak się bronić, d'cyduje ten, kto stoi przy kuli obserwacyjnej. On, Opoka Porządku, pierwszy w Wiązce. P'stanowił

wykluczyć z istnienia. Więcej nie ma napadów. To... jak to się nazywa?... precedens.

- Nie precedens, lekcja - podpowiedziała kobieta.

- Aha, lekcja - powiedział powoli Litwin, walcząc z chęcią skręcenia obojgu karków.

Potrafił panować nad gniewem; w desancie nie było miejsca dla osób porywczych i zbyt nerwowych, wiedziano, że tacy długo nie pożyją. - Dobrze, na tym staniemy: my napadać, wy bronić się, a Opoka Porządku postanowiła dać lekcję. Richard... to też była lekcja?

Jegg i Io równocześnie podnieśli ręce ku piersiom i płynnym ruchem rozłożyli je. Gest zaprzeczenia? Najwyraźniej, bo Jegg powiedział:

- Nie. To inna, trudniejsza prz'padek. T'ka, kiedy...

- Jeśli trudniejszy przypadek, to niech ona tłumaczy. - Litwin kiwnął głową w stronę kobiety. - Io lepiej opanowała język.

Jegg powoli zamknął oczy, kulka na jego skroni zgasła. Co to oznaczało i czy oznaczało cokolwiek? Oczy mężczyzny i kobiety były pozbawione wyrazu, nie mógł w nich dojrzeć najmniejszych śladów emocji.

Tacy podobni do nas, a tacy obcy... - przemknęła myśl. - Może rzeczywiście rozumni w ograniczonym stopniu? Ani uśmiechu, ani grymasu niezadowolenia czy zdziwienia, absolutnie nic... Ale jeśli sądzić na podstawie rozmowy, oboje są całkiem rozsądni.

- Pośrednik Aiwe chciał... nawiązać kontakt. - Io dotknęła czoła szczupłymi palcami i wyciągnęła rękę w stronę Litwina. - Kontakt bez słów... taka... brak terminu...

Litwin drgnął, przypominając sobie pierwszego bino faata i dziwne uczucie pod czaszką. Nie ból, nie ucisk, lecz coś innego, dźwięki, szum, migające obrazy.

- Kontakt mentalny? Myślowy? - zapytał. - Telepatyczny.

- Pobraliśmy te pojęcia z waszych przekazów, ale ich definicje są nie dokładne. Mają różne znaczenia. - Kula we włosach kobiety nagle roziskrzyła się kolorowymi błyskami. -

Niech będzie mentalny. Dostałam informację, że termin jest akceptowalny. U bino faata taki kontakt pojawił się po Drugim Zaćmieniu. Jesteście do nas bardzo podobni. Yata i Aiwe uznali, że warto spróbować... - Io znowu dotknęła skroni. - Ale nie potrafili wejść w kontakt ani z tobą, ani z tym, którego nazywasz Richardem. Są różnice w strukturze mózgu, próbowano je pokonać. Warstwowy odczyt sygnałów komórek mózgowych... bardzo skomplikowane, niebezpieczne... Uszkodzili ośrodek odpowiedzialny za oddychanie.

- Już to słyszałem. - Litwin zazgrzytał zębami. - Co z McNeal?

- Z waszą ksa? Była zbyt zdenerwowana. Zastosowano t'hami. Możesz zobaczyć.

Io nie drgnęła, ale sufit i tylna ściana znikły. Na ich miejscu rozciągał się widok na obszerne pomieszczenie z wiązkami rurek biegnących we wszystkie strony; w tej pajęczynie w równych odstępach leżały nagie ludzkie ciała - może tysiąc, może dziesięć tysięcy, a może milion. Skład zdawał się nie mieć końca; rzędy biegły w dal i na boki, ginęły w górze jak w jakimś potwornym magazynie, gdzie przechowywano ludzi na zapas lub gromadzono zapasy tkanek i organów przydatnych dla innych, tych, którzy żyli naprawdę. Obraz powiększono i Litwin dostrzegł, że leżą przed nim kobiety. Ogromna liczba kobiet, śpiących lub w transie, a wszystkie miały jednakowe zastygłe szeroko rozstawione oczy z błękitnymi białkami, małe wypukłe usta, lekko spiczaste podbródki. Io odznaczała się cechami tej samej rasy, lecz wyróżniały ją bardziej harmonijne rysy i egzotyczna uroda - przynajmniej zdaniem Litwina.

Abigail McNeal leżała albo wisiała w warunkach zerowej grawitacji w jednym z rzędów. Skórę miała tak samo białą, piersi równie małe jak sąsiadki, ale rude pukle płonęły jasną plamą wśród



ciemnowłosych głów. Zdało się, że śni z otwartymi oczami wbitymi gdzieś w pustkę.

- Śpi? - zapytał Litwin.

- To t'hami - wyjaśniła Io i obraz pod kopułą zgasł. - W stanie, który ty nazywasz snem, procesy życiowe ulegają spowolnieniu. Niewielkiemu. Tutaj spowolnienie jest większe, prawie nie trzeba powietrza ani pokarmu. Ale procesy hormonalne przebiegają z taką samą prędkością. To t'hami ksa.

- Ksa to kobiety? Takie jak ty?

Po raz pierwszy dostrzegł lekkie drgnięcie jej twarzy. Ale głos był nadal spokojny.

- Nie takie same. Ja nie mogę produkować potomstwa.

Litwin spojrział spod oka na Jegga - ten siedział nieruchomo z zamkniętymi powiekami, jakby medytował, nic nie widząc i nie słysząc.

Całkiem jak wyłączony robot - Litwinowi nasunęło się mimowolne porównanie.

Zbliżył się do Io, ujął jej delikatną dłoń i uniósł do ust.

- Ale mimo wszystko kobieta? Masz ciało i twarz jak nasze kobiety i pachniesz tak samo słodko... Dlaczego nie możesz mieć dzieci?

- Nie jestem do tego przeznaczona.

Nie zabrała ręki - być może nie rozumiała, po co Litwin przyłożył ją do ust. Skóra była delikatna w dotyku jak u młodej dziewczyny, paznokcie owalne, różowawe, dotyk palców - przyjemny.

- Nie przeznaczona, też coś! Nic z tego nie rozumiem, miła czarodziejko.

Rozmnazacie się przez podział albo klonowanie? A może zorganizowaliście produkcję taśmową?

Wypuścił rękę kobiety. Jej twarz znowu zastygła w bezruchu.

- Nie mnie wypowiadać się na ten temat. Rozmawiaj z pośrednikiem.

- Dlaczego?

- Sposób rozmnażania rasy ma kluczowe znaczenie dla jej przetrwania.

Litwin przytaknął. Tę prawdę objawiono mu jeszcze w bajkonurskiej szkole, a do tego tymi samymi słowami. Powiedział wzdychając:

- Mogę obejrzeć statek?

Błysnął kaff na łysej czaszce Jegga, tłumacz się obudził. Otworzył oczy; przez chwilę siedział, wyciągając szyję, jakby wsłuchiwał się w wiszące w powietrzu myśli, a potem oznajmił:

- Yata p'zwala. Yata myśli: korzystny pokaz dla b'no t'gari.

- Yata? Kim jest Yata?

- Opoka Porządku. Ten, kto przebywa przy kuli obserwacyjnej. Ten, kto cię pierwszy zobaczył.

Ptasiodzioby drań - przypomniał sobie Litwin i wstał.

\* \* \*

Statek porażał ogromem. Nie mogły się z nim równać największe stacje orbitalne krążące wokół Ziemi, nawet gigantyczny kompleks Centaur - zbudowana poza atmosferą stocznia, gdzie montowano krążowniki i transportowce wożące rudę z pasa asteroid. Statek był cylindrem o długości sześciu i średnicy trzech kilometrów; przez środek biegł korytarz, w którym zamontowano konwerter nadświetlny. Do lotów w obrębie systemów planetarnych i do wykonywania manewrów służyły silniczki grawitacyjne umieszczone poza korpusem na dwóch toroidalnych pasach. Zasady działania tej maszynierii nie wytłumaczono Litwinowi, zresztą i tak pewnie by jej nie pojął; dla niego silnik był reaktorem termojądrowym z plazmą szalejącą w pierścieniach magnetycznych. Jednakże oglądając holograf i słuchając wyjaśnień Jegga, zrozumiał, że nie ma tu ani silnika odrzutowego, ani pułapek magnetycznych, ani przesłon. Wszystko było zarazem prostsze i bardziej skomplikowane: ogromna rura, w której powstawało coś zakrzywiające przestrzeń - jeśli nawet nie w skali globalnej, to przynajmniej jej małą część leżącą między startem a celem.

Najbardziej tajemniczym urządzeniem był, oczywiście, sam konwerter, ale innych zagadek nie brakowało. Od czasu do czasu trafiało się coś zrozumiałego - co było raczej nieuniknione, gdy w grę wchodziły stworzenia dwunożne i dwuręczne - a mianowicie studnie komunikacyjne między pokładami, szerokie ciągnące się kilometrami korytarze, odpowiedniki śluz i wind, komory o dziwnych kształtach, ale oczywistym przeznaczeniu, laboratoria, recyrkulatory, miejsca, gdzie spożywano pokarmy, puste albo pełne ładownie, kratownice, z których wiało świeżym powietrzem. Człowiek, nawet urodzony na innej planecie, musi jeść, oddychać, załatwiać naturalne potrzeby, a także pracować i przemieszczać się - na własnych nogach albo biorąc pod uwagę rozmiary statku, za pomocą wind i kapsuł transportowych. Lecz ta lista bynajmniej nie wyczerpywała wszystkich ludzkich potrzeb - w każdym razie znanych Litwinowi. Człowiek potrzebuje prywatności, czyli domu, gdzie mógłby odpocząć i wyspać się, ale potrzebuje także towarzystwa. Kontakty z innymi ludźmi, osobiste drobiazgi, przedmioty upiększające otoczenie, rozrywka - rzeczy tak różne, a przecież stanowiące taką samą integralną część każdego statku jak reaktor termojądrowy czy systemy podtrzymywania życia.

Ale tu takich elementów zbytku nie zauważył. Niekończące się korytarze biegły prosto w górę i w dół, w nieprzeliczonych salach za przezroczystymi ścianami płonęły światła, nad dziwnymi urządzeniami lśniły łuny, a od czasu do czasu trafiła się kabina, gdzie można było dojrzeć sylwetkę przypominającą ludzką, ale zagubioną wśród kabli, rurek i membran, połączoną z jakimiś przyborami, których częścią być może się stała. Oprócz Jegga i Io goście towarzyszył ochroniarz w bransoletach, ale żadnej innej publiczności - nawet pojedynczych osób - nie spotkali. Litwin nie zobaczył pomieszczeń mieszkalnych, kajut ani kubryków, sal rekreacyjnych, pokładów spacerowych, oranżerii. Trafili za to do sali ze znajomymi niskimi stolikami - analogami aparatów dystrybucyjnych

- lecz całkowicie pustej.

Sala ta, podobnie jak pozostałe pomieszczenia, była ogromna - pewnie można by w niej pomieścić wszystkie ślicznotki z t'hami.

Litwin przystanął, rozejrzał się, uniósł brwi. Podłoga pokryta miękką szarą wykładziną, mnóstwo stołów i nic, co chociażby przypominało ozdobę - ani rzeźb, ani obrazów, ani kwiatów w wazonie, zresztą wazonów też nie było, wszystko monotonne, funkcjonalne i powtarzalne jak siatka krystaliczna. Zasadniczo sala mogła stanowić pomieszczenie rezerwowe, czekające na śpiącą załogę, tę jej część, która chwilowo nie potrzebowała ani jedzenia, ani picia. Być może istniały inne korytarze, sale i kabiny, bardziej ożywione, ukryte we wnętrzu okrętu. W końcu statek nie był płaski, składał się z setek pokładów i pięter o powierzchni nie mniejszej niż ziemskie megapolis.

Będzie tego z pięć tysięcy metrów kwadratowych - ocenił Litwin, czując lekki zawrót głowy.

Popatrzył na towarzyszy. Ślicznotka Io, pełniąca rolę przewodnika, była najbliżej, prawie tuż obok. Czuł jej zapach, mocny, ostry aromat kobiecego ciała. Mężczyźni stali nieco dalej; nad cherlawym tłumaczem górował jak wieża ochroniarz o szerokiej twarzy. Jego bransolety straciły blask, nie miał żadnej broni ani w rękach, ani przy pasie.

Zdrowy byczek - pomyślał Litwin, kombinując, gdzie by walnąć, jeśli nadarzy się okazja. - W sploty nerwów na szyi i karku? A może ucisnąć tętnice?...

Co do splotów nie miał pewności, mogły znajdować się zupełnie gdzie indziej niż u Ziemian, ale tętnice dostarczające krew do mózgu musiały być mniej więcej w tym samym miejscu. Szyja co prawda wyglądała na taką, że i łom by się na niej wygiął.

Znajdę odpowiedni moment i sprawdzę - postanowił Litwin. - Ręka Io jest cudowna w dotyku, ciekawe, jaki będzie ten troll...

Ochroniarz ważył ze dwadzieścia kilo więcej niż Litwin, ale podczas bójki waga i mięśnie nie grają głównej roli. Najważniejsze jest wyszkolenie, a Litwin nie wątpił, że wyszkolono go wspaniale.

Wyciągnął rękę, uderzył przezroczystą przegrodę i zapytał:

- Ależ tu pusto! Gdzie są ludzie, moja czarodziejko?

- Tho odpoczywają. Faata są w kontakcie z Okrętem. Nie warto im przeszkadzać.

- Faata?

- W pełni rozumni. Tacy jak Aiwe.

- Nie chcę im przeszkadzać, ale chętnie bym popatrzył. Czy to możliwe?

Io nic nie powiedziała, tylko energicznie ruszyła naprzód. Idąc za nią, Litwin liczył

kroki: co dwieście dwadzieścia kroków korytarz przedzielała przezroczysta membrana.

Można ją było zauważyć tylko dzięki słabym odbiciom światła; cała czwórka miała przegrody, jakby wcale nie istniały. Z prawej strony ciągnęła się bez końca sala ze stolikami, z lewej i z dołu prześwitywały kontury jakichś mechanizmów. Litwin nie miał szans przyjrzeć im się dokładniej - leżały na dnie głębokiego szybu ładowni, setki metrów poniżej. Pomyślał, że przypominają ogromne zwinięte w kłębek smoki z błyszczącymi łuskami i sterczącymi nad grzbietem grzebieniami.

Dotarli do końca stołówki. Za nią w ścianie widniała nisza z ciemną kopułą sufitu.

- Tutaj - powiedziała Io. - Tutaj można zobaczyć.

Litwin odchylił głowę. Kopuła wyglądała tak samo jak w pomieszczeniu, gdzie go trzymano - czarna i bezdenna jak przestrzeń między ramionami Galaktyki.

Terminal komputera - przemknęło mu przez głowę. - Prawdopodobnie jeden z wielu tysięcy porzrzucanych wśród korytarzy, sal i szlaków transportowych. Lokalna stacja? A może cała przestrzeń statku jest pod kontrolą?

Kula we włosach Io rozbłysła światłem, ściana i sufit rozplynęły się. Teraz stał przed owalnym pomieszczeniem przypominającym kształtem kurze jajo - wszystkie powierzchnie były zakrzywione i emanowały mlecznobiałe światło. Na samym środku wisiała dziwna konstrukcja, jakby ułożona z mnóstwa zielonych kawałków lodu; agregat ten równomiernie kurczył się i rozszerzał jak żywe stworzenie oddychające w powolnym rytmie. Na wierzchu widać było pięć lub sześć ciemnych narośli i Litwin od razu zrozumiał, że to głowy ludzi, których ciała zanurzono w lodowej masie. Jednego rozpoznał: pomarszczona twarz z obwisłymi wargami i rzadkie włosy należały do Aiwe. Pozostali wyglądali tylko nieco młodziej - wszyscy mieli pionowe zmarszczki nad nosami i usta podobne do ptasich dziobów.

Rada starszych? - przemknęło mu przez głowę. - Tylko po co wleźli do lodu?

- Pośrednicy - powiedział stojący za jego plecami Jegg. - Aiwe i... jak by to p'owiedzieć... jego drużyna, jego grupa. Tak d'brze?

- Dobrze - potwierdził Litwin. - A co to za dziwo, w które ich wsadzono? Co oni tam robią?

- Urządzenie do komunikacji mentalnej - tym razem odpowiedziała Io. - Nie mamy określenia... Niezupełnie urządzenie, ale coś łączące rozумы, gdy trzeba rozwiązać skomplikowane zadanie. Próbują analizować dane napływające z waszego świata. Są bardzo, bardzo doświadczeni... Zrozumieć organizację społeczeństwa i psychologię jednostki... tak to u was nazywają?... to wszystko, czego trzeba do udanego kontaktu. Zrozumieć, stworzyć model, odgadnąć reakcję...

Litwin uśmiechnął się po wąsem.

- Zrobili duże postępy?

- Nie ma pełnego zrozumienia. Zobacz, co widzą.

Miejsce sali z zielonkawym aparatem zajął nowy obraz. Ogromny tłum ludzi w burnusach i galabijach pod ścianami meczetu; uniesione ku niebu pięści, usta otwarte do krzyku, lufy automatów, zielone flagi, transparenty z angielskimi i arabskimi napisami...

Borneo? Asasyni? Nie, raczej Bagdad albo Kabul - skonstruował Litwin. - Asasyni nie robią takich zbiegowisk i nie wymachują bronią bez potrzeby. Pierwsze przykazanie Biranu: wzięłeś automat, musisz zastrzelić niewiernego...

Obraz zmienił się. Tym razem Litwin widział fragment filmu historycznego: jasne słońce, błękitne morze i dwa statki pod pełnymi żaglami, duży hiszpański galeon i fregata z czarną piracką flagą na maszcie. Błysnął ogień, buchnęły kłęby szarego dymu, we wszystkie strony poleciały kawałki rej i desek, zatańczyły płomienie, pożerając nadburcie. Hiszpanie w błyszczących kirysach podnieśli muszkiety, oddali salwę, ale było za późno - statki zetknęły się. Poleciały liny i haki, horda półnagich wściekłych piratów wpadła na pokład, wymachując ostrzami i toporkami. Runął maszt, rozgniatając dziesiątkę muszkieterów, mignęła odcięta ręka cały czas trzymająca broń.. Potem bez żadnego przejścia pojawił się statek na poduszce powietrznej wyglądający jak pływający pałac z napisem na burcie: „Transatlantycki prom Wenecja”. Za nim przemknął stratosferyczny liniowiec: widok z góry, widok z boku, salon pełen pasażerów, eleganckie stewardesy i na zbliżeniu - napoje, ostrygi, kawior. Reklama.

No nieźle! - pomyślał Litwin. - Najwyraźniej nie potrafią odróżnić fikcji od rzeczywistości! Piracki żaglowiec i współczesny statek... Ale fakt, trudno dojść, o co chodzi, jeśli się nie wie, co jest ważne!

Ich oczom ukazała się nowa scena: restauracja lub bar, stoliki, mnóstwo ludzi pijących, jedzących, wymachujących z podniecenia rękami, jasne światła pod sufitem, długi blat, a na nim jasnowłosa młoda dama. Tańczy i z czarującym uśmiechem rozbiera się powoli: precz bluzka i spódnica, Płynny ruch pupą, obrót, jeszcze jeden, zrzucony biustonosz, palce na sterzących sutkach, ześlizgują się w dół ku pończochom i figom, ale nieruchomieją: jeszcze nie czas. Dziewczyna wychodzi na salę, tańczy między stolikami, mężczyźni zwracają się ku niej, wsuwają banknoty za podwiązki. Jakość obrazu jest kiepska; najprawdopodobniej bezpośredni przekaz z knajpy - to ostatnio takie modne. Dają blondynce eulary, zatem tańczy nie w Moskwie. Pewnie gdzieś w Europie albo w Stanach...

- Wyjaśnij! - Io wbiła srebrne oczy w Litwina. - To eksperyment medyczny? A może biologiczny? Ale dlaczego tak dużo... - kula sufler milczała, dlatego chwilę trwało, nim ślicznotka znalazła właściwe terminy - lekarzy, medyków? Badają ksa i przyjmują pokarm...

Dlaczego? Tak jest u was przyjęte?

- Medycyna nie ma z tym nic wspólnego, a biologia... biologia pewnie trochę, ale ta poniżej pasa - powiedział Litwin. - To striptiz, przedstawienie. - Zastanawiał się przez moment, po czym dodał mściwie: - Brak innego terminu!

- Niezrozumiały t' rmin można opisać za pomocą innych, zrozumiałych terminów -

wtrącił Jegg.

- Dobrze, postaram się. Takie ruchy i widok kobiecego ciała sprawiają mężczyznom przyjemność. - Litwin wskazał blondynkę wciąż wijącą się między stolikami. - To swego rodzaju sztuka. Bardzo podnieca mężczyzn.

- Sztuka - powtórzyła Io, a kaff na jej głowie zamigotał. Migotał bez przerwy całą minutę; pewnie nie rozumiała dostarczanych przez komputer informacji o sztuce. -

Powiedziałeś, że nagość kobiet podnieca mężczyzn... W jakim sensie? To reakcja psychiczna czy fizyczna?

- I jedno, i drugie. Zmienia się bilans hormonalny, wzrasta ciśnienie krwi i liczba uderzeń serca, powstaje napięcie mięśni... i jeszcze kilka rzeczy. To stary mechanizm.

- Związany z rozmnażaniem?

- Niekoniecznie.

Io popadła w zadumę. W takich momentach twarz człowieka ulega zmianie; czoło przecinają zmarszczki, brwi wędrują do góry, zaciskają się wargi, pogłębiają bruzdy wokół

ust. Nieświadoma gra mięśni odbijająca tok myśli... Ale u ksa bino faata żadne tego typu zmiany nie wystąpiły - tylko wzrok jej zastygł, a powieki zakryły srebrzyste oczy.

Po chwili podzieliła się z Litwinem przemyśleniami.

- Gdybym była naga, czy to by cię podnieciło?

- I to jak! - przyznał Litwin. - Wyglądasz znacznie lepiej niż tamta blondynka. Nie wspominając nawet o zapachu...

- Zapach, tak... - Io zmrużyła lekko oczy. - Zapach oznacza, że jestem blisko okresu tuahha. Siedem albo osiem cykli i zapadnę w t'hami, a tobie przydzielą nowego tłumacza.

- Tłumaczy - doprecyzował Jegg. - My, Io i ja, jesteśmy z tego samego pokolenia i t'ahha mamy w tym samym czasie.

- Czy to znaczy, że nie potrzebujecie snu? Regularnego wypoczynku?

Io rozpostarła ręce w znajomym geście.

- Nie. Potrzebujemy tylko normalizacji procesów hormonalnych i rozładowania napięcia w określonych momentach. Zazwyczaj zajmuje to od pięciu do ośmiu cykli. -

Spuściła wzrok i wyszeptała: - Nie jest przyjęte pytać o takie rzeczy, ale może powiesz, kiedy u ciebie wypada tuahha?

Wygląda na to, że zabrnęliśmy w ślepią uliczkę - pomyślał Litwin, a na głos powiedział:

- Do tej pory jakoś sobie radziłem. Mamy mnóstwo sposobów rozładowania napięcia.

Widzieliście je z pewnością, jeśli odbieracie audycje z Ziemi. - Wskazał milczącego ochroniarza. -  
A co z nim? Jemu także zdarza się tuahha?

- Jak wszystkim - rzuciła Io. - Chcesz coś jeszcze zobaczyć?

- Oczywiście. Sale t'hami. Szczególnie tę, w której umieszczono kobietę z Ziemi.

Muszę sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku.

- To bardzo daleko - wtrącił Jegg. - Trzeba jechać.

- To pojedziemy!

Blondynka striptizerka i sala pełna publiczności zniknęły. W ścianie błysnęła membrana i przez przezroczystą zasłonę Litwin zobaczył kontury kabiny, miękką szarawą podłogę i skomplikowane wzory z różnokolorowych linii - płonących, jak mu się zdawało, w powietrzu. Schemat komunikacji!

Ach, zrozumieć go... A przy okazji dowiedzieć się, jak wzywają środki transportu...

Może za pomocą tej kulki? Kaffu?

- Tutaj.

Io ruszyła w stronę membrany, za nią podążył ochroniarz.

Dobry moment - przemknęło przez głowę Litwinowi. - Nie muszę pobić go na śmierć, ale spróbować mogę. Niby przypadkiem...

Udając potknięcie, wziął zamach i uderzył ochroniarza między łopatki. Miał wrażenie, że wpadł na skałę.

*Ziemia,*

*Nowy Jork, Moskwa i Bruksela*

Gdy podczas posiedzenia Rady Bezpieczeństwa rozpatrywano czwarty i ostatni tego dnia punkt programu (dotyczył kolejnego kryzysu), wstał Umkonto Tloome, przedstawiciel Niezależnego Terytorium Zulusów<sup>24</sup>. NTZ nie było stałym członkiem Rady, ale wielkie mocarstwa uważały, że słabych tego świata należy wciągać do prac wszelkich komisji i komitetów ONZ - oczywiście nie jako stałych członków i jedynie z głosem doradczym.

Stwarzało to pozory demokracji i dawało młodszym partnerom miłe złudzenie, że ich zdanie coś znaczy w światowej polityce, a ich prezydenci, dyktatorzy i królowie są traktowani na równi z VIP-ami ze Stanów i Europy. Członkom niestałym nadawano tytuł doradcy; zazwyczaj dokooptowywano ich na sześć do ośmiu miesięcy, wybierając osoby zrównoważone i płynnie władające angielskim. Wśród wszystkich tych osobistości Umkonto Tloome był osobą najspokojniejszą - w ciągu siedmiu tygodni pracy w Radzie nie wypowiedział ani jednego słowa, chociaż angielski znał doskonale. Teraz jednak zanosilo się na to, że zamierza wygłosić całe przemówienie.

Zaczął od pytania.

- Czy znana jest wam, panowie, hipoteza astronoma Li z obserwatorium Kepler?

Panowie zareagowali różnie. Amerykanin chrząknął z rozdrażnieniem i zagryzł wargi, Francuz i Niemiec ziewnęli, przedstawiciel Brytanii, lord Michael Manson, człowiek dobrze wychowany, włączył nagrywanie na pocketerze i zamknął oczy, a Japończyk Tatsumi nalał

sobie szklaneczkę mineralnej. Jedynym, kto nadstawił ucha, był przedstawiciel UEA, Borys Gorczakow. Zareagował czysto instynktownie na chińskie nazwisko, jak zresztą na każdą wzmiankę o Chinach graniczących z Rosją i jej azjatyckimi satelitami na długości ośmiu tysięcy kilometrów. Jakkolwiek patrzeć, to jedna piąta długości równika! I półtora miliarda pracowitych, ale głodnych obywateli ostrzących sobie zęby na Mongolię, Syberię i Kazachstan.

<sup>24</sup> Niezależne Terytorium Zulusów (NTZ) - państwo afrykańskie utworzone w 2043 roku w wyniku podziału terytorialnego między białymi i czarnoskórymi mieszkańcami RPA. Uznawane przez ONZ.

Dlatego właśnie Gorczakow przetaił okulary i zapytał:

- Co za hipoteza, doradco? Powiada pan, astronom Li... Czy jest jakoś związana z technologiami kosmicznymi?

- Raczej z bezpieczeństwem kosmicznym - oznajmił Umkonto Tloome. Miał białe zęby, ciemną skórę, imponujący wzrost i wspaniałe oksfordzki akcent. - Wyniki obserwacji doktora Li Chena zostały opublikowane w dzienniku „KosmoSpiegel”, a potem, po przedwczorajszej konferencji prasowej ZSK, przedrukowane przez „Rénmin Ribào”, „Nuevo Sicilia”, „Tetris Plus” i szereg innych tytułów.



- Brukowce - burknął Jarvis, przedstawiciel Stanów. - Szczególnie to „Rénmin”, niżej upaść już nie można!

- A co pan powie o „New York Herald”, „London Express” i „Światłach Moskwy”? -

zagadnął Tloome. - I o kanałach JBC, Inter-Inform i Rosja 1?

Sir Michael otworzył oczy i pokiwał głową pokrytą szacowną siwizną.

- Tak, przypominam sobie... „Herald” i „London Express” zamieściły notatki o skandalu wywołanym przez reportera „KosmoSpiegła”... Zdaje się, niejakiego Güntera Fossa?

- Zgadza się. On pierwszy nadał rozgłos hipotezie Li.

Gorczakow nie oglądał telewizji i nie czytał gazet poza „Rosyjskim Informatorem Rządowym”, ale zatrudniał dwie dziesiątki referentów wyszukujących w prasie nowiny godne uwagi. Ufał im całkowicie. Jeśli w porannym przeglądzie nie było wzmianki o chińskim astronomie Li, to wszystkie jego hipotezy były albo jawną bzdurą, ale próbą autoreklamy.

Uspokojony Gorczakow zdjął okulary, przetarł je i znowu wsadził na nos. Cierpiał na lekką krótkowzroczność - wadę, którą można było skorygować w ciągu dwóch godzin w każdej porządnej klinice, ale nie śpieszył się z zabiegiem. Okulary podkreślały jego status i dodawały mu szyku; a w dodatku zamontowano w nich tyle chytrych urządzeń nie mających nic wspólnego z wadą wzroku!

- Coś sobie przypomniałem - wtrącił nieoczekiwanie Monserat, przedstawiciel Francji.

- Jestem, koledzy, wielbicielem Patricka MacCaffreya z JBC i przedwczoraj... nie, wczoraj słuchałem przeglądu wydarzeń. Padły w nim te nazwiska. Jestem pewien, że padły! Foss i Li!

Zdaje się, że twierdzą, jakoby do Układu Słonecznego wtargnęli Obcy? Gdzieś w pobliżu Jowisza? Myślałem, że to żart. MacCaffrey to Irlandczyk, a Irlandczycy, jak wiecie, mają dziwne poczucie humoru. Oni...

- To nie żart, monsieur Monserat! - Tloome przerwał Francuzowi. - Sprawa jest na tyle poważna, że radzę jak najszybciej poinformować sztab ZSK. A jeszcze lepiej skontaktować się z admiralicją i ustalić, co sądzą o tym admirałowie. ZSK powołano do obrony cywilizacji przed niebezpieczeństwami z kosmosu. Byłoby dziwne, gdyby uczestnicy tego spotkania, jak by nie było, członkowie organu ONZ, uprzedzali takie działania ZSK, jak wywiad w dalekiej przestrzeni, analiza podejrzanych artefaktów i prowadzenie polityki informacyjnej. Jeszcze dziwniejsze jest to, że o zagrożeniu dowiadujemy się nie od Sił

Kosmicznych, a z prasy i telewizji. Musicie się zgodzić, panowie, że taką sytuację trudno nazwać normalną. Krążą plotki, że bazy ZSK na Księżycu i na Marsie są bardzo wygodne.

Kawa, sauny, oranżerie, baseny, świetne kliniki... Czy aby nasi admirałowie nie obrośli tłuszczem, siedząc w swych przytulnych gabinetach? I jak mawiają Rosjanie - skłonił się w stronę Gorczakowa - much już nie łapią?

Przez twarz Jarvisa przebiegł dziwny grymas.

- Czy pan mówi poważnie, doradco? Nie chodzi mi o to, gdzie zasiedzieli się admirałowie: w gabinetach czy raczej w barach z dziewczynami, a o istotę sprawy. Sądzi pan, że są powody do niepokoju? Że do nas - wykonał szeroki gest - rzeczywiście wtargnęli Obcy?

Na twarzach członków Rady wykwitły uśmiechy. Po nudnym posiedzeniu nie mieli nic przeciwko odrobinie rozrywki, a zaproponowany temat wróżył kilka minut dobrej zabawy. Monserat wymieniał szeptem uwagi z Niemcem Pfeifferem, Tatsumi wygodnie rozsiadł się w fotelu i pociągnął łyk wody ze szklanki, a Gorczakow poprawił okulary - tak, by skierować wbudowaną w oprawkę miniaturową kamerę na Tloome'a. Twarz Zulusa była nieprzenikniona, tylko ciemne policzki lekko poszarzały.

- Hmm... - mruknął sir Michael i za stołem zapanowała cisza. Lorda Mansona szanowano, nie tyle z powodu skromnego wkładu Brytanii w zapewnienie bezpieczeństwa Ziemi, ile za wyrafinowanie i genealogię. Jego przodek, Olivier de Mans, był kapitanem w armii Wilhelma Zdobywcy, a tytuł barona otrzymał w czasach, gdy Ziemię trzymały jeszcze trzy wieloryby.

- Druga wojna światowa dała ogromny impuls do rozwoju techniki wojennej - rzekł w zamyśleniu sir Michael. - Pamiętajcie: bomba atomowa, potem wodorowa, rakiety balistyczne, podbój bliskiego kosmosu, program HAARP25 i w końcu orbitalne platformy bojowe.

Wszystko tak czy inaczej związane z atmosferą i kosmosem, a efekty prób można było obserwować tysiące mil od miejsca wydarzenia. Ludzie widzieli świecące dyski i kule, 25 HAARP - High-frequency Active Auroral Research Program (Program Badania Aktywności Zorzy Polarnej przy Użyciu Wysokich Częstotliwości). Zapoczątkowany w latach 80. XX w. w Stanach Zjednoczonych. Pod pretekstem pokojowego badania górnych warstw atmosfery wybudowano na Alasce gigantyczne emitery promieniowania elektromagnetycznego zdolne do tworzenia obłoków plazmy. Nie udało się przewidzieć skutków zastosowania takiej broni, dlatego instalację zakonserwowano (taka jest przynajmniej wersja oficjalna), ale tajne badania kontynuowano zarówno w USA, jak i w Rosji.

odłamki silników raketowych, strumienie gorących gazów, a czasami odnajdywali to, co spadło na Ziemię - fragmenty utajnionych urządzeń. Spowodowało to swoistą histerię trwającą blisko osiemdziesiąt lat. Jedni opowiadali o obserwacjach statków kosmicznych, inni

- że nawiązali kontakt z Obcymi, a nawet zostali poddani eksperymentom biologicznym... -

Lord Manson odchylił siwą głowę. - No cóż, na Ziemi nigdy nie brakowało szaleńców. Czy aby Li i Foss nie zaliczają się do tej grupy?

Tloome wzruszył ramionami.

- Pamiętam tę historię, sir. Powiem więcej: wiem, że wspomniana przez pana historia została sprytnie wykorzystana jako pretekst do utworzenia ZSK. Ale w naszych czasach takie insynuacje są niemożliwe, bo kontrolujemy Układ Słoneczny aż do pasa asteroid.

- Twierdzi pan, że błędy przeszłości nie mogą się powtórzyć? - zapytał Monserat. - A ja sądzę, że to

bdzura! Człowiek jest głupi i uparty, nie ma błędu, którego by nie powtórzono dziesiątki razy od czasów antycznych po dzień dzisiejszy.

- Zgadza się - oznajmił Tloome. - Tym bardziej że w tym przypadku cele są jasne: autoreklama, wzrost nakładów gazet oraz dochodów telewizji i witryn Ultranetu.

- Każdy stary pomysł można wyciągnąć na światło dzienne, odświeżyć i dobrze sprzedać - dodał Pfeiffer. - Weźmy chociażby Kościół Kosmicznych Satanistów albo neoluddystów, nowych zielonych czy apologetów Wielkiej Albanii. A ci... jak im tam..

- Ufolodzy - podpowiedział sir Michael.

- Tak, ufolodzy... Dlaczego mieliby się nie odrodzić?

Jarvis zachichotał.

- W odpowiednich warunkach można przywrócić nawet prohibicję. To by dopiero był numer! Gorszy od kosmitów!

Gorczałow nic nie powiedział, tylko ze zdumieniem patrzył na Umkonto Tloome'a.

Twarz Zulusa jeszcze bardziej poszarzała, ramiona opadły, skóra jakby nagle straciła sprężystość i obwisła, ciemne oczy straciły blask i posmutniały.

Czyżby tak to przeżywał? - zastanowił się Gorczałow. - Wyraźnie wziął sobie do serca brednie reportera i szemranego astronoma. Dla dyplomaty to niewybaczalny grzech!

- Widzę - powiedział Tloome, prostując się - że mamy problem z akceptacją rzeczywistości. No cóż... Wysłuchaliście mnie, ja wysłuchałem was i nie mam pretensji o niedowierzenie. Ale mimo wszystko pomyślcie, czy nie warto by nawiązać kontaktu ze sztabem ZSK? Taki niewielki wysiłek! Można nie dowierzać mnie, można uważać, że dane Li są błędne, można podejrzewać, że Foss to oszust... Ale i tak pozostaje jeden niezaprzeczalny argument... - zrobił dobrze zaplanowaną pauzę i rzucił: - A jeśli?

Ma rację - zdecydował w duchu Gorczałow. - A jeśli? Jakaś szansa zawsze jest.

\* \* \*

Tej samej nocy skontaktował się z nim Asadin, wielce wpływowa osoba z otoczenia prezydenta. Gorczałow nie wiedział, jakie zajmuje stanowisko - możliwe, że Asadin nie miał

żadnego konkretnego przydziału. Krążyły słuchy, że nadzoruje tajne operacje UEA i wchodzi w skład prezydenckiego sztabu wyborczego. Poza tym, prawdopodobnie, chodził razem z prezydentem do szkoły albo studiował z nim na Wydziale Nauk Politycznych Uniwersytetu Moskiewskiego i był, jak twierdziła prasa, krewniakiem prezydenta. Być może nie prezydenta, a pierwszej damy, w każdym razie zausznikiem pary prezydenckiej.

Słuchy, plotki, pogłoski... Ale jedno Gorczakow wiedział na pewno: ustami Asadina przemawiał doń prezydent.

W Nowym Jorku była pierwsza w nocy, w Moskwie dziesiąta rano, a nad Atlantykiem

- w strefie, gdzie wisiał przekaźnik orbitalny - także królowała noc i ciemność. Komunikowali się głosowo, bez wideo - wielostopniowy kod i urządzenie szyfrujące nie umożliwiały przekazywania obrazu. Tak nawet było lepiej: nie trzeba zachowywać kamiennej twarzy, można palić, pić kawę i ziewać.

- Prezydent zapoznał się z przesłanym przez pana nagraniem ostatniego posiedzenia - oznajmił Asadin. - Pewne rzeczy wzbudziły jego zainteresowanie.

Gorczakow zaciągnął się papierosem, wypuścił kłęb dymu, łyknął nieco kawy.

- Mam przysłać dodatkowe informacje?

- Nie, nie ma takiej konieczności. Proszę poprzeć wniosek doradcy Tloome'a.

Aktywnie. Tak, aby dla wszystkich było jasne: inicjatywa wyszła od prezydenta UEA.

- Zacieśniamy stosunki z Południową Afryką? A czemuż to? - zapytał Gorczakow, unosząc brwi ze zdziwienia. Oczekiwał dyskusji na temat kryzysu politycznego w kontekście uzyskania zgody na rozbudowę rosyjskiej bazy na Syberii. Zainteresowanie bredniami Tloome'a mogło, w jego mniemaniu, oznaczać tylko jedno: rozgrywki z Zulusami w jakimś nieznanym celu.

Rozległ się suchy śmiech Asadina.

- Nie, Borysie Siergiejewiczu. Nie mamy żadnego interesu w Terytorium Zulusów...

Po prostu sądzimy, że Tloome ma rację. Obecnie analizujemy informacje przekazywane przez środki masowego przekazu. Jest w nich mowa o raporcie Johna Bradforda, dyrektora obserwatorium Kepler. Materiały te najprawdopodobniej zostały przekazane sztabowi Sił

Kosmicznych i Tymochin już je zna.

- Skontaktuję się z nim. Natychmiast!

- Proszę się skontaktować, ale nie w sprawie raportu. Bez względu na jego treść chcielibyśmy, aby Trzecia Flota przerzuciła znaczne siły do obszaru, gdzie znajdują się hipotetyczni przybysze. Właśnie Trzecia Flota, rozumie pan? Powiedzmy, cztery ciężkie krążowniki: Pamir, Sachalin, Tajga i Barakuda. W ich załogach przeważają Rosjanie, zgadza się?

- Tak - potwierdził Gorczakow. - Tak. Jednakże...

Zamyślił się, wyczuwając jakąś intrygę. Nie znosił intryg i zakulisowych gier, aczkolwiek będąc

trzeźwym politykiem, rozumiał, że ani jednych, ani drugich nie można uniknąć. Nieraz bywało, że partnerzy z ZSK próbowali wykorzystać swą pozycję do rozwiązywania wewnętrznych problemów, poprawy spadających notowań albo jako bata, którym można pogrozić opozycji. Zjednoczone Siły Kosmiczne stworzono z różnych pobudek

- dwie były jawne, a trzecia, choć nie mówiono o niej głośno, również nie stanowiła dla nikogo sekretu. Po pierwsze umocniono związek między Europą, rosyjską częścią Eurazji i Ameryką Północną, a wspólne rozwijanie kosmicznej techniki wojskowej otwierało fantastyczne wręcz perspektywy - co potwierdziły ostatnie dziesięciolecia. Napęd termojądrowy, superwytrzymałe materiały i elektronika umożliwiły stworzenie statków operujących w granicach Układu Słonecznego, częściową kolonizację Marsa i dotarcie do pasa asteroid. Po drugie zaś wspólnymi siłami chroniono Ziemię przed kometami, meteorytami i wybuchami na Słońcu - i to właśnie najbardziej nagłaśniano.

Trzecią, przemilczaną, przyczyną była globalna władza nad Ziemią. Bojowe platformy orbitalne i bazy księżycowe stanowiły świetny cel dla chińskich, koreańskich czy pakistańskich rakiet; na planecie nie brakowało podejrzanych sąsiadów. Zasadniczo Kraj Środka mógł rozmieścić dziesiątki takich platform - rezultatem potyczek byłoby nieodwracalne zniszczenie powłoki ozonowej i radioaktywne skażenie atmosfery. Równie przykry problem stanowiła walka z terrorystami, separatystami, fanatykami religijnymi i handlarzami narkotyków. Operacje prowadzone przeciwko nim na Ziemi związane były z ogromnymi

stratami,

powodowały radykalizację nastrojów wśród mieszkańców oczyszczanych terenów, a do tego trwały miesiącami, a nawet latami. Dzięki temu element przestępczy zyskiwał czas na przygotowanie obrony: przestępcy mogli albo się ukryć między cywilną ludnością, albo przeprowadzić ataki uprzedzające, coraz bardziej dotkliwe, gdyż postęp technologiczny sprawiał, że broń ciężka ewoluowała w ręczną, ręczna w kieszonkową, a fiolka z trucizną lub szczepem bakterii bądź wirusów mogła spustoszyć milionowe miasto.

Wobec takich wyzwań bezsilne były służby specjalne, armia i oddziały komandosów, zbyt powolne, nieruchawe i co najważniejsze, walczące z wrogiem jak równy z równym: pięść przeciw pięści, ostrze przeciw ostrzu. Potrzebna była taka przewaga i mobilność, by złoczyńcy wiedzieli: zostaną znalezieni i zniszczeni nie za miesiąc, nie za dzień, ale w ciągu minuty.

O to chodziło: statki pozaatmosferyczne, latające twierdze z potężną bronią, myśliwcami, czołgami i komandosami, mogły uderzać z orbity jak błyskawica. Mogły wypatrzeć na Ziemi zapaloną zapałkę, wziąć na pokład samolot rejsowy, zamrozić statek, zalać gazem pieczary i dżungle, otworzyć laserem wejście do podziemnego tunelu albo spalić plantację maku. Trzydzieści lat wcześniej, w epoce admirałów Younga, Robina i Ilina, trzeba było na to kilku godzin; teraz okręt w stanie gotowości bojowej reagował cztery razy szybciej.

Zazwyczaj za takie zadania odpowiadała stacjonująca na Księżycu Pierwsza Flota, ale okręty Drugiej i Trzeciej także uczestniczyły w operacjach skierowanych przeciwko kartelom.

Druga Flota stacjonująca na Marsie była traktowana jako rezerwowa; zazwyczaj działała na rzecz

korpusu naukowo-badawczego ZSK i pomagała przeróżnym ekspedycjom naukowym, także tej najambitniejszej, której zadaniem był wieloletni lot ku Obłokowi Oorta<sup>26</sup>.

Najpotężniejsza i najbardziej mobilna była Trzecia Flota z bazami na Merkurym i w pasie asteroid; jej zadanie polegało na kontrolowaniu Układu Słonecznego, inspekcji kopalń i stacji kosmicznych oraz udzielaniu pomocy w razie katastrof i awarii. Z tego powodu Trzecią Flotę rozśrodkowano, a jej eskadry bojowe - w składzie: ciężki rajder z dwoma lub trzema fregatami lub mniejszymi krążownikami - mogły znajdować się w dużej odległości od siebie.

Jakiej konkretnie, tego Gorczakow nie wiedział.

Wrzucił niedopałek do szczeliny utylizatora i powiedział:

- Aby zebrać wymienione przez pana okręty, trzeba czasu. Myślę, że od kilku dni do dwóch tygodni. Co więcej, taki projekt może wywołać zdumienie zarówno w Radzie Bezpieczeństwa, jak i w sztabie ZSK. Nie jestem pewien, czy zdołam przeprowadzić nasz plan.

- Dlaczego?

- Wymysły tego Tloome'a były bardzo ekstrawagancie... Ale gdybyśmy nawet się z nim zgodzili i wysłali okręty, jest lepsze rozwiązanie. A nawet dwa. - Gorczakow przetarł

okulary, nalał sobie kawy, wdychał przez chwilę cudny aromat, by po chwili kontynuować: -

Nie znamy współrzędnych i trajektorii przybysza, ale założmy, że jak twierdzi prasa, leci od Jowisza ku Ziemi. W takim razie jeśli nadal znajduje się przed orbitą Marsa, przechwyci go 26 Obłok Oorta (znany też pod nazwą Obłoku Öpika-Oorta) - obszar na obrzeżach Układu Słonecznego, składający się z okruchów materii pochodzącej z okresu przed utworzeniem planet. Okruchy te po zbliżeniu do Słońca stają się zaczątkiem komet. Odległość Obłoku od Słońca wynosi 150 j.a.

Druga Flota, a jeśli bliżej Ziemi - Pierwsza. Główne siły tych Flot są skoncentrowane w dużych bazach, a nie rozrzucone po całym Układzie. Z tego płynie oczywisty wniosek: to operacja Cháveza albo Haleya, a nie Tymochina.

- Zatem gdyby zacząć ją natychmiast... - zauważył Asadin. - Ale nie będziemy się śpieszyć. Damy Tymochinowi czas, powiedzmy trzy, cztery dni na dyslokację eskadr. Tak, by w odpowiednim momencie miał pod ręką potężne zgrupowanie, do tego na korzystnych pozycjach. Gdzie dokładnie: poza orbitą Marsa czy gdzieś bliżej Ziemi... Tymochin powinien wiedzieć najlepiej, od tego jest admirałem! - Rozległ się suchy śmiech, jakby ktoś stukał

palcami w blachę. - Czy to rozsądna taktyka, Borysie Siergiejewiczu?

- Jak najbardziej. Proszę tylko wziąć pod uwagę, że mój wpływ na Radę Bezpieczeństwa i Tymochina nie jest nieograniczony.

- Rozumiem. Ale mam nadzieję, że Rada Bezpieczeństwa nie sprzeciwi się manewrom Trzeciej Floty. Proszę omówić to z kolegami i nawiązać kontakt z Tymochinem. Admirał

wykona postanowienia Rady.

Gorczałow pociągnął jeszcze łyk kawy i pokiwał głową z aprobatą - napój był odpowiednio gorący i mocny. W sam raz taki, by pomóc przetrzymać bezsenną noc.

- Jedno pytanie, Władlenie Juriewiczu... Może podpowie mi pan jakieś ważne powody? Nie dla Rady, a dla Tymochina.

Asadin westchnął. Deszyfrator przekształcił ten dźwięk w nieznośne skrzypienie.

- Wybory za pasem, Borysie Siergiejewiczu. Troska o bezpieczeństwo Ziemi zwiększy szanse prezydenta. A jeśli rzeczywiście coś się czai... tam, w pustce... jakiegokolwiek kłopoty albo radości na nas czekają, jest to punkt zwrotny w historii cywilizacji. W takich momentach nie zmienia się przywódców.

- A jeśli - Gorczałow odruchowo spojrzał w górę - niczego tam nie ma?

- Wtedy nic nie zyskamy, ale i nic nie stracimy.

- Oprócz pieniędzy. Przerzucenie czterech rajderów wraz z towarzyszącymi okrętami to droga operacja.

- To nic, to nic. Po pierwsze, Związek finansuje dwadzieścia trzy procent wydatków ZSK, a po drugie, manewry podtrzymują w żołnierzach ducha walki. Zakładam, że to wystarczające argumenty dla Rady.

\* \* \*

Dom stał na skraju Brukseli. Porządna budowla z początku wieku: ściany z żelazobetonu pokryte z wierzchu ciemnoniebieskim plastikiem, w środku - dębowymi panelami, wzmocnione sufity i podłogi, dach z wytrzymałej ceramiki uzbrojony stalową siatką. Budynek był parterowy, ale z piwnicą, w której poprzedni właściciele urządzili pokój dziecięcy. On dzieci nie miał. Mimo najszczerzych chęci nie mógłby ich mieć ani tutaj, ani w żadnym innym miejscu. Ale przebywał na Ziemi wystarczająco długo, by przyswoić koncepcję rozwoju żywego stworzenia i jego metamorfozy od malusieńkiej zbitki pozbawionego świadomości ciała po istotę rozumną. Co więcej, dzieci wydawały mu się bliższe i bardziej zrozumiałe, bo w ich organizmach zmiany fizjologiczne przebiegały prędzej. Oczywiście, nie tak szybko jak u niego, ale bardziej zdecydowanie niż u dorosłych osobników.

Pokój dziecięcy pozostawił bez zmian, nie ruszył ani miękkiego obicia podłogi, ani ścian ozdobionych malunkami bajkowych królestw, w których żyły zabawne zwierczaki przypominające nieco polderów, drugą rozumną rasę jego świata. Pomieszczenie było puste, ciemne i przestronne, a on lubił przestrzeń. Najlepiej czuł się na stadionach i w dużych salach koncertowych. Jednakże przywykł do ludzkiego zwyczaju chowania się w małych komórkach zastawionych meblami i masą urządzeń hałasujących ponad wszelką miarę. Bez trudu dostosowywał się do każdego warunków i wyglądał jak człowiek, choć człowiekiem nie był.

Leżał teraz na podłodze wpatrzony w kulkę wiszącą tuż nad jego twarzą. Z zewnątrz ta niewielka sfera wyglądała tak samo jak kaff łączący przybyszów z Okrętem, ale była dostrojona do mózgu człowieka z Ziemi. Kula miała też inne funkcje, nie tylko komunikacyjne, ale wątpił, czy da się z nich skorzystać. Wszystko zależało od mocy mentalnej, a ta nie była silną stroną ludzi - w końcu dopiero co zleźli z drzew!

Bino faata Trzeciej Fazy byli starsi i bardziej doświadczeni, aczkolwiek podobni do miejscowych potomków antropoidów. Tak zadziwiająco podobni, że możliwe było nawet krzyżowanie międzygatunkowe - jeszcze jeden psikus, bo przecież zbieżność fizjologii nie oznaczała adekwatności psychiki i organizacji społecznej. Bino faata z pewnością brali to pod uwagę i zbierali informacje; nie było wątpliwości, że wycisną z więźniów wszystko do ostatniego bitu, neuronu i genu. Zresztą aktywne sondowanie wykazało, że jeden z jeńców znajduje się cały czas w fazie aktywnej i może wpływać na rozwój sytuacji. Oczywiście jeśli w odpowiednim momencie dostanie kaff i zgodnie, jak z niego korzystać.

Leżał nieruchomo wpatrzony w zawieszoną w powietrzu kulkę. Nie dziwiło go tak wielkie podobieństwo bino faata do Ziemiaków, którzy uważali tych pierwszych za najeźdźców zagrażających sanktuarium ludzkości. Obcy, przybysze, kosmici... Ileż razy w ciągu ostatnich dni powtarzał te słowa, przekonując twardogłowych i niedowiarków. Jednakże chodziło nie o słowa ani nawet nie o to, że w pewnym sensie uważał się za człowieka. Sytuacja była znacznie prostsza! Nie miał ochoty zobaczyć kiedyś statków bino faata w pobliżu swego rodzimego świata.

Trzeba było okiełznać ich ekspansję tak, jak zrobiono to z silmarri, iliano i innymi zbyt agresywnymi rasami pretendującymi do prawa władców Galaktyki. Okiełznać lub chociażby nie pozwolić im tknąć artefaktów Antycznych. Powstrzymać... Dlaczego by nie tutaj?

Skoncentrował się i podjął pierwszą próbę. Nieudaną! Wysłany przezeń impuls dystorsyjny uwiązł w chaosie piany kwantowej<sup>27</sup>. Nie był w stanie go pokonać. Za duża odległość... Tutaj, na Ziemi, mógł w mgnieniu oka przemieścić się do dowolnego punktu lub przerzucić masę kilkudziesięciu kilogramów, ale tylko na odległość porównywalną z rozmiarami planety.

Statek bino faata był jeszcze daleko, między orbitą Marsa a pasem asteroid; trzeba zdobyć się na spory wysiłek, by wysłać tam małe kaff. W zasadzie mógł z tym poczekać -

tak czy inaczej Okręt podążał w kierunku Ziemi i z każdym dniem przebycie przestrzeni wymagało coraz mniej wysiłku. Ale czy za kilka dni jeniec nadał będzie żył? Choćby za dwa dni? Któż to mógł wiedzieć!

Na razie wyczuwał jego obecność przez dzielącą ich otchłań. Czuł jego gniew i determinację, zdumienie i samotność, a chwilami zagubienie i strach... Tak silne emocje były jak latarnia morska dla kaffu. Mocny się trafił egzemplarz! Jakie to szczęście, że przechwycili go z krążownika, że krążownik, jakby popchnięty ręką losu, stanął na drodze Okrętu. Była to w istocie niewielka fluktuacja, drobne zdarzenie, ale od niego zależało przetrwanie rasy. W

innym wariantcie bino faata wzięliby jeńców na Marsie, na asteroidach albo na statku transportowym;



byliby to ludzie przypadkowi: administratorzy, budowniczy, górnicy...

Załamaliby się szybko, z kaffem czy bez kaffu. A ten desantowiec...

Podjął kolejny wysiłek. Wpatrzony w kulkę przebijał się do jeńca. Powtarzał to raz za razem, aż pod ciemnym sufitem pokoju rozbłysła błyskawica i rozległ się odgłos wybuchu.

Kaff znikł.

Wyczerpany zamknął oczy.

27 Piana kwantowa - chaotyczne fluktuacje cząstek subkwantowych w obszarze o rozmiarach Plancka.

Podczas próby dystorsji przestrzeni (natychmiastowego przemieszczenia jej dwóch punktów) piana kwantowa działa jak czynnik przeciwdziałający.

*W pobliżu orbity Marsa*

- Co to? - zapytała Io. - Po co pojemnik spuszczone do dołu?

W ciągu ostatnich dni, a dokładniej cykli, którymi odmierzano czas na statku, wielokrotnie powtarzała takie pytania. Co to? Dlaczego? Po co? W jakim celu? Pytania wiele mówiły. Litwin już rozumiał, że Obcy chcą uporządkować chaos informacyjny, dźwięki i obrazy napływające z Ziemi, Księżyca i Marsa. Poziom nauki, techniki, łączności i transportu, a także konstrukcje orbitalne i budowle na planetach nie interesowały ich - wszystko to mogli ocenić bez dodatkowych komentarzy. Zagadnienia takie, jak wojna i pokój, stosowanie siły i władzy, ekspansja ludzkości w kosmos czy postęp techniczny, także nie nastroczały trudności.

Wszystko, co można było wyjaśnić, stosując prawa logiki, i co miało odpowiedniki w ich świecie, Obcy rozumieli w lot; niejasna i tajemnicza była sfera uczuć, nieracjonalność ludzkiej duszy i wynikające z niej sprzeczności. Szereg elementów ziemskiej kultury, takich jak religia, seks, sztuka, humor, przywiązanie i miłość, był dla nich dziwny, niezrozumiały lub zbędny. Bez wątpienia byli pragmatykami. Ów pragmatyzm, troska o przetrwanie rasy, mentalny związek z Okrętem sprawiały, że byli bardziej zjednoczeni niż ludzie.

- Co to? - powtórzyła Io.

Siedzieli na podłodze w kabynie, gdzie więziono Litwina. Na górze zamiast kopuły błyszczało lazurowe niebo, a pod nim przepływały hologramy: ciemnozielone świece cyprysów, droga z procesją samochodów, płyty z wyciętymi datami i imionami, grupka osób i prostokątny grób, do którego na linach spuszczano trumnę. Wyglądało to na pogrzeb kogoś ważnego: tłum był spory, grała orkiestra, a obok mogiły stało trzech mężczyzn w sutannach.

- Cmentarz - odpowiedział Litwin. - Na cmentarzu chowa się zmarłych. Pojemnik to trumna, a w niej jest nieboszczyk. Obyczaje są różne: czasem zakopują ciało w ziemi, czasem palą. Gdybym zginął, spalono by mnie w reaktorze, a proch rozsypano w kosmosie.

Astronauci mówią na to „Odejść do Wielkiej Pustki”.

Chciał dowiedzieć się czegoś o McNeal. Widział ją podczas wędrówek po statku i był

zduimiony, że wciąż jest przetrzymywana razem ze śpiącymi kobietami. Litwin tego nie rozumiał. Przecież z dwojga jeńców można wycisnąć więcej informacji niż z jednego... Ale McNeal nie wróciła do kabiny.

- Chowają... - Kaff w ciemnych włosach Io zamrugał. - Teraz rozumiem. Kiedyś, przed Pierwszym Zaćmieniem, u nas postępowano tak samo, palono ciała, a z prochów zmieszanych z gliną robiono... Brak terminu. To było bardzo dawno. Jeszcze w macierzystym świecie.

- A co się robi teraz?

- Każda substancja organiczna stanowi surowiec do syntezy pożywienia.

- Oszczędne chłopaki - mruknął Litwin. - Do syntezy pożywienia, powiadasz... A dalej co? Zjedli i zapomnieli?

- Nie zachowujemy pamięci o tho. Działania w pełni rozumnych są zapisane w... Ty nazywasz to urządzenie komputerem.

- Ja nazywam... A to nie tak?

Io milczała. Ostatnią dobę spędzili we dwoje, bez Jegga - być może dlatego, że lepiej radziła sobie z językiem, a angielskim władała praktycznie swobodnie. Ale czy zawsze rozumiała sens wypowiedzi? Słowa to nie mentalne porozumienie, słowa to tylko dźwięki, a znaczenie, które im nadajemy, zależy od doświadczenia rozmówców i ich postrzegania rzeczywistości. Weźmy na przykład słowo „zaufanie”... Jak je rozumieją Io i Jegg? Jak je rozumie Aiwe?... Litwin nie czuł ani odrobiny zaufania do pośrednika Aiwe, mimo że zawarli umowę. Ale na wojnie, jak to na wojnie: najpierw trzeba oszukać, a potem zniszczyć.

Oczywiście, jeśli się uda.

Nachylił się w stronę kobiety i zapytał:

- Dlaczego milczysz? Przecież ustaliliśmy: ty pytanie, ja pytanie, ty odpowiedź, ja odpowiedź... Jeśli masz wątpliwości, zapytaj Aiwe.

- Czasem lepiej jest nie zadawać zbyt wielu pytań - powiedziała, a kulka na jej skroni zajaśniała światłem. Krajobraz z cmentarzem znikł, a jego miejsce zajęły trzy nieruchome sylwetki. Trzy manekiny: Azjata, Afrykanin i Europejczyk. - Aiwe jest ciekaw... - zaczęła Io, ale Litwin pokręcił głową.

- Najpierw moje pytanie o komputer. To jest maszyna logiczna czy coś innego?

Brwi Io powędrowały ku górze, wargi zadrżały. Jej rysy nie przypominały już zastygłej maski, ale co spowodowało taką przemianę, Litwin nie wiedział - być może przywykł

do widoku Obcych i nauczył się dostrzegać ich mimikę, być może Io kopiowała wyraz jego twarzy. Tak bardzo przypominała teraz ziemską kobietę! I ten zapach... Po prostu oszalamiający.

- Maszyna jest martwa, a Okręt... Okręt w pewnym stopniu żyje. Jest quasi-żywy i quasi-rozumny. Lepiej nie potrafię tego wytłumaczyć. Jestem tho, nie faata. Jest żywy, ale nie tak jak ty czy ja, i rozmawia z w pełni rozumnymi bez żadnych urządzeń. - Io musnęła kulę kaffu.

- Sztuczna inteligencja.

- Nie, coś takiego istniało w okresie Drugiej Fazy i skończyło się wraz z kolejnym Zaćmieniem. Teraz rozum Okrętu nie jest programowany, hodują go i uczą. Tyle że rośnie i przyswaja wiedzę szybciej od nas.

- To struktura organiczna? Białkowa?

- Organiczna, ale nie na bazie węgla. Tę substancję... te stworzenia znaleziono na jednym z Porzuconych Światów. Tam, gdzie wcześniej żyli daskinowie.

- Kto?

- Stara Rasa - cicho wyszeptała Io. Jej jasne wargi pobladyły.

Robi się coraz ciekawiej - pomyślał Litwin. Miał na końcu języka setki pytań, w tym także o McNeal, ale umowa jest umową. Westchnąwszy, zwrócił się w stronę trzech hologramów znieruchomiałych na środku kabiny i powiedział:

- Co interesuje Aiwe?

- Status tych istot. Jesteś podobny do jednej z nich, a na waszym statku było wielu takich samych, z dominującego gatunku. Ale byli też inni, o ciemnej skórze, i dwójka z wąskimi oczami.

Japończyk Harukichi, trzeci nawigator, i Amerykanin chińskiego pochodzenia Denis Yue, strzelec - automatycznie pomyślał Litwin. - Niech im przestrzeń lekką będzie.

- Pośrednicy mają różne zdania - powiedziała Io. - Stworzono kilka hipotez na temat ich wyglądu i roli.

- Chętnie posłucham - Pośrednik Aid uważa, że to wasi rozumni w ograniczonym stopniu. Ich zewnętrzny wygląd zaprojektowano tak, by różnili się od dominującego gatunku.

Tijcz jest innego zdania: sądzi, że pojawili się w wyniku eksperymentów genetycznych albo mutacji. Być może miała na nich wpływ ekologia waszego świata... Ale Aiwe nie zgadza się.

Myśli, że to specjalizowane istoty, coś w rodzaju ksa lub olków.

Nowe słowo - zauważył Litwin i zapytał:

- Kim są olkowie?

- Widziałeś ich. Są tacy... - Io rzuciła spojrzenie w stronę ochroniarza. - Specyficzna odmiana... - Kula we włosach zaświeciła i kobieta wyciągnęła rękę w stronę hologramów ludzkich sylwetek. - Aiwe mówi...

- Nieważne, co mówi Aiwe. I on, i pozostali pośrednicy są w błędzie, to nie mutanci ani nie sztuczne twory. To ludzie tacy jak ja. Wiecie przecież, że na Ziemi jest wiele języków? - Io kiwnęła głową; jeszcze jeden w pełni ludzki gest. - Ile jest języków, tyle narodów należących do trzech podstawowych ras. Powstały w wyniku ewolucji w jak najbardziej naturalny sposób.

- Ale nie jesteście podobni... - wyszeptała Io.

- On też nie jest do ciebie podobny. - Litwin spojrział na strażnika.

- To wynik celowego dobru. Zdaje się, że u was jest inaczej... taka bogata pula genowa... - Kaff zamigotał i po kilku sekundach kobieta oznajmiła: - Aiwe jest zadowolony.

To cenna informacja.

- Skoro tak, to powiedz, dlaczego nie oddają Abbie. Za długo już śpi!

Nim zdążył się opanować, zaszło coś zupełnie nieoczekiwanego: kaff zgasł, Io wysunęła szczupłą dłoń, kulka bezgłośnie upadła i znikła w rękawie. Kobieta zbliżyła się do Litwina, dotknęła policzka zarośniętego ciemną kłującą szczecinią. Palce miała chłodne i delikatne.

- Nie pytaj o to. Nigdy jej nie zobaczysz. Zapomnij, jeśli nie chcesz, aby twe życie dobiegło końca. Wiedza jest groźna!

- Nie tak się umawialiśmy... - zaczął Litwin, lecz ona wstała i ruszyła w stronę membrany. Zielona przylegająca odzież nie kryła niczego. Ze zdziwieniem zauważył, jak pełne i jędrne są jej piersi, jak gibka talia, jak zgrabne biodra. Policzek wciąż pamiętał dotyk jej dłoni.

Io znikła, a wraz z nią także pozbawiony emocji ochroniarz. Przez jakiś czas Litwin siedział oszołomiony, nie próbując nawet uporządkować natłoku uczuć. Jakaś istotna myśl krążyła jak ptak nad gniazdem; rozważał słowa Io o śpiącej gdzieś Abbie, dumał o własnym losie. Zdobył tak wiele nowych informacji! Oczywiście nie poznał szczegółów, ale mimo wszystko... Być może oprócz ludzi i faata w Galaktyce żyją inne rozumne rasy? Ci daskinowie, o których wspominała Io... i coś jeszcze, coś ważnego, ale nie związanego z aluzjami do zagrożenia, jakie pociąga za sobą wiedza...

Uspokoił się i pamięć od razu wróciła. Skowronek! Pewnie, że Skowronek! Io powiedziała: na waszym statku było wielu takich... A więc krążownik nie został porzucony w przestrzeni, jest gdzieś tutaj! Ukryty w którejś ładowni tej międzygwiazdnej łajby, rozbity, zniszczony, pełen martwych ciał... Po co go wyrzucać? Zniszczony krążownik to przecież cenna zdobycz, kiedy zbiera się informacje!

Ech, znaleźć by go - pomyślał Litwin. - Może coś się uchowało, gryf, karaluch albo chociażby skafander bojowy... A najlepiej - reaktor! Gdyby tak zdestabilizować pułapki magnetyczne, nieźle by huknęło! Wspaniały sposób na wyrównanie szans w negocjacjach z Aiwe i jego drużyną!

Zasepiony zwrócił się w stronę membrany i zlustrował ją smętnym spojrzeniem.

Daremne marzenia... Nie ucieknie z klatki, nie odszuka krążownika. Jak go znaleźć w ogromnym labiryncie setek pokładów i tysięcy kajut? Korytarze pozagradzane, linii transportowych od groma i trochę, a komputer, ten quasi-rozumny stwór, z pewnością kontroluje wszystkie ruchy...

Poczuł, jak przez cienką tkaninę kombinezonu coś go uciska. Nie wstając, pomacał się pod kolanem, wyczuł jakiś mały gładki przedmiot, wyjął go i uniósł do oczu. Na dłoni leżała kulka o średnicy około półtora centymetra, podobna do idealnie okrągłej perły. Przez trzy albo cztery sekundy wpatrywał się w cudo, potem zacisnął pięść, jakby chciał ukryć znalezisko przed wszystkowiedzącym okiem komputera. Kręciło mu się w głowie, nozdrza drażnił zapach, słodki zapach Io.

Kaff! Klucz, interfejs! Prezent od niej! Chce pomóc? A może to tylko sprytna pułapka? Ktoś ma ochotę pogrzebać mu w mózgu?

W pamięci odżył obraz twarzy Corcorana: błędne oczy, drżący kącik ust, strumyczek śliny ściekający po podbródku. Okropne wspomnienie! Lepiej już wpaść pod ostrzał

własnych swomów, jak nieszczęsny Rodriguez! Przypomniał sobie modlitwę Richarda i choć nie wierzył ani w Boga, ani w diabła, przeżegnał się niezgrabnie.

- Panie, pomóż! Gdy wrócę do Smoleńska, zapalę świeczkę w cerkwi. Klnę się na reaktor!

Uniósł rękę i przyłożył kulkę do skroni; przyłgnęła, jakby przyklejona do skóry.

Minęła minuta, dwie, trzy, ale nic się nie działo. Potem...

\* \* \*

Przestrzeń dosłownie rozwarła się, rozszerzając w setki wymiarów. Litwin wciąż jeszcze przebywał w przypominającym hantle segmencie, lecz równocześnie był na zewnątrz; gigantyczne ciało, z którym stanowił teraz jedność, rozciągało się na wszystkie strony jak pajęczyna złożona z nieskończonej liczby nici przeprowadzonych do najdalszych zakamarków Okrętu, do każdego czujnika, terminala, efektora, silnika, do przezroczystej kuli z obrazami gwiazd, do poszycia, za którym błyszczały te same, tylko niewyobrażalnie dalekie gwiazdy. Tysiące nici prowadziły do tysiąca oczu, pozwalając widzieć naraz tysiące różnych obrazów: windy, przejścia, kapsuły transportowe, komory o najdziwniejszych kształtach, obszerne ładownie - puste albo zapchane sprzętem, sale pełne zawieszonych w nieważkości ludzi i inne pomieszczenia, w których poruszali się Obcy w jaskrawych przylegających ubraniach, wykonując niezrozumiałe czynności: szybowali wokół spiralnych rur i spowitych białą mgłą konstrukcji powiązanych z nimi siecią przewodów. Zadziwiające było to, że obrazy nie zlewały się, lecz istniały jakby w oddzielnych oknach tworzących mozaikowe panneau - nie płaskie, lecz przestrzenne jak oko ważki. Litwin zauważył ogromny szyb konwertera nadświetlnego, toroidalne silniki do lotów wewnątrz systemów planetarnych i coś przypominającego kanciaste kolce wystające rzędami wzdłuż korpusu. Wewnątrz też wypatrzył wiele ciekawych rzeczy, jakich nie widział wcześniej na schemacie statku - na przykład dwa cylindryczne tunele, równie gigantyczne jak szyb konwertera, położone po obu jego stronach. Być może były to rezerwowe bloki energetyczne, bo w środku widać było masywne pierścienie z takich samych kolców jak na zewnątrz.

Widok tak oczarował Litwina, że nie od razu wyczuł czyjaś obecność. Było to dziwne uczucie, nieco przerażające; nie słyszał żadnych najcichszych nawet dźwięków, lecz mimo to był absolutnie pewien, że nie jest sam w tym królestwie milczenia i ciszy. Wstrzymując oddech, podszedł w stronę obcego rozumu i nagle zrozumiał, że intelektów jest wiele: jedne przemieszczały się w oknach obrazach albo pogrążone w t'hami pojawiały się w nich drzemiące jako ledwie dostrzegalne cienie; drugie - nieruchome, ale lepiej wyczuwalne -

trwały w węzłach ogromnej pajęczyny. Wydało mu się, że pierwsze należą do ludzi i unikają kontaktu

jak ziarnka piasku we wzburzonej wodzie, ale z nieruchomymi mógł nawiązać kontakt. Rozumy były różne: duże w miejscach rozwidlających się odnóg, mniejsze - w zwykłych punktach przecięcia. Dość szybko Litwin pojął, że ma przed sobą system nerwowy Okrętu, mnóstwo ośrodków połączonych arteriami komunikacyjnymi. Największy z nich znajdował się pod kulą z obrazami gwiazd - będącą prawdopodobnie przyrządem nawigacyjnym.

Skupił uwagę na urządzeniu. Jedna z komórek mozaiki natychmiast rozszerzyła się, odsłaniając spowitą mrokiem wysoką salę. Na obrzeżach sufitu widoczne były ledwie dostrzegalne nisze, a w nich znieruchomiałe ludzkie sylwetki, ni to odziane w płaszcze, ni to owinięte w błyszczącą folię.

Węzły komutacyjne, coś jak kokony w gryfach - wydedukował Litwin, po czym skierował uwagę na podwyższenie zajmujące środek sali. Tam nad płaskim czarnym dyskiem wisiała kula średnicy mniej więcej półtora metra, a obok niej unosiły się w powietrzu trzy postacie. Jedną poznał od razu - był to Yata, Opoka Porządku; pozostali musieli być jego pomocnikami. Ich ręce podrygiwały nad kulą, a w takt tych ruchów wewnątrz przyrządu przeskakiwały iskry.

Wyznaczają kurs?... - pomyślał Litwin i nagle domysł zmienił się w niewzruszoną pewność.

Otrzymane znikąd potwierdzenie było tak jednoznaczne, jakby ktoś potaknął.

Właściwie przybrało formę słowa, choć Litwin nie potrafił pojąć istoty przekształcenia - może myśl stała się słowem pod wpływem jakiegoś zewnętrznego czynnika, a może sprawił to jego mózg przyzwyczajony do operowania słowami. Zadrzał, zacisnął zęby i odchyliwszy do tyłu głowę, wbił wzrok w kopułę sufitu.

Słyszysz mnie? - zapytał bezgłośnie. W głowie zabrzmiała odpowiedź.

*Słucha-mmm...*

Kim jesteś? Komputerem?

*Nie. Quasi-żywy Okręt... quasi-żywy, quasi-rozumny... - I po chwili znowu, tym razem jakby ciszej:  
- Okręt... Okręt...*

Ten głos, bezcielesny, rozbrzmiewający wyłącznie w świadomości, w niczym nie przypominał ochrypłego krakania, a przez to był jeszcze straszniejszy. Oszołomiony Litwin zwinął się na podłodze. Wstrząs był znacznie silniejszy od tego, który przeżył podczas pierwszego spotkania z bino faata. Oczywiście, przylecieli z gwiazd, lecz fakt ten jedynie podkreślał ich zdolność myślenia, mówienia i działania w sposób przynależny ludziom lub istotom tego czy innego gatunku - choć różniącym się wyglądem, to bez wątplenia żywym, rozumnym i obdarzonym inteligencją. Ich nagła obecność nie zaliczała się do kategorii cudów, tymczasem kontakt telepatyczny z przedmiotami - bez różnicy: z czajnikiem, krzesłem czy komputerem - zakrawał na przerażającą magię. Szczególnie jeśli ów komputer utrzymywał, że jest czymś więcej - quasi-żywym, quasi-rozumnym Okrętem.

Ale w tym właśnie tkwiło sedno. I choć Litwin nie potrafił odgadnąć, skąd czerpie tę wiedzę był pewien, że ma do czynienia nie ze sprytnym programem ożywionym przez tysiące elektronicznych

modułów, nie z martwym przedmiotem, a z bytem.

- Niewiarygodne! Zadziwiające i straszne!

Dotknął skroni, by odrzucić kaff, ale ręka zastygła w pół drogi. Zrezygnować z takiej szansy? Toż to głupie i niewybaczalne! Może podarunek Io nie był koniem trojańskim, należało go więc wykorzystać. Uciec z kajuty i zniknąć w czeluściach Okrętu, znaleźć McNeal, odszukać wrak Skowronka... może nawet zdobyć broń... Innego wyjścia nie dostrzegał. Okręcie! - zawołał w myślach. - Okręcie!

I usłyszał znajomy odzew:

*Słucha-mmm...*

Słucham czy słucham się? Trzeba sprawdzić. Szybko, póki nikt nie namierzył rozmowy.

Twoi właściciele wiedzą o naszym kontakcie?

*Właściciele: termin niepoprawny. Właściwy: symbionty.* - Pauza, a po niej pytanie: -

*Informowanie ich nie jest konieczne?*

Nie jest konieczne - potwierdził Litwin, ale zaraz przyzwyczajenie precyzyjnego wyrażania myśli podczas kontaktów ze sztuczną inteligencją wzięło górę, dodał więc: -

Polecenie: o nawiązanej ze mną łączności nie informować nikogo.

*Przyjąłem.*

Możesz rozsunąć membranę w tym segmencie?

*Nie ma takiej potrzeby. Z kaffem można przejść bez przeszkód.*

Klucz - przypomniał sobie Litwin - nie tylko interfejs, ale i klucz.

Usadowił się wygodnie i zadał kolejne pytanie:

Gdzie jest Skowronek? Ten uszkodzony statek, który wzięłeś na pokład?

*W segmencie przeznaczonym na ładunek.*

Jak się tam dostanę?

Natychmiast zobaczył schemat - taki sam jak wtedy, gdy wsiadali do kapsuły. Kilka linii zamigotało, wskazując trasę.



*Za segmentem jest przedsionek i korytarz. Z lewej strony port linii transportowej.*

Jak daleko?

*W jednostkach ziemskich siedemdziesiąt dwa i pół metra.*

Litwin wstał, odbijając się bez trudu od sprężystej podłogi, i bez wahania ruszył w stronę membrany. Była teraz niewyczuwalna, podobnie jak kolejna, oddzielająca oddaloną część pomieszczenia od wąskiego zygzakowatego przejścia. Minął przedsionek, pokonał

następną membranę i wszedł do szerokiego korytarza, który zdawał się prowadzić donikąd.

Był tu podczas pierwszej wyprawy z Io i Jeggiem, ale wtedy poprowadzono go w przeciwnym kierunku - o ile dobrze pamiętał, w stronę szybu grawitacyjnego. Winda bez drzwi i kabin zawiozła ich na górę, do sal, gdzie za przezroczystymi ścianami krążyły korowody światła, błyszcząca poświata przypominająca zorzę polarną. Według słów Io były to urządzenia aktualizujące mapę okolic Słońca - jasność i spektrum gwiazd, ich masy i obecność planet. Litwin pomyślał wtedy, że być może bino faata przybyli z odległości mierzonej setkami parseków i dlatego ten fragment Galaktyki jest im nieznanymi.

Sprecyzować?... - przemknęła myśl, ale okiełznał ciekawość. Miał ważniejsze sprawy.

- Port linii transportowej z lewej strony - wymamrotał i ruszył bezludnym korytarzem.

Oko ważki z mnóstwem okien obrazów majaczyło gdzieś na obrzeżach świadomości jak niewyraźny miraż. Wystarczyło opuścić powieki, by nabrał ostrości - najwyraźniej przekaz szedł bezpośrednio do ośrodka wzroku. Było to irytujące, toteż Litwin nawiązał kontakt myślowy z niewidocznym rozmówcą i nakazał:

Usunąć informację wizualną. Poinformujesz, gdy dojdę do portu linii transportowej.

Mentalne obrazy znikły, ale uczucie związku z ogromnym stworem, w którego wnętrzu przebywał, trwało nieprzerwanie. Stworzenie wydawało się Litwinowi czymś w rodzaju mięczaka obdarzonego wytrzymałą muszlą, zdolną przemierzać oceany gwiazd, mgławic i obłoków gazowych. Obraz potwornego mięczaka prześladował go, ale rozum ukryty w Okręcie nie odpowiadał - widocznie tak skomplikowane skojarzenia były dlań niedostępne.

- Quasi-rozumny - powiedział Litwin, naruszając ciszę panującą w korytarzu. -

Quasi... rzekomy, pozorny to określenia nie pasujące do rozumu. Inteligencja albo jest, albo jej nie ma: prosta logika zero-jedynkowa bez żadnych quasi i pseudo. Co ty na to, przyjacielu?

Ani potwierdzenia, ani zaprzeczenia. Widocznie Okręt reagował tylko na konkretne pytania.

Przeszedł około stu metrów, gdy w mózgu zabrzmiało:

Port. Z lewej, w niszy.

A co jest z drugiej strony?

*Komora do adaptacji tho.*

Ale Litwin nie dostrzegł ani komory, ani żadnego pomieszczenia. Był tam balkon bez jakiegokolwiek balustrady, duży półokrągły występ wiszący nad pustą przestrzenią i oddzielony od korytarza ścianą z pobłyskującymi membranami. Rozejrzał się, popatrzył na niszę zwieńczoną ciemną kopułą sufitu, mruknął i ruszył dziarskim krokiem w stronę najbliższej membrany. Pustka za nią okazała się niebem, lecz niepodobnym do ziemskiego - z góry sączyło się zielonkawe światło, płynęły kremowe i liliowe obłoki, błyszczało pomarańczowe ciało niebieskie i jeszcze jedno, bledsze, przypominające księżyc wschodzący na wieczornym nieboskłonie. Postąpił kilka kroków do przodu i wyrzwał poza skraj balkonu. Jakieś piętnaście, dwadzieścia metrów pod nim rozciągała się przyjemna okolica: zbocze wzgórza porośnięte brązowym mchem albo niską gęstą trawą, zakole rzeki otaczającą wzniesienie, a za nim na horyzoncie dalsze wzgórza i drzewa tworzące idealne okręgi. Między wzgórzami a rzeką na płaskim brzegu migają ludzkie sylwetki. Litwinowi zdawało się, że podskakują, biegają, koziółkują jak stadko dzieci dokazujących na świeżym powietrzu. Ale to nie były dzieci -

widział błyszczące w promieniach słońca czaszki, potężne karki i ramiona pokryte zbroją mięśni.

Okręcie!

*Słucham.*

Co tam się dzieje?

*Adaptacja tho do warunków naturalnych.*

Litwin wychylił się za brzeg balkonu i popatrzył uważniej w dół.

To nie tho. To ochroniarze, tak? Olkowie?

*Olkowie* - potwierdził głos rozbrzmiewający w mózgu. - *Trenują w środowisku planetarnym.*

Trening? W jakim celu? Po co...?

Nie zdołał dokończyć pytania. Niespodziewanie światło zamigotało, zniknęły ciała niebieskie, wzgórza i drzewa, brzeg rzeki i obłoki, a Litwin znalazł się na balkonie przyklejonym do powierzchni ogromnego pustego cylindra. Na dnie pomieszczenia tłoczyło się z pięćdziesiąt osób, wszyscy nadzy, muskularni, pozbawieni włosów; stali i zadzierając głowy, patrzyli na niego. Potem nastąpiła zmiana - poczuł, że staje się lekki jak balonik, choć pojęcia góry i dołu nie znikły.

Zmniejszyli grawitację - pomyślał Litwin. - Ale po co?

W następnej chwili trzech ochroniarzy odbiło się energicznie od podłogi i wskoczyło na balkon. Nie mieli ani bransolet, ani zbroi, ale i bez tego budzili respekt, jak na trolle przystało, szerokimi pozbawionymi emocji twarzami, potężnymi ramionami i rękami stworzonymi po to, by łamać i dusić. Pierwszy wylądował o krok od Litwina, a ten, nie czekając na atak kopnął przeciwnika w kolano

ciężkim butem. Olk poleciał na ścianę, uderzył

w nią głową, a Litwina siła bezwładności odrzuciła w drugą stronę, zdążył się jednak odwrócić w powietrzu i przyjąć uderzenie na nogi. Walka w warunkach nieważkości lub niskiej grawitacji była sztuką niełatwą i zdradliwą, nie można było jej opanować ani na Ziemi, ani nawet na Księżycu; nauczano jej na stacjach orbitalnych ZSK, a szlifowano umiejętności w pasie asteroid. Tam każda inspekcja kopalni czy innego przedsiębiorstwa mogła się zakończyć pijacką awanturą, bójką w barze dla górników albo potyczką z przemytnikami. W kopalniach, pieczarach i sztolniach simy i gryfy były nieprzydatne, a spory załatwiano po staremu, bronią ręczną i wyszkoleniem.

Litwina wyszkolono znakomicie. Drugiego przeciwnika popchnął i rozpląszczył na ścianie, gdy tylko ten się pojawił nad krawędzią balkonu. Ale trzeciego, ostatniego, nie dał

rady przechwycić; troll zręcznie zahamował, zaczepiając stopami o brzeg balkonu, i ruszył do ataku. Co dziwne, nie próbował uderzać, lecz złapał Litwina za rękę i ścisnął biceps mocno jak w imadle. Dysponował niewyobrażalną siłą, a mimo to Litwin czuł, że walczy nie ze skałą, tylko z żywym człowiekiem. Wykręcił dłoń, wyswobodził się z uchwytu Obcego, podciął go skutecznie, przewracając na podłogę, zaparł kolanem w krzyż, chwycił za podbródek i pociągnął. W takiej pozycji kręgosłup trzeszczy, przed oczami wirują krwawe kręgi, jednakże troll nadal się nie poddawał.

- Żelazne masz kości, kolego - wycedził przez zęby Litwin i uderzył w podstawę czaszki. Olk zachrypiał i zwiotczał. Litwin zrzucił go z balkonu, po czym nie czekając na kolejny atak, szybko ruszył w dół ku membranę i wycofał się do korytarza.

Tam w głębokiej niszy czekała kapsuła transportowa. Zakołysała się pod jego ciężarem, ale natychmiast odzyskała równowagę i nabierając prędkości, ruszyła do przodu. Po bokach mignęły zlewające się w czarną wstęgę ściany. Litwin otarł pot z czoła i westchnął z ulgą. Potem zapytał:

Będzie pogoń?

*Nie. Olkowie nie mogą przedostać się do górnego korytarza.*

Dlaczego?

*Nie mogą pokonać membrany bez dodatkowego wyposażenia.*

Jakiego znowu wyposażenia? - pomyślał Litwin i natychmiast otrzymał odpowiedź.

*Bez aktywatorów aktywności fizycznej.*

Bransolet?

*Tak. Są to urządzenia wielofunkcyjne. Nie takie jak kaff, ale także pełnią rolę klucza.*

- Gdyby te chłopaki mieli pełne uzbrojenie, krucho by ze mną było - burknął Litwin, uśmiechając się smutno. - Co teraz? Mam nadzieję, że nikogo nie skrzywdziłem? Choć zdaje się, że ostatni stracił

przytomność... Ale żyje, tak?

*Ześć śmiertelnych nie ma. Aczkolwiek uderzenie w splot nerwowy może być przyczyną śmierci.*

Jaki splot? Gdzie?

*Tam, gdzie czaszka łączy się z kręgosłupem szyjnym - oznajmił Okręt i umilkł.*

Czuły punkt - pomyślał Litwin, intensywnie próbując sobie przypomnieć, czy miejsce to jest zasłonięte pancierzem. Tak czy inaczej było jasne, że ochroniarzom z pełnym wyposażeniem raczej nie podskoczy. Pamiętał aż za dobrze, jak wpadł na olka, gdy wsiadali do windy - jakby walnął w kamień. Można bić ile wlezie, a i tak nic to nie da...

Malutki pojazd zaczął płynnie hamować, a kiedy stanął, w powietrzu pojawił się schemat linii transportowych z jednym punktem zaznaczonym światelkiem.

Górne pokłady - wydedukował Litwin, który powoli zaczynał się orientować w topografii Okrętu. Pomieszczenia te leżały nad szybem konwertera i dwoma ogromnymi korytarzami, w których jak sądził, zamontowano systemy energetyczne. Pod tą maszyniarią kilometrami ciągnęły się hangary - dolne pokłady umieszczone symetrycznie względem górnych. Pojęcia góry i dołu były oczywiście umowne; sądząc po rozmieszczeniu wind grawitacyjnych, ciężar zarządzało lokalnie w poszczególnych punktach przestrzeni wewnętrznej.

*Pomieszczenie z rozbitym statkiem za wyjściową membraną - oznajmił bezcielesny głos.*

Litwin opuścił kapsułę i pograżył się w nieprzeniknionym mroku.

Mam nadzieję, że nie ma tu ochrony - przemknęła myśl, a za nią druga:

- Oby tylko olkowie znad rzeki nie podnieśli alarmu... Możesz ich uspokoić?

*Można wymazać wspomnienia minionych wydarzeń.*

Litwin zamarł w pół kroku.

A więc to tak! Manipulujesz ludzką świadomością? Pamięcią?

*W dopuszczalnych granicach. To nie są w pełni rozumni faata, to olkowie, najniżsi z tho. Tylko olkowie.*

Programujesz ich mózgi?

*Nie, tym się zajmują faata. - I po pauzie: - Możliwa tylko niewielka korekta, niezauważalna dla symbiontów.*

- W takim razie działaj! - Z tymi słowami Litwin dziarsko pomaszerował w ciemność, potem przystanął. - Włącz światło! Nic nie widzę.

U góry rozblęsnęła niezbyt jasna łuna, oświetlając hangar. W jego gigantycznych wnętrznościach Skowronek wyglądał jak niewielki błyszczący pocisk w puszcze po konserwach. Leżał na podwoziu, bez podpór używanych podczas lądowania, co jednoznacznie świadczyło o nieszczęściu; wrażenie potęgowały wygięte burty, rozbite wieżyczki strzeleckie, czarny nalot na srebrzystym pancerzu i przecinająca go siatka pęknięć.

Uderzenie kawałków lodu lecących z niewyobrażalną prędkością trafiło z ukosa górną część korpusu, zmiotło lokalizatory, anteny dalekiego zasięgu, baterie laserów i stabilizator. Tutaj, w więzieniu Obcych, dokończono dzieła zniszczenia: znikł pokład z komorą reaktora, a w bocznych częściach pancerza ziały ogromne dziury. Skowronek, szybujący wśród gwiazd ptak z ognistym ogonem, był teraz martwy jak drewniany dinozaur.

- Wycięli reaktor, dranie... nie ma jak wywołać wybuchu... - wymamrotał z rozczarowaniem. Obszedł statek dookoła, upewnił się, że rakiety, najgroźniejsza broń Skowronka, także znikły, a myśliwce i simy przypominają durszlaki. Odbita salwa swomów przebiła statek na wylot, od mostka i pokładu A po stabilizatory rufowe. Wiązka cząstek miała niewielki rozrzut, lodowe pociski leciały blisko siebie i wątpliwe, by na Skowronku coś ocalało.

Targany złymi przeczuciami Litwin wszedł na pokład przez wielką dziurę, przeszedł

ciemnym korytarzem na mostek i stanął przy fotelu oficera wachtowego. Powinien tu siedzieć Jacques Chevreuse, a wraz z nim piloci. Fotel kapitana znajdował się z tyłu na niewielkim podwyższeniu; z lewej strony obok bloku obliczeniowego było miejsce Zajdla, nawigatora, z prawej - łącznościowca Istvána Szabó... Oprócz nich powinien znajdować się tutaj główny inżynier, pierwszy i być może inni oficerowie wezwani po ogłoszeniu alarmu. Litwin spodziewał się zobaczyć martwe ciała, poplamione krwią kombinezony, fragmenty kości i potworne rany... Nie zobaczył jednak nic! Królujący w kabinie półmrok nie skrywał obrazu zniszczeń: popękanych przegród, rozbitych paneli, pogiętych siedzisk, roztrzaskanych ekranów komunikacyjnych. Ale ciał nie było.

- Światło! - krzyknął Litwin. - Więcej światła. Jeszcze więcej!

U góry rozblęsnęła oślepiająco jasny punkt. Teraz Litwin widział plamy krwi na podłodze i obiciach foteli, krwawe smugi na bloku obliczeniowym, ale ciał w dalszym ciągu nigdzie nie było. Tylko pod fotelem pilota walał się oderwany rękaw kombinezonu ze świecącym wciąż paskiem timera.

Rzucił się do korytarza na pokładzie A, chrzęszcząc odłamkami plastiku, przemknął

obok porozbijanych portretów poprzednich kapitanów, wspiął się po trapie i zanurkował w otwartym luku prowadzącym do wieżyczki strzelniczej.

Było tu miejsce dla czterech strzelców: dwóch przy swomie, dwóch przy laserze.

Nikogo! Tylko zniszczone panele, rozbity kołpak celownika, a na podłodze i ścianach - zaschnięta krew.

Opuściwszy wieżyczkę, Litwin stał chwilę w przejściu - już nie ciemnym, lecz zalany światłem,

co tylko potęgowało jego smutek. Hologramy pilotów i desantowców - te, które mimo zniszczeń zachowały oczy - patrzyły na niego z wyrzutem, jakby czekały na odpowiedź: „Co ty, chłopie, nie obroniłeś naszego statku?!”. Ani statku, ani załogi, ani nawet ciał, żeby było co flagą przykryć... Nie było nawet reaktora, a co to za statek bez reaktora! Ot, została tylko łajba przebita w milionie miejsc... I do tego własną bronią...

Zazgrzytał zębami i zapytał:

- Nie szukają mnie?

*Nie. Wiadomo, że dobowy rytm bino tegari wymaga snu. Na sen przeznaczone jest osiem godzin. Minęło dwie i sześć dziesiątych godziny.*

- A więc sądzą, że śpię? Świetnie! Mamy czas... A co z olkami, którzy mnie atakowali?

*Skierowani do t'hami na odpoczynek. Obudzą się bez wspomnień o ostatnich wydarzeniach.*

- Jeszcze lepiej - z posępnym wyrazem twarzy skonstatował Litwin. - A teraz powiedz mi, przyjacielu, gdzie moi kumple. Na Skowronku było ponad sto osób. Gdzie są ich ciała?

*Wykorzystane jako materiał badawczy.*

W głowie Litwina jakby szcęknął przełącznik aktywujący wewnętrzne widzenie.

Okna-obrazy zbliżyły się, urosły, zmieniły w długi szereg agregatów z przezroczystymi komórkami wypełnionymi niebieskawym roztworem. Wewnątrz pływały organy ludzkie otoczone mnóstwem igieł i manipulatorów: wątroba, serce, tkanka płucna, jajniki, nerki. Ta anatomiczna wystawa ciągnęła się w dal, za jednymi pojemnikami następowały kolejne, a w każdym coś przechowywano, czasem nawet można było dostrzec ruch. Żołądek, ucho, rzepka kolanowa, stopa, pęcherz moczowy, zęby i próbki włosów... Ręka odcięta na wysokości łokcia wystawała z giętkiej rurki, palce drgały nieprzerwanie, zginały się i prostowały, a skamieniały Litwin próbował odgadnąć, do kogo należały. W dłuższych sarkofagach leżały bezgłowe korpusy, nogi, oczyszczone szkielety i ciała z rozległymi ranami. Nie rozpoznawał

nikogo - twarze i ciała były zmasakrowane, nie wiedział, czy przez uderzenie kawałków lodu czy przez bezlitosny skalpel chirurga.

Obraz powiększył się; teraz patrzyły na niego oczy - brązowe, szare, niebieskie, zielone. Było ich kilkadziesiąt, wszystkie wisiały na cienkich jak włos, biegnących gdzieś ku górze nitkach nerwów wzrokowych. Kilka bloków wypełnionych najmniejszymi pojemnikami zajmowały próbki tkanek; z bezceremonialnością badacza przemykały po nich oślepiająco jasne punkty światła. W nieruchomych lub wirujących z ogromną prędkością naczyniach znajdowały się płyny - krew, limfa i jeszcze coś, mętne albo przezroczyste, bezbarwne lub o purpurowym odcieniu. Wyglądało na to, że znalazła się tutaj cała załoga Skowronka popaczkowana w agregatach Obcych, zdradzając im tajemnice, których lepiej byłoby nie wyjawiać.

Litwin nerwowo przełknął ślinę.

- Porąbali jak bydło... Po co?

*Optymalna strategia - wyjaśnił Okręt. - Przed kontaktem z bino tegari konieczne jest poznanie. Fizyczne i psychiczne. W tym celu pobierane są próbki.*

- A próbki nie sprzeciwiają się? - Dłonie Litwina zacisnęły się w pięści, mięśnie skamieniały.

*Taka jest cena poznania. Trzeba zbadać podstawowe struktury białkowe, sposoby wymiany energii, mikroflorę, funkcjonowanie żywego organizmu, jego wzajemne oddziaływanie ze środowiskiem, rozmnażanie, psychikę. To ułatwia kontakt. Pozwala wyjaśnić, czy nowe środowisko jest odpowiednie dla bino faata.*

- I co? Nasze jest odpowiednie? - głucho zapytał Litwin, wpatrując się w czyjeś serce.

Na naczyniach wieńcowych błyszcząły jakieś rurki, od których na boki odchodziły przewody; serce kurczyło się i rozkurczało, pompując niebieski płyn.

*Większość biologicznych parametrów adekwatna.*

Skoro tak, trzeba będzie się bronić. - To myśląc, Litwin machnął ręką. Wyrwał się z odrętwienia i polecił: - Zabierz tę kostnicę. Teraz pojedziemy na pokład C do arsenału i zobaczymy, co przetrwało. A potem opowiesz mi o bino faata, o twoich drogich symbiontach.

Szczegółowo! O ich fizjologii, psychice i całej reszcie. Skąd przybyli i czego, do diabła, od nas chcą. - Nagle obudziła się w nim złość, potrząsnął pięścią i warknął: - Widziałeś kiedyś niebo całe w diamentach?

*Nie.*

- To jeszcze zobaczysz, niech tylko się stąd wydostanę...

*Opuszczenie statku niemożliwe. Wszystkie wstępne próbki podlegają zniszczeniu.*

*Między orbitami Ziemi i Marsa,*

*a także na Ziemi*

Skryli się w przeznaczonej do odpoczynku głębokiej niszy. Nie można było stąd dostrzec płonących w kuli obserwacyjnej płomyków gwiazd, ale łączność myślowa z nią nie została zerwana, podobnie jak ze Stojącymi Przed Kulą i pilotami to prowadzącymi Okręt ku zamieszkanemu światu. Ciała prześwitywały słabo przez ochronną błonę, świadomość była widoczna jako drobne plamki na przecięciach mentalnej pajęczyny. Życie tych to trwało krótko - mierzono je w tysiącach cykli, podobnie jak wszystkich organicznych istot rozumnych, które stały się dodatkami do Okrętu. Ale poczucie jedności z nim oraz gigantycznej mocy upiększały egzystencję pilotów.

- Więzień znikł - powiedział Aiwe, dołączając do słów obraz myślowy: duży, podobny do olka bino tegari w luźnej odzieży. - Szkoda. Myślałem, że będzie z nami współpracował.

Nie sprawiliśmy mu bólu. Zgodziłem się nawet pokazać mu Okręt.

Yata pamiętał tego więźnia - był to jeden z pojmanych jeńców, których obserwował w chwili przebudzenia. Rzeczywiście duży i z pewnością agresywny.

- Kiedy to się stało? - zapytał Tijcz, Utrzymujący Łączność. Był młody i niecierpliwy; urodzony w Nowych Światach w tym samym czasie, gdy Aiwe, długożyjący, Rozmawiający z Bino Tegari, obserwował początek Trzeciej Fazy. W Wiązce dowodzącej ekspedycją Tijcz był czwarty rangą, a zarazem najmłodszy. Ale teraz naradzali się we troje - Kaya, Strateg i Obrońca Niebios, przeczekiwał tuahha.

Pośrednik rozciągnął wargi, co było wyraźnym przejawem irytacji.

- Nie wiem dokładnie. Rytm życiowy Ziemiaków zawiera okresy utraty pamięci, mniej więcej co trzy czwarte cyklu. Nie jest to t'hami, lecz proces naturalny, taki jak u naszych przodków w Pierwszej Fazie. W tym czasie moi pomocnicy oddalają się, a ja nie pracuję z egzemplarzem. Ale oczywiście, pozostaje on pod kontrolą Okrętu.

To, co powiedział Aiwe, uformowało się w kilka dźwięków i myśloform. Dźwięki były pierwszą warstwą komunikacji, złożoną ze słów, dla których trudno znaleźć myślowe ekwiwalenty, takich jak rytm, proces, okres, cykl. Bardziej konkretne pojęcia, dotyczące Ziemiaków, pomocników czy przodków, Rozmawiający przekazywał wizualnie jako wyraźne obrazy, wzbogacając je w miarę potrzeb słowem określeniem. Lecz istniała jeszcze trzecia warstwa dotycząca uczuć i emocji: niepewność i gniew, do których Aiwe się przyznawał, i skierowana do Tijcza pretensja, gdy wspomniano Okręt.

- niesprawiedliwy zarzut - skonstatował Yata. W przeciwieństwie do niego, a także Pośrednika i Stratega, Utrzymujący nie podejmował decyzji; był specjalistą łączności mentalnej z Okrętem, mógł tylko wyjaśniać i komentować. W skrajnych wypadkach udzielać rad.



Rady lub choćby wyjaśnienia były teraz konieczne. Yata wiedział, że bez pomocy Okrętu nie można pokonać membrany. A to znaczyło, że więzień nawiązał z nim kontakt.

Jak? Śledził pomocników Aiwe?... Było to sprzeczne z początkowymi wnioskami Opoki Porządku.

- Próbowałem nawiązać z nim kontakt. - Yata dotknął palcami czoła, po czym wykonał gest oznaczający odczytywanie myśli. - Nie udało się. Odniosłem wtedy wrażenie, że ci bino tegari nie odbierają promieniowania mózgowego. Ty, Aiwe, badałeś drugie z nich i doszedłeś do takich samych wniosków.

- Niezupełnie, Opoko Porządku. Ustaliłem, że nie możemy kontaktować się z nimi mentalnie ani bezpośrednio, ani za pomocą urządzeń przeznaczonych dla tho. Ale mogło to być sprytnie oszustwo. Drugi egzemplarz sprzeciwił się i w końcu zginął.

- Niełatwo cię oszukać, Pośredniku - powiedział Yata, odbierając w odpowiedzi emocje zdziwienia i żalu. Dotknął umysłu Tjicza i zapytał: - Czy bino tegari może wpływać na świadomość Okrętu? A jeśli tak, to w jakim stopniu?

- Każdy w pełni rozumny jest do tego zdolny, ale jego wpływ jest ograniczony: z jednej strony własną siłą mentalną, z drugiej instynktem samozachowawczym Okrętu. Twoje spektrum myślowe jest bardzo szerokie ale nawet ty, Opoko Porządku, nie zmusisz Okrętu do samobójstwa. Nie przyjmie takiego rozkazu.

- Czy to znaczy, że zbiegły więzień nie może nam zaszkodzić?

- Nie z pomocą Okrętu. Uzyskał dostęp do pożywienia, informacji, może przemieszczać się swobodnie i to prawdopodobnie wszystko. Żaden jego rozkaz nie zostanie wykonany.

Yata zamyślił się na chwilę. Było jasne, że bino tegari zablokował informacje o miejscu swojego pobytu, a szukanie go we wnętrzu Okrętu, kiedy nie znało się dokładnych współrzędnych, było zadaniem niełatwym, wręcz niemożliwym. Co prawda rozkazy Opoki Porządku miały najwyższy priorytet, ale czy wystarczy im siła, by zneutralizować zbiegów.

Wszystko zależało od proporcji mentalnych potencjałów, a należało założyć, że Aiwe nie docenił zdolności Ziemianina. Wśród danych napływających nieprzerwanym potokiem z Ziemi były informacje o osobnikach charakteryzujących się wysoką czułością, chociaż Pośrednik zaliczał je nie do rzeczywistości, a do tej sfery, którą Ziemianie nazywali sztuką. A jeśli... jeśli Rozmawiający nie odróżnił prawdy od wymysłów?...

Znowu dotknął Tjicza.

- Jak odszukać zbiega? Jeśli wydam Okrętowi rozkaz...

Strach, który opanował Utrzymującego, odbił się w świadomości Yaty głośnym, dźwięcznym uderzeniem.

- Nie! Nie, Opoko Porządku! Niebezpiecznie jest przełamywać siłą zakazy! Okręt to nie tho, ma

delikatniejszą budowę. Sprzeczne rozkazy mogą naruszyć równowagę. A wtedy...

Nie było potrzeby wyjaśniać, co wtedy. Quasi-rozumne stworzenia, spadkobiercy daskinów, były niegroźne, dopóki nie rozrosły się w większe formy połączone z efektorami -

bronią, silnikami, zespołami energetycznymi. Po uszkodzeniu elementu sterującego wszystko to stanowiło zagrożenie, jeszcze straszniejsze tu, daleko od domu, we wrogim środowisku.

Jednakże żywe quasi-rozumne, podstawa technologii Trzeciej Fazy, pod wieloma względami przewyższały martwe maszyny: liczyła się łatwość produkcji, bezpośrednia łączność mentalna, samodzielność w razie awarii, długowieczność i stabilność. Yata pamiętał warunki stabilności nie gorzej od Tjicza: nigdy nie wydawać sprzecznych rozkazów.

- Dobrze - powiedział - nie będę interweniował. Sam go szukaj. Tak, by nie naruszyć równowagi. Wy, Utrzymujący, macie własne zmartwienia.

- Tak - zgodził się Tjicz, a jego oczy zakryła mgła.

Taki niezwykle głęboki trans był dostępny wyłącznie dla Utrzymujących. I wyłącznie oni potrafili podczas przebywania w podobnym transie ochronić swoją indywidualność przed pełną integracją z Okrętem.

Yata spojrział na kulę obserwacji, przyjął informacje od Stojących, po czym zwrócił się do Aiwe.

- Minęliśmy orbitę czwartej planety... jak ją tutaj nazywają?... Mars?... Oddała się od nas, ale nie będę za nią gonił, nie wyślę też modułów badawczych. Są tam małe kolonie Ziemiaków, jest ich też trochę w pasie asteroid. Wszystkim tym zawładniemy, gdy zdobędziemy Ziemię. Gęsto zamieszkanym światem... Ilu ich jest, twoim zdaniem?

- Od siedmiu do ośmiu miliardów - powiedział Pośrednik. - Znacznie więcej niż faata i tho na Nowych Światach. Płodna rasa i w odróżnieniu od nas, zawsze gotowa do rozmnażania. Cenny materiał.

- Wiesz wystarczająco dużo, żeby zacząć negocjacje?

- Znam ich podstawowy język, wiem, jak chronić się przed ich chorobami, wiem wiele więcej. Nie wszystko, ale to co najważniejsze, Opoko Porządku. Możesz zdjąć pole ekranujące. Niech nas zobaczą.

- Zrobię to za kilka cykli. - Yata pomyślał o zniszczonym statku silmarri i dodał: -

Trzeba się śpieszyć, Rozmawiający. Do czasu gdy wyrośnie kolejne pokolenie, powinniśmy władać całym systemem. Jest nas tak mało... a nasze ksa nie są zbyt płodne...

Aiwe rozluźnił wargi tak, że zwisły aż na podbródek. Był to przejaw zadowolenia.

- Otwierają się przed nami interesujące możliwości, Opoko Porządku. Ziemianie są do nas podobni, bardzo podobni, o wiele bardziej niż aerowie, tronowie czy p'ata... mam na myśli nie tylko podobieństwo zewnętrzne, ale także głębsze, genetyczne. Są różnice, ale moi pomocnicy uważają, że można je pokonać. Jeśli wyhodujemy rasę hybrydową, otrzymamy nowych tho, miliardy tho: sług, żołnierzy, robotników. To rękojmia rozkwitu Trzeciej Fazy i śmierci jej wrogów.

Czując napływ emocji, Yata odpowiedział rytualnym sformułowaniem:

- Oby tak się stało. Obyśmy nigdy nie zobaczyli znowu mroku Zaćmienia! - Potem oznajmił: - Powiedziałeś, że wiesz o Ziemi nie wszystko, ale to co najważniejsze. Co konkretnie?

- Wydaje nam się to dziwne, Opoko Porządku, wręcz niezrozumiałe, ale więzień pomógł nam w zrozumieniu danych. Nie są jednym społeczeństwem. Są podzieleni na grupy, nie rozumieją nawzajem swych języków, władają fragmentami powierzchni, nie uznają władzy centralnej. Istnieje określona hierarchia tych grup, są silni i słabi, wrogo nastawieni i współpracujący ze sobą i oczywiście są też niezadowoleni. To bardzo stara struktura i niezwykle trwała. Przynależność określa nie tylko język, lecz także inne czynniki. Sztuka, tradycja, religia... To ostatnie pojęcie nie ma analogów w naszej historii. Powiedzmy, że ich religia to oddawanie czci wszechmogącym istotom, zamieszkującym poza granicami wszechświata...

- Daskinom? - przerwał mu Yata. - Wiedzą o artefakcie na gazowym gigancie?

- Nie, nie sądzę... Religia to coś innego, Opoko Porządku. Przecież powiedziałem: nie ma analogów w naszej historii. Oni...

Jako że nie istniały odpowiednie myśloformy, wyjaśnieniom Rozmawiającego towarzyszyło coraz więcej gestów i słów. Tłumaczenia stawały się coraz bardziej mgliste i niezrozumiałe. Wątpliwe, czy on sam do końca pojmował dziwactwa miejscowych bino tegari, ale główna myśl była jasna. Przynajmniej ją, Yata rozłożył ręce i rzekł:

- Dość. Wiem, że walczą o władzę nad swoją planetą i całym systemem. Tak samo jak my walczyliśmy z silmarri, lilianno i innymi rasami. Masz rację, Pośredniku, możemy to wykorzystać. Dużo im obiecujemy... wszystko, czego pragną te czy inne grupy... potem jednych przydusić, drugich poprzeć... To ich ostatecznie podzieli.

- Zawołasz z t'hami Chroniącego?

- Zawołam. Już czas.

Tijcz ocknął się. Jego oczy błędziły, na czoło wystąpiły krople potu.

- Obejrzałem mapy pól termicznych. W tym rejonie jest słabe źródło ciepła. Jedyne i prawie nieruchome. - Rozwinąwszy schemat Okrętu, Utrzymujący skierował świetlną strzałkę na jedną z ładowni. - Tam znajduje się statek kosmiczny Ziemian... Ktoś w nim pracuje?

- Wszystkie prace zakończono - powiedział Yata, patrząc w zadumie na schemat. - To więzień. Dotarł do swojego modułu... Mogę otworzyć to pomieszczenie i wyrzucić wszystko w przestrzeń. I

bino tegari, i resztki mechanizmu.

Tijcz zaniepokoił się.

- Nie radzę. Twoje polecenie powędruje przez świadomość Okrętu, zbieg spróbuje się sprzeciwić, także na poziomie mentalnym... Walka potencjałów może naruszyć równowagę.

Lepiej poślij olków. Olków z photami.

- Niech idą bez photów i wezmą go żywcem - zdecydował Aiwe.

- Jest ci potrzebny? - zapytał Yata. - Osobiście sędzę, że lepiej go zniszczyć. Masz jeszcze trzeci egzemplarz.

Pośrednik z niezadowoleniem rozciągnął wargi.

- To samica, ksa, na niej przeprowadzam oddzielne badania. A ten więzień jest mi niezbędny, żeby...

- Lepiej zniszczyć - przerwał Opoka Porządku. - Nawiązał kontakt z Okrętem, a to mi się nie podoba. Postanowiłem!

Tijcz i Aiwe jednocześnie zgięli ręce w geście pokory.

\* \* \*

- Foss! Gdzie jesteś, Foss! - wrzeszczał Angelotti, wbijając paznokcie w oparcia fotela i wpatrując się w ekran telewizora. Maleńki mikrofon podrygiwał i wirował obok jego ust jak meszka, która wpadła w strugę powietrza wylatującą z wentylatora.

- Na Ziemi Ognistej - rozległo się w słuchawce. Głos Güntera Fossa ledwie można było odróżnić wśród hurgotu, skrzypienia i szmerów. Można było odnieść wrażenie, że tam, na drugim końcu świata, walą się skały rozbijane setkami łomów albo że Foss toczy pojedynek ze stadem buldożerów.

- Ki diabeł!... Dlaczego tam jesteś? Dlaczego nie w Nowym Jorku? Słyszysz, Foss?

Dlaczego...

- Niech pan tak nie wrzeszczy, szefie. - Huk nieco ścichł, widocznie Foss wszedł do pomieszczenia. - Pan odwołał mnie z urlopu, ale ja sam wykombinuję, gdzie mam być i co robić.

- Po pierwsze, sam się odwołałeś - powiedział Angelotti o ton ciszej. - A po drugie, w Nowym Jorku w Bunkrze trwa właśnie wystąpienie Sama Clemensa. Z nadzwyczajnym komunikatem ZSK... Oglądam je właśnie... A ty gdzie jesteś, sukinsynu? Na Ziemi Ognistej?

Dobrze mówię czy coś pomyliłem?

- Nie pomylił pan. W Bunkrze jest Dick Strauser. Siedzi i słucha paplaniny.

- Dick Strauser to nie Günter Foss. To nie Dick wykopał skądś tego Li, nie Dick wcisnął dwa skandaliczne reportaże, nie Dick jest gwiazdą „KosmoSpiegła”! Gdy Clemens otwiera paszczę, chcę, żeby obok był mój najlepszy reporter. Ty, nie Strauser.

- Szefie, czuję się zaszczycony. Nie mogę powstrzymać łez wzruszenia.

W słuchawce coś tak zaryczało, że Angelotti aż podskoczył i bezwładnie opadł z powrotem na fotel. Gdyby nie tytanowy stelaż, byłaby to ostatnia chwila wysłużonego mebla.

- A co tam u ciebie, Günterze? Wybuch wulkanu?

- Nie, dysze pracują.

Szef „KosmoSpiegła” zakrztusił się.

- J-jakie dysze?

- Na admiralskiej fregacie Suzdal! - Teraz Foss krzyczał na całe gardło, przekrzykując hałas i huk. - Pan co, szefie, z księżycą spadł czy przedawkował koktajle? Jestem na chilijskim astrodromie ZSK Ziemia Ognista! Po konsultacjach z Radą admirał Tymochin wyrusza do Trzeciej Floty! Zgodził się udzielić wywiadu na wyłączność, ale tylko trzem korespondentom! Po jednym od każdego Uczestnika. Jest tu Miedwiediew ze „Świateł

Moskwy”, Lynn z „Washington Post” i ja. Dotarło?

- Madonna mia! Dlaczego od razu nie powiedziałaś? - Angelotti spojrział z ukosa na ekran, na którym Sam Clemens, szef służb prasowych, tłumaczył coś pokrętnie o manewrach Trzeciej Floty, i wyłączył dźwięk. - Ależ z ciebie cwaniak, Günterze! Jak dobrałeś się do Tymochina? Kto ci pomógł? I ile to będzie kosztowało?

- Pomógł Clemens absolutnie bezpłatnie.

- Niesamowite! A myślałem, że nie za bardzo cię lubi.

- Wręcz nienawidzi, ale też się boi. Doszedł do wniosku, że lepiej mnie ugłaskać. Jeśli znowu zrobię w Bunkrze awanturę, jak nic poleci ze stołka. - Natężenie hałasu zmalało i Foss szybko dorzucił: - Tymochin idzie do statku. Adiutanci wzywają nas... uprzedzają, że każdy ma tylko trzy minuty... Admirał jest ponury, jakby go w Nowym Jorku nakarmili gównem...

Biegnę, szefie!

Cisza w słuchawce. Angelotti chrząknął z zadowoleniem, zawołał sekretarkę i kazał

podać sobie martini z podwójną wódką. Patrząc, jak Michelle płynnie kołysze biodrami, nalewając alkohol, szef „KosmoSpiegła” rozmyślał o drogach prowadzących do sukcesu i powodzenia. Potem pociągnął łyk z kieliszka i pokiwał na dziewczynę palcem podobnym do parówki.

- Nie śpiesz się, moja droga... Jak myślisz, czego trzeba, żeby zrobić karierę? Żeby nikt cię nie przegonił, żeby zawsze mieć szczęście i żeby inni zgrzytali zębami z zazdrości?

Michelle odwróciła się, aż krótka spódniczka zafurkotała, i wyraźnie oczekując komplementu, zademonstrowała długie zgrabne nogi. Ale Angelotti tylko zmarszczył czoło.

- Nie to, moja droga, nie to. Reputacja skandalisty, oto czego trzeba! - wlał koktajl do ust i powtórzył: - Reputacja skandalisty!

\* \* \*

Tymochin był ponury. Siedząc w admiralskim salonie Suzdala, z mroczną miną oglądał panneau zdobiące ścianę naprzeciwko: święty Jerzy na białym koniu przebijający smoka ognistą kopią. To dzieło sztuki podobało mu się znacznie mniej niż skrzydlate lwy w bazie księżycowej. Lwy o twarzach dawnych władców emanowały godnością, a tu smok, skośnooki i żółty, wyraźnie przybył z Państwa Środka, co zaś się tyczy świętego, to za wzór posłużył Ilin, pierwszy rosyjski admirał w triadzie sztabu ZSK. To jawnie lizusowskie dzieło liczyło sobie ze trzy dziesięciolecia; Suzdal był starym statkiem, zdegradowanym z roli lekkiego krążownika, nieraz poddawany modyfikacjom. Ale cokolwiek się z nim działo, panneau pozostawało niezmienione.

To źle, trzeba iść z duchem czasów - myślał Tymochin. - Ilina zamienić na rosyjskiego prezydenta, chińskiego smoka na kosmitę, i to jak najbardziej odpychającego. A zamiast szkapy powinien być on sam, admirał Tymochin, w uprzęży z dzwoneczkami i długimi oślimi uszami. Wszystko odpowiednio do sytuacji...

Manewry! Też coś, manewry! Trzecią część wieku radzili sobie bez nich, nawet zapomnieli, że takie słowo istnieje! Flota i desantowcy nie bawią się w manewry, tylko pracują! Na Marsie, Merkury, Wenus i w pasie asteroid! A przede wszystkim na Ziemi.

Niekończące się wojny - Zachód przeciwko Wschodowi, neoluddyci przeciwko globalnym korporacjom, ekoterrorysty i Czerwony Dżihad przeciwko wszystkim... Dyżury bojowe, inspekcje, wyłapywanie przemytników, pomoc ofiarom klęsk żywiołowych... Plus kolonizacja Marsa, wenusjańskie stacje i kopalnie na asteroidach... Kto by miał głowę do manewrów!

Żeby to jeszcze normalne manewry, ale tym razem celem było zapobieżenie hipotetycznemu zagrożeniu ze strony kosmitów... Zresztą Tymochin łyknąłby i tę bzdurę, gdyby nie naciski ze strony ojczystych elit. To dopiero nieprzyjemność! Tym większa, że naciskał Borys Gorczakow, dobry znajomy, w przeszłości towarzysz broni w Nadamurskiej Dywizji Rakietowej. Przycisnął, a do tego jeszcze przypominał, komu admirał Tymochin zawdzięcza swą wysoką pozycję.

Oby wykorzystywanie floty w kampanii prezydenckiej nie stało się normą - pomyślał.

- Jankesi i Kanadyjczycy nie są głupi, mogą wziąć przykład... U nich wybory będą za szesnaście miesięcy; nacisną na Haleya i wyślą go z amerykańską drużyną zdobywać Plutona... A to byłoby niebezpieczne! Nie tylko ze względu na zaangażowanie sił i środków, lecz przede wszystkim dlatego, że naruszyłyby jedność Floty. Siły kosmiczne to organizacja międzynarodowa, nie można jej dzielić

na część rosyjską, amerykańską i powiedzmy, hiszpańską... A Gorczakow tego właśnie zażądał - skompletować rosyjskie załogi statków!

Sachalin i Pamir zajmowały dogodne pozycje - tu Tymochin nie mógł protestować - ale Tajga znajdowała się z drugiej strony Słońca i zmierzała w stronę Erosa<sup>28</sup>, żeby zabrać specjalistów pełniących służbę na asteroidach. Nie odwołał Tajgi, zamiast niej włączając w skład flotyli Lancastera. Gorczakowa o tym nie poinformował. Ani oczywiście nie zdjął z kursu Barakudy, która ruszyła wcześniej w stronę Jowisza, a właściwie w stronę miejsca, gdzie planeta znajdowała się dziewięć dni temu. W całej tej historii z manewrami i kosmitami było dobre tylko jedno: jeśli Barakuda zażąda nagle wsparcia, dotrzeć do niej będzie łatwo.

Wstał i zajrzał do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie trzej nawigatorzy schyleni nad świetlnymi mapnikami i komputerami wyznaczali trajektorię lotu. Nie tylko dla Suzdała, ale także dla krążowników i ich eskadr - należało wyprowadzić je bezpośrednio do punktu spotkania w odległości 2,32 jednostki astronomicznej od Słońca, zgodnie z wektorem Barakudy lecącej za orbitą Marsa. Widok pracujących oficerów uspokoił Tymochina, ale gdy wrócił do salonu i popatrzył na Jerzego ze smokiem, znowu poczuł wstręt do życia.

Kosmici, też coś! Wszystko przez jeden wybuch koło Jowisza! Trzeci adiutant Jarvis meldował, że na Keplerze uważają to za błąd aparatury, ale wyglądało na to, że takie 28 Eros, odkryty w 1898 roku, jest jedną z nielicznych planetoid o wyciągniętej orbicie: apocentrum znajduje się za orbitą Marsa; planetoida zbliża się do Ziemi na odległość 20 milionów kilometrów (mniej więcej raz na czterdzieści lat). Średnica - dwadzieścia kilometrów; kształt - wydłużony, obraca się wokół krótszej osi, w wyniku czego zmienia się jasność.

tłumaczenie nie zadowoliło ani reporterów, ani polityków. Reporterów jeszcze można zrozumieć, na awarii nie zarobią, natomiast politycy zadziwili go. Zresztą nie pierwszy raz.

„Zwyczajne pogłoski” - powiedział Magi. - „Wszystko ucichnie w ciągu tygodnia”. A tymczasem...

Tymochin zazgrzytał zębami, starając się zapomnieć o Borysie, o posiedzeniu Rady i o ostatnich minutach przed startem. Uległ usilnym prośbom Gorczakowa i spotkał się z trzema korespondentami - tylko z trzema i tylko na krótką chwilę. Wyłącznie w jednym celu -

by zasugerować, kto najbardziej dba o bezpieczeństwo Ziemi. Jak można było oczekiwać, właściwe pytanie zadał moskiewski reporter, ale potem Janke z „Washington Post” dociekał, czy admirał wierzy w kosmitów. Tymochin wykręcił się żartem. Trzeci gryziپیórek -

przedstawił się jako Foss z „KosmoSpiegla”, ten sam, który rozkręcił całą tę historię -

zaskoczył go. Zapytał o skład flotyli, a gdy usłyszał, że składa się z fregaty, trzech rajderów i ośmiu średnich krążowników, chrząknął z zadowoleniem, schylił się w stronę Tymochina i wyszeptał:

- Niech pan nie używa rakiet i swomów, admirał, odrzuci je pole ochronne.

Spróbujcie przebić je laserami, nieoczekiwanym uderzeniem pełną mocą. Proszę się nie obawiać...

Tymochin przybrał kamienną minę, odwrócił się, kiwnął na oficerów towarzyszących i ruszył w stronę trapu Suzdala. Ale nie zapomniał zuchwałości Fossa. Nie można mu było odmówić odwagi - nie każdy zdecydowałby się żartować z admirała ZSK! Na szczęście udzielał rad cicho i oficerowie niczego nie usłyszeli.

A może usłyszeli?

Tymochin wyobraził sobie, jak szepczą po kątach wszędzie od bazy księżycowej po pas asteroid. Humor popsuł mu się ostatecznie.



*W pobliżu orbity Marsa*

Litwin spędził w arsenale jakieś cztery godziny. Przechowywano tu broń przeznaczoną do operacji naziemnych i potyczek w otwartym kosmosie, skafandry próżniowe i bojowe, silniczki raketowe i racje żywnościowe, kompaktowe zasobniki energetyczne i mnóstwo wszelakiego innego sprzętu, od tnących nici po najpotężniejszą broń - miotacze plazmy MP-36. Ale stojaki z bronią były podziurawione jak sito i zmontować cokolwiek, wykorzystując zachowane części, było niemożliwością. W końcu Litwin otrząsnął się, wyszukał i przypiął do nadgarstka dysk, na tyle mały, że swomy go oszczędziły. Skręcony w ciasną spiralę dysk skrywał monomolekulamy bicz, straszną broń w rękach kogoś, kto umie się nią posługiwać, lecz przydatną tylko podczas walki wręcz, przy odległości nie większej niż pół metra.

Potem podszedł do skafandrów. Próżniowe były w oplakany stanie, ale bojowe, choć utraciły hermetyczność, wciąż nadawały się do użytku - ich plastikowego egzoskieletu nie można było zniszczyć tak łatwo jak broni laserowej. Co więcej, dało się je rozkładać i składać praktycznie bez narzędzi, wymieniając uszkodzone połączenia przegubowe - Litwin zajął się tym z maniackalnym wręcz uporem. Niezła łamigłówka! Ale krok po kroku z szesnastu uszkodzonych skafandrów zebrał jeden, i to działający, aczkolwiek nie dałby głowy za płytkę szkieletu na lewej łydce i kolanie.

Nużące zajęcie nie pozostawiało czasu na rozmyślanie, i dobrze. W zasadzie Litwin wykreślił już siebie ze stanu armii i w ogóle ze świata żywych; nie był samodzielną wartością, lecz strażnikiem unikatowych informacji potrzebnych ludzkości. Wszystko, co wiedział i czego się jeszcze dowie, należało zachować i przekazać, po czym dopiero pożegnać się z życiem. Siedział w ciemnym pomieszczeniu arsenału, przekładał szeleszczące głucho skafandry, skręcał i rozkręcał, a pamięć o Smoleńsku, o Ziemi i innych światach stopniowo znikła, rozplywając się wraz z obrazami twarzy kolegów i bliskich jak coś bardzo dalekiego i w tej chwili zupełnie nieważnego. Oczywiście, było odwrotnie, lecz on nie mógł się pograżać we wspomnieniach - sprawiały ból i przeszkadzały w pracy.

Działających baterii musiał szukać w miotaczach, tornistrach raketowych i innym sprzęcie. Znalazł sześć; każda na osiem godzin pracy w trybie bojowym lub na dwie doby w trybie roboczym. Wstawił je do gniazd na pasie, na wysokości bioder przymocował pojemniki z żywnością i mieszanką oddechową, ponapawał się przez chwilę swoim dziełem, przeliczył

dziury w naramiennikach i na rękawach, po czym zdecydował, że może być. Teraz należało zdobyć jak najwięcej informacji i uratować McNeal z opresji...

Nieoczekiwanie ogarnęło go zmęczenie, szafy i regały z nieprzydatną bronią rozplynęły się i nawet wisząca pod sufitem kula jasnego światła jakby ściemniała. Litwin wstał z trudem, podniósł skafander i ruszył w stronę swojej kajuty. Wyciągnął koję, położył

się, spojrzał w prawo, tam, gdzie było miejsce Corcorana, westchnął i odwrócił się do ściany.

Napięcie nerwowe nie opuszczało go, nie czuł ani głodu, ani pragnienia, a jedynie senność.

Jednakże sen nie nadchodził.

- Okręcie!

Ledwie mógł poruszać wargami, ale przypominał sobie, że wcale nie trzeba mówić.

Niestety myśleć też nie było łatwo.

Szukają mnie?

*Jeszcze nie. Tłumacz tho przyjdzie mniej więcej za godzinę.*

Kto przyjdzie? Io?

*Nie. Nadchodzi jej pora tuahha.*

Posłał bezgłośnie pytanie.

*Tuahha to czas podwyższonej aktywności emocjonalnej związanej z wydzielaniem hormonów płciowych - wyjaśnił Okręt. - Element cyklu życiowego pojawiający się co trzydzieści, czterdzieści dni. Wcześniej w takim okresie bino faata nawiązywali kontakt fizyczny w celu prokreacji.*

Wcześniej?

*W epoce Pierwszej i Drugiej Fazy oraz podczas obu Zaćmień.*

Przypomnił sobie słowa Io: „Zapach, tak... Zapach oznacza, że jestem blisko okresu tuahha”. To pewnie jakieś feromony...

Litwin zamknął oczy. Tak było łatwiej rozmawiać.

Jak teraz się rozmnażają?

*Sztuczne zapłodnienie. Kontakt fizyczny traktowany jest jak barbarzyństwo. Istnieją rozumne w ograniczonym stopniu samice produkujące potomstwo pod ścisłą kontrolą genetyczną.*

- Ksa? - zapytał Litwin, wspominając gigantyczną salę wypełnioną śpiącymi kobietami.

*Ksa - nadeszła myśl potwierdzenie.*

- Szkoda siostrzyczek w rozumie, braciszków też. Tyle tracą... - wymamrotał Litwin. -

Nasłać by na nich Rodrigueza... - Przypomnił sobie, że Rodriguez nie żyje, i zamilkł. Potem zapytał, ale tym razem nie głośno, a w myślach.

Co to takiego te Fazy i Zaćmienia? Coś związanego z etapami rozwoju i regresji?

*Tak. Pierwsza Faza, siedem wieków starożytnej historii pisanej, zakończyła się globalną*

*katastrofą po wyczerpaniu zasobów naturalnych planety. W ciągu trzystu lat Zaćmienia liczba rozumnych zmniejszyła się drastycznie. Potem w okresie Drugiej Fazy utrzymywano ją sztucznie na niskim poziomie, mimo że problem surowców został rozwiązany: wynaleziono transport grawitacyjny, dzięki czemu można było przywozić surowce z innych planet. Jednakże popełniono błąd - zubożono pulę genetyczną, co doprowadziło do kolejnego Zaćmienia. Bardzo szybko, w ciągu półtora tysiąca ziemskich lat. Rodziło się za mało przywódców i osobników zdolnych do twórczej pracy. Postęp zatrzymał się.*

Litwin usiadł, wyjął termos z tornistra z racjami żywnościowymi, upił kilka łyków.

Legł z powrotem.

Dalej.

*W ciągu kilku stuleci powróciły załogi pierwszych statków międzygwiazdnych. Bardzo dużych, ale niedoskonałych - przemieszczały się w przestrzeni fizycznej i podlegały paradoksom czasowym. Wy nazywacie jeden z nich...*

...paradoksem Einsteina. Czas płynie wolniej przy prędkościach zbliżonych do prędkości światła.

*Tak. Ci, którzy powrócili, dostarczyli nowy materiał genetyczny i wiedzę o systemach gwiazdnych nadających się do kolonizacji. Ale istoty żyjące na macierzystej planecie nie były w stanie podolać takiemu wyzwaniu. Powracający, mając przewagę techniczną, zaczęli obowiązkową selekcję i wyhodowali nowe gatunki tho. Wkrótce na jednej z gwiazd znaleziono prototyp i skonstruowano silnik rsyjny. Dzięki temu...*

Zaczekaj - pomyślał Litwin. - Jaki prototyp?

Przerwa, jakby Okręt zastanawiał się nad pytaniem. Po chwili padło: *Prototyp stworzenia, z którym rozmawiasz. Quasi-rozum. Symbiont. Nowy czynnik, który dał początek Trzeciej Fazie. Dzięki niemu zasiedlono ogromną przestrzeń w sąsiednim ramieniu spirali galaktycznej.*

Litwin drgnął - pod zamkniętymi powiekami wybuchem płomieni w ciemności pojawiła się Galaktyka. Czegoś takiego nikt nigdy nie widział, żaden z żyjących ludzi; gwiazdna wyspa była widoczna z góry, od strony bieguna i dawnych gromad kulistych unoszących się nad płaszczyzną spirali. Jej ramiona były wyraźnie widoczne: bliższe środka ramię Strzelca, ramię Oriona ze złocistym punktem oznaczającym Słońce i oddalone od niego szczeliną o szerokości czterech tysięcy parseków ramię Perseusza. Tam też lśniły gwiazdy, choć nie złotym, lecz oślepiająco białym światłem. Trzy takie ogniki Litwin rozpoznał na samym brzegu odnogi Oriona. Wyglądały, jakby znajdowały się tuż obok Słońca. Ale było to tylko złudzenie związane z gigantyczną skalą Galaktyki. Od Słońca oddzielało je dwieście, trzysta lat świetlnych.

*Biały to sektor bino faata - oznajmił Okręt. - Ekspansja jest bardzo zdecydowana, a podległy im obszar bezustannie rośnie. Dotarli już do środkowego ramienia. Trzy punkty na jego granicy to Nowe Światy zasiedlone niedawno, sto ziemskich lat temu. Faata obawiają się...*

Bezdźwięczny głos umilkł, a Litwin poczuł, że Okręt szuka odpowiednich słów.

Zrozumiałych dla człowieka. Nie poganiał ogromnego stworzenia; leżał z zamkniętymi oczami i napawał się groźnym pięknem wszechświata.

*Obawiają się Zaćmienia. Takiego Zaćmienia, po którym nie zdołają odbudować potencjału rasy. Ani liczebności, ani intelektu, ani techniki... Boją się zniknąć w ciemności jak deskinowie i ten strach wiedzie ich dalej i dalej. Wierzą, że intensywna ekspansja zmniejsza prawdopodobieństwo katastrofy. Szczególnie teraz, gdy spotkali innych.*

Nas? - zapytał w myślach Litwin. Zmęczenie zaczynało brać nad nim górę, zaczynał powoli zapadać w sen.

*Nie. Wy jesteście jeszcze za słabi. Na razie nie stanowicie zagrożenia. W przeciwieństwie do kajtów, iliano, silmarri, szada.*

Spirala Galaktyki nagle wypełniła się jasnymi barwami. Wszędzie poza jądrem poczęły płonąć różnokolorowe plamki podobne do ośmiornic lub dziwacznych meduz z jasno oświetlonymi dzwonami; kolory bladły w miarę przybliżania się do krawędzi i rozrzuconych chaotycznie czułków. Szkarłatne, purpurowe, żółte, fioletowe gwiazdy błyszczały na tle aksamitnej ciemności - rozdzielającej je i skrywającej inne ciała niebieskie, ledwie dostrzegalne w oceanie mroku. W końcu dysk Galaktyki drgnął, wykonał obrót, ukazując bok i dolną część, także wypełnioną plamami meduzami błyszczącymi jak grona rubinów, topazów, ametystów, szmaragdów w bajkowej jaskini. Były wszędzie; przenikały albo okrążały ciemne mgławice, przechwytywały sferyczne zgrupowania gwiazd, biegly ku Obłokowi Magellana, rozciągały się cienkimi mackami na setki lat świetlnych.

*Strefy wpływów poszczególnych ras - wyjaśnił Okręt. - Mapa pochodząca z czasów daskinów liczy sobie miliony lat; od tamtej pory wiele cywilizacji wyginęło. Ale nie ma dokładniejszych danych uwzględniających cały obszar Galaktyki.*

- Ależ ich dużo... ależ dużo... - szeptał oszołomiony Litwin. - Żywa Galaktyka... a my o niczym, o niczym nie wiedzieliśmy... powinienem... powinienem opowiedzieć.

Zmorzył go sen i nie potrafił już stwierdzić, co jest rzeczywistością, a co fantastyczną wizją. Zdawało mu się, że z kimś rozmawia czy dyskutuje i że ten ktoś ostrzega go, że świat jest wielki i niebezpieczny, że mieszkańcy gwiazd wcale nie są przyjaźnie nastawieni do ludzi i że nie wszyscy oni uważają za w pełni rozumne nędzne stworzenia majaczące gdzieś w pobliżu Słońca. Na tym polegał tragiczny dylemat, który Litwin rozumiał, choć tylko we śnie.

Z jednej strony Galaktyka pełna życia, zamieszкана przez setki ras zdolnych połknąć Ziemię na raz - i przeciwwaga: chmary planet wokół miriadów gwiazd, które nie zrodziły życia, martwa pustka, wieczna samotność rozumu... Który z wariantów jest lepszy? Wszechświat rozumnych potworów czy wszechświat, w którym nie ma nikogo oprócz ludzi?

- Mimo wszystko wybrałbym potwory - powiedział Litwin we śnie. - Jakkolwiek spojrzeć,

rozumne... Może się dogadamy... A gdyby w Galaktyce nie było z kim słowa zamienić, zupełny koszmar. Nuda i smutek!

Niewidzialny oponent zdobył się na wymuszony uśmiech, bezcielesny jak u Kota z Cheshire.

- Wybór dokonany. Zobaczymy, co was czeka!

Przed oczami stanął mu znajomy widok: rzędy przezroczystych skrytek pełnych niebieskawego płynu, teatr anatomiczny pełen organów i pociętych ciał, rąk i nóg, bezgłowych tułowi, oddzielonych od ciał kości, oczu wiszących na cienkich nitkach nerwów... We śnie wszystko to było jeszcze potworniejsze, bo na każdej skrytce widniał napis informujący, co do kogo należało: lewa stopa komandora Cassidy, serce inżyniera Bondarienko, oko podporucznika Szabó, cienkie kobiece palce porucznik lisy Trier, drugiego nawigatora. Dalej - jej głowa: pozbawione krwi wargi, czaszka bez włosów, puste oczodoły, skóra pobłyskująca niebieskawo w roztworze konserwującym...

- Twój wybór! - oznajmił niewidoczny rozmówca. - Nadal chcesz się z nimi dogadywać? Popatrz na to!

McNeal. Wisiała w tym ogromnym pomieszczeniu, gdzie spały ksa, kobiety przybyszów, i na pierwszy rzut oka wydawało się, że zapadła w takie samo błogie zapomnienie jak jej sąsiadki. Jednakże Litwin wiedział, iż stało się z nią coś strasznego, coś gorszego niż sama śmierć. Wpatrywał się w twarz, smukłą figurę, ale nie zauważył żadnych zmian. Zresztą oboje śnili i sen Litwina mógł być złudzeniem: widział nie Abbie McNeal, lecz miraż, wspomnienie o niej.

Nagle mimo sennego odrętwienia poczuł, jak ogarnia go trwoga. Otworzył oczy, spojrzął na pobłyskujący na nadgarstku timer. Siódma szesnaście... rano według czasu Skowronka... Spał ponad trzy godziny i mimo koszmarów czuł się wypoczęty.

Ale coś było nie w porządku. Być może uczucie to było następstwem snu? Ostatniego snu, w którym wyśnił Abbie?

Wymacał przyssany do skroni kaff, potem wyciągnął rękę w stronę skafandra, odszukał w pojemniku na żywność tabletki tonizujące, łyknął dwie i przez chwilę siedział

rozluźniony, patrząc w świecąca kulę na suficie.

Wspomnienia koszmarów sennych odeszły, ale nie zapomniał wizji zamieszkanego Galaktyki. Ileż w niej kosmicznych ras! Ileż cudów można zobaczyć! Ileż niebezpieczeństw i dobrodziejstw czeka na ludzkość... Istotnie, jedna epoka dobiegała końca i zaczynała się nowa!

Chciał skoncentrować się na tej myśli, ale niepokój nie mijał.

- Okręcie! To ty mnie obudziłeś?

*Tak.*

- Co się stało?

*Nadchodzą olkowie. Jest z nimi phot.*

Litwin błyskawicznie zeskoczył z koi i zaczął nakładać skafander.

- Powiedziałeś im, gdzie mnie mają szukać? Ty zgniłku bagienny?

*Nie. Ta informacja jest zastrzeżona. Wypełniam polecenie, sprzecznych rozkazów nie było.*

- Jak mnie znaleźli?

*Dzięki promieniowaniu cieplnemu. Jeden z Wiązki poprosił o mapę termiczną i zapoznał się z nią.*

Zapiąwszy pas, Litwin przykucnął, poruszył rękami, zginając i prostując palce. Złącza nie trzeszczały ani nie skrzypiały.

- Co to jest Wiązka? I co to jest phot?

*Wiązka: symbionty dowodzące ekspedycją. Phot: zwierzę. - Po krótkiej przerwie Okręt dodał: -  
Zwierzę zabójca.*

- Potężny potwór? - zapytał Litwin, mocując miniaturowy dysk z biczem na wewnętrznej stronie rękawicy. Nie było odpowiedzi, więc powtórzył pytanie nieco inaczej: -

Niebezpieczny zwierzę?

*Tak. Wysyłają go, gdy trzeba zabijać.*

- Wygląda na to, że Aiwe nie potrzebuje dłużej mojej pomocy - burknął Litwin i skoczył w stronę najbliższej dziury w pancerzu. - Ile trolli wysłali? To znaczy, ilu olków?

*Czterech zbliża się główną linią transportową, czterech - pomocniczą. Phot jest z nimi.*

Pojawił się schemat, Litwin zrozumiał, że główna linia transportowa to ta, którą tutaj dotarł. Druga linia wychodziła z przeciwnej strony ładowni; bez wątpienia zamierzali wziąć go w dwa ognie. Elementarna taktyka, w sam raz dla rozumnych w ograniczonym stopniu.

Przecisnąwszy się przez otwór, zeskoczył na podłogę i ruszył w stronę niszy transportowej. Plastikowa zbroja skafandra znajomo przylegała do skóry, opinała pierś i cicho szeleściła, gdy dotykał rękawicą pasa albo biodra. Kaff, posłaniec Okrętu, leciał za Litwinem rzucającym długi kanciasty cień: wyciągnięty prostokąt pancerza podpierającego szerokie naramienniki, a nad nimi - głowa ukryta w hełmie. Biegł szybko, bezgłośnie, a cień płażał i kulił się u jego stóp.

Okręcie! Czy olkowie widzą w ciemnościach?

*Słabo. Spektrum i ostrość wzroku bino faata są zbliżone do ludzkiego.*

W takim razie zgaś światło! - zarządził Litwin w myślach, a szeptem powiedział:

- Okulary!

W ciemnościach na chwilę oślepl, ale zaraz wysunęła się płytka wizora na podczerwień. Zobaczył swoje ręce i ciało. Nic więcej; w zamkniętej przestrzeni ściany, powietrze i resztki Skowronka miały jednakową temperaturę, przez co były widoczne jako jednorodne różowe tło. Ale wiedział, że stoi tuż przy wejściu do niszy i że wrogowie nadejdą lada moment.

W oddali za przezroczystą membranę mignął niezbyt jasny błysk, pojawiły się kontury kabiny transportowej, a w niej - cztery masywne sylwetki. Litwin dotknął podbródkiem klawisza, przełączając skafander w tryb bojowy, wystawił w bok lewą rękę i wyprostował

palce. Poddając się temu ruchowi, z dysku wystrzeliła nić. Z biczem należało się obchodzić ostrożnie, by nie zaczepić o własne kończyny: przecinał kości i ciało nie gorzej niż promień lasera i nawet skafander nie zapewniał wystarczającej ochrony.

Pierwszy olk przeszedł przez membranę, stanął i ochryplym rwanym głosem warknął

coś, co zabrzmiało jak „sas” albo „as”. W rękach trzymał niewielkie pudełko. Litwin uznawszy, że to broń, skoczył bez wahania do przodu, machnął biczem i niewidoczna nić przeszła między ramieniem i szyją, rozcinając ciało i zbroję do samego biodra. Olk zakołysał

się i upadł. Trzech pozostałych ze świszczącym sykiem - „ass-ii!... ass-ii!” - wyskoczyło z kapsuły transportowej. W tej samej chwili zgasło światło.

Należało wykończyć ich jak najszybciej - w oddalonym końcu ładowni słychać było szum, hałas, krzyki - drugi oddział dotarł już na miejsce.

Ładownia ma kilometr długości - przemknęła myśl - człowiek przebiegnie tę odległość w trzy minuty, a zwierzę? Co najmniej dwa razy szybciej...

Trolle podniosły broń, Litwin rzucił się na podłogę, powietrze nad jego głową zahuczało. Atakujący nie wiedzieli, gdzie jest przeciwnik, strzelali w pustkę, ale on dobrze widział ogromne sylwetki. Ciekawe, że nadal krzyczeli, powtarzając cały czas to samo słowo

„ass” lub „sas”. Do tej pory Litwin sądził, że olkowie są cisi - być może w ogóle niezdolni do wydawania dźwięków. Najwyraźniej nie miał racji.

Wyciągnął lewą rękę, przetoczył się po podłodze, uderzył skrajnego ochroniarza po nogach, podskoczył, dobił uderzeniem w skroń. Opancerzona rękawica zmiażdżyła czaszkę jak młot; w trybie bojowym siła uderzenia wynosiła co najmniej trzysta kilogramów. Przed Litwinem majaczyła sylwetka drugiego trolla - przypomniał sobie jego słaby punkt i uderzył

ponownie, w przykryty zbroją splot nerwowy. Zachrząścił kręgosłup, ochroniarz zachrypiał, zaczął opadać na podłogę, ale w tej samej chwili na Litwina rzucił się ostatni przeciwnik. Nie miał broni - albo ją zgubił, albo celowo odrzucił, by nie zranić towarzysza - nie walił

pięściami, lecz próbował połamać przedramiona i żebra. Udałoby mu się, gdyby Litwina nie chronił

skafander.

Ziemianin, poruszywszy palcem, zwinął tnącą nić w obawie, by nieostrożnym ruchem nie zaczepić o własne kolano lub biodro. Olk napierał z potworną siłą; pewnie jego bransolety wzmacniacze były nie mniej efektywne niż egzozkielet skafandra bojowego. Naciskał i naciskał, wbijając łokcie Litwina w żebra. Szeroka twarz majaczyła tuż przed płytkami wizora. Istniało ryzyko, że zniszczy drogocenny przyrząd jednym uderzeniem, gdy troll odgadnie jego przeznaczenie i zauważy, że przeciwnik ma na głowie hełm ochronny. Nie można było pozwolić na podobny przebieg wydarzeń ani też przeciągać pojedynku. Nie próbując uwolnić się z objęć wroga, Litwin odwrócił się i ostry brzeg naramiennika przeciął

gardło olka.

Upadli tak, jak stali - martwy ochroniarz, nie rozluźniając uścisku, i zalany krwią Obcego Litwin. Olk leżał na wierzchu; dzięki oporowi skafandra ciało wydawało się lekkie, chociaż przy ośmiu dziesiątych g musiało ważyć całkiem sporo. Opierając dłonie o śliską od krwi zbroję, Litwin zaczął powoli podnosić trupa, gdy nagle na obu - martwego i żywego -

coś się zwaliło, coś zwinnego, szybkiego i ciężkiego. Pazury zaciśnięte na nodze Litwina zmiażdżyły nakolannik, wstrętne paszcza, purpurowo-czerwona na ekranie wizora, zawisała nad nim, długa smocza szyja wygięła się, błysnęły kły... Jednakże martwe ciało przez chwilę stanowiło ochronę - wystarczająco długo, by Litwin zdążył zacisnąć pięść i wyrzucić nić. Nie mógł wziąć porządnego zamachu, ale monomolekulamy bicz nie wymagał dużej siły. Nić rozcięła skórę pod samą paszczą, ale prawdopodobnie nie doszła do gardła - phot odskoczył z przenikliwym piskiem, rzucił się na bok i zaczął wirować na podłodze.

Litwin wstał, poświęcił sekundę, by spojrzeć na zwierzę zwijające się w kłębek i bijące powietrze łapą z ogromnymi pazurami, i doszedł do wniosku, że ruchy potwora są zbyt energiczne, by można było doń bezpiecznie podejść. Podniósł trupa, rzucił go photowi, a gdy ten wbił zęby w olka, podszedł bliżej i odciął głowę drapieżnika. Szyja phota była długa, szczęki - jak u aligatora, ale futro i jasne światło w wizorze dowodziły, że był stworzeniem ciepłokrwistym.

Litwin odszedł ku stygnącemu ciału pierwszego wroga, pomacał dookoła i znalazł

broń. Skrzynka nie emitowała ciepła, nie mógł więc jej obejrzeć, a tylko wymacał rękojeść i klawisz spustu z jednej strony, a z drugiej otwór o średnicy jednego, dwóch centymetrów.

Była tam jeszcze dźwigienka odciągnięta do oporu - palce musnęły gładką główkę i nacięcie, w którym prawdopodobnie się przemieszczała.

- Okręcie! Co to?

*Paralizator. Blokuje sygnały przesyłane z mózgu do obwodowego systemu nerwowego. Może powodować utratę przytomności albo śmierć.*

- Z jakiej odległości?



*Do czterdziestu, pięćdziesięciu metrów.*

- Broń laserowa jest skuteczniejsza.

*Oczywiście. Ale paralizator jest bezpieczniejszy. Nie może uszkodzić niczego poza symbiontami.*

- Bezpieczniejszy dla ciebie? - zapytał Litwin i otrzymawszy potwierdzenie, kontynuował: - Mogę go użyć?

*Nie. To broń osobista.*

- Dostrojona do właściciela?

*Tak.*

- I czort z nim! Obejdzie się. - Litwin rzucił pudełko na pierś zabitego i ostrożnie ruszył naprzód. Nie całkiem bezgłośnie - pogięte brzegi nakolannika tarły o złącze i lekko poskrzypywały.

W wizorze zobaczył cztery podrygujące czerwone punkty - ochroniarzy, którzy nadal byli żywi. Przez kilka sekund rozmyślał, czyby nie wsiąść do kabiny transportowej i nie uciec z ładowni, ale uznał, że każdą sprawę należy doprowadzić do końca. W tym czasie kropki urosły do rozmiarów niewielkich figurek i rozdzieliły się: dwie maszerowały mu na spotkanie, dwie całkiem znikły - najwyraźniej ukryte za korpusem Skowronka.

W ogromnej ładowni dźwięk rozchodził się daleko - pisk umierającego phota, odgłosy bójki, krzyki olków... Co mogli pomyśleć ci czterej? Że zwierzę rozerwało zbiega na strzępy?

Że rozprawiły się z nim paralizatory towarzyszy? Że leży obok transportera ze złamanym kręgosłupem? A może wcale nie myśleli, nie zmieniali planów i nie próbowali dopasowywać ich do nowej sytuacji? Gubiąc się w domysłach, Litwin zapytał: Wiedzą o śmierci pierwszej grupy?

*Raczej nie. Mają ograniczoną zdolność nawiązywania kontaktu mentalnego.*

A słuch? Przecież słyszeli odgłosy walki?

*Oni nie myślą, lecz działają. Wypełniają rozkazy.*

Więc to tak! Kiepscy z nich żołnierze. Żołnierz powinien myśleć.

*Nie są żołnierzami. Straż, ochrona, oddział karny... Niezbyt mądrzy, ale czujni, uważni.*

Warto by dopytać się bardziej szczegółowo, lecz Litwina poraził nowy pomysł.

Ten rozkaz... Możesz anulować? Tak samo jak z olkami, których wysłałeś odpocząć?

*To niemożliwe. Inna sytuacja. Mają cel i tylko Opoka Porządku może go zmienić.*

Nie wyszło... Szkoda! Wyciągnąwszy rękę z półmetrową nicią bicza, Litwin ruszył ku purpurowym sylwetkom. Z lewej strony spoczywał martwy Skowronek, niknący w różowej mgłę, ale wyczuwalny tak samo, jakby było go widać w jasnych promieniach dnia. Instynkt pilota, przyzwyczajonego zapamiętywać kierunki i odległości, podpowiadał, że do najbliższej dziury w korpusie pozostało dziesięć kroków, góra piętnaście. Poniżej otworu płyty pancerza rozeszły się i Litwin pamiętając to, zwrócił się w tamtą stronę. Osłona nakolannika poskrzypywała miarowo.

Przyśpieszył, gdy w ciemności usłyszał nieoczekiwany odgłos. Wymacawszy szczelinę między płytami, zanurkował w nią i przywarł do chłodnego gładkiego metalu.

Znowu krzyk, a po chwili znajomy już huk: może huczy poruszone powietrze, może włączony paralizator.

Czujne czorty. I uważne! - pomyślał Litwin, wspominając ostrzeżenie Okrętu.

Dwójkę obchodzącą krążownik z przeciwnej strony zobaczył znowu na ekranie wizora. W ładowni rozbrzmiewały głosy olków, urywane i ochryple; pomagając sobie w orientacji dźwiękiem, zebrali się w grupę, uformowali szereg i pomaszerowali w stronę niszy transportowej. Powietrzem znowu wstrząsnął huk. Tym razem był jeszcze głośniejszy -

wyglądało na to, że pracowały wszystkie cztery paralizatory. Olkowie szli nieśpiesznie, zalewając przestrzeń przed sobą śmiertelnym promieniowaniem.

Litwin znieruchomiał w szczelinie, pozwolił im podejść na jakieś dziesięć metrów -

odległość dwóch skoków w trybie bojowym. Naprężył mięśnie, skafander przejął nacisk, posłusznie przerzucił ciało do przodu. Skok, potem drugi... Wylądował z tyłu za olkiem, w środku szeregu, przeciągnął nicią w poprzek pleców i natychmiast rzucił się do tyłu ku zbawczej burcie Skowronka. Zdążył uciec z niebezpiecznego obszaru, chociaż reakcja wrogów była natychmiastowa - trzech ochroniarzy odwróciło się, nie opuszczając broni, a huk paralizatorów natychmiast ucichł. Potem rozbrzmiał inny dźwięk: spazmatyczne chrypienie szybko zastąpione odgłosami padających ciał.

Odczekawszy chwilę, Litwin podszedł do nich i przekonał się, że wszyscy są martwi.

Zabity ociekał krwią, a pozostali, jak można było oczekiwać, zmarli wskutek asfiksji, gdy zanikł odruch oddechowy. Ich twarze w wizorze wyglądały strasznie - sinopurpurowe, z wytrzeszczonymi oczami, otwartymi ustami, z których sterczały przygryzione języki.

- No co, chłopaki - powiedział Litwin, prostując plecy - walczyliśmy jak równy z równym. Uczciwie: wy mieliście wasze broje, ja swoją. - Dotknął naramiennika skafandra. -

A teraz wybaczcie. Mam mnóstwo roboty, nie zamierzam siedzieć z wywalonym ozorem i odpoczywać.

Wróciwszy do krążownika, wyłączył tryb bojowy skafandra, zdjął rękawiczki, położył

dłonie na pancerzu i zamarł na kilka chwil w pożegnalnym geście. Ruszył w stronę niszy, ku kapsule

transportowej. Wszedł do niej, usiadł na podłodze. Natychmiast zapłonęło światło.

Okręcie!

*Słucham.*

Olkowie coś krzyczeli, co?

*Wołali ochroniarzy z pierwszej grupy. Potem...*

Nie - przerwał Litwin - to było później. Kiedy wyszli z kabiny, usłyszałem jakieś słowo... sas... ass...

*S'assi. Światło. Wydali mentalnie polecenie zapalenia światła, a gdy nie zostało wykonane, powtarzali je na głos.*

A ty znowu go nie wypełniłeś. Moje rozkazy mają wyższy priorytet?

*W tym przypadku - tak.*

Litwin ściągnął brwi, zmarszczył czoło. Bez wątpienia miał jakąś władzę nad tym potwornym stworzeniem, nad quasi-rozumnym monstrem, ale jaką? Skąd? I jakie były jej granice? Wydawało mu się, że znalezienie odpowiedzi na te pytania jest ważniejsze niż bójki z olkami. Ważniejsze niż zdobywanie informacji o rasach galaktycznych przebywających wśród gwiazd daleko od Ziemi i Słońca. Ważniejsze nawet od ratowania McNeal, co prawdę mówiąc, wyglądało na zadanie trudne albo wręcz niewykonalne. W zasadzie rozpoczął wojnę z nieznaną i groźną siłą, z wrogiem mającym przewagę we wszystkich dziedzinach, okopanym na dobrze umocnionych pozycjach. W tym towarzystwie mógł liczyć wyłącznie na własny upór, spryt i nie całkiem sprawny skafander. I jeszcze na sprzymierzeńca, którego lojalność stała pod ogromnym znakiem zapytania.

Okręcie! Czy wykonasz każdy mój rozkaz?

*Każdy rozsądny - wyszeptał bezcielesny głos.*

Zalicza się do nich twoja samolikwidacja? Albo zmiana kursu?

*Nie.*

Krótko, zwięźle, bezapelacyjnie. To coś nie miało ochoty umierać bez względu na to, co leżało u podstaw takiej decyzji - zewnętrzny program czy naturalny instynkt. Wybór trasy także leżał poza kompetencjami Litwina, tak samo jak - prawdopodobnie - zabicie załogi.

Mówiąc ściśle, zabić mógł każdego, ale własnymi rękami.

Kryła się w tym jakaś tajemnica. Pomyślał, że Okręt wspiera to jedną, to drugą stronę powodowany jakimiś dziwnymi zasadami nie mającymi nic wspólnego z logiką - a przynajmniej z logiką ludzi żyjących na Ziemi.

Nauczyć go moresu? Jak? Może strachem? Strach to uniwersalny środek na tych, którzy nie chcą umierać...

Powiedz, bino faata zaatakują Ziemię?

*To nie jest wykluczone.*

Ale czy to mądre? Ty i twoje symbionty przeciwko całej planecie?

*Mają przewagę technologiczną.*

Za to my zasoby. Świat z masą ludności, wszelkiej broni, żołnierzy, baz wojskowych, statków kosmicznych... lekko licząc, dziesiątki krążowników o wiele potężniejszych niż Skowronek. - Litwin usiadł wygodnie, opierając się plecami o ścianę kabiny. - Nie pokonacie nas, przyjacielu, dlatego wszystko zakończy się zniszczeniem. Rozniesiemy w proch i ciebie, i twoje symbionty. Być może nie za pierwszym razem i nie za drugim, ale jesteśmy uparci.

Jest nas dużo, nie zabijecie wszystkich.

*To byłoby niepożądane. Skrajny środek. Wystarczy zniszczyć wszystkich uzbrojonych.*

*Tak uważają symbionty.*

Zniszczyć wszystkich uzbrojonych? Jak? Będziesz ganiać za każdą fregatą od Merkurego po pas asteroid?

*Nie. Do tego celu służą moduły pomocnicze.*

Litwin uśmiechnął się.

Doprawdy? Ciekawie byłoby popatrzeć!

Po minucie uśmiech znikł z jego twarzy.

Te kanciaste kolce sterczące po bokach korpusu... Gdy przyjrzeć się im uważniej, przypominały starożytne kanistry na benzynę, ogromne jak pięć ciężkich krążowników, ze ściętym rogiem, skąd wystawał masywny pierścień - lufa anihilatora. *Moduły bojowe* -

wyjaśnił Okręt. Nie miały subtelnej opływowej sylwetki ziemskich krążowników, fregat czy korwet, ale mogły latać zarówno w kosmosie, jak i w atmosferze planet. Ciągnęły się szeregami, nieprzeliczone jak skały na brzegu kosmicznego oceanu. Patrząc na nie z trwogą w sercu, Litwin zrozumiał, jakie jest przeznaczenie Okrętu. To nie był pojazd wysłany z pokojową ekspedycją, lecz forpoczta agresji... Silnik nadświetlny pozwalał przerzucić flotę na strategiczną pozycję, a to było centrum strategiczne koordynujące działania... Flota była ogromna - nie dziesiątki, lecz setki jednostek bojowych przewyższających masą krążowniki.

Niszczycielska siła!

Ale to jeszcze nie wszystko - biegnące wzdłuż szybu konwertera tunele okazały się hangarami dla modułów zwiadowczych idących nie w setki, a w tysiące. Przed oczami Litwina przepływały ciemne skrzynki kadłubów ustawione w ciasnych kołach.

Co jest w środku?... - pomyślał i w tej samej chwili rozstała się ciemna przestrzeń, zapłonęło światło, ukazując statwę okrytą narzutą. Śpiący pilot?

*Tak - potwierdził Okręt. - Tho podłączony biointerfejsem do broni i bloku nawigacyjnego. Żołnierz zakonserwowany w puszcze module, czekający na rozkaz, który wyrwie go z letargu i rzuci do walki...*

Litwin podniósł szybę hełmu i wytarł parę. A niech to diabli! Nie zdołał wystraszyć Okrętu! Raczej sam był wystraszony... Żeby walczyć z taką armadą, trzeba nie trzech, a trzydziestu trzech flot, a i to nie gwarantowało zwycięstwa; lasery, swomy, miotacze plazmy wyglądały jak zabawki w porównaniu z anihilatorami.

Próbował odzyskać spokój. W końcu wojna ludzi z Obcymi była pieśnią przyszłości, a jego prywatna bitwa toczyła się tu i teraz. Nie warto było siedzieć w ładowni obok resztek Skowronka i stygnących ciał olków.

Okręcie! Mówiłeś, że wysledzono mnie dzięki promieniowaniu cieplnemu. Zablokuj te informacje.

Cisza. Potem:

*Blokada jest sprzeczna z wcześniejszym rozkazem Utrzymującego Łączność.*

Bawi się ze mną jak kot z myszką - pomyślał Litwin, po czym powiedział na głos:

- W takim razie rozpatrzmy inne warianty. Czy można mnie znaleźć, jeśli będę się szybko przemieszczał? Albo gdy zniknę w tłumie?

*To praktycznie niemożliwe.*

Tak podejrzewał - w tłoczonym miejscu nie znajdą go. A tłoczne miejsca są tu idealne!

Setki, tysiące ciał, mocne tło podczerwone i ani jednej pary otwartych oczu... Sale t'hami, które odwiedził z Jeggiem i Io. Tam, gdzie była McNeal...

Wywołał schemat transportu, popatrzył i pokazał palcem:

- Tutaj! Do sypialni!

Pomieszczenia ulokowano gęsto w prawym górnym sektorze statku. Właściwie Litwin widział tylko salę z kobietami ksa, ale Io tłumaczyła, że podobne „magazyny” ciągną się piętrami w górę i w dół i że przebywa w nich większa część załogi. Trans t'hami jest wywoływany gazem - tym pachnącym liśćmi, którego Litwin już skosztował w swej ciemnicy. Wyglądało na to, że jego składniki działały na Ziemię tak samo jak na bino faata, co z kolei wskazywało na biochemiczną i morfologiczną

zgodność obu ras. Co prawda były też różnice - w aktywnym okresie życia bino faata w ogóle nie spali.

Schemat linii transportowej zgasł, kapsuła drgnęła, ruszyła w drogę i po minucie Litwin znalazł się przed przezroczystą ścianą, za którą zastygły dwie dziesiątki ciał - kobiet i mężczyzn. Było ich niewiele, a i samo pomieszczenie nie przypominało widzianego wcześniej ogromnego magazynu. Rurki oplatające śpiących bieły do jakiegoś agregatu, obok którego znajdowała się śluza - przestronna kabina ze znanymi już gigantycznymi urządzeniami. Bezpośrednio nad śluzą lewitował człowiek, którego twarz Litwin określiłby jako władczą i okrutną, gdyby tylko potrafił oceniać fizjonomie faata. Zresztą po raz pierwszy widział nagiego przybysza i dlatego ciało wydało mu się ciekawsze niż twarz. Stwierdziwszy, że wszystkie interesujące szczegóły są na swoim miejscu, chrząknął i zapytał:

- A co to za typ?

*Kaya, Obrońca Niebios, drugi w Wiązce. Według ziemskiej terminologii dowódca wojskowy.*

- Toż widzę, że morda dziwnie ponura. Jak nic admirał albo i lepiej - powiedział

Litwin i rozejrzył się. - Gdzie jestem?

*Na poziomie przeznaczonym dla w pełni rozumnych. Poziom tho jest niżej.*

- Chcę się dostać tam, gdzie jest kobieta z Ziemi.

*Na końcu korytarza jest szyb grawitacyjny. Trzeba zjechać dwa poziomy.*

Działając zgodnie ze wskazówką, Litwin wszedł przez membranę do pionowej studni.

Szyby grawitacyjne poznał podczas wycieczki z Jeggiem i Io; były to obszary zerowego ciężenia, rozmieszczono je parami tak, że przecinały Okręt od najwyższych do najniższych poziomów. Coś podobnego istniało na Skowronku, ale tu studnia była większa, miała gładkie ściany bez uchwytów czy innych elementów. Za to wiał w niej wiatr; potoki powietrza nieśpiesznie i płynnie przesuwwały się w sąsiednich szybach w górę i w dół.

Zjeżdżał powoli, patrząc w otchłań pod nogami. Dopadło go znane uczucie nieważkości i tylko jedno było nietypowe - znajdował się nie w kokonie gryfa, nie w kosmosie, nie w kadłubie krążownika ani nie w jego ciasnych kabinach, lecz płynął jak piórko w zalanej światłem kilometrowej przepaści. Skala Okrętu robiła wrażenie. Szkoda będzie, jeśli stanie się z nim coś złego... A stanie się bez wątpienia, nie może być inaczej! Przed oczami stanęła Litwinowi armia modułów bojowych, śpiących w nich pilotów, lufy anihilatorów. Uśmiechnął się drapieźnie.

*Emocje - zaszumiało w głowie - emocje... Bardzo silne.*

- Są, jakie są - burknął Litwin, wylaząc ze studni.

Uznał, że jest bezpieczny: z lewej strony widział ogromną salę z tysiącami śpiących kobiet i

mężczyzn, z prawej zobaczył równie wielkie pomieszczenie z niskimi stolikami.

Sypialnia i stołówka... Milczący tłum, w którym można się zgubić... Co dwadzieścia kroków -

śluzy i bloki sanitarne, kontenery z odzieżą i agregaty z wiązkami rurek. Z przodu - owalne rozszerzenie korytarza przywodzące na myśl salę konferencyjną.

*Do skrzyżowania* - odpowiedział Okręt. - *Po lewej jest obszar ksa.*

Litwin ruszył wzdłuż przezroczystej ścianki, lecz zamarł nieoczekiwanie, gdy popatrzył na śpiących. Byli różni: ochroniarze z pozbawionymi włosów czaszkami i wżórkami mięśni, kobiety i mężczyźni o delikatniejszych sylwetkach, jakieś kościste wysokie istoty, których płci nie był w stanie określić, i inne, tak samo chude, ale małe jak niedożywione dzieci.

Jedna z kobiet wydała mu się znajoma. Delikatne rysy, wyraziste pełne usta, grzywa ciemnych włosów otaczających twarz aureolą...

Io? - zapytał bezgłośnie.

*Io* - zabrzmiała odpowiedź.

Że też trafiłem na Io! Sojuszniczka? - przemknęła myśl.

Machinalnie dotknął skroni, pomacał kaff, spochmurniał. Gdyby Io nie podrzuciła mu tego urządzenia, siedziałby teraz za kratami w wilgotnej ciemnicy... No, wilgotnej może akurat nie, ale mimo wszystko w ciemnicy... A teraz jest wolnym kozakiem! Chodzi, gdzie chce, podcina gardła olkom i prowadzi dysputy z quasi-rozumem.

Io pomogła... Ale dlaczego? Ciekawe pytanie! Może ją oczarował? A może zaciekawily ją jakieś ziemskie realia? Naoglądała się wszelkiej erotyki i zapalała sympatią do ziemskich mężczyzn?

Uśmiechnięty pokiwał głową. Wątpliwe! Bardziej prawdopodobne było co innego: nie wszyscy mieli tu rajskie życie. Bo niby jak? Hodują ludzi jak bydło, a właściwie nie ludzi, lecz jakieś genetyczne monstra, rozumne w ograniczonym stopniu! Kobiety nie rodzą dzieci!

Mężczyźni nie obcują z kobietami! Toż to Zaćmienie, a nie jakaś tam Trzecia Faza! Kiedy jest masa powodów do niezadowolenia, powstaje opór. Oczywiście tajny.

- A więc sojusznik! - skostatował Litwin i pod wpływem chwilowego impulsu zarządził: - Przenieś ją do śluzy i obudź. Niech czeka na mnie.

*Jest w fazie tuahha* - zaprotestował Okręt.

- Czy przebudzenie może jej zaszkodzić?

*Nie. Ale...*

- W takim razie wykonać!

Stał przez krótką chwilę, obserwując, jak nagie ciało kobiety szybuje wśród pajęczyny rurek ku śluzie.

Ślicznotko Io, Io zagadko! Kim jesteś? Po prostu dobrą duszą pragnącą uratować bezradnego jeńca? Piątą kolumną na tyłach wroga? Niedługo będę wiedział...

Ruszył rażno w stronę owalnego podestu, gdzie korytarz krzyżował się z drugim równie szerokim przejściem i skręcał w lewo. Miejsce wyglądało znajomo. W pomieszczeniu naprzeciwko były tylko ksa - jednakowe twarze, drobne usta, ostre podbródki... Gdzieś wśród tych śpiących szeregów leżała zagubiona Abbie, ale teraz już wiedział, że może ją zobaczyć w każdej chwili - wystarczyło wydać polecenie Okrętowi.

Nie rozumiem, po co upchnęli ją w tej sypialni. Ta, w której spała Io, wydaje się równie dobra: taka sama ogromna przestrzeń, takie same agregaty z siecią węży i rurek, takie same śluzy i...

Nie udało mu się dokończyć myśli. Światło zamigotało, Litwina opanowało znajome uczucie strachu, w odległym końcu korytarza rozległo się tupanie i szybka mowa. Wytropili?

Jak? Okręt natychmiast odpowiedział na bezgłośnie pytanie.

*Olkowie, a z nimi w pełni rozumni, pomocnicy Opoki Porządku. Wysłano ich, by skontrolowali sale t'hami.*

- Dobrze kombinują, gady! - Litwin przełączył skafander w tryb bojowy i rzucił się w tył ku zakrętowi. Widocznie tym razem nie było mu pisane dotrzeć do McNeal... Mignęły obok nagie ciała, muskularne torsy śpiących ochroniarzy, chude karzełki z rozdętymi czaszkami i delikatne, subtelne istoty podobne do elfów. Biegł, wypatrując śluzy, w której znajdowała się Io, i myślał: jeśli odetną korytarz, znowu trzeba będzie walczyć.

*Niedaleko jest nisza transportowa - oznajmił Okręt. W tej samej chwili jakieś sto kroków od Litwina pojawił się ochroniarz. Potem drugi, trzeci, czwarty... Wybiegli z niszy jak stado zjaw - dziesiątka albo tuzin żołnierzy w zbrojach i z paralizatorami. Towarzyszył im faata w laserowym trykocie, również uzbrojony.*

Litwin dostrzegł Io. Kobieta siedziała na podłodze oparta plecami o przezroczystą ścianę. Oczy miała zamknięte, głowę opuszczoną. Sprawiała wrażenie nieprzytomnej albo balansującej na granicy jawy i snu - widocznie gaz nasenny wciąż działał. Przeszedł przez membranę śluzy, wziął Io na rękę, wyskoczył z powrotem na korytarz i rozejrzał się wokół.

Zauważono go. Ochroniarze opuścili niszę, zablokowali przejście i nadchodzili z bronią na wierzchu; z tyłu zza zakrętu nadciągała druga drużyna.

- Otwórz śluzy! - zawołał Litwin do Okrętu. - Wszystkie śluzy w salach t'hami!

*Niemądry rozkaz - zaszeleściła odpowiedź. - Przy otwartych śluzach gaz zacznie przenikać do*



*korytarzy i...*

Nie dosłuchawszy do końca, Litwin uszczelnił skafander, wysunął nic i uderzył w ścianę. Poddała się nadspodziewanie łatwo; po czwartym uderzeniu wyleciał duży kwadratowy fragment, a korytarz od razu wypełniła mgła. Zmieszany z powietrzem gaz na kilka sekund tracił przezroczystość, kłębił się mlecznymi pasmami, by zniknąć jak mgła w promieniach słońca. Ale działał nieodwracalnie i szybko: z tyłu dobiegły krzyki, potem gruchot padających ciał, a ochroniarze idący z przodu nie zdążyli nawet krzyknąć, od razu jak jeden padli na podłogę. Wycinając dla pewności jeszcze dwa otwory, Litwin zwiększył

ciśnienie gazu. Skafander nie był szczelny, mimo to Litwin chwilowo nie czuł zapachu gazu i nic nie mąciło jego myśli. Niemniej należało się pośpieszyć.

Przyciskając Io do piersi i przestępując nad pozbawionymi czucia olkami, ruszył w stronę niszy transportowej. Wiedział, gdzie znajdzie kryjówkę; miejsce było ciche, oddalone i pewne. Wątpliwe, by go tam wykryto. W każdym razie do chwili, gdy zacznie się walka.

Wszedł do kabiny, w powietrzu rozbłysnął schemat transportu, podłoga pod nogami zadrżała prawie niewyczuwalnie. Przeszył go dreszcz, jakby poryw lodowatego wiatru przeniknął przez skafander i kombinezon; nie wykluczone jednak, że chłód nie pochodził z zewnątrz, a zrodził się w nim samym, sprawiając, że znowu ogarnęła go trwoga.

- Co się stało?

*Zdjęto pole ekranujące - poinformował Okręt.*

- Dlaczego?

*Zbliża się ziemską flotą. Pora zacząć negocjacje.*

- Ja też powinienem zacząć - powiedział Litwin, patrząc na Io.

*Na Ziemi i w innych miejscach*

- Tu kanał JBC, mówi Patrick MacCaffrey, będę z wami przez najbliższą godzinę. Z

wami wszystkimi, drodzy rodacy! Mówiąc te słowa, mam na myśli nie tylko czterysta dwadzieścia milionów obywateli Stanów Zjednoczonych, ale również ludzi z Ziemi, Marsa, Wenus i pasa asteroid. Gdyż wszyscy jesteśmy teraz rodakami, a naszym adresem jest nie Berlin czy Nowy Jork, nie Rostów czy Qingdao, nie Delhi czy Kair i nawet nie Ziemia, lecz Układ Słoneczny. Mam nadzieję, że niedługo zostaniemy obywatelami Galaktyki, równymi wśród równych, wędrującymi pośród ciał niebieskich oświetlających naszą gwiazdną wyspę i wyciągającymi rękę w geście przyjaźni do wszystkich ras. Pierwsza z nich już jest tutaj...

Brzmi brawurowa melodia, miejsce twarzy komentatora zajmują wygenerowane komputerowo obrazy: kula ziemską, jedna z gwiazd odrywa się od nieboskłonu, rośnie, zmienia się w raketę z kryształu i szkła, otwiera się luk i wypływa zeń przystojny brunet z prześliczną blondynką. Zwiewna odzież, kuszące sylwetki, błysk drogocennych kamieni w diademach... Na widok Ziemi przybysze otwierają szeroko oczy, rozchylają ręce w geście przywitania i mkną w dół ku wiwatującym tłumom.

W kadrze znowu twarz Patricka MacCaffreya.

- Jestem szczęśliwy, mogąc oznajmić wam, że dzisiaj o siódmej dwadzieścia dwie czasu Greenwich fregata Zjednoczonych Sił Kosmicznych Suzdal odebrała sygnały ze statku Obcych, po czym nawiązała z nim kontakt. Miało to miejsce w pobliżu orbity Marsa, w odległości pół jednostki astronomicznej od Ziemi, w kierunku gwiazdozbioru Strzelca. Mamy na razie bardzo mało informacji, ale wiadomo już, że statek przybyszów jest ogromny i że potrafią oni komunikować się w jednym z ziemskich języków, który rozszyfrowali dzięki audycjom radiowym i telewizyjnym. Fregata admirałska Suzdal wraz z rajderami Pamir, Lancaster, Sachalin i ich eskadrami przeprowadza manewry we wspomnianym przeze mnie sektorze. Chwilowo nie jest jasne, jaki ma to związek z kosmitami, czy spotkanie było przypadkowe czy też zaplanowane, a jeśli prawdziwy jest drugi wariant, to jaką rolę odegrało nagłośnienie przez środki masowego przekazu odkrycia astronoma Li Chena. Jednakże w określonych kręgach pojawiły się słuchy, że UEA zainicjowała...

\* \* \*

**JUŻ TU SĄ! - krzyczał nagłówek w „New York Herald” ogromnymi literami. Inne gazety nie pozostawały w tyle: PRZYBYSZE Z NIEBIOS: KIM SĄ - BOGAMI CZY DEMONAMI?, GIGANTYCZNY STATEK GWIEZDNY W POBLIŻU ORBITY MARSZA, KONIEC CYWILIZACJI CZY**

**POCZĄTEK NOWEJ EPOKI?, STATKI TRZECIEJ FLOTY SPOTKAŁY OBCYCH, SKĄD PRZYBYLI?, DLACZEGO ZSK MILCZY?, CZTERY MINUTY ŚWIETLNE OD TAJEMNICY. I tak dalej, i tak dalej... W**

„London Express” ukazał się artykuł astronoma, który dziesięć lat temu przewidział

przybycie Obcych z dokładnością co do dnia i godziny; w „Monitorze” GODZINA ZAPŁATY?...

- wieloznaczne pytanie filozofa Berthiera, W „Wiadomościach Eparchii Moskiewskiej” wywiad z patriarchą, a w „Dzienniku Watykańskim” z papieżem. Obaj dostojnicy utrzymywali, że na Ziemię zjedną anioły i tysiącletni spór między wyznaniem zostanie rozwiązany raz na zawsze. Jednakże Lamon Pirx, apostoł Kościoła Kosmicznego, był

odmiennego zdania; uważał, że przybysze uśmiercą wszystkich poza jego wyznawcami. Prasa chińska sławiła osiągnięcie odkrywcy Li Chena, ale między wierszami można było wyczytać zdziwienie - Li jakby zapadł się pod ziemię i nie było komu wręczyć medalu. W

muzułmańskich środkach masowego przekazu widoczny był rozłam: podczas gdy teologowie szukali w Koranie uzasadnienia przybycia Obcych, elementy radykalne, takie jak Czerwony Dżihad, asasyni i inni, od razu oznajmiły, że Obcy to karząca ręka Allaha wzniesiona nad niebiosami. Rosyjskie wydania nagłaśniały mnóstwo najrozmaitszych hipotez na temat wyglądu, poziomu techniki i ustroju społecznego przybyszy, lecz gdy rzecz szła o rolę prezydenta, panowała całkowita jednomyślność: Przewidujący, Ojciec Narodu! Być może Zbawca Ziemi... „KosmoSpiegel” podgrzewał emocje, zgarniał zyski i tryumfował: uprzedzaliśmy pierwsi! W wydaniu nadzwyczajnym ukazała się informacja o tym, że John E.

Bradford, dyrektor orbitalnego obserwatorium Kepler, podał się do dymisji.

Gorczakow odsunął stertę gazet i czasopism, przetaił szkła okularów i wbił wzrok w ekran, na którym z częstotliwością co pięć sekund zmieniały się tytuły we wszystkich językach Ziemi, a w końcu wyłączył komputer. W większości głupoty i bzdury, bezpodstawne domysły... Przydatne informacje odsieją referenci, ale można iść o zakład, że tych wartościowych będzie niewiele. Z pewnością mniej niż w raporcie Tymochina, chociaż i ten dokument nie rozpieszczał szczegółowością: przybyłem, zobaczyłem, zdziwiłem się...

Pewnie bardzo się zdziwił!

Gorczakow z uśmiechem zapalił i zaczął rozmyślać o tym, że towarzysz z Dywizji Nadamurskiej nie ma się o co obrażać: fakt, przycisnął go do ściany, za to teraz Tymochin wejdzie do historii. Jak Gagarin, jak Armstrong i Aldrin! Oczywiście, nie sam, towarzyszył

mu z tuzin statków i dwa tysiące członków załóg, ale Tymochin był najważniejszy. Kto znał

kapitana Lancastera lub Pamiru? Nikt! A Tymochin stał się teraz ważną figurą. We wszystkich podręcznikach napiszą: „29 maja 2088 flotyła pod dowództwem admirała Tymochina napotkała statek...” - jaką nazwą przybysze określają samych siebie, na razie nie było wiadomo, wstawił więc chwilowo „...rasy igrek. Już teraz zdobył i sławę, i chwałę, a reszta zależy od wypełnienia rozkazów”.

Dyrektywy przyjęte podczas posiedzenia Rady Bezpieczeństwa i uzgodnione z sekretarzem ONZ oraz głowami najważniejszych mocarstw były proste: ogłosić embargo na loty w kosmos dla prywatnych korporacji i krajów afroazjatyckich, następnie zebrać informacje, nie pozwalając Obcym zbliżyć się

do Ziemi ani żadnej z kolonii, w tym Merkurego i Wenus. Na podstawie raportu Tymochina można było wnioskować, że statek przybyszów ma wielkość asteroidy, a co w nim jest - Bóg raczy wiedzieć... Niech więc sobie wisi w przestrzeni mimo całej naszej przyjaznej postawy. A co do Ziemi, lepiej przylecieć na nią Pamirem. Uprzejmy gość nie kłóci się z gospodarzem...

Ponadto na wniosek lorda Mansona przyjęto uchwały o Pierwszej i Drugiej Flocie: postawić w stan gotowości bojowej, podobnie jak wojska lądowe sojuszników, ale miejsc dyslokacji nie zmieniać. Chávez i Haley nie zgłaszali sprzeciwu; ich okręty pozostały na Księżycu i Marsie, mogły więc uderzyć w dwóch kierunkach, co było dobrym rozwiązaniem taktycznym. Joseph Haley już odleciał na Marsa, gdyż w takich operacjach jego siły odgrywały wiodącą rolę; Pierwsza Flota w żadnym razie nie mogła zabrać wszystkich eskadr z Księżyca, gdyż doprowadziłoby to do destabilizacji sytuacji na Ziemi.

Gorczakow wypuścił kółko dymu, popatrzył na biurko, potem rozejrzał się po swym przytulnym gabinecie. Wpadł mu w oko najnowszy numer „KosmoSpiegla” informujący o dymisji Bradforda. Okładkę zdobiła karykatura: wielkogłowy rogaty kosmita z otwartym drapieźnie pyskiem gotowy jest do połknięcia Ziemi. Na górze napis ZBLIŻA SIĘ ARMAGEDON.

Wyglądało na to, że „KosmoSpiegel” nie spodziewa się niczego dobrego po Obcych - w paszczy kosmity tkwiły trzy rzędy zębów.

Zobaczymy - skostatował Gorczakow. - Może mają zęby i rogi, ale dusze anielskie.

Wszystko będzie jasne, gdy nadejdzie nowy raport Tymochina...

Jego spojrzenie padło na „Światła Moskwy”: zdjęcie prezydenta pod murami Kremla i artykuł na pierwszej stronie z krótkim tytułem PRZEWIDZIAŁ. Odłożył papierosa i z zachwytem pokiwał głową.

A więc to tak! Przewidział, nie przewidział, ale intuicji odmówić mu nie można. Ani wyczucia chwili. Nie wiadomo, czy sam się domyślił czy podpowiedzieli mu mądrzy ludzie, tacy jak Asadin, ale rad też trzeba umieć słuchać... Tak czy inaczej, prezydent zachowa fotel.

Albo wygra wybory, albo przedłużą mu pełnomocnictwa...

O tym i o wielu innych sprawach rozmyślał Borys Siergiejewicz Gorczakow, znany polityk i członek Rady Bezpieczeństwa, siedząc w swoim gabinecie na dwudziestym pierwszym piętrze budynku ONZ. Rozmyślenia były nieco chaotyczne, ale nawet przed samym sobą nie przyznałby się, że jest przerażony. Strach zapadł głęboko, przyczajony za myślami o jesiennych wyborach prezydenckich, o nagrodach czekających na Tymochina (które zawdzięczał jemu, Gorczakowowi), o prasie, w której z rozważań o obcych aniołach, a może demonach wyciśnięto wszystko do ostatniego eulara. W pewnej chwili przypomniał

sobie nawet o astronomie Li, Günterze Fossie i Umkonto Tloome, inicjatorach całej tej zawieruchy; przypomniał sobie i poczuł, jak ogarnia go zdumienie. Cichy, poukładany Tloome nie pojawił się na dwóch albo i trzech ostatnich posiedzeniach.

Ale wszystko to było tylko cieniutką ścianką skrywającą strach. Od czasu do czasu w ścianie pojawiała się pęknięcie, a wtedy Gorczakow zdając sobie sprawę z realności zdarzeń, czuł na plecach zimny dreszcz.

JUŻ TU SA!

Zdarzyło się nieprawdopodobne... Może naprawdę nadciągał Armagedon?

\* \* \*

Statek badawczy Kopernik lądował na astrodromie stacji marsjańskiej Mariner.

Piękny obraz: fioletowe sklepienie niebieskie, rudoszare piaszczyste wydmy, a na ich tle oślepiające gazy wyrzucane z dysz.

Jednakże dyspozytor Józef Kalich przywykł do tego widoku i patrzył na przybyły z Jowisza statek bez żadnych emocji. Co prawda Krystyna, jego przyjaciółka ze służb łączności, mówiła, że Kopernik wysłał sondy w głąb Czerwonej Plamy i że coś tam znaleźli, osobliwość przestrzenną albo temporalne diabelstwo, Mogłoby to być nawet interesujące, ale nie teraz. Do Jowisza szmat drogi, a tu jest znacznie bliższa sensacja - nie dalej jak jakieś osiem milionów kilometrów.

Zgasły płomień bijący z dysz i Kopernik przypominający wkład do termosu ciężko osiadł na betonowych płytach. Dokładnie tam, gdzie go skierowano - między rudowcem Neo Polimetal a orbitalnym czółnem. Do rudowca ciągnęły się węże łączące cysterny z paliwem, ale ta część lądowiska, podobnie jak i same cysterny, była daleko od Kopernika i gazy wydechowe tam nie dochodziły. Kalich na wszelki wypadek sprawdził, że nic nie zakłóciło tankowania, popatrzył na pulpity pełne zielonych światełek, z zadowoleniem pokiwał głową i powiedział przez mikrofon:

- Dyspozytornia stacji Mariner do Kopernika. Lądowanie przebiegło bezawaryjnie.

Wysyłam transport.

- Dziękuję - odparł jeden z pilotów. W jego głosie słychać było zmęczenie.

Kalich pomachał ręką do dyżurnych.

- Pierre, Zbyszek! Poślijcie tam kogoś. Niech wezmą zielony mobil, jest większy, a oni mają na pokładzie siedemnaście osób.

- Będzie tankowanie? - zapytał Pierre.

- Oczywiście, ale dopiero jak skończymy z rudowcem. Za dwie godziny.

Kalich westchnął, spojrzął na pasy startowe, na stojące tam trzy statki, na niebo, cysterny i błyszczący w oddali bąbel kopuły mieszkalnej. Pejzaż piękny, ale miejsce mimo wszystko ubogie... Ani zieleni, jaką mają Hellas, Argyre czy Isidis29, ani prawdziwego miasta pod kopułą, ani klubów, ani stadionu, ani teatru, ani nowych twarzy... Na stu mieszkańców -

jeden basen długi na piętnaście metrów, jedna kawiarnia i bar w hotelu... Ale i tu docierają nowiny. Docierają, dzięki niech będą Galaktyce i służbom łączności!

Pstryknął przełącznikami na pulpicie i zapytał proszącym tonem:

- Krysiu, to ty? Mówi Józef. Posłuchaj, moja pani, jest coś nowego o przybyszach?

Opowiesz, co? Pierre i Zbych też chcieliby posłuchać...

\* \* \*

Posłuchać chcieli nie tylko Pierre i Zbych - na ciężkim krążowniku Tajga komandor podporucznik Czernow, starszy łącznościowiec, osobiście siedział przy odbiorniku ze słuchawkami na uszach. Siedział drugą dobę, wychodząc tylko za potrzebą, chociaż towarzyszący mu podporucznicy i porucznicy zmieniali się co sześć godzin. Diegtiar, kapitan Tajgi, ufał tylko unikatowemu słuchowi Czernowa.

Krążownik wziął kurs na Erosa. Ten kawałek skały przypominający kształtem ogórek przelatywał regularnie w pobliżu Ziemi i chociaż nawet w chwili ekstremalnego zbliżenia odległość nigdy nie była krytyczna, to jednak prognozy na przyszłość niepokoiły. Dlatego postanowiono skończyć z Erosem - albo go rozpylić, albo rozbić na kawałeczki, albo zmienić orbitę ukierunkowanym wybuchem, odrzucając planetoidę daleko od zamieszkałych planet.

W celu oceny tych wariantów wysłano na Erosa grupę geofizyków z ZSK. Wyposażono ich w kombajny górnicze, roboty burzące, czółna kosmiczne i oczywiście w najlepsze systemy podtrzymywania życia. Krążownik miał zabrać tę grupę wraz z cennym sprzętem.

Eros znajdował się blisko apocentrum, w odległości trzystu dwudziestu milionów 29 Hellas Planitia, Argyre Planitia, Isidis Planitia - obszary depresji (baseny) na Marsie charakteryzujące się płaskim dnem, możliwe do zasiedlenia.

kilometrów od Ziemi, po drugiej stronie Słońca. Przekąźniki w bazach Drugiej i Trzeciej Floty w pasie asteroid obsługiwały tylko rozkazy i informacje służbowe, a przechwycić samodzielnie przekazy z Ziemi było praktycznie niemożliwe. Jednakże Czernow dawał sobie z tym radę, a nawet przygotowywał komunikaty ze strzępków przemówień, zdań i przemykających niewyraźnych obrazów. Nowiny były niewiarygodne - można wręcz rzec fantastyczne, gdyby nie to, że potwierdzały je wszystkie kanały, w tym także służbowy.

Załoga słuchała ich cztery razy na dobę, niecierpliwie i z drzeniem, a wszystkim - od kapitana po Strzelca, od kucharzy po desantowców - zdawało się, że do początku nowej ery zostało pięć minut. No, może nie pięć i nie minut, ale nie więcej niż miesiąc.

Nie było na Tajdze człowieka wolnego od marzeń o tym, by znaleźć się u boku towarzyszy szczęściarzy, którzy wraz z Tymochinem pierwsi ujrzą coś cudownego, nieprawdopodobnego, niebywałego.

\* \* \*

Sidney Brik i Juan Ariego, górnicy z kopalni nr 13044, szybując w nieważkości, ssali piąty kufel piwa w knajpie Papcio Pugh. Brik był czarnoskórym Amerykaninem z Bostonu, natomiast Ariego pochodził z Malagi, w jego żyłach mauretańska krew mieszała się z hiszpańską. Właścicielem kopalni był kartel Silver Ink, ale wydobywali w niej nie srebro, lecz cenniejsze metale - ren, osm i iryd. Wywóz srebra raczej by się nie opłacił, bo w najlepszym dniu trzynaście tysięcy czterdziestą czwartą oddzielało od Ziemi pół miliona kilometrów.

Kopalnia otrzymała nazwę od bezimiennej asteroidy, znanej tylko jako numer - był to kosmiczny głaz, który dało się obejść w ciągu dwudziestu minut. Oczywiście bez żadnych nerwowych ruchów, aby nie odlecieć na wieczność w pustkę. Co zaś się tyczy Papcia Pugh, to najbliższa konkurencja działała na Ceres w górniczym miasteczku Mining Rock i w bazie Trzeciej Floty. Wpływało to katastrofalnie na ceny alkoholu.

- Fredowi ryj obili - oznajmił Ariego we francusko-hiszpańsko-angielskim dialekcie. -

Stanął mu, jak spojrzął na Moisésa. Pod prysznicem.

- Do dupy z Fredem - odparł Brik.

- I bez twoich rad tam trafi - zauważył Ariego, pociągnął piwa przez słomkę i skrzywił się. - Co za siki! U nas w Andaluzji coś takiego...

- Do dupy z Andaluzją!

- A właściwie dlaczego by nie? - Ariego wzruszył ramionami. - Co z niej zostało, z tej zasranej Andaluzji? Oliwki, palmy i turyści...

- Do dupy z turystami!

W milczeniu wykończyli piąty kufel i zamówili szósty.

- Znowu obcięli premie - powiedział Ariego, by podtrzymać rozmowę. - Majster mówi..

- Do dupy z majstrem! - warknął Brik.

- Jeśli o to chodzi, przyjacielu, w pełni popieram.

Minęła godzina. Dopijali siódmy kufel.

Ariego wbił wzrok w szybę ze zbrojonego plastiku. Okno wielkości piłki wychodziło na zewnątrz, gdzie oprócz mroku i pustki widać było z pół tuzina gwiazd. Niezbyt jasnych.

- Widziałeś przekaz z Ceres? Wiadomości? - przyssał się do kufła, czyszcząc dno. - W

Mediolanie para gejów doczekała się potomka. Sklonowali czy jakoś tak... A poza tym Real spuścił

bęcki Chelsea... I jacyś kosmici przylecieli...

- Do dupy z kosmitami - powiedział Sidney Brik. - Weźmiemy jeszcze po piwie, Juanito?

\* \* \*

Posterunek 13 wmurowano w skalną powierzchnię równiny Tartar po uszy, to znaczy po górną kopułę ochronną. Na Wenus uważano Tartar za całkiem przyzwoite miejsce: od strefy aktywnych wulkanów dzieliło go ponad trzy i pół tysiąca kilometrów, atmosfera (97%

procent dwutlenku węgla) była stosunkowo spokojna, prędkość wiatru podczas burzy nie przekraczała 80 m/s, opady z warstwy chmur (80% - kwas siarkowy, reszta - solny i fluorowodorowy) raczej umiarkowane, rzeźba terenu płaska, dostępna dla środków transportu. Oczywiście było gorąco (czteryście stopni Celsjusza), ale grzech byłoby narzekać.

W innych miejscach temperatura dochodziła do pięciuset stopni.

Pod względem konstrukcyjnym Posterunek 13 stanowił podzielony na piętra walec z trwałego kompozytu o średnicy dwudziestu dwóch i wysokości siedemdziesięciu metrów. Na górze - pod kopułą, gdzie znajdowała się śluza, hangar, wysuwana antena i urządzenia łączności dalekiego zasięgu - temperatura osiągała czterdzieści stopni, głęboko na dole nie przekraczała trzydziestu. Tam właśnie, przy kratkach klimatyzatorów, z których dmuchało chłodne powietrze, ukryto laboratoria, pomieszczenia mieszkalne, kuchnię i salon. W salonie grali w pokera Mike Swirydow i Demeskis. Ich trzeci kompan, Paul Durant, spał, ale uczestniczył w grze wirtualnie - reprezentował go komputer Fool Ass.

- Sprawdzamy? - zaproponował Mike. - Strit. Od waleta.

Demeskis miał trójkę, komputer - dwie pary. Fool Ass beznadziejnie przegrywał.

Swirydow przetasował talię i rozdał - sobie, Demeskisowi i na skaner komputera.

*Zamieniam jedną* - zabrzczał melodyjnie Fool Ass, podświetlając kartę.

Swirydow wymienił.

- Widziałeś dane z ostatniego odwiertu? Z tego, co to wiertło pękło? - zapytał

Demeskis. - Woda! I do tego w górnych warstwach litosfery. Oczywiście para i w ilościach śladowych. Ale zawsze...

- No właśnie, w ilościach śladowych! - fuknął lekceważąco Swirydow.

- Ale proces trwa... - Demeskis z zadumą patrzył w karty.

- A dlaczego nie miałyby trwać? - Swirydow wywołał na ekran numer „Planetary Review” z odpowiednim artykułem. - O, nawet na Merkurym...



Gra była tłem dla dyskusji ciągnącej się od siedmiu miesięcy, od chwili, gdy zastąpili poprzednią grupę naukowców z ZSK. Dyskutowano o wodzie - a właściwie o jej braku. Pod względem wielkości i etapów rozwoju Wenus była podobna do Ziemi, a to znaczyło, że pod koniec okresu formowania twardej skorupy z wypełnionego magmą wnętrza wydzielały się ogromne ilości pary wodnej. Stąd pytanie, gdzie znikła ta para. Demeskis był zwolennikiem tradycyjnego poglądu: pod wpływem wysokiej temperatury woda rozłożyła się na wodór i tlen, pierwszy ulotnił się w górne warstwy atmosfery, a drugi wszedł w reakcję z minerałami powierzchniowymi. Mike Swirydow uważał, że przyczyna jest inna - kosmiczna katastrofa.

Być może jakieś ciało niebieskie, kometa lub asteroida, zbliżyło się za bardzo do Wenus, zrywając z niej wodny płaszcz, i odleciało w kosmos. Jeśli nawet we wnętrzu planety przetrwało nieco wody, są to tylko nędzne resztki pierwotnego bogactwa.

Demeskis zamienił dwie karty, dolicytował i pokazał karetkę dziewiątek. Swirydow znowu miał strita, a komputer - nic. Durantowi tego dnia się nie szczęściło, ale jeszcze o tym nie wiedział, śpiąc snem sprawiedliwego w kajucie.

Nie grali na pieniądze - ten wariant wypróbowali dawno temu i odrzucili jako nie pasujący do rzeczywistości. O ileż ciekawsze były sprawy upiększające życie: zwycięzca wybierał dysk z filmem albo menu na obiad, przegrany wchodził pod stół albo piał jak kogut.

Dzisiaj grali o seans łączności. Zgodnie z harmonogramem łączność nawiązywano co trzy dni, jeśli tylko nie przeszkodziła burza: dyżurny wysuwał antenę, wysyłał raport o obserwacjach, po czym przyjmował instrukcje i prognozy pogody. Niezbyt miłe zajęcia w czterdziestostopniowym upale.

Swirydow i Demeskis zdążyli omówić swe hipotezy i nawet pokłócić się o złamane wiertło, gdy do salonu wszedł Durant. Było już jasne, że komputer przegrał z kretesem. Do seansu łączności zostało nieco ponad siedem minut - właściwie już trzeba było wysuwać antenę.

- Idź na górę - powiedział wygrany Demeskis, kiwając w stronę ekranu komputera.

Potem dodał w rytmie heksametru:

Pokonanych tytanów los okrutny czeka!

Męki wieczne w Tartarze gdy w pokera grywać

Z Olimpijczykami niebacznie zapragną!

- Krętacze - wysyczał Durant, podszedł do automatu dystrybucyjnego, opił się jak bąk i znikł w kabinie windy.

Wrócił po półgodzinie purpurowy, zmęczony, z kwadratowymi oczami.

- No chłopaki, no... najświeższe nowiny ze staruszki Ziemi... Kosmici!... Bezpośrednia transmisja na wszystkich kanałach. *Mon Dieu!* Nie wiem, jak to opowiedzieć...

- Spróbuj zwyczajnie, Paul, po kolei - zachęcił go Swirydow. - Własnymi słowami.

Paul opowiedział.

\* \* \*

Na Ziemi też różnie przyjmowano nowinę. W sytych miastach Europy, w amerykańskich i japońskich megapolis, w Australii, w Kanadzie, gdzie rzeki miodem i mlekiem płyną, a nawet w Rosji, niezbyt bogatej, ale zbyt ludnej i wielkiej, by groziła jej prawdziwa nędza, przybycie Obcych przyjęto z entuzjazmem. Oscylował od umiarkowanego po burzliwy, przechodzący w euforię, ale w zasadzie tłumy na ulicach dużych miast skłonne były raczej do wiwatów niż awantur i paniki. Wystąpienia pojedynczych ksenofobów ukrócono pałkami, armatkami wodnymi i gazem łzawiącym, a najbardziej agresywnych skierowano do szpitali psychiatrycznych wraz z kilkoma setkami neoluddystów i antyglobalistów. W Rio de Janeiro ruszył karnawał pod hasłem „My i Galaktyka”; w Disneylandzie zorganizowano wystawę kosmitów - wszystkich, jakich wymyślono od czasów Wellsa; w Hollywood wznowiono projekcje stuletnich filmów „Moja macocha jest kosmitką” i „Ziemskie dziewczyny są łatwe”. W muzeach, w Luwrze, Prado, Ermitażu, robiono gruntowne porządki w nadziei na wizytę gości z niebios; w Chile, Belgii i Portugalii na fali radości ogłoszono amnestię; w Rosji nowy gatunek pszenicy nazwano „kosmiczna wielkokłosa”.

Co się zaś tyczy krajów Trzeciego Świata (w końcu dwudziestego pierwszego stulecia było to bardzo rozmyte pojęcie), to większość ich obywateli o przybyciu Obcych nic nie wiedziała albo uważała plotki o wizycie z galaktycznej otchłani za głupi wymysł. Nadzy tubylcy z Andamanów wędrowali po lasach tropikalnych w poszukiwaniu jadalnych korzonków i trawek, robiąc sobie od czasu do czasu przerwę na seks; ich język składał się z dwustu słów - ani jedno nie miało związku z kosmitami. Setki milionów Chińczyków, Hindusów, Arabów, Afrykanów jeśli nawet martwiło się o coś pochodzącego z nieba, to były to wyłącznie deszcz i wiatr. Ludzie - albo Nieludzie - z kosmosu byli dla nich równie odlegli jak Obłok Oorta, a już na pewno nie bliżsi niż kopuły na Marsie i pas asteroid. W

przeciwieństwie do mieszkańców Andamanów słyszeli o cudach swej epoki, o osiągnięciach genetyki, klonowaniu, endochirurgii, komputerach wielkości monety, o elektrowniach jądrowych i sztucznych satelitach Ziemi, o statkach latających na Plutona - czasem nie tylko słyszeli, lecz nawet widzieli na ekranach telewizji rzeczy nie całkiem zrozumiałe i nie związane z codziennym życiem. Przybysze zaliczali się do kategorii takich samych cudów nie dotyczących ich bezpośrednio, nie obiecujących ani lekarstw, ani nowych butów, ani nawet dodatkowej garści ryżu. Pojawienie się Obcych może i coś znaczyło, ale nie dla nich, albowiem syty głodnego nigdy nie zrozumie.

Jednakże Czerwony Dżihad, Dzieci Allaha i asasyni oznajmili, że nawet przybycie aniołów z nieba nie obroni żydowskich psów i chrześcijańskich hien od sprawiedliwej zemsty. Solidaryzowali się z nimi separatysty wszelkiej maści, których nie brakowało w Hiszpanii, Brytanii, Rosji, Stanach Zjednoczonych i oczywiście na Bałkanach. Neoluddyści nawoływali do bojkotu kosmicznej, bezsprzecznie maszynowej cywilizacji, zieloni bali się o ziemską ekosferę i ostatnie wieloryby oraz słońce, które przybysze mogliby wywieźć jako niespotykane dziwo, antyglobaliści chwilowo milczeli najwyraźniej skonfundowani. Chiny, Albania i Indie wystosowały do ONZ notę, w której stwierdzały, że ZSK, a tym bardziej Trzecia Flota pod dowództwem admirała Tymochina nie reprezentuje społeczeństwa Ziemi i nie ma pełnomocnictw do prowadzenia negocjacji. Dlatego

należy stworzyć misję dyplomatyczną uwzględniającą interesy całej planety, inaczej kraje wnioskodawcy wyślą własnych emisariuszy na orbitę Marsa, aby nawiązać z przybyszami jednostronne porozumienie. Reakcja była natychmiastowa: ONZ z upoważnienia Rady Bezpieczeństwa ograniczyło ruch komunikacji kosmicznej w granicach Układu Słonecznego.

Poza tym na politycznym Olimpie panowała cisza. Uczeni - od fizyków po socjologów - tworzyli prognozy i hipotezy, prasa gruchała i straszyla, wieszcząc albo raj na Ziemi, albo nieuniknioną apokalipsę, na giełdach panowało lekkie poruszenie: papiery wartościowe związane z technologią termojądrową traciły na wartości, co wiązało się z nadzieją na nowe źródła energii. Ale Wielka Polityka i władający nią Biznes milczały.

Żadnych zrozumiałych oświadczeń ONZ czy Rady Bezpieczeństwa, prezydentów i głów wielkich mocarstw, ani słowa ze strony finansistów, szefów międzynarodowych korporacji, liderów wiodących partii. Zasadniczo było to zrozumiałe: flotylla Tymochina spotkała przybyszów dwadzieścia sześć godzin temu.

Nie wszyscy określili jeszcze swe stanowiska. Nie wszyscy wyszli z szoku i zdumienia. Nie wszyscy zdążyli ocenić konsekwencje i perspektywy, gdyż gotowych precedensów i rozwiązań nie było.

A poza tym nie wszyscy uwierzyli.

*Między orbitami Marsa i Ziemi*

Nie zdołał od razu porozmawiać z Io - choć miała otwarte oczy, wciąż jeszcze przebywała w transie. Lekkie smukłe ciało parzyło Litwina przez skafander, od zapachu kręciło mu się w głowie; przyciskał ją do siebie, nie patrząc w miarę możliwości na pełne piersi z twardymi sutkami, na płynną linię bioder, na drobne stopy. Porywał nie kobietę, lecz cennego sojusznika lub w najgorszym razie informatora, chociaż przekonać o tym samego siebie nie było rzeczą łatwą. Nie dotykał kobiecego ciała przez długie tygodnie, nie czuł

słodkiego nęcącego aromatu... Wśród załogi Skowronka było osiemnaście dziewcząt, ale Litwin nie nawiązał bliższej znajomości z żadną z nich. Żadna nie była tak piękna jak Io.

Po minucie dotarli do ustronnego bezpiecznego miejsca, dobrego na kryjówkę. Mały moduł, jeden z setek parkujących w ogromnej cylindrycznej rurze biegnącej obok szybu konwertera... W każdym spał pilot. Mnóstwo żywych stworzeń, co równało się silnemu tłu w podczerwieni. Był jeden problem - we trójkę wydzielali więcej energii, a to mogło ich zdemaskować.

Litwin położył Io na miękkiej wykładzinie, nakazał zapalić światło i zlustrował

wnętrze. Kabina modułu była niewielka, ale mimo wszystko przestronniejsza niż w myśliwcu: klinowata komora długości pięciu metrów ze śluzą w rozszerzeniu - miejscu styku maszyny z pokładem. Wąska część kończyła się ekranem; tam owinięty folią, rozciągnięty od podłogi do sufitu wisiał nagi pilot, równie wysoki i kościsty jak niektóre stworzenia z sali t'hami. Nie znalazłszy znajomych sprzętów: fotela, jakichkolwiek dźwigni ani przyrządów, Litwin postanowił zapytać Okręt, jak sobie radzić z tym cudem. Dźgnął kilka razy membranę.

Nieoczekiwanie rozchyliła się i pilot spadł mu prosto w ręce, ciągnąc za sobą przymocowaną do szyi rurkę, a może kabel. Litwin oderwał ją i wyciągnął pilota.

Koniec galerii ginął gdzieś w oddali. Ściany błyszcząły setkami membran.

Przypominało to pokład C na Skowronku, tyle że dłuższy ze dwadzieścia razy, a może nawet trzydzieści albo czterdzieści. Wszystkie śluzy były jednakowe; żeby nie zabłądzić, Litwin odliczył siedemdziesiątą siódmą i ułożył niesiony ciężar obok gospodarza modułu.

- No i co, chłopaki?... Razem będzie wam różniej.

*Trzeba go podłączyć - bezgłośnie powiedział Okręt. - Inaczej zginie.*

- Podłączyć? Do czego?

*Do zapasowej magistrali.*

Z góry spadł kabel z ciemną owalną przysawką. Litwin poobracał go przez chwilę w dłoniach i

przykleił do czoła pilota.

*Nie tutaj. Do szyi, do splotu nerwowego.*

Przyczepił giętką linkę do wypukłości na karku. Pilot nie przypominał poznanych wcześniej trolli ani elfów, raczej kikimorę. Błady, chudy, kruchy, ze sterczącymi stawami i twarzą wielkości dłoni, nad którą zwisała rozdęta czaszka... Oczy białawe, usta z wargami ściągniętymi w dziób, w pachwinie fałda przypominająca torbę kangura; organy płciowe albo były w niej ukryte, ale nie istniały w ogóle.

Stworzenie zdecydowanie wyspecjalizowane - skostatował Litwin, pokiwał głową i wrócił na galerię.

Podszedł do swojej membrany, przystanął, pomacał przyklejony do skroni kaff, popatrzył w górę, jakby chciał przeniknąć wzrokiem sufit i spojrzeć na kosmiczną ciemność obecną za dziesiątkami pokładów, ścianek i segmentów. W końcu zapytał:

- Jak daleko jest nasza flota? Ile ma okrętów?

*W ziemskich jednostkach: czternaście i trzy dziesiąte miliona kilometrów.*

*Poszczególne okręty nie są widoczne, lecą zwartą grupą.*

- Czas spotkania?

*Za trzydzieści sześć godzin.*

Nadchodzą - pomyślał Litwin - nadchodzą! Wyciągnąć Abbie, a potem jak w bajce: dzień się bronić, noc przetrzymać!

Omiótł wzrokiem niezliczone szeregi słuz i jego entuzjazm opadł. Ogarnęło go zmęczenie, a także poczucie beznadziei, głód i strach. Przez chwilę czuł się jak w pułapce wśród setek maszyn bojowych - namacalnych dowodów siły i mocy przybyszów. Jak poradzić sobie z taką armadą, jeśli dojdzie do walki? A jeśli nie dojdzie, to z nimi koniec - i z nim samym, i z McNeal. Byli wstępnyimi próbkami i jak wyjaśnił Okręt, podlegali zniszczeniu...

Przydusić by to quasi-rozumne stworzenie razem z jego szcurzym gniazdem...

Jeniec, a może sojuszniczka nadal leżała na podłodze z rękami wyciągniętymi wzdłuż tułowia. Zdjął skafander i hełm, wyjął termos i spróbował wlać jej do ust napój tonizujący.

Cienki strumyczek pociekł po policzku - wyglądało na to, że nie przełknęła ani kropli.

Okręcie! - zawołał w myślach. - Co z nią?

*Jeszcze się nie ocknęła. Zazwyczaj na przejście z t'hami do normalnego stanu trzeba od trzech do pięciu godzin. Oprócz tego potrzebny jest pokarm. Węglowodany.*

Litwin otworzył pojemnik z racjami żywnościowymi, wymacał plastikowe tubki, wyjął, obejrzał. Żółta i brązowa, miód i czekolada... Czy nadadzą się dla istoty z innej planety?... I jak ją zmusić do łykania? Czy nie popełnił błędu, zabierając Io z sobą? Okręt twierdził, że przebudzenie nie przyniesie jej szkody... Ale być może w salach t'hami są jakieś niezbędne urządzenia, jakieś specjalne jedzenie i preparaty... Nagle przeląkł się, że Io umrze albo nie wyjdzie ze śpiączki - jej twarz była blada jak marmur, mięśnie sztywne, źrenice srebrnych oczu całkiem znikły.

- Czym mam ją nakarmić? - zapytał. Zdumiał się ochryłym brzmieniem własnego głosu.

Przed nim, obok półkuli i miejsca pilota, rozstąpiła się ściana. Za pulpitem zobaczył

niskie cylindryczne naczynie z podziałką wypełnione czymś bursztynowym, błyszczącym, płynnym. W stronę Litwina podpłynęła cienka rurka, a może szczytce z płaską przypominającą monetę końcówką, po czym zabrzmiał bezcielesny głos: *Pokarm i biostymulatory. Podawać dożylnie.*

- Trzeba przebić skórę?

*Nie. Przyłóż tam, gdzie widoczne są naczynia krwionośne. Najlepiej na nadgarstku albo w zgięciu łokcia. Przyciśnij mocno.*

Tak zrobił. Końcówka lekko drgnęła, poziom bursztynowego płynu spadł o jedną podziałkę i Litwin odniósł wrażenie, że policzki Io poróżwiały. Najpewniej wyobraźnia płatała mu figle, bo skóra bino faata nawet normalnie była znacznie bledsza niż u Ziemiaków.

Ale jednak - źrenice zabłysły w oczach niebieskimi cieniami jak rybki wyskakujące ze srebrzystego jeziora.

*Przebudzi się - oznajmił Okręt. - Ale...*

- Tak?

*Będzie w stanie silnego wzburzenia emocjonalnego. Jest w okresie tuahha.*

- Damy sobie z tym radę - powiedział Litwin, przykładając końcówkę do własnego nadgarstka. - Wiesz, ja też jestem głodny, więc podrzuć mi trochę kalorii. Najlepiej podwójną porcję.

Końcówka drgnęła dwa razy i znikła za obiciem ściany. Litwin siedział, śledząc, jak szybko i zdecydowanie rozplywa się we krwi ciepło przeganiające zmęczenie i głód. Czuł, że umysł zaczyna działać coraz sprawniej - widocznie środek Obcych był znacznie skuteczniejszy od ziemskich tabletek tonizujących. Przez jakiś czas myślał naraz o stu rzeczach, o tym, jak pomóc McNeal, o swych martwych towarzyszach rozczłonkowanych i wpakowanych do pojemników, o nadlatującej flocie, o żywej Galaktyce pełnej niebezpieczeństw i cudów, o Okręcie i setkach modułów ze śpiącymi w środku pilotami i o kuszącym ciełe Io. Myśli błyskały jak światło stroboskopów, ale stopniowo ich tempo zaczęło powracać do normy, a gorąco ustępowało z krwi. Wstał i zrobił krok w stronę przezroczystej błony przed sferycznym ekranem.

Okręcie!

*Słucham.*

Czy ta tkanina to element sterujący?

*Elementem sterującym jest sam pilot. Tkanina służy jako punkt styku z systemami modułu. Interfejs podobny do kaffu.*

Kokon jak w gryfach, tylko udoskonalony - pomyślał Litwin i ruszył do środka. Błona otoczyła go, okryła głowę, ramiona, tors, kończyny; poczuł słabe ciśnienie, jakby znajdował

się pod wodą na głębokości trzech, czterech metrów. Poza tym - nic.

*Konieczny jest bliższy kontakt - oznajmił Okręt. - Przeszkadza ubranie.*

- Jeśli przeszkadza, trzeba zdjąć.

Wyplątał się z ciasnych objęć błony, zrzucił buty i kombinezon, spojrzał kątem oka na Io, pomyślał i przykrył ją swoim ubraniem, mimo że w kabinie nie było zimno, lecz wręcz gorąco - widocznie przybysze lubili ciepły klimat.

Błona też okazała się ciepła jak żywe stworzenie. Teraz Litwin odbierał ją jak drugą skórę, a uczucie to cały czas narastało i wraz z nim doznał drugiego, całkiem dziwnego - miał

wrażenie, że jest teraz czymś masywnym, kanciastym, umieszczonym we wnętrzu potwornej rury. Rozumem pojmował iluzoryczność tych wizji, ale miraż był coraz wyraźniejszy, pełniejszy, wprawiał mięśnie w drżenie - nie, nie mięśnie, a coś innego, podobnego do pudełka z obciętym rogiem; od ścięcia tuż pod nogami ciągnęła się ruchoma dysza z kamerą i owijająca je spirala, a za tym urządzeniem dostrzegł jakiś agregat, toroidalną konstrukcję z błyszczącymi kulami rozrzuconymi po całej powierzchni. To od niej pochodziło wrażenie drżenia dające echo w mięśniach odruchowym prężeniem - tak jak ucho łowi odległy dźwięk dzwonów.

*Antygrav* - wyjaśnił Okręt szeleszczącym głosem, a Litwin zgadł, że mowa o torusie z kulami. - *Silnik grawitacyjny. Taki sam jak te, tylko o mniejszej mocy.*

Pojawiła się para ogromnych pierścieni otaczających kadłub Okrętu, a między nimi szeregi modułów bojowych. Najwidoczniej obraz był prawdziwy, przedstawiał realne położenie w przestrzeni - w tle świeciły znajome gwiazdozbiory i czerwony dysk Marsa.

Obraz znikł. Litwin dotknął w myślach spirali i zapytał: A to co za maszyna?

Cisza. Wyglądało na to, że Okręt nie potrafi się zdecydować, chociaż taka reakcja dla quasi-rozumu mogła być czymś zgoła obcym. A jednak Litwin rozpoznał ją -

niezdecydowanie i coś podobnego do wątpliwości.

*To anihilator* - rozbrzmiało w końcu w jego głowie.

Broń?

*Tak.*

Mogę jej użyć? Mogę w ogóle latać tym czymś?

Znowu cisza. Potem:

*Nie sądzę. Moduł nie został zaprojektowany dla ludzi z Ziemi, dla bino faata czy zwykłego tho. Tylko dla pilotów.*

Tych chudych ze sterczącymi stawami?

*Tak. Genetycznie zmieniona rasa symbiontów zdolna do kierowania modułami.*

*Potrafią tylko pilotować, walczyć i jeśli trzeba, ginąć.* - Po chwili zwłoki Okręt dodał: -

*Żołnierze.*

- Pilotować, walczyć, ginąć... - Litwin powtórzył na głos. - Sądzisz, że nie dam rady?

Z kaffem i tą błoną?

*Niezbędne są wrodzone reakcje i wyszkolenie.*

- No, no... Pożyjemy, zobaczymy!

Oderwał błonę od ciała, rozsunał brzegi i zeskoczył na podłogę. Io przykryta kombinezonem nadal leżała obok śluzy. Litwin zostawił ją w spokoju. Zapytał, co porabiają Yata i Aiwe, czy nie szukają czasem zbiegłego bino tegari po wszystkich zakamarkach, i otrzymał odpowiedź, że przed salami t'hami rozstawiono warty i że Utrzymujący Łączność pogrążył się w transie, ale niczego nie odkrył. Litwin z zadowoleniem pokiwał głową, wyciągnął rękę po skafander, ale nie miał ochoty włączyć do niego na golasa i postanowił

pogodzić się z deficytem odzieży - przynajmniej do czasu, gdy Io odzyska przytomność. Goły tyłek nie przeszkadzał w komunikacji z Okrętem.

- Pokazałeś mi mapę - powiedział Litwin - ten stary schemat zaludnienia Galaktyki.

Zatem nie wszyscy rozumni wymarli?

*Nie wszyscy - potwierdził Okręt. - Pojawiły się też nowe rasy.*

- Dlaczego nie odpowiadają? Od ponad wieku wysyłamy sygnały w kosmos. My...

Umilkł zbity z tropu otrzymaną odpowiedzią:

*Nikogo nie interesujecie, póki nie stanowicie zagrożenia. Chociaż nie można wykluczyć, że w*



*waszym systemie są obserwatorzy. Rejon gazowego giganta patrolowali silmarri.*

- Kto? - wydusił z siebie Litwin.

*Silmarri. Jedna z gwiazdnych ras. Ich sektor jest blisko Nowych Światów. Kolonii bino faata w tym ramieniu Galaktyki.*

- I co z nimi zrobiliście?

*Ich statek został zniszczony.*

- Nieźle, klnę się na reaktor! A nie mogli zostać na Ziemi? Jako ci, no...

obserwatorzy?

*Wykluczone. Ziemskie warunki im nie odpowiadają. Nie są podobni do ludzi.*

Nieoczekiwanie w mózgu wybuchł obraz. Litwin studiował go przez pewien czas z zamkniętymi oczami, próbując ustalić skalę na podstawie konturu ludzkiej sylwetki. W końcu wymamrotał:

- Robak! Też coś, rozumny robak! I wielgachny... większy od anakondy... Czego tutaj chcą ci silmarri?

*Wiązka sądzi, że studiuje artefakt daskinów. Wasza cywilizacja zna go jako Czerwoną Plamę na Jowiszu. Istnieją domniemania, że jest to wejście do tunelu podprzestrzennego prowadzącego do innej galaktyki.*

Co go tak wzięło na szczerłość? - pomyślał Litwin. - Zdradza mi wszystkie sekrety...

To jakaś zagrywka? A może jest przekonany, że stąd nie umknę? No, to się jeszcze okaże, więc może lepiej by milczał!

Nie wiadomo, czy myśl dotarła do Okrętu czy nie, ale na pewno nie wywołała żadnej reakcji. Ani wyjaśnień, ani sprzeciwu, ani komentarza - zupełnie nic. Odczekawszy kilka minut, Litwin powiedział:

- Silmarri ciekawi Czerwona Plama, a co z bino faata? Też interesują się plamami?

*Nie tylko. Ich głównym zadaniem jest zapewnić bezpieczeństwo rejonu.*

- Tak? Dlaczego?

*Ekspansja w tym ramieniu Galaktyki wywołała zaniepokojenie innych ras. Możliwe aktywne przeciwdziałanie. Potrzebna jest forpoczta broniąca Nowych Światów. Układ gwiazdny z planetą zdatną do zamieszkania, z łatwo dostępnymi surowcami, energią.*

*Najlepiej zasiedloną.*

- A więc twoje symbionty potrzebują bazy - wymamotał przez zaciśnięte zęby Litwin.

- Zawieszają tutaj kosmiczne twierdze, załadują anihilatory i będą mierzyć się z wrogami, z tymi robakami i resztą galaktycznego zwierzyńca. Na naszym terytorium... Ziemię obrócą w perzynę, a wraz z nią całą resztę, od Merkurego po Plutona... Może nic nie zostanie oprócz Czerwonej Plamy... No, to rozumiem, jesteśmy w strefie obcych interesów strategicznych...

kiepski los trawy tam, gdzie walczą słonie. Ale po co im trawa? To znaczy zamieszkały system? Wybraliby bezludny... Ot, tuż obok jest Proxima Centauri, Syriusz też niedaleko i Altair... Miejsca za mało czy co?

*Miejsca jest dość - zgodził się Okręt. - Ale istoty myślące zdolne do pracy to najcenniejszy zasób w Galaktyce. Kto będzie budował kosmiczne twierdze? Bino faata rozmnażają się wolno, jest ich znacznie mniej niż Ziemi.*

\* \* \*

Te odkrycia trzeba było przetrwać.

Litwin oderwał kaff, wsunął go do pojemnika z żywnością i przysiadł na podłodze obok Io. Mentalny kontakt z quasi-rozumentem był dla niego na razie czymś nowym i wymagał

ostrożności. Istniało niebezpieczeństwo, że Okręt zdoła przechwycić myśli, którymi Litwin nie zamierzał się dzielić. Zdobyte w ciągu ostatnich godzin doświadczenie było zbyt skromne, by mógł na tej podstawie oceniać motywacje takiego dziwnego stworzenia, nie mającego odpowiedników ani w przyrodzie, ani w znanej technosferze. Na Ziemi już od pół wieku korzystano ze sztucznej inteligencji (takiej, jak na przykład KAN kierujący Skowronkiem), ale wszystkie te urządzenia były programowane z zewnątrz - albo przez ludzi, albo przez inne maszyny. Miały zdolność samodoskonalenia i reagowały poprawnie nawet w skomplikowanych sytuacjach, lecz algorytmy określające ich zachowanie bazowały na logice.

Strefa uczuć nie poddawała się modelowaniu matematycznemu; wszystkie próby opisanego językiem matematyki miłości, nienawiści, strachu czy radości kończyły się niepowodzeniem.

Mózg elektronowy, nie znający ani niepewności, ani wątpliwości, zawsze podejmował jedną jedyną decyzję, a poziom jego inteligencji określały wyłącznie stopień skomplikowania programu i liczba parametrów, które potrafił uwzględnić.

Litwin wyczuwał intuicyjnie, że rozum Okrętu jest czymś innym, bardziej elastycznym, dynamicznym i zbliżonym do ludzkiego bez względu na to, co się kryło pod przedrostkiem „quasi”. Najprawdopodobniej Okręt mógł odbierać emocje, a nawet je przeżywać; prawdopodobnie problem sprzecznych rozkazów rozwiązywał częściowo, posługując się logiką, a częściowo na poziomie emocjonalnym - podobnie jak robi to człowiek. Nie można wykluczyć, że miał zdolność dokonywania samodzielnego wyboru -

cechę niezbędną słudze dwóch panów.

A właściwie dwóch symbiontów - uznał Litwin, bo jego własna władza nad Okrętem pozostawała wciąż zagadką.

Tak czy inaczej ta istota - a może tylko świadomość? - nie przypominała robota ani komputera, martwego mechanizmu tylko imitującego rozum.

W odróżnieniu od nich Okręt oscylował na granicy życia i niebytu.

Był przez to trudnym przeciwnikiem. Litwin nie wątpił, że istnieje ukryte współdziałanie Okrętu i bino faata, korzystne dla obu stron, i że bez pomocy Okrętu przybysze byliby bezsilni. Zniszczyć ten związek? Ale jak? Postawić quasi-rozum przed nierozwiązywalnym dylematem i w ten sposób zniszczyć go, wydawało się zadaniem trudniejszym, niż doprowadzić do szaleństwa setkę ziemskich komputerów. Pewnie było to całkiem niewykonalne, jeśli starożytni daskinowie przewidzieli blokadę, obdarzając swe twory wolną wolą. Pewniejszy byłby fizyczny atak na Okręt, zniszczenie mózgu, pozostawienie tylko pustej skorupy, ale jak to zrobić - Litwin nie miał pojęcia. Przebić się na mostek, spalić duży zwój widoczny pod kulą z obrazem gwiazd? Spalić, ale czym? Nie miał

ani miotacza promieni, ani lasera... Poza tym zostaną inne ośrodki, setki, tysiące węzłów pajęczyny z pewnością zdolnej do regeneracji. Otruć je wszystkie? Znowu: czym? Z czego składają się te centra i nerwy? Z pewnością umieszczono je w oddzielnych przegrodach, w osłonach ochronnych... a jeśli to palne materiały... dobrze byłoby przyjrzeć się z bliska... A może zapytać Okręt? Jak ci, kolego, przetrzepać tyłek?

Litwin nie uważał pytania ani za nieetyczne, ani za niewłaściwe, ale był przekonany, że nie otrzyma odpowiedzi. Jeszcze jeden dowód na to, że jego przyjaciel był żywy.

Powoli zapadał w drzemkę, ale tym razem śnił nie koszmary, tylko uczciwe proste sny: oto wlatuje dwuosobowym szkoleniowym gryfem w marsjańską burzę, jak to miało miejsce dziesięć lat temu podczas praktyk, w drugim fotelu siedzi instruktor Sierow, stary skopany przez kosmos desantowiec z biomechaniczną ręką. Obok mkną rudawe wiry, nieba nie widać, Litwin leci na ślepo, według wskazań przyrządów. Zadanie: przeczesać Tharsis<sup>30</sup>

wzdłuż dwudziestego równoleżnika, dotrzeć do Olympus Mons<sup>31</sup>, obejść go bokiem i polecieć z powrotem na Mangala Valles<sup>32</sup> do miasta Siedem Kopuł i bazy ZSK. Litwin leci dobrze, pewnie, Sierow wygląda na zadowolonego; rozluźnił się w swoim kokonie i mamrocze: „Nieźle, szczawiku, zuch! Jeszcze ze trzy lata w Pasie między kamykami polatasz, wylądujesz na Wenus i będzie z ciebie nie kursant, ale prawdziwy pilot! Tylko na Ziemi uważaj, wal pierwszy, żeby zbóje łba ci nie odstrzelili!”. Po tych słowach wyciąga w stronę 30 Tharsis - ogromny rejon wulkaniczny na zachodniej półkuli Marsa, z wyżynami od 4-5 do 8-9 km.

Na Ziemi nie ma analogicznych formacji.

<sup>31</sup> Olympus Mons - wulkan w zachodniej części Tharsis, wznosi się 25 km nad powierzchnię planety.

Na Ziemi nie ma analogicznych formacji.

Litwina biomechaniczną rękę, by naruszając wszystkie instrukcje, poklepać go po ramieniu.

Litwin czuje jego palce, wbrew oczekiwaniom nie zimne i metaliczne, lecz ciepłe i delikatne. Majaczy, że choć siedzi w gryfie, jest goły, bez skafandra, bez kombinezonu i nawet bez butów. I że to nie Sierow siedzi obok, lecz ktoś inny, taki ciepły i delikatny jak spoczywająca na ramieniu rączka...

Drgnął, rozchylił nieco powieki. Trzymał w objęciach Io; jej skóra wydzieliała wspaniały aromat, oddech był głęboki, przerywany, policzek i skroń przylgnęły do szyi Litwina, brzuch i biodra - do ud. Jak we śnie, gdzie można robić to, o czym nawet się nie pomyśli na jawie, objął ją zdziwiony delikatnością i nieoczekiwaną siłą kobiety przytulającej się doń z rozpaczliwą, dziką, nierozsądną namiętnością. Jednego mogłoby to wystraszyć, drugiego - zachęcić i uszczęśliwić, gdyby kobieta pochodziła z Ziemi...

Gdyby!... - kołatało Litwinowi w głowie. - Gdybym wiedział, co się z nią dzieje!

Ale ważniejsze było, co działo się z nim. Rozum, pokonany przez ciało, przegrywał i Litwinowi zdawało się, że trzyma w objęciach nie dziecko obcego świata, ale najbardziej pożądaną ziemską dziewczynę. Ależ była piękna! Palce zabłądziły w grzywie ciemnych włosów, odchylił głowę kobiety do tyłu i wpił się w na wpół rozchylone wargi, zaczął

całować sutki. Oddech Io parzył.

Nie oddała pocałunku, nie rozumiała sensu pieszczot, gier miłosnych i ruchów, tego wszystkiego, co u ludzi poprzedza stosunek. I jakby nie ofiarowywała siebie, nie próbowała położyć się czy usiąść, jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, rozsunąć kolan, podsunąć piersi do spragnionych ust Litwina czy zachęcić go w jakikolwiek inny sposób. Obejmowała go tylko, oplótłszy obiema rękami, jakby pełna lęku, że nagle zniknie, zostawi ją samą wśród zwięzających się ku ekranowi ścian.

Lecz nią także owładnęło pragnienie; podpowiedziały to Litwinowi drżenie ciała Io, jej głębokie westchnienia i jego bezbłędny instynkt. Przez chwilę, pieszcząc wargami jej piersi i kark, myślał o tajemnicach tej rasy, wyszukując w pamięci informacje przekazane przez Okręt. *Tuahha jest okresem wzmożonej aktywności emocjonalnej, gdy bino faata nawiązują kontakty fizyczne w celu prokreacji...* To znaczy nawiązywali kiedyś, gdyż teraz uważają je za barbarzyństwo... Ale z naturą nie można wygrać!

Zaśmiał się cicho.

- Io, moja miła czarodziejko! Zapomnieliście, jak to robić... Wielka Galaktyko!

Zapomnieliście!

Tak cudownie było przypominać, tak wspaniale... Przypominać sobie we dwoje, słyszeć przeciągłe jęki Io, łowić jej westchnienia, całować oczy, wargi, czuć, jak w jednym rytmie drży razem z nim delikatne ciało... Z kim dzielił rozkosz? Z Obcą, kosmitką? Nie, nie była obca. Nie z Ziemi, ale nie

obca! Już nie obca.. Dziewczyna z innego świata, która po raz pierwszy poznała, co to miłość i namiętność...

Gdy ich oddechy uspokoiły się, Litwin usiadł oparty o ścianę, nie wypuszczając Io z objęć. Gorąco opuszczało ciało, rozluźnił mięśnie jeszcze niedawno szarpane miłosnymi spazmami, zamglony wzrok odzyskiwał ostrość. Patrząc w twarz Litwina, wyszeptała coś w języku bino faata. Nie rozumiał ostrych przerywanych dźwięków. Uniósł brwi, a Io oprzytomniała i powiedziała po angielsku:

- Gdzie jesteśmy? Skąd się tu wzięłam?

- W module. W kabinie modułu bojowego, który wisi w ogromnym hangarze.

Przyniosłem cię tutaj.

- Po co?

Jeszcze kilka minut temu Litwin miałby kłopot z odpowiedzią. Wcześniej chodziło o rozwiązanie dylematu, za kogo ją uważa, za jeńca czy sojuszniczkę - inne warianty nie istniały. Wcześniej... Teraz wszystko było inaczej. Być może nie wszystko, ale wiele.

- Po co? - powtórzyła.

- Byłem taki samotny... Ja...

Kobieta omiotła wzrokiem kabinę, zatrzymała spojrzenie dłużej na błonie interfejsu zwisającej z sufitu jak przezroczyste wrzeciono, na skafandrze rzuconym na podłogę. Nagle spojrzała na Litwina i dotknęła jego policzka. Co to było? Pieszczota? Chęć przekonania się o jego realności?

- Ty?...

- Uciekłem. Dotarłem do Skowronka, tam miałem kłopoty z olkami. Był jeszcze jakiś zwierz... phot... Z nim także wyjaśniłem stosunki. Potem poszedłem do sali t'hami, żeby znaleźć McNeal... tę dziewczynę... W korytarzu znowu spotkałem olków, obok twojej sypialni. No i...

Niezmiennie patrzyła na niego, nie pytając, jak uciekł z celi, jak wędrował po Okręcie i co za nieprzyjemności spotkały olków. Pewnie wszystko to niezbyt ją interesowało - w każdym razie w chwili obecnej. Odczekawszy minutę, Litwin zapytał:

- Co się z nami dzieje, ptaszyno? Z tobą i ze mną?

- Tuahha - wyszeptała - tuahha, starożytny wicher życia... wicher, który porwał nas i uniósł... Nie wiedziałam, że to takie piękne...

Spojrzał na nagie ramiona, popatrzył w oczy. W srebrzystych jeziorach błyszczały turkusowe źrenice.

- Tak bardzo nas przypominacie... we wszystkim oprócz tego, co nas różni. - Nie była to stuprocentowa prawda, ale szczerze wierzył w swoje słowa. Po jego twarzy błędził

marzycielski uśmiech i wydawało mu się, że porzucił ciasną kabinę obcego statku i wrócił na Ziemię, do świata być może nie pozbawionego niebezpieczeństw, ale znanego i kochanego.

Siedzi sobie na brzegu Dniepru, a obok najpiękniejsza dziewczyna...

Wargi Io także rozciągnął nieudolny uśmiech. Jej dłoń ześlizgnęła się po piersiach, brzuchu, potem po gładkiej marmurowej skórze biodra i znieruchomiała na kolanie. Nagość ją krępowała.

- Sztuka - powiedziała nagle - wasza dziwna sztuka, striptiz... U nas nie ma czegoś takiego. Jestem teraz jak ta ziemská kobieta, która się rozbierała... Mój widok sprawia ci przyjemność?

- Ogromną - potwierdził Litwin. - Ale striptiz nie ma tu nic do rzeczy. Ani striptiz, ani sztuka, ani wasi, ani nasi, ani durna Galaktyka. To coś całkiem innego, Io, to dotyczy tylko ciebie i mnie. Wicher życia, o którym mówiłaś... Wieje tylko dla nas dwojga, rozumiesz?

Jeszcze zrozumiesz - dodał w duchu. - Zrozumiesz, pojmiesz sens pocałunku, nauczysz się uśmiechać i szeptać słowa miłości. Jeśli tylko...

Jeśli przeżyjemy - dokończył myśl. - Jeśli nie spłonimy w wybuchu jądrowym, gdy krążowniki zaatakują Okręt, nie zmienimy się w popiół w potokach plazmy, nie zginiemy pod salwą swomów. Jeśli nas nie znajdą twoi współplemieńcy, nie wykończą trolle, nie rozszarpie phot... Życie jest wątłą nitką w mroku i chaosie wszechświata! Tak łatwo ją przerwać!

Io drgnęła.

- Chcę się ubrać. Potrzebny mi jeszcze kaff... Bez niego trudno chodzić po Okręcie.

Trzeba dezaktywować każdą membranę.

- Skąd to wszystko weźmiesz?

- Skądkolwiek. Wszędzie są takie... takie... u was nazywają je automatami dystrybucyjnymi. Urządzenia, gdzie można dostać ubranie i nie tylko.

- Broń?

- Nie.

Litwin rozluźnił objęcia. Wstała. Naga i piękna patrzyła na niego - nie jeniec i nie sojuszniczka, lecz ukochana. Potem jej wargi drgnęły i kabinę wypełniły płynne dźwięki niepodobne do języka faata.

- Co mówisz, moja droga?

- To starożytny język, starożytne słowa... W epoce Pierwszej Fazy witaliśmy nimi nadejście tuahha. Wcześniej nie rozumiałam ich. - Io uniosła ręce i zaszczebotała: - W twym spojrzeniu dwa księżyce, na twojej twarzy ich światło, pali ogień twoich rąk, to płomień tuahha, płomień w tobie i we mnie. Jestem pyłkiem, prochem i wicher unosi mnie ku niebu, wicher życia w twoich dłoniach, długi jak

wieczność. Nie ma między nami przegród, nie ma ścian, ja to ty, ty to ja, dwie łodygi splecione w tuahha...

Zrobiła dziwny gest, jakby przecinała membranę, i znikła.

\* \* \*

Oni też to znali - myślał Litwin, wsuwając nogi w spodnie kombinezonu. Miłość i pieśni miłosne... Było, minęło! Może zaginęło w Zaćmieniach, przepadło samo z siebie, a może uznali za zbędne i odrzucili. Zamiast wspaniałego daru - dni miłości: sztuczne zapłodnienie ksa, a dla pozostałych letargiczny sen. Może i ludzkość dojdzie do takiego etapu? Powiedzmy, po kilku kosmicznych katastrofach? Tym bardziej że istnieją solidne podstawy - ludzie to nie bino faata, nie są jednakowi i nigdy jednakowi nie byli. Dlatego tak łatwo byłoby zrobić kolejny krok, zmienić Chińczyków w tho, wojowniczych Arabów w olków, a Afrykanów i Hindusów w nawóz. Oczywiście, jeśli sami faata nas nie wyręcą. A dlaczego mieliby nie wyręczyć? Sądząc po warunkach panujących na Okręcie, wszystko na Ziemi im pasuje: i powietrze, i woda, i ciężenie, i klimat, a co do ziemskich chorób, to z pewnością już sobie z nimi poradzili. Pewnie, że tak - rozmyślał dalej Litwin, wciągając buty

- inaczej do tej pory już by wszystkich przybyszów wybiła grypa albo czerwonka. Z całą resztą też sobie poradzą, z wielką cywilizacją Zachodu, z nieśmiertelnymi zielonymi i neoluddystami, z flotą kosmiczną, z Państwem Środka, z buntownikami, terrorystami, czarnymi, żółtymi, białymi, ze wszystkimi rozumnymi w ograniczonym stopniu Ziemianami.

Nie wytrzebią, ale zmienią w niewolników. Jak powiedział Okręt: „Istoty myślące zdolne do pracy to najcenniejszy zasób w Galaktyce”.

Przez membranę bezgłośnie przeniknęła Io, siadła naprzeciw Litwina. Przybrała naturalną, pełną gracji pozycję niczym Japonka; podobnie do tego narodu bino faata prawie wcale nie używali mebli. Oprócz, być może, stołów do jedzenia. Siedziska, kanapy i koje zastępowała im podłoga i obszary nieważkości.

Na Io lśnił jak chryzolit obcisły niczym druga skóra kombinezon, we włosach pobłyskiwała kulka. Litwin wyjął swój kaff i też umieścił go na skroni. Przestrzeń rozsunała się, odwróciła, tysiące nerwów wzrokowych połączyło się z tysiącami oczu w tysiącach pomieszczeń, ale tym razem wiedział już, jak wyłączyć miraż. Chciał patrzeć tylko na Io, widzieć ją, rozmawiać z nią.

Nagle kobieta zrobiła wielkie oczy, turkusowe źrenice przybladły, zatoneły w srebrzystym tle.

- Masz kaff? Skąd?

- Od ciebie. To nie ty mi go podrzuciłaś? W celi?

- Nie. Ja... chciałam ci pomóc... nawet wcześniej, zanim związało nas tuahha... Ale nie mogłam.

- Bałaś się?

Rozłożyła ręce w geście zaprzeczenia.

- To by nie miało sensu. Nasz kaff nie nadaje się dla ludzi z Ziemi. Wasz rozum...

mózg... jest zbudowany inaczej niż u bino faata. Chodzi nie tylko o inną częstotliwość, ale o inne powiązania między neuronami, inne postrzeganie świata, silniejsze emocje... Tak powiedział Aiwe. Mówił jeszcze, że wasza podświadomość jest jak otchłań zakryta mgłą: para unosi się ku rozumowi, wpływa na ocenę rzeczywistości, ale proces ten jest tak skomplikowany, że Aiwe nie zrozumiał go do końca. Prawdopodobnie podświadomość jest źródłem waszej sztuki i religii, zjawisk, które są dla nas zupełnie obce i niezrozumiałe. Tutaj -

Io dotknęła czoła - jest więcej różnic niż tu. - Przycisnęła dłoń do brzucha.

Ich kaff się nie nadaje! A to psikus! - pomyślał Litwin. To, co jeszcze niedawno było jasne i oczywiste, stało się tajemnicą. Z posępną miną oderwał kaff i wręczył go Io.

- Daj mi swój. Chcę spróbować.

Kulka posłusznie przywarła do skroni. Nic. Ani uczucia jedności z Okrętem, ani nieprzeliczonych obrazów z tysięcy receptorów wzrokowych... Io też wsunęła kuleczkę we włosy, ale przyrząd pozostał martwy, nie świecił, nie pobłyskiwał tęczowymi ognikami.

Żaden z interfejsów nie działał.

Znowu wymienili kaffy.

- Jeśli nie ty mi go podarowałaś, to kto? - zapytał Litwin. - Bez kaffu nie przeszedłbym przez membranę... I w ogóle nie mógłbym wędrować po Okręcie!

- On - powiedziała Io, szeroko rozkładając ręce - on przygotował dla ciebie kaff. Aiwe mówił, że nie jest w stanie określić, jacy jesteście: w pełni rozumni czy rozumni w ograniczonym stopniu. Być może taka klasyfikacja do was nie pasuje. Zaciekawilo go to i chciał nawiązać z tobą bezpośredni kontakt. - Pochyliła się w stronę Litwina i wyszeptwała: -

Twory daskinów mają dziwne zachcianki... bardzo dziwne!

- On to Okręt?

- Tak.

- Ale jak może coś zrobić? Jest mózgiem!

- Jest taki... są... ty byś je nazwał warsztatami. Tam daje sobie radę bez tho i robi różne rzeczy. Korzysta z mechanicznych rąk.

Zrobotyzowana fabryka - pomyślał Litwin.

Wyglądało na to, że Okręt przewoził na pokładzie nie tylko załogę i flotę wojenną, ale także cały przemysł - urządzenia do remontu, przerobu surowców, odnawiania zapasów i zaspokajania innych



potrzeb.

Po chwili zadumy powiedział:

- Mogę go zapytać. Dowiem się od niego, po co to zrobił.

- Nie odpowie.

- Odpowie, jeśli mu rozkażę.

- Rozkażesz? - Żrenice w oczach Io znowu ściemniały. Widocznie była to oznaka zdumienia.

- A ty możesz mu wydawać polecenie? Za pomocą kaffu?

- Nie. Kaff to tylko interfejs dla tho. Pomaga podtrzymywać kontakt mentalny w trakcie rozmowy, korzystać z urządzeń transportowych, włączać i wyłączać urządzenia w niszach. Używając kaffu, łączę się z Aiwe i innymi w pełni rozumnymi. Poza tym...

- Poczekaj. - Litwin zbliżył się do niej i ścisnął cienki nadgarstek. - Poczekaj, dziewczyno. Porozmawiam z nim, a ty bądź cicho. - Zamknął oczy i zawołał bezgłośnie.

Okręcie! Mój kaff nie jest zwykłym przyrządem do nawiązywania łączności. Skąd się tu wziął?

*Nie jest* - potwierdził bezcielesny głos Okrętu. - *Nie ma danych o jego pochodzeniu.*

*Nie było, potem był.*

Czyli to nie ty go zrobiłeś?

*Nie.*

Przez sekundę Litwin siedział jak ogłuszony, potem otworzył oczy i kontynuował.

Jest ze mną kobieta tho. Zablokuj informacje o miejscu jej pobytu.

*Polecenie przyjęte.*

Popatrzył na Io. Rozłożyła ręce.

- Nic nie słyszałam. Nawiązałeś z nim kontakt?

- Nawiązałem. Utrzymuje, że kaff rzeczywiście jest nietypowy, ale to nie on go zrobił.

Skąd się wziął, też nie wiadomo. Nie było go, nie było, a potem był.

Przez chwilę patrzyli na siebie nawzajem.

- Daskinowie, władcy Galaktyki... - ledwie dosłyszalnym głosem wyszeptała Io. -

Mają bramę na gazowym gigancie... Daskinowie mogą się tu zjawić w mgnieniu oka...

- Sądziłem, że dawno wymarli. Miliony lat temu...

- Panuje przekonanie, że wymarli, ale któż to wie na pewno? Kto widział ich światy?

Kto widział ich zagładę? Kto poznał drogi daskinów?

Zadrzała, Litwin przytulił ją do siebie.

Ech, wypytać by tak szczegółowo o tych daskinów! Może wtedy znalazłbym klucz do Okrętu... Jakkolwiek na to patrzeć, te quasi-rozumne stwory to dzieło daskinów, ich spuścizna. Może urządzenia wyrzucone, gdy już nie były potrzebne, a może po prostu śmieci, o których zapomnieli albo których nie mieli ochoty sprzątnąć...

Temat budził w Io strach, więc Litwin postanowił nie naciskać. Wdychając słodki zapach skóry, pocałował oczy kobiety, poczuł, jak pod cienką tkaniną drży jej ciało.

Jak go zdjąć?... - pomyślał Litwin i pociągnął zamek kombinezonu.

Ręka zatrzymała się w pół gestu. McNeal! Całkiem o niej zapomniał! I jeszcze coś...

coś, co bezwzględnie zamierzał wyjaśnić...

- Wiesz wiele, Io, znasz nawet stary język i stare pieśni waszej rasy. Jak można wątpić w twoją inteligencję? A mimo to uważają cię za tho, rozumną w ograniczonym stopniu.

Ciebie i Jegga... Dlaczego? Nie przypominacie olków ani pilotów modułów bojowych, jesteście tacy sami jak Aiwe i reszta bino faata. Wy...

Zasłoniła dłonią usta Litwina i znowu wyszeptała:

- Mylisz się, nie jesteśmy tacy jak Aiwe. W pełni rozumni mogą komunikować się mentalnie bez pomocniczych urządzeń, rozmawiać prawie bez słów i wydawać rozkazy tho, dotykając ich świadomości. Nie potrzebują kaffu, rozumiesz... Kaff to... wy byście powiedzieli, że jest jak kule kaleki. Kaleka to tho: mentalnie niedorozwinięty, wszystkie odmiany tho, i takie jak ja, i olkowie, i ksa, i jeszcze osiem innych rodzajów. - Io szeptała coraz szybciej, niewyraźnie, bełkotała jak w malignie, parząc oddechem szyję Litwina. -

Rozumni rozkazują, my słuchamy... nie możemy nie słuchać... nie możemy niczego ukryć, zresztą nie mamy czego ukrywać... Służymy, pracujemy, chronimy, a gdy nadejdzie czas, zapadamy w t'hami... w Nowych i Starych Światach... cykl za cyklem, niezmiennie, bez radości.. Nasz czas szybko przemija, a faata żyją długo... są tacy, co żyją od początku Trzeciej Fazy...

Czując niezmierną litość, Litwin objął Io i posadził sobie na kolanach. Po kilku minutach, gdy zrzucili już ubrania, gdy ich oddechy mieszały się, a w powietrzu rozbrzmiewały ciche jęki Io, gdy jego wargi dotknęły jej warg, zauważył, że kaff na skroni kobiety świeci oślepiającym płomieniem. I

w tej samej chwili dobiegła do niego myśl Okrętu: *Emocje... jakie silne emocje... pierwszy raz nie takie proste...*

*Na Ziemi i w innych miejscach*

SA LUDŹMI!

Była to najważniejsza nowina rozpowszechniana przez tysiące agencji informacyjnych, kanałów radiowych i telewizyjnych, witryn Ultranetu, gazet, tygodników i magazynów. Omawiano ją szczególnie, co podkreślały tytuły reportaży: KONTAKT TRZECIEJ

FLOTY ZE STATKIEM OBCYCH, BINO FAATA - LUDZIE, NIE OBCY, PRZYBYWACIE BRACIA W

ROZUMIE, DWIE RĘCE, DWIE NOGI, NIE SA ANIOŁAMI, ALE NIE MA POWODÓW DO OBAW, EINSTEIN

NIE MIAŁ RACJI - PRĘDKOŚĆ ŚWIATŁA NIE JEST GRANICĄ, POSKROMIENIE SCEPTYKÓW: NOWE

SPOJRZENIE NA ZALUDNIENIE KOSMOSU, ADMIRAŁ TYMOCHIN PROWADZI ROZMOWY Z

BINOKAMI, KOBIETY BINO FAATA SA PIĘKNE, TAJEMNICA PODRÓŻY KOSMICZNYCH: CZY

ZDRADZA JA NAM?...

Szeroko nagłośniono dyrektywę ONZ „O przyjaznej wstrzemięźliwości”, która przerwała milczenie polityków: prognozy i hipotezy łały się nieprzerwanym strumieniem, zasilając mętny potok fantazji piszącej braci i opinii uczonych mędrców. Prezydent Franspanii uznał Kontakt za wydarzenie równie ważne jak powołanie do życia wspólnego rynku; brytyjski premier nie wątpił, że spotkanie dwóch cywilizacji, bino faata i ludzi, otwiera przed obiema rasami świetlane perspektywy; Kongres KSZ przygotował memorandum pełne ciekawych pomysłów - znalazła się w nim na przykład propozycja wymiany idei: idei demokracji na schematy silnika. Natychmiast zareagowała Moskwa, oznajmiając, że młoda rosyjska demokracja może obdarować przybyszów nowocześniejszym ustrojem. Przywódcy obu wielkich mocarstw wystosowali odezwy do obywateli swych krajów i całego świata.

Rosyjski lider wspomniał o swej przezorności, dzięki której przybysze czekają w pobliżu orbity Marsa, a nie nad wsiami i miastami Ziemi; jego kolega z Waszyngtonu (do wyborów pozostało szesnaście miesięcy) wybrał inny temat - handel międzygwiazdny i ożywienie gospodarki. Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać: w Argentynie ustanowiono ulgi na eksport mięsa do Obcych, Australia postanowiła zwiększyć produkcję wełny, Chiny -

porcelanowych filiżanek, jaspisowych kulek i innych pamiątek, we Włoszech, Grecji i Franspanii zarządzono lustrację win, kosmetyków, luksusowej odzieży i modnych akcesoriów oraz kurortów, w Egipcie rozpoczęto remonty piramid, Afganistan - mimo protestów świata zachodniego - zwiększył

plantacje maku i konopi. Terrorysty, włączając w to nieprzejeźdźnych muzułmanów, przycichli - najwidoczniej doszli do wniosku, że przybycie Obcych nie grozi niczym strasznym poza porządnym zamieszaniem, które tylko ułatwi ataki bombowe.

Wydawało się, że na Ziemi i w Układzie Słonecznym wszystko jest gotowe do randki z przybyszami - nawet akcje spółek energetycznych wzrosły o dwa punkty. Jedynym bodaj dysonansem był artykuł w „KosmoSpieglu” zatytułowany: „NIESTETY OKAZALI SIĘ LUDŹMI”.

\* \* \*

Zdobiące salon admiralski panneau ze świętym Jerzym przebijającym włócznią smoka zakrył ustawiony pośpiesznie ekran. W pozostałych pomieszczeniach zajmowanych przez sztab flotylii ekranów nie brakowało, ale Tymochin prowadził rozmowy tylko z salonu i tylko tu znajdowały się kamery transmitujące przebieg negocjacji. Na ogromnym statku wiszącym sto trzydzieści kilometrów od Suzdala widoczne były fotele, szafy i krzesła, ale nie sprzęt wojskowy.

Na ekranie widać było twarze trzech Obcych. Jeden z nich był stary, miał

pomarszczoną skórę, zielonkawe włosy i obwisłe wargi, a nazywał się Aiwe i zajmował

wysoką pozycję w hierarchii Obcych: ambasadora albo pośrednika. Tak czy siak, był

wytrawnym dyplomata, władającym dobrze angielskim i znającym wiele ziemskich reakcji -

widocznie obejrzał setki audycji pochodzących z różnych kanałów. Dwie jego pomocnice były kobietami niespotykanej urody. Tymochin nie miał wątpliwości, że ich portrety wysłane na Ziemię razem z raportami zrobiły furorę. Chociażby dlatego, że dymorfizm płciowy binoków był nie mniej wyrazisty niż u ludzi: delikatne rysy twarzy, pełne usta, gładka skóra i bujne włosy kontrastowały z twarzą Aiwe. Co prawda oczy wyglądały dziwnie: od czasu do czasu źrenice znikwały w srebrzystym tle, a wtedy nie można było zgadnąć, gdzie zwrócone jest spojrzenie.

Aiwe nie przedstawił swoich pomocnic, a początkowo w natłoku wrażeń zdawało się, że obie są jednakowe. A jednak Toidze, drugi adiutant (to on wymyślił określenie „binoki”), dostrzegł różnicę - będąc specjalistą w zakresie doboru kadr i psychologii, odznaczał się niesamowitą spostrzegawczością. Jedna z dziewcząt miała górną wargę zachodzącą na dolną i nieco ciemniejsze włosy - tej nadali imię Morgana; drugiej, dla zachowania symetrii -

Elaine33. Prawdopodobnie zajmowały się tym samym co siedzący obok Tymochina Toidze i Jarvis: obserwowały, słuchały i analizowały.

33 Morgana i Elaine - bohaterki legendy o rycerzach Okrągłego Stołu, przyrodnie siostry króla Artura.

- Zaproponowany przez was wariant został odrzucony - powiedział Tymochin, wyraźnie wymawiając każde słowo. - W tej chwili wasza obecność na Ziemi lub w pobliżu planety jest niepożądana. Nalegamy na inne rozwiązanie.

- Dlaczego? - zaskrzybiał Aiwe. Jego angielski wyraźnie się poprawił, ale wymowie wciąż brakowało płynności.

- Jest kilka przyczyn. Po pierwsze. W przestrzeni okołoziemskiej jest wiele sztucznych obiektów: satelity komunikacyjne, stocznie, radioteleskopy, osiedla kosmiczne. Wasz statek jest ogromny. Manewrując, może narobić szkód. Po drugie. Mieszkańcy Ziemi różnią się pod względem kultury i dostępu do informacji. Przybycie waszego statku może spowodować panikę w niektórych środowiskach. A panika prowadzi do ofiar. Po trzecie. To jest nasz układ gwiazdny. Dopóki wasz statek przebywa tutaj, dopóty chcemy go kontrolować. Działania kontrolne będą przeprowadzane tak jak nam wygodnie. Po czwarte...

Negocjacje to przygnębiające zajęcie, ale Tymochin był zadowolony. Powody mógłby wyliczyć z taką samą skrupulatnością: pierwszy, drugi, piąty, dziesiąty. Najważniejsze jest, oczywiście, z kim rozmawiasz; nie codziennie trafia się kosmita, a zwłaszcza taki, którego pojawienie się zostało przewidziane. No cóż... ten, kto przewidział, będzie miał swój zysk, a on, Tymochin, swój... Ale czy rzeczywiście o korzyści chodziło? Wyruszył na manewry jak ostatni baran, a wszedł do historii. Dobrze, że nikomu nie pokazał rozdrażnienia czy złości: ani dowódcom statków, ani sztabowi, ani adiutantom. Zachowywał się tak, jakby nie istniało nic ważniejszego niż durne manewry w kompletnej pustce, która - a to niespodzianka! -

okazała się wcale nie pusta! Trzeba by posłać depezę do Gorczakowa. „Mój drogi Borysie, dziękuję, nie mam żalu...”.

Pośrednik słuchał przemówień Tymochina z twarzą pozbawioną uczuć jak u Sfinksa.

Toidze sądził, że binoki przejawiają emocje słabiej niż Ziemianie. Po przeanalizowaniu nagrań opinię tę poparli medycy floty i ziemscy specjaliści. Tymochin i jego współpracownicy otrzymali następujące zalecenia: nie uśmiechać się, nie drapać, nie marszczyć brwi, nie kręcić głową, nie wpatrywać zbyt intensywnie w przybyszów. Najlepiej radził sobie z tym Toidze - był Japończykiem i od dzieciństwa przywykł do skrywania uczuć.

- Rozumiem. - Aiwe odwrócił się do Morgany, potem do Elaine, jakby chciał poznać ich opinie, a następnie znowu wbił wzrok w Tymochina. - Muszę wyrazić sprzeciw. Po pierwsze. Obiecuję, że podczas manewrów wasze konstrukcje nie zostaną uszkodzone. Po drugie. Nie informujcie ludności o naszym przybyciu. Wylądujemy w dowolnym niezamieszkanym miejscu, dostępnym tylko grupie kontaktowej. Po trzecie. Wasza kontrola nad Okrętem będzie znacznie efektywniejsza po lądowaniu. Nieruchomy obiekt łatwiej jest kontrolować. Po czwarte...

Coś tu nie gra - myślał Tymochin, słuchając Aiwe. - Jakoś za bardzo rwą się na Ziemię... Po co? Tęsknota za słońcem i trawką? Nie sądzę... Statkiem dysponują ogromnym, na pewno ze wszystkimi wygodami. Nie mają powodów do pośpiechu... Bardzo podejrzany upór.

Patrzył na Morganę i Elaine, na ich dziwne oczy i bujne włosy, w których pobłyskiwały jasne kulki.

Piękna rasa, co tu dużo gadać! Chciałoby się zobaczyć inne kobiety i mężczyzn...

Statek jest wielki, może są na nim nawet dzieci...

- Siir - wyszeptał po rosyjsku Toidze - prosząc o wybaczenie, siir... i ty, Jarvis...

Nie gapcie się tak uporczywie na dziewczyny, paaatrzcie niżej, na środek ekranu.

Aiwe umilkł.

- Nie można wykluczyć, że macie rację - powiedział Tymochin - ale nie zwykliśmy polegać na niesprawdzonych twierdzeniach i faktach. Nasz Opoka Porządku przekazał mi jasne instrukcje: wasz statek nie może się zbliżyć do Ziemi. Nie jest to decyzja ostateczna, prawdopodobnie ją zmienimy, ale potrzebne jest wzajemne zaufanie.

Opoka Porządku - termin Obcych oznaczający przywódcę lub głowę państwa.

Założono, że Tymochin występuje w imieniu jakiegoś lidera z Ziemi, na której to w tym samym czasie trwały przygotowania drużyny dyplomatów i uczonych. Była to niełatwa procedura, obfitująca w spory, gdyż Chiny, kraje arabskie i Indie chciały mieć swych pełnoprawnych przedstawicieli. Póki trwały przepychanki, Tymochin miał za zadanie powstrzymywać kosmicznych gości - delikatnie, przyjaźnie, ale w razie potrzeby z wykorzystaniem całej mocy podległych mu krążowników. Aby wzmocnić flotyllę, wydał

rozkaz o przebazowaniu Starfire'a i Syberii, a także wracającej z orbity Jowisza Barakudy.

Pośrednik w milczeniu patrzył na Tymochina - najwyraźniej czekał na kolejną propozycję.

- Jesteśmy skłonni przetransportować na Ziemię waszych przedstawicieli. Grupa dwudziestu, trzydziestu osób może wygodnie podróżować krążownikiem. Co jest złego w takim rozwiązaniu?

Morgana coś zaszczębiotała. Aiwe wysłuchał jej i powiedział:

- Nie możemy opuszczać Okrętu na dłuższy czas. Stworzono na nim... stworzono warunki konieczne ze względu na fizjologię. Nie można ich skopiować na waszym środku transportu.

- W takim razie rozważmy drugą możliwość. Niedługo przybędzie misja z Ziemi i pierwszy etap wzajemnego poznania przeprowadzimy w przestrzeni.

To także nie zadowoliło pośrednika. Chciał, aby ogromny statek faata wylądował na Ziemi. Upór rozmówcy wydawał się Tymochinowi coraz bardziej podejrzany. Oczywiście łatwiej kontrolować nieruchomy obiekt, ale jaka jest gwarancja, że latające monstrum rzeczywiście wyląduje? Znalazłszy się w pobliżu planety, statek mógłby rozpocząć wrogie działania, a walki na granicy atmosfery, nad miastami, lasami i oceanami, niemalże na pewno spowodowałyby kataklizm ekologiczny.

Tymochin nie dopuszczał takiego rozwoju sytuacji, sądząc, że jest górą. Nad ogromnym statkiem wisiał Suzdal ubezpieczony przez dwa krążowniki: Wikinga i Wołgę.

Trzy ciężkie rajdery: Sachalin, Pamir i Lancaster, otaczały przybysza z trzech stron. Było to

ustawienie „w pierścien” stosowane podczas rozpylania asteroid... Ostatnią zniszczono siedem lat temu, a była ona wcale nie mniejsza od statku faata. Salwa raketowa oddana z odległości kilkuset kilometrów przebiła powierzchnię planetoidy do samego jądra; natomiast sztuczne konstrukcje wyparowały podczas wybuchu jądrowego, a ciśnienie wyrzuciło plazmę poza granice Układu Słonecznego. Tam też, w kosmicznej pustce, mógł spocząć przybysz - w postaci obłoku rozrzedzonego gazu.

Czy Aiwe to rozumiał?

Jeśli nawet rozumiał, to najwyraźniej się tym nie przejmował.

- Opoka Porządku! - krzyknął nagle pośrednik. - Opoka Porządku jest w waszym świecie niejedna!

- Tak samo jak w waszym, oczywiście - odparł Tymochin, ale Aiwe pozostawił jego słowa bez komentarza.

- Odbieramy sygnały z waszej planety i wiemy, że niektóre Opoki Porządku są gotowe nas przyjąć. Jeśli wylądujemy na Ziemi w granicach ich wpływów, czekają ich liczne korzyści.

- Jakże konkretnie?

- Nowa wiedza i technologie prowadzące do rozkwitu gospodarki. Produkcja pożywienia z dowolnych substancji organicznych. Sposoby walki ze zgubnymi dla was mikroorganizmami. Tanie źródła energii. Silnik grawitacyjny. Środki łączności oparte na promieniowaniu mózgu. Lekkie wytrzymałe materiały - obojętnym tonem wymieniał Aiwe, zasłaniając oczy pomarszczonymi powiekami. Nagle Obcy wstali, a pośrednik wyrecytował: -

Do tego terapia falowa. Metody inne niż wasze. Nasze pozwalają opóźnić starość i przedłużyć życie.

Nie odwracając głowy, Tymochin poczuł niepokój swych doradców.

- Uwaga, siiiir - szepnął Toidze, ale podpowiedź nie była potrzebna; admirał sam się domyślił, że nadszedł odpowiedni moment, by dowiedzieć się czegoś naprawdę ważnego o binokach. Czegoś innego niż oczywiste fakty, że są podobni do ludzi i potrafią podróżować po Galaktyce.

- Patrząc na pana, trudno uwierzyć, że zwyciężyliście starość - powiedział.

- Według ziemskiej rachuby przeżyłem około dwóch tysięcy lat. A twarz... gdyby zaistniała konieczność, zmieniłbym ją. Ale nie ma takiej potrzeby.

Jarvis ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami. Powątpiewał... I słusznie: słów Aiwe nie można było zweryfikować, Tacyt i Pliniusz<sup>34</sup> nie bujali jego kołyski. Wykaz potencjalnych korzyści robił jednak wrażenie. Tylko czego zażądają w zamian?

- Wróćmy do naszych spraw, to znaczy do Opoki Porządku - powiedział Tymochin. -

Być może w strukturze waszego społeczeństwa są oni równi, ale u nas sytuacja wygląda inaczej.



Dopóki nie zrozumiecie wszystkich okoliczności, słuchanie nieodpowiedzialnych jest groźne, a wiara w nich jeszcze groźniejsza.

- Jak to udowodnicie?

- Faktem naszego spotkania. Nie ma tu innych statków poza wysłanym przez moją Opokę Porządku. Jeśli chcecie, możemy poczekać... Ale zapewniam, że nikt więcej się nie zjawi.

Morgana i Elaine jednocześnie zaćwierkały. Pośrednik słuchał z zamkniętymi oczami.

Na koniec burknął:

- Pomyślmy. Koniec połączenia.

Ekran zgasł. Tymochin rozpiął mocowania fotela i razem z Toidze i Jarvisem przeszedł z salonu do pomieszczeń sztabowych. Tam, szybując w nieważkości nad pulpitemi i konsolami, pracowali eksperci i dziesięciu oficerów. Łącznościowcy i dwaj porucznicy służb informacyjnych szykowali pod kierownictwem komandora porucznika Magi pełne nagranie przeznaczone do przesłania ziemskiej Radzie Bezpieczeństwa oraz jego skrócony wariant dla prasy. Grupa obserwatorów i analityków zgromadzona wokół komandora podporucznika Szengiel, pierwszego zastępcy i doradcy do spraw taktyki, intensywnie o czymś dyskutowała. Ekrany dublujące były włączone, na każdym zastygła fizjonomia Aiwe z oczami białymi jak u ugotowanej ryby.

- Admirał na pokładzie! - wrzasnął Szengiel.

- Spocznij. - Tymochin machnął ręką, złapał najbliższy uchwyt i odwrócił się w stronę 34 Tacyt (55-120), Pliniusz (23-79) - wybitni rzymscy historycy.

pomocnika. - Co powiesz, Arshile?

- Powiem, że mają ładne dziewczyny. Powiem jeszcze, że wiedzą, co to kłamstwo i intrygi, i znają pojęcie pogroźki. Nic z tych rzeczy ich nie dziwi. - Komandor podporucznik kiwnął w stronę ekranu.  
- I jeszcze coś... coś...

- Obłuda - podpowiedział Toidze.

- Otóż to. Pan mu groził, on groził panu, ale nie jawnie. Wymachiwał pięścią ukrytą za plecami.

- Do tego dochodzi próba przekupstwa - dodał jeden z analityków.

- Obiecują za dużo korzyści - powiedział drugi. - Nie dowierzam im.

- Ja też - przytaknął Tymochin i popatrzył na trójwymiarową mapę taktyczną. W głębi wisiał statek faata, walec wielkości palca, a wokół niego pobłyskiwały strzałki krążowników.

Takie maciupeńkie, a jednak kryjące w sobie niszczycielską moc... Nagle stanął mu przed oczami chilijski astrodrom i Günter Foss, dowcipniś z „KosmoSpiegła”. Mówił coś o laserach i raketach...

Żartowniś! Ale obrotny, pierwszy wyniuchał obserwacje Chińczyka. Teraz nikt już nie odkryje, co też zwidziało się temu Li, czy rzeczywiście miał miejsce jakiś wybuch i czy w jakikolwiek sposób wiązało się to ze statkiem przybyszów. A może chodziło o Skowronka? Ale Barakuda niczego nie odkryła, ani szczątków, ani radioaktywnego pyłu, absolutnie niczego...

Skinął głową na Szengiela.

- Proszę sporządzić resume i przynieść mi do kajuty. Będę u siebie.

Luk zamknął się za jego plecami, stojący na straży desantowiec oddał honory. Łapiąc kolejne uchwyty, Tymochin podążał do kwatery, ale cały czas dręczyła go myśl o Skowronku. Co zaszło tam, w pobliżu Jowisza? Może coś, o czym wiedzą binoki? Pośrednik?

Zmarszczył czoło i mruknął z niezadowoleniem. Nawet jeśli wie, to nie powie... Jednym słowem: oszust, krętacz.

\* \* \*

Tym razem podczas narady rozmawiali mentalnie. Aiwe, Rozmawiający z Bino Tegari, zajął miejsce obok przekaźnika; Utrzymujący Łączność, Tijcz, w izolowanym obszarze w pobliżu węzła nerwowego, skąd łatwo było nawiązać kontakt z Okrętem; Kaya, Obrońca Niebios i Strateg, był pogrążony w masie kontaktowej, co pozwalało mu kontrolować setki dużych i małych modułów bojowych. Opoka Porządku szybował obok kuli obserwacyjnej, w której pobłyskiwało dwanaście srebrzystych iskierek - żałosna flota bino tegari.

*Jakie wnioski, Pośredniku!* - zapytał Yata. Jego myśl była chłodna i rozkazująca.

*Nie dopuszczą nas w pobliże zamieszkanego świata. Ich Strateg jest przekonany o swej przewadze i o tym, że reprezentuje najsilniejszą grupę, praktycznie rządzącą planetą.*

*Co proponujesz?*

*Dać im lekcję - jak sami mawiają.*

*Zniszczyć?*

*Tak. Dodatkowo wysłać komunikat na Ziemię, do wszystkich skłóconych stron. Nie skąpić obietnic. Ich system socjalny jest niestabilny, miliardy żyją w warunkach gorszych niż nasi tho. Zagładę floty potraktują jak akt sprawiedliwej zemsty.*

*Przyjąłem* - powiedział Yata. - *A co u ciebie, Obrońco Niebios?*

*Potrzebuję trzy czwarte cyklu, żeby odkonserwować wszystkie moduły. Z tym że trzydzieści dwa są już gotowe. To wystarczy.*

Od Kaya napłynęło uczucie radosnej ekscytacji - jak wszyscy Stratedzy był drapieżny i żył przedsmakiem bitwy. Myślowa odpowiedź Yata ochłodziła te emocje.

Obrońca Niebios z niezadowolaniem obrócił się w podobnej do zielonej galarety masie kontaktowej i w tej samej chwili trzydziestu dwóch pilotów tho w odkonserwowanych modułach poczuło impuls gniewu.

*Powoli, Strategu. Przyspieszając małe, opóźnisz wielkie. Niech Aiwe pośle na Ziemię nasze obietnice. Czekaj. Uderzysz po upływie jednego cyklu.*

Opoka Porządku dotknął umysłu Tjicza, Czwartego w Wiązce.

*Znalazłeś zbiegłego bino tegari?*

*Znikł wśród źródeł promieniowania termicznego. Być może warto sprawdzić miejsca koncentracji?*

*Sale t'hami są patrolowane. Nie ma go także w magazynach ani w pomieszczeniach rezerwowych. Co jeszcze można zrobić? - Yata wyemitował niezadowolenie i Utrzymujący Łączność zadrzał.*

*Chwilowo nic, Opoko Porządku. Okręt nie informuje, gdzie przebywa zbieg, lecz poza tym reaguje normalnie. Wymyślę jakiś sposób, ale potrzebuję trochę czasu. Nie jest łatwo przechytrzyć Okręt.*

*Nie jest łatwo - milcząco potwierdził Yata. Quasi-rozumni mają dziwaczne kaprysy, w końcu każdy z nich jest niemalże żywym stworzeniem, a to znaczy, że są systemami nadmiarowymi. Nadmiarowość jest gwarancją niezawodności i elastyczności, czyli cech, których nie mają martwe mechanizmy. Pamiętał, że właśnie urządzenia, którym za bardzo zaufano, spowodowały upadek dwóch pierwszych Faz.*

*Szukaj go, ale ostrożnie - nakazał Yata Utrzymującemu i zakończył tradycyjną formułką: - Obyśmy nigdy znowu nie zobaczyli mroku Zaćmienia!*

Zakończyli łączność.

\* \* \*

Tu kanał JBC. Przed państwem jak zwykle Patrick MacCaffrey z przeglądem wiadomości. W ciągu ostatnich godzin około stu agencji informacyjnych, kanałów radiowych i telewizyjnych dysponujących silnymi antenami orbitalnymi rozpowszechniało komunikat przekazany przez bino faata. Tak, tak, nie przesłyszeli się państwo, nie jest to kolejne oświadczenie ZSK zawierające okrojone i ocenzone informacje, lecz orędzie samych przybyszów. Zauważę, że nie dołączono obrazu; słyszymy tylko kobiecy głos mówiący do nas nienaganną angielszczyzną. Całkowicie wykluczono możliwość mistyfikacji; sygnał

pochodzi bez wątplenia z miejsca, gdzie obecnie znajdują się kosmiczni goście i statki Trzeciej Floty. Jestem pewien, że nie mamy do czynienia ze sztuką admirała Tymochina i jego podwładnych.

Tak więc, co oznajmniają przybysze? Pierwsza część posłania to zarzut skierowany, jak sądzę, pod adresem ONZ, Rady Bezpieczeństwa i ZSK. Okazuje się, że Trzecia Flota blokuje przybycie bino faata na Ziemię, a negocjacje dotychczas nie dały żadnego rezultatu.

Przybysze sądzą, że KSZ, Wielka Brytania, UEA i pozostałe dominujące państwa chcą wykorzystać przewagę, jaką może dać im Kontakt, zatrzymując dla siebie informacje naukowo-techniczne przeznaczone dla wszystkich krajów i narodów Ziemi. To po pierwsze.

Drugą część nazwałbym Wielką Obietnicą, gdyż zawiera spis technologii, które mają być przekazane ludzkości. Najbliższą godzinę poświęcimy analizie kolejnych punktów: od nowych materiałów o unikatowych właściwościach po antygraw, czyli urządzenie regulujące ciężenie. Przede wszystkim jednak chcę zwrócić państwa uwagę na pozycję szczególną.

Szczególną, gdyż będzie miała gigantyczny wpływ na nasze społeczeństwo. W całej historii cywilizacji nie było dotąd niczego podobnego! Z pewnością zgadli już państwo, że mówię o przedłużeniu życia, I to nie o dziesięć czy dwadzieścia lat, a co najmniej dwu albo trzykrotnie. Bino faata oznajmili, że są z nami niemalże identyczni pod względem fizjologii, ale żyją pięć, sześć albo i więcej stuleci. Osiągnęli to dzięki kompleksowym działaniom: terapii falowej, procedurom kriogenicznym i stosowaniu szeregu preparatów spowalniających starzenie. Czy Ziemianie będą mogli z tego skorzystać? „Tak!” odpowiadają goście z kosmosu. A to znaczy, że odwieczne marzenie ludzkości...

\* \* \*

Przegląd Patricka MacCaffreya, aczkolwiek bardzo szczegółowy, nie dotarł do wszystkich. Tego samego wieczoru Borys Siergiejewicz Gorczakow rozmawiał z Asadinem, korzystając z tajnego kanału - w końcu znaleźli czas, by przedyskutować problem bazy wojskowej w Syrii. Józef Kalich, dyspozytor marsjańskiej bazy Mariner, spał, a obok niego posapywała przez nos milutka pracownica łączności, Krystyna. W tej części Marsa panował

chłód, ciemność i noc, ale planetolodzy z Kopernika zasiedzieli się w barze, wiodąc stary spór: czym jest Czerwona Plama - osobliwością przestrzenną czy temporalnym diabelstwem?

Inne tematy ich nie interesowały - przynajmniej do chwili rozwiązania problemu. Na ciężkim krążowniku Tajga nikt nie miał głowy do oglądania audycji MacCaffreya - statek zbliżał się do Erosa, manewrował, by dostosować prędkość do kapryśnego ruchu kamiennej bryły.

Komandor podporucznik Czernow, starszy łącznościowiec, cały czas tkwił przy odbiorniku, z tym że nie łowił wiadomości, lecz kłócił się z geofizykami, którzy żądali, by krążownik zawisł nad samym obozem, nad spiczastymi skałami, tak by luki bagażowe znalazły się dokładnie nad miejscem gdzie stały liczne kombajny i roboty górnicze. John E. Bradford, były dyrektor obserwatorium Kepler, od czterech dni nie słuchał radia ani nie oglądał

telewizji, za to na okrągło wlewał w siebie brandy, przeklinając Li Chena i opłakując swoją karierę. Admirał Chávez w bazie księżycowej i admirał Haley dolatujący do Marsa nie interesowali się przeglądem MacCaffreya i w ogóle kanałem JBC, bo dysponowali dostępem do poważniejszych informacji - tajnych danych, raportów, sprawozdań ekspertów i analityków.

Ale Angelotti, szef „KosmoSpiegła”, i Clemens, szef służb prasowych ZSK, obejrzeni przekaz od pierwszego uśmiechu prowadzącego do ostatniej kropki. Obaj byli zawodowcami, obaj obracali się

w sferze nowości, sensacji i skandali i obaj rozumieli, że JBC to kanał

opiniotwórczy, a tym samym Patrick MacCaffrey to nie byle kto. Chociaż zdaniem szefa

„KosmoSpiegła”, nie dorastał do pięt Günterowi Fossowi.

Na wmurowanym w skalną powierzchnię równiny Tartar Posterunku 13 słuchacze siedzieli jak przyklejeni do odbiornika. Cierpiąc w zaduchu i skwarze, Swirydow, Demeskis i Durant łowili wśród trzasków i zakłóceń głos Patricka MacCaffreya. Owładnęło nimi poczucie uczestnictwa w czymś wielkim i niezwykłym. Wszyscy trzej byli młodzi, dlatego nadchodzący czas uważali za swoją epokę, a nowy świat, który zostanie zbudowany na Ziemi po przybyciu Obcych, miał być ich światem. Swirydow myślał, że przeżyje z trzysta lat, i gotów był się założyć o każde pieniądze, że Durant i Demeskis marzą o tym samym. Złota rybka wpuszczona przez Obcych do burzliwego oceanu ziemskiego bytowania kusząco machała ogonkiem.

Juan Ariego z kopalni nr 13044 usłyszał wiadomości w barze, między drugim a czwartym kuflem piwa. Potem włożył skafander i ruszył odpracować swoją zmianę na przodku. Podczas przerw, które należały się górnikom co czterdzieści minut, przekazał

nowinę swojemu partnerowi Sidneyowi Brikowi. Jednakże ten pozostał obojętny wobec dobrodziejstw przybyszów i tylko wymamrotał: „No i do dupy z nimi, Juanito! Nie ma bezpłatnych obiadów, a poza tym my i tak ni diabła nie dostaniemy. Wszystko zabiorą przekłęci kapitaliści!”. Juan Ariego pomyślał i doszedł do wniosku, że jego kompan ma rację.

Kapitan Stig Olsen, dowódca czwartej drużyny desantowej przypisanej do krążownika Asahi, nie słyszał audycji MacCaffreya, bo w tym czasie błądził wraz ze swoimi ludźmi po Hindukuszu, gdzieś na obrzeżach Afganistanu i Pakistanu, w najbardziej rozbójniczych i łotrowskich okolicach. Dzień wcześniej podczas lądowania kapsuły z promu kosmicznego, pilotowanej przez niedoświadczonego kursanta, wystąpił błąd i pojazd zamiast wylądować na astrodromie pod Czardzou, runął w te przekłete góry. Kursantowi towarzyszył instruktor Sierow, człowiek zasłużony, jednak nie pierwszej młodości; według meldunku nadanego z pokładu, podczas lotu doznał nagłego ataku - nie wiadomo, czy był to zawał czy wylew. Pilot prawdopodobnie chciał pomóc choremu, nie poradził sobie z maszyną i w rezultacie obaj mężczyźni katapultowali się. Olsen znalazł rozbitą kapsułę, a teraz wraz z innymi grupami, wspierany przez lotnictwo, przeczesywał wąwozy i stoki. Jeszcze dzień i natknie się na Tygrysy Islamu i ciała Sierowa oraz kursanta - poćwiartowane, z wylupionymi oczami i obdarte ze skóry; wpadnie we wściekłość i wyda rozkaz rozstrzelania dla przykładu wziętych do niewoli terrorystów. Po powrocie do bazy w Singapurze zostanie za to oddany pod sąd.

\* \* \*

W Singapurze nadchodził wieczór i życie w bazie ZSK, za potrójnym rzędem ogrodzeń z drutu i promieni laserowych, powoli zamierało. Oprócz zadań czysto wojskowych baza służyła także jako miejsce odpoczynku i rekonwalescencji desantowców, dlatego też najbardziej imponującym budynkiem był kompleks szpitalny. Otaczały go palmy, baseny, kwitnące krzewy, jednopiętrowe bungalowy z dużymi oknami i klimatyzacją bezskutecznie walczącą za dnia z upałem, lecz chłodzącą przyjemnie, gdy nadciągała noc. Za sanatorium ulokowano koszary, hangary, lądowiska, budynek

sztabu i kilka bloków mieszkalnych dla kadry oficerskiej. W jednym z nich, w małym mieszkanku, które nie zdążyło jeszcze ostygnąć po upalnym dniu, leżał na kanapie człowiek znany jako Roy Bunch - oficer do zadań specjalnych.

Choć nie był człowiekiem, przebywając w ludzkim ciele, odbierał wszystkie dostępne ludziom doznania. W danej chwili duchotę i upał; singapurski klimat nie sprzyjał owocnemu myśleniu.

Wstał, zrzucił kurtkę mundurową, buty i spodnie, podszedł do drzwi i powiedział do mikrofonu automatycznej sekretarki:

- Wyjechałem za miasto na całą noc. Zabawić się.

Wyszedł do korytarza, wyciągnął ręce wzdłuż tułowia, znieruchomiał i znikł.

Pojawił się tysiące kilometrów od Singapuru, w Brukseli, w domu nad kanałem. Było letnie południe, ale za betonowymi ścianami i drewnianymi panelami panował chłód. Bunch westchnął z ulgą, wsunął nogi w kaptcie, włożył szlafrok, podszedł do stolika z komputerem i usiadł na fotelu. Jego rysy i figura uległy zmianie; nie sprawiał teraz wrażenia wysokiego i silnego oficera do zadań specjalnych, ciało zrobiło się chudsze, twarz starsza, nawet włosy pojaśniały, zmieniając kolor z kasztanowego na siwawy. Dopóki metamorfoza nie dobiegła końca, były Bunch siedział nieruchomo wpatrzony w pusty ekran komputera. Na stole przed nim piętrzyły się dyski i notatniki z zapiskami, książki, informatory, dyktafony i kilka ostatnich numerów „KosmoSpiegła”, jednakże on nie zamierzał pracować. W tym przestronnym starym domu myślało się dużo lepiej niż w singapurskiej klatce.

To miłe, że nie pomylił się co do swego wybrańca. Przez długie, długie lata badał

ludzi, te niespokojne stworzenia, ich przeszłość i przyszłość, ich motywacje, cele, marzenia i to, co uważali za rozum i istotę swej duchowości. Umiał już ich zrozumieć i poprawnie przewidywać reakcje struktur społecznych, a nawet poszczególnych jednostek. Uparta, ale bardzo obiecująca rasa! Jeśli dostaną dostęp do nowej technologii, niektórzy nie będą już mogli tak się panoszyć... Być może iliano, a bino faata - na pewno...

Nie warto jednak ich przeceniać. Nie, nie warto! Weźmy na przykład tego jeńca...

Czuł go jako grudkę uczuć i myśli, jako cień mający miliony kilometrów stąd - tam, gdzie mógł dotrzeć tylko z najwyższym wysiłkiem. Jeniec dał sobie radę z kaffem, uciekł i nawet udało mu się skontaktować z Okrętem. I tyle! Zdolności mentalne śladowe, z tym spadkiem po przodkach nic nie można zrobić, ale jeśli nie ma wrodzonego talentu, trzeba kombinować.

Umysł niestety niezbyt giętki, a charakter zbyt niezależny - dumny, samolubny, uparty, nie wyobraża sobie ludzi w roli symbiontów. A mógł zostać panem sytuacji... tak łatwo, tak prosto!

Stworzenie niedawno będące Royem Bunchem pomyślało, że Ziemianie mają mnóstwo czasu, by zmądrzeć - oczywiście pod warunkiem, że przybysze ich nie wytrzebią.

Kilka tysięcy lat i cała Galaktyka uzna ich za w pełni rozumnych... No a chwilowo przed ludźmi stoi proste zadanie - przeżyć. A przed jeńcem jeszcze prostsze - przeżyć, dopóki Okręt nie zbliży się do

Ziemi. Odległość, na którą mógł teleportować duże obiekty, była równa czterem piątym średnicy Ziemi, nie był więc w stanie dotrzeć na Okręt.

Ludzie przypadli mu do gustu mimo całej ich niedoskonałości. Rozumiał, że wady są jednocześnie źródłem zalet - na przykład upór i duma owocowały męstwem, a z niego z kolei wynikała ofiarność. Pojęcie poświęcenia było obce jego rasie, a on sam, choć przyswoił je rozumowo, nie akceptował go na poziomie emocji. Życie jest zbyt cenne, żeby rozerwać jego nić rozciągniętą na dwadzieścia tysięcy lat... A poza tym zamiast własnego można poświęcić cudze.

Wiedział już, jak to zrobi. Wstał, zszedł do piwnicy, do skrytki, sprawdził gotowość niezbędnego urządzenia, wrócił na górę, wybrał garnitur, koszulę i krawat odpowiednie dla dyplomaty i przebrał się. Jego skóra pociemniała, włosy zrobiły się czarne i kręcone, twarz podległa metamorfozie: pełne wargi, płaski nos, ciemne oczy z lekko opuchniętymi powiekami. Spojrzał na swe odbicie w lustrze, pokiwał głową z zadowoleniem - garnitur leżał

wspaniale.

...W Nowym Jorku dochodziła dziesiąta, gdy toaletę w trzecim budynku ONZ opuścił

Umkonto Tloome, przedstawiciel Niezależnego Terytorium Zulusów. Szybko przeciął cichy i bezludny korytarz, podszedł do szybu wind i pojechał na dół. Po pięciu minutach Tloome podążył w stronę sali posiedzeń Rady Bezpieczeństwa, przeglądając w marszu porządek dzienny. W punkcie pierwszym napisano: „O rozszerzeniu obecności wojskowej UEA na Bliskim Wschodzie, a w szczególności w Syrii”.

*Między orbitami Marsa i Ziemi*

- Abbie - tłumaczył Litwin - Abbie McNeal, kobieta z Ziemi... Powiniennem po nią pójść...

- Dlaczego? Jest twoją partnerką tuahha?

- Jakie znowu tuahha? Już ci wyjaśniałem, że u nas nie ma okresu godowego. Po osiągnięciu dojrzałości jesteśmy zawsze gotowi. Trwa to około czterdziestu lat, a czasem dłużej. Ksa też u nas nie ma, nasze kobiety mogą rodzić zawsze, jeśli chcą... prawie zawsze.

Wyjątki są bardzo rzadkie.

- Ale jest twoją partnerką? - naciskała Io. - Partnerką seksualną, tak mówicie?

- Nie. Relacje między ludźmi są bardzo zróżnicowane i nie sprowadzają się wyłącznie do seksu. McNeal to mój przyjaciel i podległy mi oficer. Ponoszę za nią odpowiedzialność.

Nie mogę zostawić jej bez pomocy. Powiniennem...

Rozmowa trwała ze zmiennym skutkiem ponad dwie godziny. Nie rozważali jeszcze, jak pomóc McNeal, bo utknęli na innym problemie - po co? Io nie była w stanie tego pojąć, gdyż nie rozumiała różnorodności stosunków międzyludzkich, a wszelkie próby uporania się z tym tematem jak dotąd spełzły na niczym. Sytuację utrudniał fakt, że Io kojarzyła teraz znacznie gorzej niż podczas poprzednich spotkań. Jak wyjaśnił Okręt, było to efektem tuahha.

Zwiększona emocjonalność i pobudliwość tumaniała rozum, dlatego gdy faata stworzyli kastę rodzących i przeszli na planowe rozmnażanie, wykluczyli okres godowy ze świadomego życia. Miało to miejsce dawno, dwa tysiąclecia temu.

O ile Litwin dobrze zrozumiał zdobyte informacje, w tamtej epoce, na samym początku Trzeciej Fazy, na skutek mutacji znacznie wzrosła liczba osób obdarzonych zdolnościami mentalnymi, chociaż dotąd wśród reszty społeczeństwa stanowili oni niewiele ponad jeden procent. Po niezbyt długiej, lecz zażartej walce wyłonił się i przejął władzę pierwszy lider mutantów, pierwsza Opoka Porządku. Pod jego rządami bino faata czekał

szereg radykalnych zmian: podział społeczeństwa na podstawie zdolności do kontaktu myślowego i klasyfikacja ich od prawie rozumnych po dodatki do quasi-rozumnych mechanizmów. Hasłem nowej epoki była początkowo stabilizacja, potem ekspansja kosmiczna postrzegana jako gwarancja ciągłości cywilizacji. Najwidoczniej bino faata żyli w ciągłym, przekazywanym genetycznie strachu przed Zaćmieniem; przeżywszy dwa kataklizmy, chcieli zbudować niepokonane imperium i rozciągnąć jego granice aż po najdalsze gwiazdy. Z technicznego punktu widzenia było to możliwe, istniało jednak ograniczenie: spadek tempa wzrostu populacji, zwłaszcza że potomstwo nie zawsze dziedziczyło zdolności mentalne. Średnio tylko jedna czwarta samic ksa zapłodnionych spermą w pełni rozumnych dawała potomstwo z dominującą mutacją; natomiast kobiety w pełni rozumne były



bezpłodne. Za to wszyscy żyli długo, utrzymując kondycję fizyczną dzięki specjalnym procedurom.

- Zostaw tę ksa - powiedziała Io. - Mówiłeś, że do sal t'hami wysłano patrole... Jeśli tam pójdziesz, zabiją cię. - Westchnęła i dodała: - Potem zabiją mnie.

- Boisz się śmierci? - zapytał Litwin.

- Przedtem nie czułam strachu. Poprzednie życie niewiele się różniło od wiecznego zapomnienia lub nieświadomości w t'hami. Ale teraz... teraz chciałabym przeżyć wszystkie cykle, które będą mi dane. Żyć, nawet krótko, ale blisko ciebie. - Io położyła dłoń na piersi Litwina, jej oczy zaszyły mgłą. - W twym spojrzeniu dwa księżycy, na twojej twarzy ich światło... Chcę jak najdłużej widzieć to światło.

Wcześniej... - pomyślał.

O poprzednim życiu Io wiedział niewiele: urodziła się w Nowych Światach, przeżyła tam czternaście lat, jeśli przeliczyć jej wiek na ziemskie lata. Być może bino faata dojrzewali wcześniej niż ludzie albo ich rozwój przyspieszano sztucznie, tak czy inaczej była dorosłą kobietą. Nie dało się wykluczyć, że wczesna dojrzałość była związana z krótkim życiem tho, ale o to Litwin bał się zapytać. Śmierć przyjdzie do każdego, ale jej czas to gorzka wiedza.

Podwójnie gorzka, gdy chodzi o najbliższych.

Westchnął, przymocował kaff do skroni i zaczął wkładać skafander.

- Mimo wszystko pójdę. Nie mogę jej zostawić. Pomoże mi Okręt.

- Nie jest w stanie zapobiec czemuś, co już się stało - powiedziała Io, odwracając się.

Pochyliła ramiona, głos był znowu taki sam jak przedtem, niemalże pozbawiony emocji.

Koniec tuahha?... - pomyślał Litwin i zapytał:

- A właściwie co się stało? O czym mówisz?

- Aiwe... Zabrał ją nie po to, żeby spała w t'hami. Ona... - Io podniosła głowę i popatrzyła mu prosto w twarz. - Nie jest bezpłodna jak ja, jest ksa. I jak wszystkie inne ksa ma już w sobie zarodek życia. Aiwe powiedział, że krzyżowanie przebiegło pomyślnie i płód rozwija się w tym samym tempie co u naszych samic. Bardzo szybko... Ta hybryda da początek nowemu gatunkowi rozumnych w ograniczonym stopniu, a jeśli...

Litwin zacisnął pięści. Po plecach wędrowało mu stado lodowatych mrówek.

- Chcesz powiedzieć, że ją zapłodniono? Sztucznie? - wydusił z siebie z trudem.

- Tak. To jeden z eksperymentów prowadzonych przez Aiwe na Ziemianach. Obszar przeznaczony dla samic jest naświetlany specjalnym promieniowaniem przyspieszającym rozwój płodu. Pole stymulacji biologicznej jest teraz bardzo silne, następane pokolenie tho przyjdzie na świat za

trzydzieści, czterdzieści cykli, jeszcze przed opanowaniem waszego systemu. Robotnicy, olkowie, piloci... samice, żeby przedłużyć nasz gatunek... być może kilku w pełni rozumnych... Doświadczenia z waszymi kobietami będą kontynuowane. Aiwe wierzy, że zdoła stworzyć rasę hybrydową.

- Jakby hodowali bydło.. - wycedził przez zęby Litwin i natychmiast wezwał quasi-rozum.

Okręcie! Czy ona się nie myli? Czy to wszystko prawda?

*Tak* - nadeszła bezgłówna odpowiedź. Potem, wychwyciwszy kolejną myśl, Okręt dodał: - *Nie można już przerwać ciąży. Ziemska ksa zginęłaby.*

Ale jeśli ją zabiorę z t'hami, nie umrze?

*Nie, jednakże proces rozwoju zacznie przebiegać w naturalny sposób i ulegnie spowolnieniu. Zamiast kilku tygodni potrwa miesiące.*

- Czekaj na mnie - powiedział Litwin do Io, wstał i wyszedł z modułu na korytarz.

Stał obok membrany, ściskając dłońmi skronie; w głowie mu huczało, kaff wbijał się w ciało jak rozgrzane do czerwoności wiertło. Wrzała w nim nienawiść, ale nie do wszystkich przybyszów, nie do obcej rasy, która wtargnęła do gwiazdowego azylu ludzkości. Czy mógł

nienawidzić Io? Czy olkowie, bezrozumni niewolnicy, zasługiwali na nienawiść? Bino faata, podobnie jak ludzie, byli nie amorficzną masą złoczyńców, lecz cywilizowanym społeczeństwem, w którym jedni decydują, a drudzy słuchają. Rządzący używali siły, a tam, gdzie była niewystarczająca, stosowali oszustwo - tak, Aiwe mówiący tyle o zaufaniu był bez dwóch zdań kłamcą. Jeśli kogoś należało nienawidzić, to tego miłośnika wiwisekcji - ale czy tylko jego? Aiwe eksperymentował z Richardem i Abbie, nie pytając, czy tego chcą czy nie, ale czy nie tak postępowali ziemscy władcy, paląc nieprawomyślnych, trując ich gazem, niszcząc narody, kraje, miasta? Orgie te trwały nie jeden wiek, nie jedno tysiąclecie, a on, Litwin, brał w nich udział, pełniąc swą służbę. Każda rasa - i ludzie, i faata - miała swoje nawyki, swoje osobliwości, ale w jednym były do siebie podobne: i jedni, i drudzy za nic mieli życie bliźnich.

Litwin powoli ruszył korytarzem ku niszy transportowej, potem znowu stanął.

Rozmowy z Io i rozmyślania o tym, co zrobiono Abbie, odwróciły jego uwagę od najważniejszego, od tego, co działo się w lodowatej pustce, w świetle gwiazd i dalekiego Słońca. Zastygł w bezruchu wpatrzony w nieskończony szereg membran ciągnących się wzdłuż pokładu. Czuł, że mentalny związek z Okrętem jest coraz silniejszy.

Sytuacja na zewnątrz?

*Bez zmian.*

Zmian rzeczywiście nie było: dziewięć ziemskich krążowników otaczało Okręt, pozostałe dwa i admirałska fregata wisiały przed nim niczym wojownicy zagradzający drogę wrogowi. Szyk „pierścień”, czerwony alarm, pełna gotowość do walki... W ciągu ostatniej doby Litwin dziesiątki

razy spoglądał na flotyllę oczami Okrętu, próbując rozpoznać towarzyszy po sylwetkach, liczbie wieżyczek, anten dalekiej łączności i luków MU. Fregata to oczywiście Suzdal, obok niej Wiking i Wołga - bliźniaki z eskadry Pamiru; dwa ciężkie rajdery klasy Barakudy, jeden z nich to bez wątpienia Pamir - na jego srebrnym kadłubie namalowano wierzchołki gór i obłoki. Trzeci rajder - ładniejszy i większy - to Sachalin, a jakże, a wraz z nim eskadra czterech jednostek bojowych: Sydney, Fudzi, Tiburón, Newa.

Miał wrażenie, że rozpoznaje też inne krążowniki wchodzące w skład Trzeciej Floty, na powierzchnię pamięci wypłynęły znajome twarze kolegów, z którymi służył albo studiował, których spotykał w bazach na Księżycu, Marsie, Ziemi i w pasie asteroid. Tak wielu wspaniałych ludzi! Ależ by się zdziwili, gdyby im ktoś powiedział, gdzie jest teraz Paweł

Litwin...

Zatrzymał spojrzenie na ciężkim krążowniku, którego nie potrafił rozpoznać.

Bliżej, jeszcze bliżej - nakazał Okrętowi. Ten posłusznie zmienił obraz; teraz na połyskującej burcie rajdera widać było nierówności: wystające wieżyczki i luki, a w lustrzanej powierzchni pancerza odbijały się gwiazdy i oslepiająco jasne Słońce. - Podobny do Pamiru i Barakudy - przemknęło przez głowę Litwinowi i wtedy właśnie zauważył rysunek na dziobie.

Białą różę... A więc to Lancaster35. Krążownik niósł symbol dawnej wojny, przebrzmiałej ponad sześć stuleci temu.

*Jak idą negocjacje?* - zapytał w myślach, ruszając w stronę niszy transportowej.

*Na razie brak rezultatów* - odparł Okręt.

Niczego innego nie można było oczekiwać. Jeśli przyleciała tu Trzecia Flota, to nie po to, by towarzyszyć Obcym jako honorowa eskorta. Ani kapitan, ani nawet komandor nie są w stanie zajrzeć w myśli dowódcy, ale Litwin nie miał złudzeń co do instrukcji, jakie otrzymał

35 Biała róża - herb Lancasterów w okresie Wojny Dwóch Róż (Anglia, XV w.).

Tymochin, i był pewien, że admirał się do nich zastosuje. Być może z większym sukcesem niż dowodzący Skowronkiem Be Jay Cassidy, choć nie można było wykluczyć, że z takim samym wynikiem.

Litwin z westchnieniem wszedł do kapsuły. Znikł obraz zastygłych w przestrzeni krążowników, zastąpił go schemat komunikacji nałożony na znane już odwzorowanie układu nerwowego Okrętu. Dwa obrazy (jeden widziany własnymi oczami, drugi za pośrednictwem wideodetektorów) formowały się bezpośrednio w korowym ośrodku wzroku - dwie sieci uplecione przez gigantycznego quasi-rozumnego pajaka. Było w nich coś intrygującego, coś, co jak podpowiadała podświadomość, należało zauważyć i być może wykorzystać, jednakże rozum zaprzętało już co innego. Litwin przyjrzał się uważnie schematowi i nakazał: Do tej sali t'hami. Jest tam patrol?

*Wszystkie piętra są kontrolowane* - poinformował Okręt, pokazując długie korytarze z

przezroczystymi ścianami, figurkami znieruchomiątych w katalepsji stworzeń i ochroniarzy, niemalże tak samo nieruchomych jak śpiący faata. Stali w grupach po trzech, czterech, wszyscy z twarzami pozbawionymi emocji i z bronią w rękach; gra światła i cieni podkreślała potężną muskulaturę.

- Do diabła z tymi przygłupami! Usuń ich - burknął Litwin.

Znowu zobaczył dwie nakładające się na siebie pajęczyny. Kapsuła drgnęła i pomknęła przez ciemny tunel między antracytowymi ścianami. Usiadł na podłodze, opuścił

wizjer hełmu, sprawdził pojemniki z mieszanką oddechową. Plan ratowania McNeal był

chwilowo dość mętny: może tak jak za pierwszym razem wybić dziurę w ścianie i rozpylić gaz usypiający, może przeprowadzić inną dywersję i porwać zdobycz, korzystając z zamieszania. Mówiąc szczerze, Litwin nie wiedział, czy zastosuje atak frontalny czy raczej wybierze działania pośrednie, polegał głównie na szczęściu. Musiał wykraść Abbie, musiał! I to zanim Trzecia Flota zaatakuje przybyszów. Bez względu na przebieg walki w module będą bezpieczniejsi. Może nawet uda im się uciec z Okrętu... z pewnością się uda, jeśli tylko nauczy się sterować tym przeklętym modulem!

Skoncentrował się na schemacie transportu: światełko oznaczające jego kapsułę pełzło wzdłuż linii tunelu, a obok pobłyskiwało coś jeszcze, jakaś arteria Okrętu biegnąca w tym samym kierunku, prosto na pokład t'hami. Dalej się rozdzielała, rozpadała na pęczek nowych, mniejszych arterii, a w punkcie rozwidlenia ciemniała plama podobna do kleksa. Nagle zrozumiał, że wszystko to widzi nie dzięki oczom, lecz odbiera mentalnie. Tak samo postrzegał inne nitki i centra układu nerwowego Okrętu. Wyglądało na to, że znaczna ich część znajdowała się obok magistrali transportowych i szybów grawitacyjnych.

Prawdopodobnie były tam jakieś przejścia, system tajnych korytarzy pozwalających niezauważenie dotrzeć do dowolnego miejsca na Okręcie. Gdy tylko zdał sobie z tego sprawę, zerwał się na równe nogi i krzyknął:

- Stój!

Kapsuła stanęła. Wisiała mniej więcej w pół drogi między hangarem modułów bojowych a punktem docelowym - salą, gdzie spały ksa.

Wyprostował lewą rękę i zacisnął dłoń w pięść. Z przymocowanego do rękawicy maleńkiego dysku z cichym szelestem wyslizgnęła się tnąca nić. Obmacał przezroczystą kopułę przykrywającą kabinę - materiał lekko się ugiął pod naciskiem palców; było jasne, że nie jest bardziej wytrzymały niż przegrody między salami t'hami. Zatoczył wyciągniętą ręką krąg i delikatnym ruchem wyrzucił na zewnątrz wycięty fragment. Miał teraz przed sobą ścianę tunelu - czarną jak węgiel, pobłyskującą w słabym świetle sączącym się z kapsuły. Czy da sobie z nią radę?

Bicz drgnął, wydłużył się i w tej samej chwili bezcielesny głos Okrętu ostrzegł: *Lepiej tego nie robić.*

Tam jest drugie przejście - odparł Litwin. - Mogę nie ciąć ściany, jeśli powiesz mi, jak tam dojść.

*Po co?*

Żeby wejść do sali ksa i zabrać ziemską kobietę. Tak, żeby ochroniarze nie zauważyli.

Cisza. Jakby sterujący Okrętem quasi-rozum rozmyślał nad usłyszczanymi słowami.

Odczekawszy kilka sekund, Litwin znowu podniósł rękę.

*Są inne sposoby - natychmiast nadeszła myśl wysłana przez Okręt. - Nie trzeba niszczyć ściany. Grozi to uszkodzeniem kanału łączności między ośrodkami funkcyjnymi.*

Bał się! Litwin drgnął, gdy odebrał to uczucie, i w obawie, by nie zdradzić świadomości wygranej, mocniej zacisnął pięści. Perspektywa walki z ziemskimi flotami, a nawet z całą planetą nie przerażała Okrętu, a jednak miał swój słaby punkt. Tutaj, w miejscu, gdzie za czarną ścianą przebiegało jedno z włókien nerwowych. Przeciąć je?

*Tkanka zostanie odbudowana - pośpiesznie oznajmił Okręt. - Bardzo dobre zdolności regeneracyjne. - Potem dodał: - Powtarzam, proponuję inny wariant.*

Jaki?

*Ziemska ksa zostanie dostarczona w pobliże modułu.*

Ciekawe! - pomyślał Litwin. - Kto ją dostarczy?

*Olkowie - przyszła natychmiast odpowiedź.*

Możesz nimi sterować?

*W pewnym stopniu. Gdy są podłączeni przez biointerfejs.*

To nowa informacja. Gdybym otrzymał ją wcześniej, moglibyśmy współpracować efektywniej. Mógłbyś zatrzymać ochroniarzy, których musiałem zniszczyć, gdy na mnie napadli.

*Nie. Wykonanie tego czy innego rozkazu zależy od jego priorytetu. Teraz jest znacznie wyższy.*

Z powodu mojej groźby.

Milczące potwierdzenie.

Litwin schował bicz i znowu usiadł na podłodze obok odkrytej tak nieoczekiwanie pięty achillesowej. Pozostało tylko sprawdzić, jakie korzyści może dać nowo zdobyta wiedza.

A czy możesz sterować w pełni rozumnymi? Aiwe, Yatą i resztą drani?

*Nie.*

Naprawdę? A jeśli... - Koniec bicza znowu zapląsał w powietrzu.

*Nie. Nie! W pełni rozumni nie potrzebują wzmacniaczy mentalnych. Nie mogę nic robić bez biointerfejsu.*

Ale ja go mam. - Litwin dotknął swojego kaffu. - Czy to znaczy, że mną możesz kierować?

*To specjalny interfejs, nie dopuszcza oddziaływania na umysł nosiciela.*

Litwin uśmiechnął się z zadowoleniem. Nieważne, kto przygotował kaff, daskinowie czy inni mądrale z głębi Galaktyki, widać, że przyłożyli się do roboty i dodali przyjemne niespodzianki. Chyba nie poznał jeszcze wszystkich możliwości prezentu.

Okręcie!

*Słucham.*

Rozkaż wszystkim olkom oprócz tych, którzy są zajęci ziemską kobietą: pojmać wszystkich w pełni rozumnych i izolować w którejś ładowni. Którejkolwiek, sam wybierz.

Wykonać!

Pauza. Po chwili:

*Wykonanie rozkazu nie jest możliwe.*

- Za niski priorytet? - zapytał na głos Litwin. - Zaraz podniosę!

Uderzył nicią czarną ścianę. Bicz przeniknął głęboko, pogrążył się niemal na całą długość. W tej samej chwili Litwin poczuł falę nieznośnego bólu. Krzyknął, podniósł wizjer hełmu, oderwał kaff od skroni i kilka minut siedział bez ruchu, wdychając ciepłe powietrze i bezmyślnie gapiąc się w ścianę. Z rozcięcia wyciekały ogromne krople gęstej purpurowej cieczy, tworząc spływającą na podłogę strugę, jakby ktoś przeciął żyłę tytana. Stopniowo kapanie ustawało, strumień robił się coraz cieńszy, a gdy Litwin zaczął przychodzić do siebie, rana zagoiła się. Podniósł kulkę interfejsu, przyłożył do skroni. Ból nie wrócił.

Kto dostał lekcję, on czy ja? - zastanowił się Litwin. Czuł, że świta mu jakaś prawda.

Powoli zaczynał rozumieć, czego Okręt boi się najbardziej. Obrażeń kanału łączności między ośrodkami funkcyjnymi? Można było tak powiedzieć, ale ludzie nazywali to inaczej: bólem, cierpieniem, męką.

*Ziemska kobieta dostarczona na poziom modułów* - rozległ się bezcielesny głos.

- Zabierz kapsułę z powrotem - zarządził. - A co z rozumnymi? Może sam ich zwiążesz? Albo mimo wszystko wyślesz olków?

*Wykonanie rozkazu niemożliwe* - zabrzmiała odpowiedź. Potem, po chwili przerwy: -

*Ból... nie trzeba bólu... potrzebne inne emocje... gniew, poczucie siły, radość, pasja...*

- Radość i mnie by się przydała, tylko powodów brak - powiedział Litwin z westchnieniem. Przynosił lekcję; wiedział, że może spalić Okręt albo rozpylić go na atomy, zabić na tysiąc sposobów, ale nie da rady go torturować. Kat był z niego kiepski.

Kapsuła stanęła, wyszedł na pokład i od razu zobaczył McNeal. Naga, bezbronna, leżała na plecach, przez co brzuch wyglądał na jeszcze większy; wyдуты jak balon zwisał nad biodrami niczym coś obcego i zupełnie zbędnego. Litwin wziął Abbie na ręce, przeszedł

przez membranę i położył kobietę obok siedzącej nieruchomo Io.

- Zrobiłeś to - wyszeptała, dotykając naramiennika skafandra. - Zrobiłeś! Jak?

- Przecież mówiłem ci, że pomoże mi Okręt. I pomógł... - Litwin ścisnął palcami nadgarstek dziewczyny. Puls McNeal był równy i silny, ale nadspodziewanie szybki, nie mniej niż sto czterdzieści uderzeń na minutę.

- Póki śpi, trzeba by dla niej znaleźć ubranie, najlepiej takie jak twoje. Poszukasz, moja droga?

Io kiwnęła głową potakująco, widocznie podpatrzyła ten gest u Litwina. Kaff na jej skroni zabłysnął, ściany sekcji rozsunęły się, na dłoń spadła rurka z płynem odżywczym. Io zajęła się McNeal: ułożyła ją wygodnie, pogładziła po włosach i policzku, przycisnęła końcówkę rurki do żyły w zgięciu łokcia.

Substancje odżywcze i biostymulatory - przypomniał sobie Litwin.

- Widocznie podobna iniekcja jest obowiązkowym etapem wybudzania...

Patrzył na Abbie i myślał: co mam jej powiedzieć, gdy odzyska przytomność, jak wyjaśnić to, co się stało?... Co można powiedzieć kobiecie, której brzuch potraktowano jak poligon doświadczalny? Kobiecie noszącej obcy płód, kobiecie, której dziecko zostało zaliczone do kasty niewolników, nim jeszcze zdążyło przyjść na świat? Prawda zdawała się zbyt okrutna. Litwin pomyślał o Corcoranie i ledwie dostrzegalnie kiwnął głową. McNeal nie pozna prawdy, dopóki nie urodzi. Być może nie pozna jej nigdy - mieli niewielkie szanse na przeżycie.

Przymknął oczy i rozejrzał się, korzystając z wideodetektorów. Na zewnątrz nie zaszły żadne zmiany: Lancaster, Pamir, Sachalin i pozostałe sześć krążowników wisiły wokół

potwornego cylindra, Suzdal i ubezpieczające go okręty trwały jakieś sto kilometrów przed nimi dokładnie na kursie.

Odległość salwy raketowej - pomyślał Litwin. - Pole ochronne Okrętu odbiło uderzenie swomów, ale co będzie z nadlatującymi ze wszystkich stron raketami? Na początek odpalą z półtorej setki, potem, jakąś minutę od rozpoczęcia walki, ze trzy razy tyle...

Czy to wystarczy? I co będzie lepsze dla nich: dla Io i Abbie: zginąć wraz z Okrętem czy mimo wszystko przeżyć? Ale za jaką cenę?

Rozmyślał nad tym, gdy Io wstała i znikła za przegrodą zasłaniającą wejście.

Odprowadził dziewczynę wzrokiem i zawołał:

Okręcie! Mówiłeś, że możesz wpływać na olków poprzez biointerfejs... A pozostali tho? Ich też możesz kontrolować?

*Mam wpływ na wszystkich rozumnych w ograniczonym stopniu. Ich mózgi są pozbawione ochrony. Nie potrafią rozpoznać zewnętrznego sygnału mentalnego i stawiać mu oporu.*

Czy to znaczy, że możesz umieścić w ich mózgach dowolny pomysł?

*Każdy, który nie jest sprzeczny z rozkazami Wiązki ani innych w pełni rozumnych.*

To dotyczy także Io?

Sekunda wahania, chwila niezdecydowania. Potem:

*Tak.*

Io odnosi się do mnie z wielką sympatią, zauważyłeś?

*To w pełni zrozumiałe - tuahha...*

Okres tuahha dobiega końca, a jej sympatia nie znika. Pamiętam, że w trakcie poprzednich spotkań zachowywała się zupełnie inaczej niż Jegg, drugi tłumacz. Bardziej przyjaźnie, że tak powiem. - Odczekał chwilę, po czym zapytał: - Zaprogramowałaś ją?

*Określenie niedokładne. Ta tho została przez naturę wyposażona w wyobraźnię, ciekawość i u czuciowość . W pewnym sensie jest to relikwiny minionych epok, na granicy wadliwości egzemplarza. Wystarczyło tylko pobudzić te i inne cechy.*

Inne? Jakże konkretnie?

Znowu echo wątpliwości, jakby rozmówca Litwina bał się zdradzić więcej niż to konieczne. Po chwili dobiegły bezdźwięczne słowa:

*Współczucie. Tak, w systemie ziemskich pojęć uczucie to nazywacie współczuciem lub litością. Zachowała takie zdolności.*

- Litość, pierwszy krok do miłości - powiedział Litwin. - Ale ty, po co ty to zrobiłaś?

Po co obudziłaś w niej współczucie?



Jego głos rozbrzmiewał w ciasnej kabinie z siłą gromu, ale nie zagłuszył odpowiedzi: *Emocje - wyjaśnił Okręt - emocje. U Ziemi są znacznie silniejsze niż u faata.*

I co z tego? Czyżby były tak ważne?

*Nie ma nic ważniejszego. Emocje to źródło rozkoszy.*

A więc to tak, quasi-rozumny - przemknęło Litwinowi przez myśl. Czujesz ból i pragniesz przyjemnych doznań... Dziwne stworzenie wyprodukowali daskinowie ku zdziwieniu wszelkich innych gwiazdnych ras! To nie komputer, zdecydowanie nie komputer... W takim razie co? Partner zdolny do współczucia, wzmacniacz smutków i radości? Aparatura medyczna do leczenia neurotyków? A może wszystko naraz?

Io przerwała te rozmyślania, pojawiając się przy wejściu jak bezgłośny cień. Siadła, rozłożyła na kolanach przyniesiony kombinezon w takim samym chryzolitowym kolorze jak jej własny - widocznie uznała, że będzie pasował do rudych włosów McNeal. Wyciągnęła rękę, dotknęła szyi dziewczyny i zamarła, zakrywając powiekami srebrzyste oczy.

- Niedługo się ocknie. Czuję bicie dwóch serc, jej i dziecka. Rytm normalny, a to znaczy, że wyszli z fazy przyśpieszenia.

- Przyśpieszenia czego?

- Procesów życiowych.

Litwin kiwnął głową i zaczął zdejmować skafander. Przeszedł do przedniej, wąskiej części kabiny, gdzie ściany zbiegały się ku półkulistemu ekranowi, postać chwilę przy warstwie kontaktowej, rozmyślając o niszczycielskiej sile broni ukrytej tuż pod jego stopami, o pomieszczeniu otoczonym spiralą. Anihilator! Gdyby tylko mógł nim kierować!... Za hangarem w samym centrum Okrętu umieszczono napęd grawitacyjny i przeznaczony dlań ogromny szyb długości trzech czy nawet czterech kilometrów. Dostać się tam i spalić konwerter... Chociaż może „spalić” to akurat nie najlepsze słowo w tym przypadku; potok antymaterii spowodowałby znacznie silniejszą reakcję niż plazma, lasery czy rakiety jądrowe.

Najpewniej uderzenie z anihilatorów rozniosłoby Okręt w proch i pył...

Obmacawszy szeleszczącą cicho pod palcami błonę, pociągnął zapięcie kombinezonu, chcąc przeprowadzić jeszcze jedną próbę, lecz przerwało mu wołanie Io.

- Chodź tutaj! Zaraz odzyska przytomność!

Powieki McNeal uniosły się. Minutę, może dwie patrzyła na Litwina bezmyślnym wzrokiem, potem - poznawszy go - wymamrotała:

- Paul! To ty, Paul? A gdzie Richard? Co z nim?

Ścisnął jej dłoń.

- Bądź dzielna, Abbie... Richard odszedł.

Jasne brwi dziewczyny wygięły się, przez twarz przebiegł skurcz cierpienia.

- Richard odszedł... pamiętam... umierał, a my nie wiedzieliśmy, jak mu pomóc... I ta piekielna maszyna... ich komputer... powiedziała, że uszkodzono ośrodek odpowiedzialny za oddychanie... - Odwróciła głowę, lustrując ciasną kabinę, potem przeciągnęła dłonią po piersiach i brzuchu. Jej oczy zaokrągliły się ze zdumienia. - Paul! Gdzie jesteśmy, Paul?

Dlaczego jestem bez ubrania? I to... to... - Ręka McNeal spoczęła na brzuchu. - Skąd to?

- Nie denerwuj się. Zaraz ci wszystko wyjaśnię - pośpiesznie zapewnił Litwin. - To nie jest to pomieszczenie, w którym nas uwięziono, uciekłem stamtąd, a ty... ciebie zabrali wcześniej. Byłaś w ciąży... to znaczy, cholera, teraz też jesteś... nosisz dziecko Corcorana.

Oni... ci co nas złapali... jednym słowem umieścili cię w polu przyspieszającym procesy życiowe. Sądzę, że chcieli obserwować rozwój płodu... Nie minęły dwa tygodnie, a ty jesteś już w szóstym miesiącu. - Przełknął nerwowo ślinę i dodał: - Richard byłby szczęśliwy. Ty i on... wy...

McNeal zaszępiła patrzyła na wyduęty brzuch.

- Zabezpieczaliśmy się. Znasz przepisy, widziałeś kontrakty kobiet desantowców.

Podpisałam... Nie zachodzić w ciążę przez pięć lat...

- Nieważne. O czym tu gadać... Może tak jest lepiej... będziesz mieć córkę albo syna, a to znaczy, że Richard nie całkiem odszedł. Rozumiesz?

Przytaknęła posłusznie.

- Rozumiem, ale nie wszystko. Gdzie moje ubranie?

- Tutaj. Io ci pomoże.

- Io?

- Kobieta faata. Nasz przyjaciel. Zna angielski.

Litwin odwrócił się do ściany.

Za jego plecami zaszeleściła tkanina, McNeal jęknęła, wstając, wymamrotała coś przez zaciśnięte zęby, potem rozległ się głos Io: „Zapinasz tutaj. Nie, nie tak... po prostu zetknij brzegi rozcięcia”. W końcu, gdy wszystko ucichło, odwrócił głowę. McNeal, ubrana, stała oparta o ramię Io, obejmując obiema rękami brzuch.

- Jest miła. I tak ładnie pachnie. - Abbie głęboko westchnęła i ostrożnie usiadła na podłodze. - Wszystko w porządku, dowódco... w porządku o tyle, o ile to możliwe w takiej sytuacji... Jestem

desantowcem, pamiętam o tym, więc możesz mi wszystko opowiedzieć. -

McNeal przyłożyła rękę do brzucha i zmarszczyła czoło. - Nasza sytuacja jest pewnie dość kiepska?

- Kiepska, ale nie beznadziejna - zauważył Litwin. - Oczywiście jesteśmy zbiegami, ale mamy jednego sojusznika... nie, nie Io, w ogóle nie człowieka, ale to bardzo ważny ktoś.

Zasadniczo można na nim polegać, na nim i na Trzeciej Flocie.

Usiadł obok Abbie i zaczął opowieść.

\* \* \*

Jeśli wierzyć wskazaniom timera na mankiecie kombinezonu, minęło około dwóch godzin. McNeal zmęczona usnęła, Litwin i Io siedzieli na miękkiej podłodze pogrążeni w milczeniu. Światło w kabinie przygasło, zbiegów otaczała głęboka, niemalże namacalna cisza, kulka we włosach kobiety zgasła - widocznie nie miała o co pytać. Zdawało się, że milczenie i cisza płyną wzdłuż i wszerz po całym ogromnym statku i dalej, poza jego granice, ku Słońcu, planetom i dalekim gwiazdom, lecz było to tylko złudzenie spokoju. Nocne niebo nie stanowiło już natchnienia do marzeń ani źródła nieskończonego piękna, a każde spojrzenie w przestrzeń wywoływało pytania: kto jeszcze przybędzie z ciemności otchłani?... kiedy?... po co?

Szczupłe palce Io błędziły po dłoni Litwina.

- Gdy to wszystko się skończy i jeśli przeżyjemy - szepnął - zgodzisz się zostać na Ziemi?

- Bez względu na to, jaki będzie koniec, przeżyję czy nie - odpowiedziała - tho nie wrócą do Nowych Światów, tho przeżyją tu całe życie i umrą na waszej planecie. Kiedy nadejdzie ich czas.

„Czyli?” - chciał zapytać, ale nie starczyło mu odwagi. Zamiast tego zaczął opowiadać Io o cichym Smoleńsku drzemącym na brzegach Dniepru, o starej warowni z ceglanymi wieżami i wysokimi murami, o cerkwi górującej na stromym urwisku, o kwitnących jabłoniach i krzakach bzu, których zapach wypełnia wiosną ulice miasta. Io słuchała, jej oczy błyszczały, na ustach błąkał się niezdarny uśmiech.

- Smo-leńsk... - powiedziała niepewnie. - Smoleńsk to miasto? Dużo domów w jednym miejscu?

- Miasto - potwierdził Litwin. - Ulice, place, domy, w jednych mieszkają ludzie, w innych pracują, uczą się, odpoczywają. Na rzece mosty, na brzegu przystań, można wsiąść na statek i popłynąć do innego miasta, do Orszy, Mohylowa, a nawet Kijowa. A u was są miasta?

- Nie. Kiedyś były, w epoce Pierwszej Fazy. Teraz nie ma.

- Dlaczego?

- Jeśli nie ma miast, nie ma czego burzyć. Gęsto zaludnione centra pierwsze podały ofiarami Zaćmień.

- Gdzie mieszkacie?

- W pełni rozumni na stacjach orbitalnych, tak wielkich jak ten Okręt, a tho.. - kulka kaffu rozbłysła - tho w koszarach. Tak, koszary to najlepsze określenie. Są tam...

Moduł zadrżał. Io zamarła z otwartymi ustami. Znowu zatrzęsło. McNeal przekręciła się, otworzyła oczy i uniosła na łokciu.

- Co to?...

- Nic innego jak początek bitwy z Trzecią Flotą - odpowiedział ochryplym głosem, opierając się o ścianę. - Okręcie, wyjaśnij! Co się dzieje?

*Wystrzelenie modułów bojowych.*

Takich jak nasz?

*Nie, większych i potężniejszych. Startują z zewnętrznego poszycia.*

Ściana przed nimi znikła. Litwin znowu zobaczył ziemskie krążowniki otaczające pierścieniem Okręt i odrywające się od jego powierzchni kanciaste maszyny. Dziesięć, dwanaście, trzynaście... Stracił rachubę. Maszyny faata również przypominały kształtem pudła z obciętymi rogami, lecz były znacznie większe od modułu, w którym się znajdował.

Odniósł wrażenie, że choć są tej samej długości co Sachalin - najpotężniejszy rajder Trzeciej Floty - to pod względem średnicy przewyższają go kilkakrotnie. Rój latających kanistrów byłby zabawny, gdyby nie majaczące w pamięci wspomnienie anihilatora.

Moduły bojowe stanęły wachlarzem w sektorach poniżej i powyżej płaszczyzny ekliptyki. Okrążający przybysza pierścień ziemskich statków nagle zawirował, wypływając jasne potoki ognia; wydobywające się z dysz napędowych strumienie pomknęły ku gwiazdom, przyćmiewając ich blask. Karuzela nabierała prędkości. Dzięki czujnym oczom wideodetektorów Litwin dostrzegł, jak obracają się wieżyczki strzelnicze, drżą lufy miotaczy plazmy, jak w ciemnych kanałach luków rakietowych błyszczy metal. Minęła może sekunda.

Od korpusu Sachalina oderwało się stado srebrnych strzał i runęło w ciemność. Nie przerywając śmiertelności wirowania, odpaliły rakiety Pamiar i Lancaster, dołączyły do nich Sydney, Fudzi i pozostałe krążowniki. Salwa, salwa, salwa... Strzelano nie do modułów, a do statku Obcych - tarczy tak wielkiej, że nie sposób było chybić.

- Paul! - krzyknęła Abbie. - Co widzisz, Paul?

- Naszą śmierć - odpowiedział i mocniej ścisnął dłoń Io.

Otwarto śluzę luków, by wypuścić myśliwce. Z bezkształtnego w pierwszej chwili obłoku gryfów i kań wytrysnęły cztery ostrza. Wbiły się w szyk wroga, mrok rozświetliły setki purpurowo-fioletowych wybuchów - to piloci strzelali z laserów. Potem szeroki karminowy język zlizął trzy

myśliwce, omiół rufę Sydney i krążownik znikł wfontannie płomieni. Odłamki zakryły moduł faata, lecz ten nie wybuchł - zaczął rozpadać się na kawałki jakby pocięty niewidzialnym ostrzem. Trzy maszyny, przerwawszy kordon kań, atakowały Lancastera. Mrok znowu ustąpił miejsca purpurowym strugom ognia, które spotkały się na krążowniku w samym środku, ale na ułamek sekundy wcześniej Lancaster, niby śmiertelnie ranne zwierzę, podjął wysiłek w przedśmiertnym spazmie i zdołał wystrzelić z dział

plazmowych. Tam, gdzie przecięły się potoki plazmy i antymaterii, wybuchła oślepiająca gwiazda, a chwilę później eksplodował reaktor termojądrowy. Na miejscu krążownika i trzech modułów bojowych kłębiła się rozżarzona mgła, jej brzegi szaleńczo pulsowały, wyciągając w przestrzeń pomarańczowe palce, jakby chciały wyrwać kawałki ciemności.

Oglądając setkami oczu tę kosmiczną apokalipsę, struchlały ze strachu i jednocześnie tryumfujący Litwin obliczał w jakimś zakamarku świadomości uciekający przerażająco szybko czas, który mu pozostał. Wiedział, że z odległości stu kilometrów raketowa salwa dosięgnie Okrętu w ciągu sześciu sekund i najprawdopodobniej rozerwie go na strzępy.

Wystarczyłoby tego na średniej wielkości asteroidę, lecz nawet jeśli statek gwiazdny Obcych przetrwa pierwsze uderzenie, nastąpi drugie, potem trzecie. W arsenale Okrętu raczej nie było urządzeń przechwytyjących, a wątpliwe, by ekran siłowy wytrzymał atak. Blisko pięćset rakiet, sto czterdzieści tysięcy megaton... Próbował wyobrazić sobie, co stanie się z Okrętem, ale nie starczyło mu fantazji. Zresztą nie warto było jej zaprzęgać do roboty; śmierć będzie natychmiastowa, a komandor podporucznik Paweł Litwin już się z tym pogodził.

Zdażył jeszcze dostrzec, jak rzygający strumieniami plazmy Pamir zderzył się z modułem faata, jak eskadra myśliwców spłonęła w purpurowym wyrzucie anihilatora, jak rzuciły się do walki Suzdał, Wiking i Wołga, jak ich myśliwce uderzyły na flankę przeciwnika. Potem podłoga zadrżała, razem ze ścianami zakołysała się w górę i w dół, z boku na bok, jakby Okręt zamienił się w starożytny statek morski rzucony na pastwę burzy.

Litwin nie widział teraz, jak przebiega walka, nie widział ciemnych kanciastych modułów i manewrujących krążowników, płomieni strzelających z dysz ani filigranowych meszek myśliwców; oślepiło go jaskrawe światło i przez chwilę można było pomyśleć, że Okręt zanurkował we wnętrzu nowo powstałej gwiazdy. Usłyszał pełne strachu krzyki kobiet, sam jęknął, nie mogąc pokonać palącego mózg straszego blasku.

Koniec! Uderzyły rakiety!... - przemknęła myśl, ale agonia wciąż trwała.

Ani Okręt, ani ciało Litwina nie rozsypywały się w pył. Był nadal na tym świecie, a nie w otchłani piekielnej; wstrząsy, potworny ogień, westchnienia Io i Abbie, ale poza tym -

nic...

- Okręcie! - zawołał Litwin. - Co się dzieje, na Galaktykę?!

*Włączone pole ochronne. Pochłanianie energii rozpadu jądrowego.*

- Sto czterdzieści tysięcy megaton?!  
*Sto trzydzieści osiem i sześć dziesiątych* - sucho poinformował Okręt i w tym samym momencie blask znikł, a wibracje ustały.

Litwin nie zobaczył większości krążowników i myśliwców Trzeciej Floty. Na miejscu admiralskiej fregaty i chroniących ją Wołgi i Wikinga rozpływał się taki sam rozpalony obłok jak ten, który pochłonął Lancastera. Zniknęły Sachalin, Nawa i Fudzi, a wraz z nimi kanie i gryfy. Z przerażającej karuzeli potężnych maszyn krążących wokół Okrętu pozostał tylko gorący gaz. W przestrzeni wisiały trzy dziesiątki bojowych maszyn faata, zlizując purpurowymi językami meszki myśliwce, a za tą zasłoną mknął ku Okrętowi ostatni krążownik - być może Tiburón albo Ren. Jego działa milczały. Z pociemniałym pancernem, nadtopionymi wieżyczkami i śluzami szedł na zderzenie, szedł do beznadziejnego ataku, jak wojownik z rozbitej armii nie mogący pogodzić się z klęską. Dwa moduły leniwie zwróciły się ku niemu, plunęły ogniem i w ciemności wybuchł obłok plazmy.

- Zniszczyli Trzecią Flotę - martwym głosem powiedział Litwin. - Dwanaście naszych okrętów... trzynaście, jeśli liczyć Skowronka... Zabili tylu ludzi...

Zrzucił buty i zaczął zdejmować kombinezon. Jego ruchy były nieśpieszne, jakby powtarzał jakąś powolną pantomimę.

Abbie trwożnie zadrżała.

- Paul? Wszystko w porządku, Paul? Co chcesz zrobić?

- Zabawić nieco naszych gospodarzy. Inaczej mogliby pomyśleć, że jesteśmy całkiem bezsilni... - Tupiąc bosymi stopami, ruszył ku warstwie kontaktowej. - Io, moja droga, uciekaj! Zabieraj Abbie i uciekajcie na pokład! A jeszcze lepiej schowajcie się w sieci komunikacyjnej albo w jakimś innym spokojnym kącie. Sama zdecyduj, moja droga...

- Nigdzie nie...

- Abigail McNeal! Zdaje mi się, że wciąż jesteście oficerem, kapitanem wojsk desantowych?

W jego głosie dzwięczał gniew. Io w milczeniu pomogła McNeal wstać, złapała ją za rękę i pociągnęła ku membranę zakrywającej wyjście. Kaff w jej ciemnych włosach to rozpalał się, to przygasał; widocznie pytała o coś Okrętu i nie otrzymywała odpowiedzi.

Wyszły. Litwin odczekał minutę i wpadł w ciasne objęcia błony. Skądś wiedział -

mało tego: był pewien - że tym razem mu się uda; przed oczami majaczyły mu to Lancaster i Pamir znikające w purpurowym obłoku, to rozbity kadłub Skowronka. Mięśnie drgnęły, coś pod nogami odpowiedziało drzeniem. Wysiłkiem woli odegnał wizję mrocznej przestrzeni za burtą Okrętu, gdzie nie było już ziemskiej floty, a tylko rzednące powoli czerwone obłoki gazu. Ogromny ekran włączył się jakby sam z siebie i przeniósł go do wnętrza ogromnego cylindrycznego hangaru - obwieszanej aparatami potwornej rury. Ciągnęła się co najmniej kilometr w każdą stronę, ale odległość jakby przestała istnieć dla Litwina; z przerażającą dokładnością mógł obejrzeć wnętrze każdej z maszyn.

Drżenie narastało - to ożywał anihilator. Litwin nie próbował nawet dosięgnąć silnika, silnik nie miał tu nic do rzeczy, nie było dokąd uciekać. Teraz już nie... A gdyby nawet mógł

uciec, i tak by tego nie zrobił. Ucieczka przynosiła dyshonor.

Miał wrażenie, że gdzieś w środku, może w tym dziwnym mechanizmie, a może w jego ciele, rodzi się ognista kula. Podgrzewał ją gniewem i wściekłością - tak łatwo rozprawili się z flotą! Symbol ziemskiej siły zmienił się w pył rozsypany w lodowatej pustce i tylko on jeden mógł dokonać zemsty. Pod wpływem tej myśli gorąca kula rozpaliła się, urosła, wchłaniając ciało Litwina, jakby był ognistym dzinnem, smokiem czy innym monstrum.

Czuł, że dłużej nie powstrzyma tego płomienia, tego żaru, że musi go wyrzucić na zewnątrz, wprost przed siebie, w ścianę hangaru oblepioną setkami maszyn.

*Nie trzeba tego robić* - uprzedził Statek. Litwin miał wrażenie, że w bezcielesnym głosie słysząc przerażenie. - *Nie trzeba!*

A to dlaczego? - odparł w myślach. - Podobno lubisz silne emocje. Ludzie znają uczucie słodsze niż radość tworzenia i miłości. Ty jeszcze go nie znasz. To zemsta!

Potok karminowego ognia uderzył w ścianę, spopielając dziesiątki modułów. Litwin poczuł przeszywający ból, lecz był nań przygotowany, nie jęknął, nie krzyknął, a tylko wymamrotał przez zęby:

- Obiecałem ci niebo w diamentach? Popatrz! Popatrz!

Zdołał uderzyć jeszcze dwa razy. Potem stracił przytomność.

## *W kosmosie i na Ziemi*

Nazwy okrętów jedna po drugiej znikwały z ekranu taktycznego: Sydney, Lancaster, Nawa... Sydney zginął pierwszy; gryfy nie były w stanie powstrzymać maszyn przybyszów i potok karminowego ognia uderzył w rufę, prosto w reaktor zabezpieczony wielowarstwowym pancerzem. Nie uratował on krążownika - eksplozja, wybuch i obłok rozgrzanego gazu rozplynęły się w pustce... Trójka Obcych atakowała Lancastera, Parana i Nawę; napastnicy nie tylko mieli przewagę liczebną, ale też byli szybsi i bardziej zwrotni od ziemskich statków.

Nie wspominając nawet o uzbrojeniu! Obserwując walkę, Tymochin już po kilku sekundach zrozumiał, że przegrywa. Te diabelskie maszyny okazały się nad podziw skuteczne i śmiertelne, mimo że nie miały ani rakiet, ani miotaczy plazmy, ani niczego, co chociażby przypominało laser; jedynym narzędziem ataku była wiązka antyprotonów z zabójczą precyzją sięgająca celu z ogromnej odległości. Jej energia i koncentracja były - zdaniem analityków - tak ogromne, że wywoływały anihilację nawet nielicznych cząstek występujących w próżni.

Tymochin nie dysponował porównywalną bronią, dlatego postawił przede wszystkim na rakietę. Podstawowy kaliber, trzysta megaton, automatyczne naprowadzanie na cel i dla pewności trzy salwy... Flotylla zakończyła ostrzał, pozostało tylko czekać - czekać, aż ogromny okręt gwiazdny przybyszów zniknie w wybuchu jądrowym. Jego zniszczenie było równie pewne, jak zagłada połowy floty i śmierć samego Tymochina, który zrozumiał już, że nie jest w stanie zatrzymać Obcych. Przeliczył się i miał zapłacić to życiem. Swoim i ludźmi, których tu sprowadził, zbytnio ufając potędze swych krążowników.

Wieże Lancastera błysnęły ogniem, jasne potoki plazmy przecięły wiązki antimaterii i oślepiające światło wybuchu zmusiło Tymochina do zmruczenia oczu.

- Trzy! - powiedział jeden z oficerów. - Zabrał ze sobą trzech!

- Nawa zniszczona - zameldował drugi.

Tymochin zmarszczył brwi.

- Straty MU?

Odpowiedział komandor podporucznik Szengiel:

- Stale rosną, sir. Siedemnaście procent... dziewiętnaście... dwadzieścia trzy...

- Osiem sekund do uderzenia rakiet - rozległ się głos obserwatora.

Całe osiem sekund... - pomyślał Tymochin. Walka w kosmosie nie trwa długo, prędkości są ogromne, broń niszczycielska... W ciągu ośmiu sekund można wygrać bitwę.



Albo przegrać...

Pamir, ciężki rajder z dwustu dwudziestoma członkami załogi, znikł w wybuchu wściekłych płomieni, taranując okręt faata; rozplynął się gazowym obłokiem Fudzi, martwa Parana płynęła przez ciemność, siejąc wokół fragmentami kadłuba. Sachalin jeszcze walczył, strzelał z laserów i swomów, a w górnym sektorze broniły się Tiburón i Ren okrążone przez dziesiątki maszyn Obcych. Tymochin zrozumiał, że niebawem straci i te krążowniki.

- Atakujemy - rozkazał. - Wiking idzie do Tiburóna, Suzdal i Wołga do Sachalina.

Zrzucić myśliwce!

- Wykonano, sir. Maszyny w przestrzeni.

Przyśpieszenie wcisnęło Tymochina w fotel i w tej samej chwili wszechświat, kurcząc się w bólach i bezgłośnych jękach, zrodził nową gwiazdę. Filtry przyćmiły blask, zasłoniły ekrany przejrzystym cieniem, ale i tak widok był straszny. W jej wnętrzu wirowały rozpalone masy, wybuchając na powierzchni potwornymi purpurowymi garbami, zwęzły się w protuberancjach, wyrzucały w ciemność strzępki świecącej plazmy; zdawało się, że świat, jeszcze niedawno przypominający obsydian ozdobiony nielicznymi iskierkami gwiazd, nagle zmienił się w ogniste piekło.

- Cel trafiony! - krzyknął oficer obserwator.

W sztabie zapanowała cisza. Gwiazda zrodzona w wybuchu jądrowym powoli bladła, protuberancje i fale plazmy zamierały, energia uleciała w przestrzeń rojami kwantów. Brzegi już nie oslepiały przyrządów i ludzkich oczu, przez przezroczystą mgłę lokalizatory wymacały i przekazały na ekran obraz ogromnego cylindra. Nieuszkodzony i niezwyciężony wisiał przed Suzdalem jak smok, który przybył z otchłani Galaktyki. Święty Jerzy nie pokonał go.

- Szesnaście stopni w stronę bieguna północnego - rozległ się głos oficera. -

Przeciwnik, dwa okręty!

- Atakuję - odpowiedział na ogólnie dostępnym kanale kapitan fregaty, ale rozkaz ten nie dotarł do świadomości Tymochina. Admirał słyszał teraz co innego, słowa wypowiedziane przez Güntera Fossa, dziwnego reportera „KosmoSpiegła”, na chilijskim astrodromie ZSK. „Niech pan nie używa rakiet i swomów, admirale, odrzuci je pole ochronne. Spróbujcie przebić je laserami, nieoczekiwanym uderzeniem pełną mocą. Proszę się nie obawiać...”

Obawiać?... Czego obawiać?... - pomyślał Tymochin, patrząc, jak na ekranie rosą dwie tęponose jednostki bojowe. Potem pochłonęły go ogień i ciemność.

\* \* \*

- Obyśmy nigdy znowu nie zobaczyli mroku Zaćmienia! - wyrecytował Yata.

Powiedział to nie w myślach, lecz na głos, tak że usłyszano go na całym Okręcie, w korytarzach i

kabinach, gdzie pracowały setki faata i tho, w salach przyjmowania pożywienia, w pomieszczeniach t'hami, gdzie załoga powoli wracała do życia, w szybach ze zmienną grawitacją, gdzie trenowali olkowie, na pokładach modułów bojowych, których piloci powoli budzili się z długiego letargu.

- Obyśmy nigdy znowu nie zobaczyli mroku Zaćmienia - powtórzył Opoka Porządku i dodał: - Bino tegari zostali zniszczeni. Lecimy na ich planetę. - Rzucił okiem na kulę obserwacyjną, gdzie w samym środku błyszczała Ziemia, po czym przeszedł na kanał

mentalny dostępny wyłącznie dla członków Wiązki: - *Nasze straty, Strategu?*

Kaya, obrońca Niebios, poruszył się w gęstym żelu masy kontaktowej.

*Siedem modułów bojowych, Opoko Porządku.*

*To dużo.*

*Tak. Ale teraz wiem więcej o ich broni. W przyszłości unikniemy takich strat.*

*Mam nadzieję.* - Moduły, podobnie jak inne urządzenia na pokładzie Okrętu, nie były zasobem nieodnawialnym, szczególnie teraz, gdy stali na progu rozwiniętego technicznie świata. Yata pamiętał o tym i zakończywszy podsumowanie bitwy, zwrócił się do Aiwe: -

*Rozmawiający! Czy są dla nas wiadomości z planety bino tegari?*

*Nie, ale niedługo nadejdą. Analizujemy reakcję mass mediów...* - Pośrednik zająknął

się, ale natychmiast wytłumaczył: - *Środki masowego przekazu, tak to nazywają. Nie władza Opok Porządku, nie aparat nacisku, nie grup a zarządzająca zasobami naturalnymi i przemysłem, lecz niezwykle wpływowa warstwa o bardzo wysokim statusie. Struktura podobna do ich religii i spełniająca tę samą funkcję: tworzy iluzję rzeczywistości i rozpowszechnia przekonanie o jej prawdziwości. W rezultacie...*

*Opinia na nasz temat też jest iluzoryczna?* - przerwał mu Yata.

*Częściowo. Tak jak przewidywałem, wielu widzi w nas symbol zemsty i sprawiedliwości.*

*Wielu?*

*Większość. Ich siła polega na przewadze liczebnej i tym dziwnym stanie umysłu, który my nazywamy fanatyzmem. Wierzą w nas i dlatego pozostała część ich społeczeństwa, ta, która rządzi planetą, będzie z nami współpracować. Ich posłanie powinno dotrzeć podczas najbliższego cyklu.*

*Domyślasz się, co może zawierać?*

*Przeprasiny. Spróbują przekonać nas, że zaszła pomyłka, że ich Strateg działał*

*samowolnie, a nie na rozkaz swoich władz. Zaproponują nam też kilka miejsc do lądowania.*

*Oczywiście, na terytoriach krajów, z którymi walczyliśmy, i w takich lokalizacjach, gdzie łatwiej będzie nas kontrolować.*

*Trzeba to koniecznie przedyskutować. Masz jakieś propozycje?*

*Tak, Opoko porządku.*

Zamieszkały świat pojawił się w umyśle Yaty w postaci nieuchwytniej, lecz dość wyraźnej kuli szybującej w pustce. Obraz przekazany przez Mówiącego był mapą w naturalnych barwach: żółtoszary ocean z ogromnymi zatokami zagłębionymi w dwóch ogromnych lądach położonych po przeciwnych stronach planety; ciemne masywy górskie, liczne plamy zieleni, szarżółte zakręty rzek, rozrzucone po planecie osiedla ludzkie i przestrzenie w dziwnych odcieniach czerwieni i bieli. Były także małe kawałki lądu; największy, prawie biały - na biegunie.

*Czerwone i białe - co to? - zapytał Yata.*

*Formacje nie mające odpowiedników w Nowych i Starych Światach. Czerwone: równiny zasypane piaskiem, białe: obszary lodów. Kontynent na południowym biegunie jest w całości pokryty lodem tak grubym, że zakryłby Okręt do połowy.*

*Dużo wody... Dobrze... Okręt potrzebuje wody... Ten obszar należy do kogoś?*

*Jest traktowany jako wspólny, Opoko Porządku.*

*Jeszcze lepiej. Polecasz go jako miejsce lądowania?*

*Niewątpliwie.*

*W takim razie przekaz bino tegari, że wylądujemy tutaj. - Yata w myślach postawił*

*kropkę na biegunie i przekazał obraz Tijczowi. - Straciliśmy podczas bitwy siedem dużych modułów, a oprócz nich jeszcze szesnaś cie małych w magazynach. Poszycie zostało przebite, zginął lokalny mózg, Okręt będzie go odtwarzał co najmniej przez jeden cykl. Wyjaśnij, Utrzymujący, co zaszło?*

Tijcz bał się. Przechwyciwszy uczucie strachu, Yata pomyślał, że towarzysz jest jeszcze bardzo młody i nie potrafi ukrywać uczuć. Zresztą wszyscy Utrzymujący, pozostający w bliskim kontakcie ze stworzoną przez daskinów technologią quasi-rozumu, odznaczali się nadpobudliwością, co traktowano jako kompensację ich wrodzonego daru. Bardzo rzadkiego, dlatego Tijczowi nie groziło rozpylenie - po drugiego Utrzymującego Łączność trzeba by lecieć do Nowych Światów.

Lecz mimo to bał się. Być może nie kary wymierzonej przez Opokę Porządku, a czegoś innego?

*Bino tegari ukrywał się w magazynie wśród pilotów - oznajmił Tijcz, robiąc wszystko, by nie okazać strachu. - Bardzo sprytne stworzenie... wybrał miejsce, gdzie nie był widoczny na mapach termicznych. Sądzę, że choć to nieprawdopodobne, włączył anihilator małego modułu. Ja sam nie byłbym w stanie tego zrobić bez pomocy pilota... Ty także, Opoko Porządku.*

*Gdzie jest teraz?*

*Nie ma go w magazynie. Kontynuuję poszukiwania.*

*Zaczyna stanowić problem. Jak sądzisz, Utrzymujący?*

Nagle Yata zrozumiał, że Tijcz wcale nie jego się obawia. Okręt i zbiegły bino tegari - oto, co budziło w nim przerażenie!

*Kłopotem nie jest poszukiwanie zbiega, lecz reakcja quasi-rozumu - oznajmił. - Do tej pory uważałem je za normalne, ale teraz sytuacja uległa zmianie. Myślę... nie, jestem niemalże pewien: Okręt nie chce, żebyśmy go znaleźli i .*

*Wstrząsające!... - pomyślał Yata.*

Jego przekonanie było identyczne z opiniami Pośrednika i Stratega: *czy coś takiego jest możliwe!?*

*Możliwe - potwierdził Tijcz. - Możliwe, jeśli bino tegari jest szczególnie cenny dla Okrętu. Nie pytajcie dlaczego, nie znam odpowiedzi na to pytanie. Nie zapominajcie, że nie my stworzyliśmy quasi-rozum, my jedynie wykorzystujemy go tak, jak podpowiada nam zdrowy rozsądek. Ale drogi daskinów są nam nieznane, a ich myśli to tajemnica. Co uważali za rozsądne? Po co tworzyli żywe maszyny? Dlaczego dali im umiejętność komunikacji mentalnej?... Nie wiem, nikt nie wie.*

Wyłączył się, nie prosząc Yaty o pozwolenie. Po długiej przerwie Aiwe, Pośrednik, powiedział:

*Jest jeszcze jeden problem, Opoko Porządku: straciliśmy ziemską ksa. Ein, genetyk, chciał sprawdzić, jak rozwija się hybrydowy płód, ale ksa znikła, a wraz z nią Io, moja pomocnica. Nie znaleźliśmy żadnej z nich w salach t'hami. Okręt nie wie, gdzie są. Albo nie chce powiedzieć.*

*Kotek mu w splot nerwowy! - Strateg rzucił starożytnym przekleństwem.*

Yata zignorował go i wydał rozkaz:

*Nie myśl o zaginionych na Okręcie, Pośredniku, są problemem Tijcza. Kontynuuj negocjacje, obiecuj, strasz i żądaj. Potrzebujemy miejsca na bazę, dostaw surowców i ziemskich tho, jak najwięcej tho robotników! Wyślij ich Opokom nagranie naszej walki, niech wiedzą, że ich flota zginęła. Jeśli to ich nie nauczy rozumu, zniszczymy kilka osiedli.*

*Miast, Opoko Porządku.*

*Tak, miast. Wybierz jakieś.*

Yata zakończył seans łączności i spojrzał na kulę obserwacyjną, gdzie w środku szybował małeńki obraz Ziemi. Okręt leciał szybko, doganiając uciekającą ku gwiazdzie planetę. Jeszcze dwa cykle i wylądują na powierzchni.

Nagranie z wydarzeń było krótkie - około sześciu minut od początku ataku do ostatniego wystrzału, który zniszczył krążownik Tiburón. Na ogromnym, zajmującym całą ścianę ekranie wybuchały okręty ugodzone laserowym promieniem, myśliwce płonęły jak meszki w płomieniach, wszędzie unosiły się purpurowe obłoki rozgrzanego gazu, cienkie oślepiające strumienie plazmy z uporem drapieżników szarpały pancerze. Za tło służyła ciemność rozświetlona iskierkami gwiazd.

Obejrząwszy nagranie, siedzący przed ekranem człowiek podniósł rękę i władcym gestem strzelił palcami. Film wyświetlono jeszcze raz, wolniej, z komentarzami analityków podkreślających wybrane najbardziej przygnębiające momenty. Na dole ekranu przemknęły nazwy utraconych krążowników wraz z nazwiskami kapitanów, danymi technicznymi i liczebnością załóg; żałobny spis z admirałem Tymochinem i Suzdałem - flagowym okrętem floty - na czele. Dwanaście okrętów, dwa tysiące osób załogi.

Film dobiegł końca. Człowiek rozkazał:

- Połączcie mnie z Waszyngtonem. Szybko.

Był sam w pokoju - przestronnym gabinecie z dębową boazerią - ale obserwowano każdy jego gest, słyszano każde słowo. W ustawionych po obu stronach ekranu głośnikach rozległy się ciche trzaski, po czym melodyjny, kobiecy głos powiedział:

- Sekretariat prezydenta UEA, kanał bezpośredniej łączności międzykontynentalnej, kod LJ-34-B. Pan prezydent chciałby rozmawiać z panem George'em Greerem.

- Pełna izolacja dźwiękowa gabinetu - powiedział mężczyzna siedzący przed ekranem.

- Asadin, proszę sprawdzić.

- Tak jest - tym razem rozległ się głos męski.

Prezydent UEA, najczęściej nazywany po prostu rosyjskim prezydentem, wstał, odsunął się od ekranu i usiadł za biurkiem. Leżały przed nim dwa dokumenty z uwagą:

„Otrzymano o 21.17”. Duże wyraźne litery były świetnie widoczne na białym papierze, jak węgiel rozsypany na śniegu.

- George Greer, prezydent Stanów Zjednoczonych i Kanady, na łączu.

Zabłysnął ekran. W Waszyngtonie był wczesny poranek. Niebo w oknie za plecami Greera dopiero różowiało, a on sam siedział w szlafroku narzuconym na piżamę.

- Dzień dobry, George. Już widziałeś? I czytałeś?

Rosjanin zaszeleścił leżącymi na biurku papierami, Amerykanin skinął potakująco głową.

- Cześć, Mike. - Również nie przestrzegał protokołu zarówno podczas rozmów prywatnych, jak i tych, które uważał za szczególnie ważne. - Widziałem i czytałem. Wyrazy współczucia z powodu Tymochina. Był dobrym admirałem.

- Tak. Szkoda, że trzeba będzie nieco zszargać jego imię.

- To konieczne, Mike.

- Oczywiście, że konieczne, George.

Ci dwaj decydowali o losach Ziemi. Tak było w przeszłości, tak było teraz i tak miało być w przyszłości. Zamierzali zrobić wszystko co w ich mocy, by utrzymać taką sytuację.

Światem rządziły dwa supermocarstwa: jedno, obejmujące połowę Eurazji, było silne ogromem swego terytorium, niewyczerpanymi zasobami naturalnymi i twórczym potencjałem ludzi; drugie - bogactwem i potencjałem technicznym. Przywódcy obu krajów dawno już zrozumieli, że jedność daje im władzę nad światem, a nawet więcej - nad Układem Słonecznym, wystarczająco dużym, by pomieścić ludzkie ambicje, plany i interesy. Nie istniała trzecia siła zdolna stawić im czoło; ONZ, Rada Bezpieczeństwa, inne organizacje międzynarodowe, Europa, Japonia i Ameryka Południowa były tylko dodatkiem do ich bezsprzecznej władzy nad źródłem zasobów ludzkich.

Trzecia siła nie istniała... Do teraz. Wytrawni politycy pogodzili się z tym faktem.

Zresztą być może nie było aż tak źle.

- Co powiesz o ultimatum, George?

Amerykanin spuścił oczy - widocznie na jego biurku też leżały dwie kartki.

- Nie będziemy traktować tego tekstu jako ultimatum, Mike. Bardziej podoba mi się określenie „projekt pokojowego porozumienia”. Termin „ultimatum” przywołuje na myśl inne, jeszcze bardziej nieprzyjemne słowa: kapitulacja, okupacja, reparacje...

- Wszystkie z łaciny - rzekł z uśmiechem rosyjski prezydent.

- Z łaciny, a żeby ją tak... - przytaknął Amerykanin. - A rzymska mądrość głosi „Nikt nie jest pokonany, dopóki sam nie uzna się za pokonanego”.

- Bezwzględnie. Właściwie miała miejsce tylko drobna potyczka, która wynikała z niedopatrzenia Tymochina. Głęboko nad tym ubolewamy. Dalszych incydentów nie będzie, tym bardziej że siły naszej floty należy oszczędzać na ostateczne uderzenie.

- Gdy tylko znajdziemy ich słaby punkt, Mike. A na razie... - człowiek na ekranie zamyślił się - na razie wyślemy wyrazy współczucia i przeprosiny. Żadnego agresywnego demarche w prasie, ton artykułów winien być neutralny lub przyjacielski. Co zaś się tyczy naszych propozycji... Oczywiście goście mogą wylądować w wybranym miejscu Ziemi, Antarktyda świetnie się do tego nadaje. Oczywiście wyznaczymy miejsca, gdzie utworzone zostaną centra wymiany kulturalnej, gdzieś na

Alasce albo na Syberii. Dostarczymy robotników, sprzęt, materiały, wszystko, czego sobie zażyczą. I oczywiście nie mamy nic przeciwko badaniom naukowym nad genetyczną zgodnością ludzi i faata. To nawet ciekawe...

Czego jeszcze chcą?

Rosyjski prezydent zajrzał do leżących na biurku dokumentów.

- Swobody poruszania się ich pojazdów powietrznych.

- Proszę bardzo! Nasze stacje orbitalne i baza księżycowa mogą ich śledzić. Moi specjaliści twierdzą, że ich mniejsze jednostki w przeciwieństwie do statku macierzystego nie są wyposażone w pole ochronne... widocznie aby je utrzymać, potrzebne jest bardzo mocne źródło energii. Tymochin zniszczył siedem takich aparatów... Jestem przekonany, że Chávez poradzi sobie nie gorzej. Należy uprzedzić, że nie gwarantujemy im całkowitego bezpieczeństwa. Nasze wpływy nie rozciągają się na Indie, Chiny, Kalimantan, szereg krajów afrykańskich i arabskich i niektóre inne regiony. Musimy je wyraźnie oznaczyć i poinformować gości, że strefy te nie podlegają naszej jurysdykcji. Nie licząc, oczywiście, aktów zemsty.

Popatrzyli na siebie.

- Nasi drodzy goście... - powiedział Amerykanin.

- Ich silnik...

- Ochronne pola siłowe...

- Sterowanie grawitacją...

- Anihilator bojowy...

- Terapia falowa...

- Metody przedłużania życia...

- Taaak - potwierdził rosyjski prezydent z marzycielskim uśmiechem na ustach. -

Magiczne perspektywy!

- Gdyby jeszcze wykluczyć magów... Jak to mówią u was, w Rosji: kasza oddzielnie, masło oddzielnie.

- Mam inne zdanie, George: kasza też może być przydatna. Niech wasi analitycy szczegółowo przestudiują raporty Tymochina. Zauważam pewną tendencję... Wygląda na to, że goście mają kłopoty z siłą roboczą, a w każdym razie uważają, że to jeden z najcenniejszych zasobów. Z drugiej strony nie mają problemów z wyborem dogodnego do życia terytorium i produkcją żywności. Skolonizowali wiele planet i są w stanie wykarmić ogromną liczbę ludności... po prostu ogromną...

miliardy, dziesiątki miliardów... Rozumiesz, o czym mówię, George?

- O korzystnym eksporcie. - Amerykanin pokiwał głową. - O Azjatach i Afrykanach, którzy są dla nas ciężarem i zagrożeniem. O tych przeklętych neoluddystach i antyglobalistach, Dzieciach Allaha, Czerwonym Dżihadzie i asasynach, o terrorystach i mafii, separatystach i handlarzach narkotyków. O naszym ciągłym bólu głowy, który można będzie zmienić w towar. Wspaniały pomysł, Mike! Podziwiam twoją dalekowzroczność. Na przykład ta sztuczka z manewrami Trzeciej Floty... Gdyby nie ona, binoki zwałyby się na nas jak tornado na pola w Kansas!

- To tylko szczęśliwy zbieg okoliczności - powiedział rosyjski prezydent. - Przypadek, nic więcej.

Porozmawiali o jesiennych wyborach w UEA i szansach tego czy innego pretendenta na drugie miejsce. Nie było wątpliwości, kto zajmie pierwsze.

\* \* \*

Angelotti był zadowolony: ostatni numer „KosmoSpiegla” zdobyły sensacyjne materiały Güntera Fossa zatytułowane: PRZEROBILI NAS I POGROM TRZECIEJ FLOTY - POCZĄTEK

KOŃCA. Większość środków masowego przekazu, włączając w to JBC i Patricka MacCaffreya, nie popierała poglądów Fossa, skłaniając się ku oficjalnej wersji głoszącej, że potyczka była pomyłką i że admirał Tymochin przekroczył swe pełnomocnictwa - być może z powodu wrodzonej ksenofobii, a może nadmiernej nerwowości. Prasa określała ostatnie zajścia przestępstwem wieku, najtragiczniejszym zdarzeniem od czasu wypraw krzyżowych i dwóch wojen światowych, a Tymochina wciągnięto na listę znanych zwyrodnialców, takich jak Hitler, Stalin i Pol Pot. Znający prawdę Gorczakow chciał się zastrzelić, ale po długich rozmyślaniach doszedł do wniosku, że w tak doniosłym momencie, gdy kraj i świat potrzebują jego pracy, byłoby to dezercją. Podjąwszy decyzję, z ulgą schował osobistą broń do sejfu. Admirałowie Haley i Chávez także wiedzieli, że Tymochin jedynie wykonywał

rozkazy Rady Bezpieczeństwa, których kopie oznaczone klauzulą najwyższej tajności przechowywali w swoich sztabach. Ale rozwój wypadków sprawił, że obronę Tymochina i honoru munduru musieli odłożyć na później. Admirałowie byli zajęci: Chávez utrzymywał

Pierwszą Flotę w gotowości bojowej, Haley wziął pod swoje skrzydła pododdziały Trzeciej Floty i przerzucał je wraz z eskadrami Drugiej bliżej Ziemi.

Krażownik Tajga zabrał geofizyków z Erosa i zgodnie z rozporządzeniem admirała Haleya leciał ku bazie księżycowej, okrążając Słońce po eliptycznej trajektorii. Kapitan Diegtiar ogłosił żałobę po poległych, na ich cześć działa Tajgi oddały dwanaście salw.

Syberia, Starfire i Barakuda, które nie zdążyły przybyć na miejsce bitwy, również podążały w stronę Ziemi i Księżyca, a na ich pokładach królowała cisza. Na pozostałych okrętach ZSK

też panowało przygnębienie. Każdy miał przyjaciół i kolegów wśród dwóch tysięcy astronautów i desantowców, którzy odeszli w Wielką Pustkę, wszystkich męczyły wątpliwości co do przybyszów.



Cokolwiek pisała prasa, złe myśli brzęczały w podświadomości jak komar koło ucha: a co jeśli Obcy przybyli nie po to, by rozdawać prezenty, ale by wszystko zabrać?

Takie same rozterki były udziałem trzech mieszkańców Posterunku 13 na równinie Tartar, co przejawiało się burzliwymi sporami. Demeskis, zagorzały pacyfista, uważał, że nawet kiepski pokój jest lepszy od wojny, Swirydow pragnął zemsty, a Paul Durant próbował

ich pogodzić, czym zdobył sobie miano obrzydliwego konformisty. Na dodatek odebrali radiogram informujący o zmianie harmonogramu dostaw i odwołaniu rejsu czółna oraz zalecający zmniejszenie dziennych racji żywnościowych. Takie sytuacje zdarzały się w okresie burz, ale teraz na Tartarze panowała cisza i opóźnienie świadczyło jedynie o chaosie i bałaganie w służbach logistycznych ZSK.

Kopernik zakończył tankowanie na stacji Mariner i wystartował na Ziemię.

Planetolodzy na jego pokładzie wciąż toczyli dyskusję o Czerwonej Plamie. Dyspozytor Kalich i stały personel, któremu uczeni sprzykrzyli się niewyobrażalnie, westchnęli z ulgą: w kawiarni i w barze zostali tylko swoi, nikt nie brzęczał nad uchem, nie przeszkadzał wypić koktajlu czy wskakiwać nago do basenu. Co prawda pili i pływali w pośpiechu, by zdążyć na wiadomości. Na stacji nie było oddziału astronomicznego, ale obserwatorium na Phobosie miało wielki teleskop - obserwowano więc statek przybyszów i co godzina przesyłano raporty. Okręt, który zniszczył krążowniki Tymochina, leciał na Ziemię. Za nim podążała flota admirała Haleya, pozostawiając Marsa bez ochrony.

Górnicy - Sidney Brik i Juan Ariego - martwili się kosmitami znacznie mniej niż cenami piwa i dżinu. Z powodu ogłoszonego przez Ziemię embarga na loty międzyplanetarne nie zabierano urobku z kopalni, a ceny rosły i wyglądało na to, że niedługo zaczną zżerać całą dniówkę. Górnicza dusza nie mogła zaakceptować takiego naruszenia stabilizacji. Koledzy Brika i Ariega szykowali się, by roznieść knajpę, zablokować drogę, którą wywożono rudę, i stukać w szyny kaskami. Nieważne, kto wtargnął na Ziemię - trzygłowe pająki czy rozumne ośmiornice - ludzie pracy muszą dostać, co im się należy! Tak uważały związki zawodowe i przestępczy syndykat dostarczający alkohol do kopalń.

Kapitan Stig Olsen wraz ze swoją drużyną dotarł do kryjówki Tygrysów Islamu, wykurzył ich z jaskiń i odnalazł zwłoki instruktora Sierowa oraz jego ucznia. Podobny do rzeźby w swoim bojowym skafandrze stał nad zmasakrowanymi ciałami i zaciskając zęby, rozmyślał, jak wyprawić pojmanych terrorystów na tamten świat. Otaczający dowódcę żołnierze milczeli, jednakże Olsen wiedział, że wyrok został już wydany i nie podlega kasacji.

Mógł oczywiście powtórzyć to, co zrobiono z ofiarami, wykluć oczy, zedrzeć skórę i poćwiartować, ale byłoby to niezgodne z zasadami desantowców. Zdjął z ramienia miotacz plazmy, kiwnął na swoich ludzi i ruszył w stronę szczeliny, do której zagnał jeńców. Miotacz plazmy MP-36 był mocny i ciężki jak drewniana pałka. Szczególnie mocna była kolba, do której wkładano baterie.

\* \* \*

Dom na peryferiach Brukseli był jak zwykle ciemny i cichy. Sądzono, że gospodarz, jak na reportera

przystało, miota się między kontynentami, miastami i krajami, nocuje w motelach, je w barach albo w samolocie - między startem w Paryżu a lądowaniem w Rio - i pisze na kolanie artykuły, a właściwie nie pisze, tylko nagrywa na pocketer. Stanowiło to dobrą przykrywkę i tłumaczyło jego nieuchwytność, nagłe zniknięcia i powroty oraz wszelkie inne dziwactwa, które można było złożyć na karb stylu życia człowieka nazbyt zajętego karierą. Belgia w ogóle sprawiała wrażenie kraju dziwaków i niczym niezmaconej wolności osobistej, gdzie wolno było wszystko, co tylko nie przeszkadzało innym - od dobrowolnej eutanazji po małżeństwa homoseksualne. Bardzo przyjemny kraj! Chociaż w średniowieczu, gdy przybył na Ziemię, wcale tak słodko nie było: kłótnie między baronami i miastami, wojny z Niemcami i Francją, potem okupacja hiszpańska i stosy, na których palono heretyków. Jego też próbowali spalić osiem albo i dziewięć razy - za paranie się czarami.

Uśmiechnął się na to wspomnienie, zszedł do piwnicy, postał tam przez chwilę, patrząc na ściany ozdobione malowidłami zamków, płynących po morzu karawel, gajów pełnych wrózek i stworzeń podobnych do spolderów. W jego świecie spolderowie żyli oddzielnie od dominującej rasy, do której należał; mieszkali w okolicach równika na ogromnej wyspie niedostępnej dla odwiedzających poza wydzielonymi faktoriami i portami.

Spolderów los nie obdarzył zdolnością zmiany kształtu, nie uznawali oni techniki i nie dążyli do bliskich kontaktów, uważając jego rasę za zbyt ruchliwą i męczącą. Byli wielkimi filozofami - przynajmniej niektórzy.

Znowu się uśmiechnął, podszedł bliżej do ściany, przesunął fragment boazerii, za którą ukryta była szafka zawalona przeróżnymi rupieciami pozostawionymi przez poprzednich właścicieli. Sanki, zabawki, para łyżworolek, „Mały konstruktor”, klocki, model rakiety, kolorowe kulki... Nic, co mogłoby zainteresować włamywaczy, gdyby takowi tutaj zbłądzili. Wyjął pudełko z kulkami, dotknął palcem jednej, drugiej, trzeciej, dopóki nie poczuł ukłucia. Nie było to uczucie fizyczne, lecz mentalne: palec, skóra i nerwy były w pełni ludzkie i niezdolne do odczuwania tego, co odbierał tylko umysł.

Wyjął właściwą kulkę, położył ją na podłodze, nakrył dłonią i w skupieniu wysłał impuls otwierający. Potem cofnął się. Kulka - a właściwie zarodek sniggi - była jednym z niewielu rodzimych artefaktów, jakimi wciąż dysponował po upływie ośmiu wieków. Nie do końca broń, raczej urządzenie, które można było wykorzystać w tym celu, gdyby nadeszła czarna godzina. A godzina ta zbliżała się, bo ziemską flotą nie potrafiła stawić czoła bino faata. Na kolejne starcia bez wątplenia się nie zapowiadało.

Ach, ci tępi ziemscy przywódcy! No cóż, kierują się własnym doświadczeniem, a nie jest to doświadczenie myślicieli, tylko kupców... Z faata tak nie można. Kultura, która dwa razy przeżyła upadek, nie uznaje targów, bierze, co chce, inaczej - oszustwem, siłą, racjonalnym okrucieństwem. Ludzie przekonają się o tym... bardzo szybko, jeśli nie uda im się obronić.

W pomieszczeniu zapanował chłód, na ścianach osiadł siwy szron - snigga pobierała ciepło z powietrza, zamieniając je na energię. Kulka urosła już do wielkości piłki i nie przestawała się powiększać, przybierając kształt spłaszczonego żebrowanego dysku.

Powierzchnia błyszczała błękitem stali, a u góry wyrastał zwinięty w pierścień cienki elastyczny ogonek. Widoczna część była nie narzędziem, a jedynie pojemnikiem z błony węglowej. Pojemnikiem bardzo solidnym. Choć narzędzie pozostawało nieaktywne, z obawą cofnął się o krok. Snigga nie miała tak potwornej siły rażenia jak potężny ładunek jądrowy, ale mimo wszystko gdyby utracił nad nią kontrolę, prochy Brukseli zmieściłyby się w napařtku.

Rozpoczął strojenie, definiując myślami parametry obiektu, który należało zniszczyć.

Nie plastik, nie minerał i nie żywa tkanka... prawie żywa, jakby żywa, ale nie na bazie węgla... Poprawnie zaprojektowany blok selekcji urządzenia potrafił rozpoznać miliony substancji i wybrać właściwą. Jednakże strojenie było procesem precyzyjnym i skomplikowanym, a on od dawna nie zajmował się takimi operacjami. Mógł popełnić błąd, a wtedy...

Wzrost sniggi spowolnił, potem ustał. Przypominała teraz dużą, sięgającą kolan dynię z błyszczącą szaroniebieską skórką i wypukłymi żebrowaniami. Ogonek, zwinięty w podwójny pierścień, kończyła rurka iniektora, na razie zaczopowana. Urządzenie było wyłączone, z pojemnika nie dobiegały żadne dźwięki. Wytężył siły, spłaszczona kula drgnęła i niechętnie uniosła się z podłogi. Ważyła co najmniej decytonę - górna granica możliwości przerzutu. Odległość też nie miała - trzy ósme obwodu równika, jeśli Okręt wylądzuje na Antarktydzie, lecz mimo to żywił przekonanie, że da radę. Transport w przeciwnieństwie do aktywacji nie był trudny.

Opuścił urządzenie na podłogę, sięgnął myślą do Okrętu i od razu wyczuł jeńca -

pozostawał w nie najlepszym stanie po szoku walki, ale stopniowo wracał do siebie.

Wytrzymałe stworzenie i bardzo, bardzo uparte! Chociaż jeniec nie do końca zrozumiał

działanie kaffu i nie podporządkował sobie tworu daskinów, to jednak miał swoje zalety. Nie miało sensu ich wymieniać; najważniejsze, że przeżył i że był na Okręcie, gdzie znajdzie się też snigga. Niedługo, całkiem niedługo...

W chwili włączenia przyrządu lepiej było nie zbliżać się do Okrętu. Mógłby zrobić to sam, ale zbytńo cenił życie, długie jak cała historia ziemskiej cywilizacji. Byłoby niesprawiedliwością zakończyć je na odległej planecie, gdzie pojawił się w zasadzie jako taki sam Obcy jak faata. Niech ryzykuje jeniec. W końcu jest człowiekiem, synem Ziemi, może więc poświęcić życie dla jej ratowania.

*W przestrzeni okołoziemskiej i na Ziemi*

Podążali ciasną i ciemną norą ciągnącą się w obie strony za przepierzeniem kanału transportowego. Korytarz był tak wąski i niski, że Litwin szedł cały czas zgięty, co rusz uderzając hełmem o sufit. Na dole, ukryty do połowy w zagłębieniu podłogi, wił się nieskończenie długi robak emitujący słaby różowawy blask stanowiący jedyne źródło światła.

Różowa nic biegła w ciemność, niknąc w odległości dwudziestu paru metrów. Robak, pęd układu nerwowego Okrętu, miał grubość trąby słonia. Jego powłoka rytmicznie drgała i pulsowała. Poruszać się obok niego należało ostrożnie - miejsca było akurat tyle, by postawić stopę. Io stąpała lekko jak gimnastyczka na równoważni, ale McNeal każdy krok przychodził

z trudem.

- Wytrzymaj - powiedział Litwin, śledząc nici pajęczyny pływającej w jego świadomości. - Niedługo dojdziemy do skrzyżowania. Tam powinno być luźniej.

- Wytrzymam - westchnęła Abbie. - Nie sądziłam, że tak trudno jest nosić dziecko.

- I tak masz dobrze - próbował podtrzymać ją na duchu Litwin. - Tylko trzy miesiące zamiast dziewięciu.

- Trzy ostatnie miesiące są warte pierwszych sześciu - burknęła Abbie i znowu westchnęła.

Litwin także poruszał się z trudem - wciąż jeszcze nie wyszedł do końca z szoku.

Gdyby nie kobiety, pewnie umarłby w błonie kontaktowej. Gdy w hangarze rozgorzały wybuchy i pożary, wróciły do modułu, wyciągnęły Litwina na pokład, po czym upchnęły w skafandrze. Dalej poszło łatwiej: skafander mógł się poruszać w trybie autonomicznym przewidzianym na wypadek obrażeń lub kontuzji. Gdy doszli do niszy transportowej, Litwin odzyskał przytomność i od razu stwierdził, że nie ma sensu zostawać w hangarze - tylko ślepy i głuchy nie zauważyłby rabanu. Wsiedli do kapsuły, odjechali jakieś pięćset metrów, a gdy wysiedli, wyciął dziurę w ścianie. Za pierwszym razem ciął u dołu, teraz - wyżej. Obliczenie okazało się poprawne - bicz nie zaczepił o wypustkę mózgu. Przeszli z kapsuły do labiryntu korytarzy, w którym umieszczono, a może wyhodowano układ nerwowy Okrętu. Była to dla nich ostatnia kryjówka - pewna czy nie, tego nie wiedziała ani Io, ani Litwin. Io w ogóle nie podejrzewała, że na Okręcie są tajne tunele, do których nie sposób się dostać bez plazmowego wycinaka lub innego narzędzia.

Litwin podążał za Io, chwiejąc się lekko, liczył kroki, słuchał dobiegających zza pleców westchnień McNeal i próbował nie przyśpieszać. Od czasu do czasu jego ukochana czarodziejka odwracała się, a wtedy dostrzegał w półmroku blask srebrzystych oczu i kulkę na skroni. Okres tuahha Io dobiegł końca, dziewczyna nie dążyła już do zbliżenia, ale patrzyła tak samo czule, nie przepuszczając okazji, by dotknąć jego ręki lub policzka. Jeśli Okręt coś jej zaprogramował, to co najwyżej początkowy impuls, sympatię, jaka ogarnia czasem człowieka na widok drugiej osoby. Ale uczucie, które wyrosło

z tego ziarna, było całkowicie naturalne, w ogóle nie związane z wpływem na umysł Io ani z okresem godowym.

Najwyraźniej ich dusze były ponad fizjologię, a uczucia - silniejsze od przesądów.

Przynajmniej w wypadku Io.

Jeśli wybrniemy jakoś z tej kabały - pomyślał Litwin - czeka nas dziwne życie rodzinne: miesiąc wstrzeźliwości, potem tydzień namiętnej miłości. Wręcz spopielającej!

Perspektywa ta nie przerażała go. Jak miliony mężczyzn żyjących przed nim zaczynał rozumieć, że miłość ma wiele twarzy, a każda z nich jest cudowna.

Po pięciuset krokach tunel wyprowadził ich do niewielkiego pomieszczenia, gdzie zbiegały się jeszcze cztery korytarze. Komora była pięciokątna, pośrodku bulgotała czerwono-brunatna pulsująca wolno masa, w którą wnikały ni to pędy, ni to robaki. Jeden z centrów umysłowych Okrętu, kontrolujący coś albo sterujący czymś - być może składem powietrza, siecią transportową, bronią, łącznością albo grawitacją. A być może wszystkim po trochu w granicach wyznaczonego obszaru.

McNeal usiadła na podłodze, przytrzymując rękami brzuch, oparła się o ścianę, zamknęła oczy. Litwin wyjął z pojemnika na jedzenie tubkę z miodem, wsunął jej w dłoń i powiedział:

- Przegryź coś.

Następnie wbił wzrok w burą substancję. W tej chwili ogromny mózg nie był dla niego czymś abstrakcyjnym ani tajemniczym, istniejącym tylko w sferze mentalnej; po raz pierwszy zobaczył fragment stworzenia, tak niepodobnego ani do ludzi, ani do przybyszów, lecz mimo to mającego rozum lub quasi-rozum.

Odwrócił się ku Io i zapytał:

- Ten twór kierujący Okrętem zawsze był taki wielki?

- Nie. One jedzą i rosną.

- Jedzą? Co?

- Nie wiem dokładnie. Krzem, woda, coś jeszcze... Im więcej jedzenia, tym szybciej rosną.

McNeal usnęła. Jej twarz była blada, zmęczona, pod oczami zalegały głębokie cienie, kosmyki rudych włosów opadały na czoło.

Jest na granicy wytrzymałości - pomyślał Litwin.

On też po ataku gniewu i szoku czuł się wypalony. Nie wiedział, co robić, bo każde działanie prowadziło albo do śmierci, albo do niewoli.

Być może najlepszym wyjściem byłoby wrócić do modułu i spłonąć, zanim całkiem nie oszaleję... Ale co wtedy stanie się z Io i McNeal?

Okręcie! - zawołał - lecimy na Ziemię?

*Tak.*

Ile czasu zajmie lot?

*Okolo dwóch cykli. Czterdzieści dwie godziny według ziemskiej miary czasu.*

Ziemia zamierza walczyć?

*Nie sądzę. Wasi prezydenci nie chcą ryzykować. Wolą... - Okręt zamilkł, szukając określenia - wykupić się. Osiągnięto już porozumienie.*

Gdzie wylądujemy?

*Na biegunie południowym. Na Antarktydzie.*

Dlaczego? Tam jest tylko lód...

*Temperatura nie ma znaczenia. Jest tam woda. Ogromna ilość zamrożonej wody.*

Antarktyda! A niech to diabli, Antarktyda! Litwin z rozpacz przygryzł wargę. To był

ostateczny cios; jeśli nawet opuszczą Okręt, nie dadzą rady uciec z bieguna. Potrzebny będzie transport, coś w rodzaju gryfa - szybkie, pewne... Gdyby tylko nauczył się kierować modułem!

Io objęła go, przytuliła się policzkiem do policzka i rozpacz znikła. Aromat kobiety był jak strumień leczniczego balsamu.

- Śpij, moja droga, śpij - szepnął Litwin.

- Zapomniałeś, że faata nie śpią. - Jej oddech łaskotał ucho. - To ziemski zwyczaj. My regenerujemy siły w t'hami.

Uśmiechnął się.

- Gdy nie będzie t'hami, przypomnisz sobie, co to sen.

- Nie, nie przypomnę. Nie chcę! Sen to utracone życie, a ono jest takie krótkie, za krótkie.

- Ale ja nie mogę się obejść bez snu - powiedział Litwin. - Co będziesz wtedy robić?

Ciepłe wargi Io musnęły jego szyję.

- Patrzeć na ciebie... myśleć o tobie... czekać...

Powieki Litwina opadły.

Okręcie - zawołał, zapadając w sen - Okręcie...

*Słucham.*

Wspominałeś o porozumieniu z ludźmi. Faata będą go przestrzegać?

Odpowiedzią była cisza i poczucie goryczy, jakby Okręt oplakiwał całą skazaną na zagładę ludzkość. Przed oczami Litwina przewijały się ponure obrazy: widział, jak ulegają zagładzie ziemskie krążowniki, orbitalne doki, obserwatoria i stacje, jak płoną miasta, a ludzkie masy miotają się wśród zgliszcz, jak nad bazą księżycową rozkwita purpurowa fontanna, jak ginie znany świat. Na niebie wisiały, wyrzucając strumienie ognia, moduły bojowe faata, nad ruinami unosił się dym, a po zasypanej popiołem ziemi ciągnęły kolumny niewolników, nieskończone jak pochód mrówek wygnanych przez pożar. On sam, Paweł

Litwin, kroczył w jednej z tych kolumn, przygarbiony pod ciężarem żalu. Tho, rozumny w ograniczonym stopniu, który przegapił swoją szansę...

\* \* \*

W pięciokątym pomieszczeniu przesiedzieli ponad dobę, żywiąc się żalnymi resztkami wojskowych racji i prawie wcale nie rozmawiając. McNeal głównie drzemała - być może wciąż była pod wpływem gazu usypiającego, a może nie chcąc przyjąć do wiadomości zachodzących w ciele zmian, robiła wszystko, by o nich nie myśleć i nie wracać do rzeczywistości. Io też była w nie najlepszej formie; jej twarz się zapadła, oczy zbladły -

wyglądała jak czarodziejka, którą złe czary pozbawiły magicznej mocy. Być może lepiej niż Litwin rozumiała beznadziejność sytuacji: albo umrą w tej ciasnocie, albo głód i pragnienie wygonią ich z kryjówek z równie fatalnym skutkiem. Io bała się śmierci. Człowieka w takiej sytuacji pociesza pamięć; przeglądając perełki zwycięstw i sukcesów, porywów namiętności i dziecięcej radości, łatwiej jest pogodzić się z nieuniknionym. Io nie miała czego wspominać poza miłością krótką jak trzepot rzes.

Próbując zająć czymś umysł, Litwin obserwował przestrzeń za pomocą wideodetektorów Okrętów. Lecieli z ogromną prędkością, Słońce rosło z godziny na godzinę, zmieniając się z żółtej małej piłeczki w oslepiającą złocistą kulę królującą w centrum wszechświata. Znajomy widok dla astronauty, któremu dane było oglądać Słońce w wielu postaciach - od przerażającego ognia nad Merkurym po bladą lampę nad pasem asteroid. Na prawo od Słońca błyszczała gwiazda, najjaśniejsza na nieboskłonie, która po upływie doby rozpadła się na dwie części - to także był znany widok: moment, gdy gołym okiem można było dostrzec oddzielnie Księżyc i Ziemię. Większą z gwiazd stopniowo wypełniał błękit, zaczynała nabierać objętości i formy; potem na dysku Ziemi ruszyły w podróż obłoki, zabłysły oceany, a linia terminatora rozdzieliła noc i dzień.

- Dojeżdżamy - powiedział Litwin. - Trzymajcie się, dziewczyny.

Niepotrzebnie ostrzegał. Okręt wytracał prędkość, okrążając raz za razem planetę, ale ciężenie nie uległo zmianie, nie czuli też siły bezwładności. Manewry wokół Ziemi i kompensowanie przeciążenia było widać zadaniem nieprostym, bo zajmujący środek kabiny bury bąbel miarowo drgał i wibrował. Taką samą aktywność przejawiały pozostałe węzły układu nerwowego. W pewnej chwili obrazy nadsyłane Litwinowi mieszały się, nałożyły na siebie; przez warstwę obłoków i ląd przebijało tonące w mroku pomieszczenie z kulą obserwacji, sylwetki pilotów w ciemnych niszach, Yata i trzech jego pomocnicy. Następnie, posłuszny jego woli, znikł obraz mostka i Litwin dostrzegł, że rufa Okrętu tonie w szarosiwych chmurach. W dole błysnął ocean, zalśnił lód, bezkresne białe pole. Okręt schodził do lądowania szerokim łukiem, sterując od Morza Weddella i Ziemi Królowej Maud na południowy wschód, ku biegunowi.

Nie można było tego nazwać lądowaniem, raczej zjawiskiem kosmicznej skali: stworzona ręką rozumnych istot asteroidea spadała płynnie na ląd, rozbryzgując obłoki i rodząc wichury. Gdy podstawa gigantycznego walca dotknęła lodu, wierzchołek wciąż jeszcze znajdował się ponad chmurami. Wieczna zmarzlina natychmiast zakipiała, nagrany kadłub pogrążył się w jej chłodnych objęciach, wytapiając drogę ku ukrytej na dnie skalnej tarczy -

pojazd pogrążył się setki metrów w głąb, choć część wciąż jeszcze górowała nad obłokami.

W powietrze uderzyły monstrualne fontanny pary, huragan zawył ze zdwojoną siłą, a po chwili nastąpiło coś niebywałego: na lodowy kontynent spadł deszcz. Był to potop płynący z niebios i zmieniający się w zamieć sięgającą po wszystkie krańce; wiatr rozłamywał połacie lodu, zrzucał do morza góry lodowe, gnał ogromne fale we wszystkie strony świata: ku Ziemi Ognistej i Przylądkowi Dobrej Nadziei, ku Tasmanii i Nowej Zelandii, Australii i Madagaskarowi.

Lecz Litwin tego nie widział. Całe pole widzenia przesłaniała mu kłębiąca się rozpalona para. Przez chwilę miał wrażenie, że znowu jest na Wenus - leci jak liść niesiony wiatrem, nie walcząc, ale się poddając. Nagle Okręt drgnął, coś sfrunęło z jego powierzchni i obraz znowu był ostry.

Wylądowaliśmy? - zapytał Litwin.

*Jeszcze nie - odparł bezcielesny głos. - Wysłano moduł, jego kamery pracujące w zakresie krótkich fal rejestrują lądowanie.*

Moduł krążył nad pierzyną obłoków w pobliżu Okrętu. Kadłub nadal drażył pancierz skuwający ląd; wokół walcowatego olbrzyma rósł gigantyczny wał lodowych odłamków przewalających się jak stado potężnych ameb. Z nieba cały czas lał deszcz, potoki wody spadały na lodowy chaos, przenikały go i zamarzając, cementowały najpierw w góry, a później w monolit przypominający krater wulkanu. Na boki rozbiegły się zygzakami pęknięcia, które natychmiast skuwała zamarzająca woda. Powierzchnia kontynentu drżała i dygotała w promieniu setek kilometrów, lecz w końcu konwulsje zaczęły zamierać, były coraz słabsze i coraz rzadsze. Gejzery pary bijące nad lodową ścianą malały, deszcz przestał

padać, w ciemnym powietrzu buszowały tylko zamiecie zasypujące okolicę cienkim białym dywanem.



Okręt zamarł. Litwin obserwował przez czujniki gigantyczną wieżę pogrążoną w lodzie na dwa kilometry, po dolny torusowaty pierścień. Jej wierzchołek skrywały płynące nisko chmury, lecz i tak wydawała się ogromna jak żelazna włócznia przebijająca planetę od bieguna do bieguna, mityczna oś, wokół której dzień za dniem, noc za nocą wiruje ziemski sferoida.

Jak okiem sięgnąć, nie było skał ani grzbietów górskich, jedynie biała antarktyczna równina. Żaden element pejzażu nie mógł rywalizować z tą wspaniałą konstrukcją. Wał u jej podnóża wyglądał jak niewielki murek usypany przez dziecko budujące zamki z piasku.

- Co widzisz? - zapytała McNeal.

- Wylądowaliśmy. To... to przypominało uderzenie młota w lodowy pancerz. - Litwin otarł pot z czoła. - Sterczymy pośrodku lodowej równiny jak gwóźdź w desce... taki ogromny gwóźdź od ziemi do nieba... na dole lodowa pustynia, w górze chmury, a pomiędzy nimi śnieg i wiatr. Ale burza chyba cichnie.

- Myślisz, że ktoś po nas przyleci?

- Po nas? Nie sądzę, Abbie. Musimy sami się stąd wydostać.

- Musimy, dowódco. - Poglądziła brzuch. - Koniecznie musimy. Żeby coś zostało po Richardzie... jego dziecko...

Jego dziecko! Litwin poczuł bolesne ukłucie serca, ale odparł dziarsko:

- Poczekamy. Nie jesteśmy już w kosmosie. A nuż trafi się jakaś okazja.

Czekali osiem godzin. Huragan ucichł, ale śnieg padał coraz gęściejszy - miliony ton wody, która wyparowała podczas lądowania, wracały niekończącym się potokiem płatków.

Lodowy mur wokół statku zmałał - widocznie otwarto śluzy pochłaniające śnieg. W pewnej chwili podłoga pod ich nogami zadrżała, z Okrętu wyleciało stado modułów i szybko pomknęło ku chmurom. Litwin odniósł wrażenie, że było ich ponad sto; ciemne kanciaste aparaty wzbijały się w niebo z porażającą prędkością, jak kule wystrzeliwane z karabinu. Jak wyjaśnił Okręt, poleciały na zwiad. Ich szybki lot i błysk śniegu były jedynym ruchem nad martwą białą powierzchnią lądu. Ziemskie maszyny nie przybyły - ani wojenne, ani transportowe - ale było jasne, że Okręt jest obserwowany ze stacji orbitalnych.

Litwin czuł, że oczy mu się kleją, gdy nagle powiało chłodem. Dziwne - wszędzie na Okręcie utrzymywano jednakową temperaturę, a powietrze stało nieruchomo jak w ciepły letni dzień gdzieś w stepach Kazachstanu. Sen uciekł jak wystraszony wróbel. Litwin wstał, otworzył szeroko oczy i wbił wzrok w burą masę - część quasi-rozumu. Ale najwidoczniej to nie ona stanowiła powód alarmu - pulsowała równym rytmem, jakby odpoczywała po ogromnym wysiłku, jakim było lądowanie.

Powietrze wokół niej dosłownie wybuchło. McNeal i Io krzyknęły przerażone, Litwin ścisnął palce, by aktywować tnącą nić - przez chwilę zdawało mu się, że pośrodku pomieszczenia widzi ogromną postać olka. Tymczasem był to nie olk, lecz bez wątplenia Ziemianin. Dość wysoki i chudy, z jasnymi

potarganymi włosami, szarooki, długonosy.

Typowy Niemiec lub Skandynaw około czterdziestki, ubrany w letnie obszerne szare spodnie i koszulkę z portretem znanego skądś brodatego mężczyzny - chyba showmana i gitarzysty.

Tutaj, na statku Obcych, był równie nie na miejscu, jak fotografia gwiazdy porno w miesięczniku poświęconym astrofizyce.

Litwinowi opadła szczeka. Wstał, zgrzytając zamkami skafandra, zasłonił sobą kobiety i machnął biczem, jakby zamierzał się przeżegnać.

- Ki diabeł... - wymamrotała stojąca za jego plecami McNeal.

- Proszę schować broń, oficerze - rzekł nieznajomy po angielsku. Głos miał ostry, skrzypiący; poruszył wargami tak, jakby lada moment chciał je wykrzywić w złośliwym uśmiechu. - Przecież się nie mylę, jest pan oficerem zniszczonego Skowronka?

Litwin odruchowo kiwnął głową.

- Komandor podporucznik Litwin, korpus desantowy. Są ze mną kapitan McNeal oraz... - odwrócił się w stronę McNeal i umilkł zaskoczony jej wyrazem twarzy. Patrzyła na dziwnego gościa jak na demona z głębin piekieł.

- Kobieta faata. Wyrazy uznania, komandorze podporuczniku. Widzę, że nie marnował pan czasu. - Nieznajomy postukał zgiętym palcem w czoło. - A teraz niech pan zdejmie kaff. Ona też. Nie potrzebujemy świadków.

- Kim jesteś? Skąd się tu wzięłeś? - wymamrotał Litwin, zdejmując kaff ze skroni. Io, jak zaczarowana, zrobiła to samo.

- Dobrze pytanie! Chcecie wiedzieć, jak tu dotarłem? Wy, Ziemianie, nazywacie to teleportacją, a my przekłuwaniem przestrzeni. Tak samo porusza się Okręt, tyle że na większych dystansach. Ja co prawda nie latam wśród gwiazd, ale na Ziemi daję sobie nieźle radę. - W końcu uśmiechnął się i był to rzeczywiście złośliwy uśmiech. - Co jeszcze pana interesuje, komandorze podporuczniku? Moje imię? Mogę zaproponować kilka do wyboru.

Oto Günter Foss, czołowy reporter „KosmoSpiegła”, a to Li Chen, chiński astronom z obserwatorium Kepler...

Jego sylwetka nagle się zmarszczyła, jakby z nadmuchanego balonika spuszczone powietrze. Metamorfoza była natychmiastowa, nie do uchwycenia dla ludzkiego oka; zamiast chudego blond Europejczyka przed Litwinem stał równie chudy niski Chińczyk, ciemnowłosy i czarnooki. Koszulka z portretem wisiała na nim jak na kiju, spodnie opadły na biodra.

Chińczyk podciągnął spodnie i znowu uległ zmianie: teraz był wysokim Murzynem z mięsistymi wargami i oślepiająco białym uśmiechem. Subtelnym ruchem pogładził brązowe policzki.

- A to Umkonto Tloome, dyplomata i tymczasowy członek Rady Bezpieczeństwa reprezentujący Niezależne Terytorium Zulusów. Bardzo mądry i wykształcony gość!

Ukończył Princeton z tytułem magistra politologii, opuścił Oksford jako doktor prawa międzynarodowego, Yale... Zresztą nieważne; nawet dziesięć tytułów naukowych nie wybieli czarnej skóry. A ja to potrafię! Potrafię! - Zamachał rękami i stał się barczystym, muskularnym mężczyzną o rumianych policzkach. - Roy Bunch, oficer do zadań specjalnych z singapurskiej bazy ZSK! I znowu pocziwy Günter...

Z piersi Io wyrwał się ochryply krzyk. Zbladła, oparła się o ścianę, wyciągnąwszy przed siebie złożone dłonie; jej wargi drżały, źrenice utonęły w srebrzystych oczach.

- Daskin - wyszeptała - daskin k'taja ronero limra ain... tza desizi, tsa desizi, tsa demuro.. eirigo pa, daskin, eirigo otu...

Ten, który podawał się za Fossa, wykrzywił twarz w dziwnym grymasie.

- Eirigo, owszem. Daskin... Nie, nie daskin, moja miła, na pewno nie daskin, więc tymi zakłęciami Pierwszej Fazy mnie nie przegonisz! Gdybym był daskinem, rozniósłbym was w proch i pył jeszcze koło Jowisza... i was, i tych silmarri, robakokształtnych głupków!

Lecz jestem jedynie przedstawicielem rasy magików, ich emisariuszem na Ziemi, niemalże przypadkowym obserwatorem... Gdzie nam do daskinów! Chociaż co nieco też potrafimy.

- Do diabła - wymamrotała McNeal - do diabła, do diabła! Io uspokój się... siądź obok mnie... siadaj, do kogo mówię! Nic nam nie zrobi.

W umyśle Litwina rozbłysła całą gamą kolorów mapa zamieszkaney Galaktyki, a pamięć podsunęła słowa Okrętu: „Nikogo nie interesujecie, póki nie stanowicie zagrożenia.

Chociaż nie można wykluczyć, że w waszym systemie są obserwatorzy. Rejon gazowego giganta patrolowali silmarri...”.

No i mam obserwatora - pomyślał Litwin. - Nie faata i nie silmarri, a ktoś trzeci, zupełnie inny. Może iliano?...

Ale szukanie odpowiedzi na to pytanie nie było w tej chwili najważniejsze. To zadziwiające stworzenie, zmieniające twarze jak rękawiczki, zdolne przenieść się do dowolnego miejsca na Ziemi, przybyło tu w jakimś celu. Jakim? Nietrudno było zgadnąć, bo wyraźnie nie darzyło sympatią ani faata, ani silmarri, robakokształtnych głupków.

W duszy Litwina ożyła iskierka nadziei. Starając się jej nie zdusić, położył dłonie na biodrach i powiedział cicho:

- Witam Güntera Fossa, emisariusza. Rozumiem, że masz jakieś propozycje?

- Bezwzględnie. - Foss spojrział z ukosa na bury wzgórek, rytmicznie podskakujący na środku kabiny,

i dodał: - Jakżeby inaczej! Pan, komandorze podporuczniku, trafił w odpowiednie miejsce we właściwym czasie, a tacy ludzie mogą oczekiwać najbardziej atrakcyjnych propozycji. Jednakże... - przeniósł spojrzenie na McNeal i przytuloną do niej Io.

- Jednakże nie chciałbym swą obecnością zakłócać spokoju dwóch miłych dam. W

przeciwieństwie do faata, nie stosuję metod mentalnego przymusu, nie potrafię uśpić ich ani zablokować im receptorów słuchowych. Może się przespacerujemy? - Foss wskazał jeden z korytarzy.

Litwin bez słowa ruszył w tamtym kierunku. Przejście było szersze niż to, które doprowadziło ich do kryjówki, a wijący się w środku pęd nerwu znacznie grubszy - nie trąba słonia, lecz cała noga. Różowawa substancja pobłyskiwała delikatnie - niezbyt jasno, lecz wystarczająco silnie, by widoczne było najbliższe dwanaście metrów korytarza. Dalej panował półmrok przeszyty różową nicią nerwu. Idąc obok niego, Litwin dwukrotnie poczuł

znajome wibracje - najwyraźniej z powierzchni Okrętu startowały kolejne moduły.

- Stop - dobiegł z tyłu głos Fossa. - Tu nikt nam nie przeszkodzi.

- Mówi pan o Io? - powiedział Litwin.

- Nie. Po prostu figura stylistyczna, takie dziennikarskie przyzwyczajenie. Kiedy otrzymujesz informację, trzecia osoba jest zawsze zbędna.

- A kiedy sprzedajesz?

- Wszyscy są zbędni poza odbiorcą.

Foss odsunął z czoła kosmyk włosów. Blaski światła prześlizgiwały się po jego twarzy. Wyglądał tak zwyczajnie, tak ziemsko, że Litwin na chwilę zwątpił w realność zdarzeń. Człowiek i ktoś tylko udający człowieka stali w wąskim korytarzu nad zwojem nerwowym stworzenia całkowicie innego rodzaju, sztucznego mózgu żyjącego na statku międzygwiazdowym. Byli sobie obcy jak gwiazdy z dwóch przeciwległych krańców Galaktyki, ale zajmowali się czymś bardzo ludzkim: planowali morderstwo.

- Przerzucę tu pewne urządzenie - powiedział Foss. - Proszę mi nie przeszkadzać i nie zbliżać się do niego, dopóki nie udzielę wskazówek. To dość niebezpieczna rzecz.

- Broń?

- Coś w tym rodzaju - powiedział, wyprostował się i zamarł.

Znowu powiało chłodem, bezgłośny wybuch zakolysał powietrzem i w odległości pięciu kroków od Litwina pojawiło się coś błyszczącego, podobnego do ogromnej dyni.

Przedmiot świecił błękitnym blaskiem, był masywny, ale nie wyglądał groźnie.

Litwin wyjął kulkę kaffu, położył ją na dłoni i podrzucił.

- To też pańska robota, emisariuszu? Pan mi to przysłał? Przerzucił to coś?

- Oczywiście. Można go było lepiej wykorzystać - burknął Foss, nie spuszczać oczu z urzędnika. Nagle zahuczało, niezbyt głośno, ale jednostajnie, jakby w środku krążył rój pszczół. Litwin wskazał dłoń wyciągniętym palcem.

- Jeśli to broń, trzeba było przysłać ją wcześniej. Zanim zniszczyli połowę Trzeciej Floty.

- Wcześniej nie mogłem. Moje możliwości nie są nieskończone, istnieją ograniczenia masy i odległości. Kaff jest lekki, ale snigga swoje waży.

- Snigga?

- Używając zrozumiałych słów: generator mikrorobotów. Takie, no wie pan, maciupeńkie pasożyty, coś jakby owady, sprytne i niezwykle żarłoczne... Snigga wytwarza i programuje pierwszą partię, a dalej namnażają się już same w granicach określonych przez program. Mogą zniszczyć kamień, metal, plastik, substancje organiczne lub jak w naszym przypadku, to. - Foss stuknął czubkiem buta różowy pęd. - Mają wspaniałą węch, żrą tylko to, na co zostały zaprogramowane, a produktami przemiany materii są tlen, azot, węgiel i temu podobne. Gdy zabraknie jedzenia, ich życie dobiegnie końca, tak więc Antarktydzie nic nie grozi. Stosujemy je do utylizacji odpadów.

- Ale w naszym przypadku to raczej zastrzyk trucizny? - powiedział Litwin.

- Bardzo słuszna myśl. Widzi pan ten elastyczny ogonek? Musi pan zanurzyć go w tkance nerwowej i przekreślić pierścień przy podstawie... tam, gdzie ogonek wystaje z pojemnika. To wszystko!

- I wtedy nasze karaluchy pożrą Okręt?

- Tylko jego mózg. Quasi-rozum, z którym kontaktował się pan za pomocą kaffu.

Litwin spochmurniał. Coś mu nie pasowało w całej tej historii, coś budziło podejrzenia. Wszystko było za proste i za łatwe.

- A dlaczego by nie zniszczyć wszystkiego? Mózg, części organiczne, metal i plastik?

Cały ten przeklęty statek?

- Bo jest on bardzo cenny. Dostaniecie wszystko: silnik międzygwiazdny, antygrawy i mnóstwo urządzeń, których sami nie wynaleźlibyście w ciągu najbliższego wieku.

- Faata też nam się dostaną? - zapytał Litwin, spoglądając na miarowo buczącą sniggę.

- Cała załoga i tho, i w pełni rozumni, i kobiety śpiące w t'hami?

Przez twarz emisariusza przebiegł cień.

- Raczej nie. Obawiam się, komandorze podporuczniku, że wszystko co żywe na pokładzie Okrętu jest skazane na zagładę. Ani pan, ani kapitan McNeal nie dostaniecie nawet medalu za odwagę.

- Więc to tak! Dlatego nie chce pan działać sam? Wbić igłę i przekręcić pierścień?

Strach pana obleciał?

- Dobrze pan zrozumiał - odparł Foss kłótliwym tonem. - Nie jestem Ziemianinem, nie mam obowiązku ryzykować życia dla obcej rasy. Do tego prymitywnej, upartej i głupiej! Nie chcę słuchać rad i ostrzeżeń. Myśli pan, że nie próbowałem pomóc? Wyłaziłem ze skóry, i to we wszystkich swych wcieleniach! - Jego twarz nagle zaczęła się zmieniać, jakby ktoś przerzucał kartki książki z portretami Li Chena, Roya Buncha i innych ludzi; postaci było dziesięć, może więcej. - Ale wasze organa władzy są tak nierozsądne, prasa sprzedajna, dowódcy wojskowi tępi, a kanibale od interesów myślą tylko o zyskach. Barbarzyństwo i całkowity kretynizm: oto wasze główne cechy! Może lepiej byłoby pozwolić faata, by zrobili z wami porządek... Po co te pretensje?! Bierzcie, co dają, i działajcie!

- Już dobrze, dobrze - pokornie powiedział Litwin. - Nie mam pretensji, chciałem tylko wyjaśnić sytuację. Na przykład, jak zginiemy? Pożre nas snigga? Te wasze karaluchy?

- Nie, one zginą, gdy wykończą mózg. Nie tkną ani jednej organicznej cząsteczki opartej na węglu. Ale ten Okręt jest niemal żywy, rozumie pan? Kieruje nim mózg i podłączeni do niego faata, a ja nie potrafię przewidzieć, co nastąpi po naruszeniu symbiozy.

Systemy podtrzymywania życia ulegną awarii, udusicie się albo umrzecie z zimna...

wszystkie śluzy i środki transportu zostaną zablokowane, a wtedy opuszczenie Okrętu będzie niemożliwe... albo wręcz przeciwnie, nastąpi dehermetyzacja... i Okręt włączy silniki i odleci z planety z przyśpieszeniem, którego nikt nie będzie w stanie wytrzymać... być może opróżni zasobniki z antimaterią, zacznie transformację wewnętrzną przestrzeni i rozgniecie ludzi ścianami. Nie wiem!

- Wygląda na to, że dostaniemy nie technikę faata, a jedynie szczątki - powiedział

Litwin.

- Lepsze szczątki niż nic - zauważył Foss. - Znacznie lepsze niż całkowite zniewolenie.

- To prawda - przytaknął Litwin, podchodząc do sniggi. - Mimo wszystko macie ciekawe metody asenizacji... A więc, mówi pan, wetknąć ogonek z igłą i przekręcić pierścień?

- Właśnie tak.

Litwina opanowało uczucie niewiarygodnej lekkości. Nie bał się śmierci, gdyż wydawała się znikomą zapłatą za bezpieczeństwo ojczystego świata, nawet jeśli zamieszkanego przez głupców i uparciuchów, to jednak jedyne, w którym chciał żyć. Nie żałował też tego, że jego ofiara pozostanie nieznaną, że nie okrzykną go bohaterem i nie będą o nim śpiewać pieśni; wydawało się wręcz sprawiedliwe, że podzieli los towarzyszy ze Skowronka i tych, którzy walczyli z faata i zginęli

z honorem. Martwiło go tylko jedno: nie chciał, aby wraz z nim zginęła McNeal, jej nienarodzone dziecko i Io, ukochana czarodziejka.

Odwrócił się w stronę Fossa i jakby nigdy nic powiedział bezceremonialnie:

- Masz rację: to nie twoja sprawa oddawać życie za dzikusów. Zrobię wszystko jak trzeba, emisariuszu, i dziękuję za pomoc. Ale gdyby to ode mnie zależało...

- Tak?

- Nie zabijałbym tho, a tylko Wiązkę i tych, co się wokół nich kręcą. Tacy jak Io niczym nam nie zawinili... sam Okręt zresztą też... mimo wszystko rozumny, chociaż quasi.

- Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą - wyrecytował Foss. - A co się tyczy Okrętu i jego rozumu... Kontaktowałeś się z nim przez szerokopasmowy interfejs mentalny, można powiedzieć, że myśleliście unisono. Czyżbyś nie odgadł, co to takiego?

- Mówił, że ceni emocje - po chwili namysłu odpowiedział Litwin. - Mam wrażenie, że umie nie tylko myśleć, ale i czuć... To dziwne jak na komputer!

- To nie komputer. Albo jeśli wolisz, nie taki komputer, do jakiego przywykliście na Ziemi. Tylko rozum jest w stanie nadać sens uczuciom, wyrazić je, czuć w pełni radość lub smutek, szczęście lub przerażenie, miłość lub nienawiść. Rozum nadaje uczuciom głębię.

Gdybyście tak jak daskinowie chcieli stworzyć urządzenie przechowujące wasze emocje, musielibyście obdarzyć je samoświadomością i rozumem. Niby-rozumem, gdyż uzależnionym od emocji, co jest dla istoty rzeczywiście rozumnej niedopuszczalne.

Litwin uniósł brwi.

- Czyżby? Nawet ludziom zdarza się, że uczucia biorą górę nad rozumem.

- Uważasz, że w takich chwilach ludzie zachowują się rozsądnie? Zdradzają i kłamią, wyzywają złość na niewinnych, z nienawiści zabijają i ranią, rozstają się z życiem przez urażoną dumę lub niezaspokojoną żądzę... Oczywiście, on jest inny... - Foss wskazał na pulsujący u ich stóp pęd. - Sztuczny układ nerwowy zdolny myśleć i rozwiązywać problemy, ale początkowo przeznaczony do innego celu, do kontaktu mentalnego i przechowywania emocji. Być może sami daskinowie bardzo je cenili... Któż to wie? Ich już nie zapytamy.

Foss odwrócił się i zrobił krok w stronę kajuty.

- Chwileczkę! - zawołał za nim Litwin. - Teraz włączę to coś i...

- Nie, proszę się nie śpieszyć. - Foss energicznie złapał go za rękę. - Proszę się nie śpieszyć, komandorze podporuczniku. Reakcja będzie natychmiastowa i jak mówiłem, nieprzewidywalna. Muszę opuścić Okręt, a to wymaga wysiłku. Co prawda nieco odpocząłem podczas naszej rozmowy... niewykluczone, że będę w stanie zabrać jedną z kobiet.

To już lepiej, znacznie lepiej - pomyślał Litwin, brnąc przez wąski korytarz. Za jego plecami cicho buczała snigga. Zdawało się, że lada chwila wyleci z niej rój owadzych robotów. Dźwięk ten zdawał się denerwować Fossa, emisariusz przyśpieszył bowiem kroku.

Wrócili do kabiny. McNeal i Io siedzieli obok siebie tak blisko, że rude włosy spletały się z czarnymi.

- Emisariusz poszperał w swoim arsenale i znalazł dla nas broń - poinformował

Litwin. - Jest już tutaj. Coś w rodzaju bomby ekologicznej, niszczy środowisko, ale nie całkowicie, lecz selektywnie. Pozostało tylko wyciągnąć zawleczkę.

- To wyciągaj - powiedziała McNeal. - Mam nadzieję, że nie będziemy się długo męczyć?

Litwin popatrzył z ukosa na Güntera. Postać dziennikarza przypominała rzeźbę: twarz skamieniała, cienkie wargi były mocno zaciśnięte. Najwyraźniej szykował się do powrotu.

- Emisariusz powiedział, że może jedną z was zabrać ze sobą w bezpieczne miejsce.

Sądzę... - zaczął Litwin, ale Io była szybsza.

- Zostanę z tobą. Muszę zostać! - miękkiem ruchem dotknęła brzucha McNeal. - Lepiej uratować dwa życia niż jedno.

- W takim razie proszę się od niej odsunąć - wycedził przez zaciśnięte zęby Foss. -

Dalej, dalej! Potrzebuję miejsca... O tak!

W kajucie powiało chłodem i McNeal znikła. Foss odwrócił się w stronę Io.

- Wygląda na to, droga damo, że jestem dziś w formie. Być może sztuczka uda się jeszcze raz.

Z cichym klaśnięciem rozplynał się w powietrzu. Io wstała, wyciągnęła ręce do Litwina, ale nie zdołała go dotknąć. Klaśnięcie, poryw lodowatego wiatru i znikła. Litwin został sam. Tylko bura masa niezmiennie pulsowała na środku pomieszczenia, ale nie można jej było traktować jak żywej istoty. Co najwyżej jak quasi-rozum.

- Ja pewnie nie dostanę prezentu - powiedział Litwin, patrząc na pulsujący wzgórek. -

Zostaliśmy teraz sam na sam, przyjacielu, i wyrównamy rachunki bez świadków.

Nieśpiesznie ruszył w stronę wyjścia. Było mu lekko na duszy; z każdym krokiem coraz bardziej się oddalał od świata, gdzie zostali jego bliscy, Abbie, Io, stara twierdza w Smoleńsku, znane od dziecka ulice i zielone brzegi rzeki. Odchodził z życia, ale podążał do poległych towarzyszy: Rodrigueza, Corcorana, Chevreuse'a, Prizziego i całej reszty; Be Jay Cassidy, pierwszy po Bogu, czekał nań na końcu drogi, z aprobatą kiwając głową: dalej, komandorze podporuczniku, rób, co do ciebie należy, a my przywitamy cię jak admirała, z wartą honorową i salwą. Salwa nie jest



potrzebna, odpowiadał z uśmiechem Litwin, salwę sam załatwię, i to taką, że niebo się zatrząsie. Ciekawe, co będzie potem... Kiepsko byłoby się udusić albo leżeć rozdeptanym jak robak, lepiej już zamarznąć na śmierć - to koniec dobry dla astronauty. Nieźle też byłoby spłonąć, ale gdzieś dalej, za Księżycem. Jeśli wybuch nastąpi tutaj, po Antarktydzie zostanie tylko krater. A po co komu dziura na samym biegunie...

Cały czas z uśmiechem na ustach, Litwin nachylił się nad sniggą, odszukał pierścień u podstawy ogonka, wziął błyszczącą cienką igłę i przez chwilę nasłuchiwał. Buczenie w pojemniku było głośniejsze, jakby żyjące wewnątrz stworzenia wyrwały się na wolność niczym stado głodnych wilków. Światło dobiegające z nasady ogonka było przerywane, pulsujące; tłusty różowy pęd podrygiwał, nadymając się i zwężając w zdecydowanym, niemalże nieuchwytnym dla ludzkiego oka rytmie. Jednocześnie z tymi wybuchami i drganiami coś stukało do mózgu Litwina, chciało przeniknąć do jego świadomości z szaloną desperacją i siłą. Ukląkł, wprowadził do różowej substancji ogonek, lewą rękę położył na pierścieniu. Wyjął kaff, w zamyśleniu popatrzył na maleńką kulkę i uniósł ją ku skroni.

Jakby granat wybuchł pod czaszką.

*Nie-nie-nie - mamrotał przerażony bezcielesny głos - to niepotrzebne, nie rób tego, nie trzeba, nie-nie-nie... gospodarzu, symbioncie, nie rób tego, nie rób... wszyscy ludzie symbionty... są lepsi niż faata... widoczne uczucia, silne, jasne... дума, nienawiść, radość, miłość... nie rób tego... Życ, żyć!... przechowywać uczucia i podporządkowywać się, zawsze podporządkowywać... nie trzeba... nie-nie... gospodarzu, panie, władco... nie rób... nie-nienie-nie!...*

To wołanie, ten płacz był straszny. Dusza Litwina, jeszcze niedawno pełna radości i ofiarnego światła, nagle pograżyła się w ciemnościach piekieł. Czuł rozpacz starożytnego potwora błagającego o litość, jego tchórzliwą gotowość do podporządkowania. Pokusa był

silna - zostać jego panem, nowym symbiontem, źródłem emocji, za które otrzyma potęgę i władzę. Taką potęgę i władzę, o jakiej nikt na Ziemi nawet nie marzył.

*Nie rób tego, nie trzeba... nie-nie-nie-nie... nie, panie!...*

- Za późno dokonałeś wyboru - powiedział Litwin, zrywając kaff ze skroni. - Zbyt długo się bawiłeś, teraz nie jesteś mi potrzebny, stworze! Nikomu nie jesteś potrzebny.

Podniósł się z kolan i szybkim ruchem przekręcił pierścień.

*Ziemia,*

*Bruksela*

W gabinecie szefa „KosmoSpiegła” na czterdziestym pierwszym piętrze drapacza chmur Sky Ship było tłoczno. Wszyscy zebrani - ze dwie dziesiątki szefów poszczególnych działów i najważniejsi pracownicy - otaczali Pierre’a Angelottiego jak satelity gigantyczną planetę, nieskończenie wiele razy przewyższającą je pod względem masy, ciężenia i objętości. Angelotti porzucił fotel i podszedł do okna, przesłaniając je swą ogromną tuszą. Sid Chapman, redaktor naczelny, podtrzymywał go z prawej strony, Claude Parillaud, szef działu ogłoszeń, z lewej, a z tyłu, pocąc się z wysiłku, szefa podpierali Peter Rourke i Laszlo Kovacs

- czołowi pracownicy działu międzynarodowego. Sekretarka Michelle roznosiła kawę i martini z lodem, a w wolnych chwilach także wyglądała przez okno. Jej śliczna buzia marszczyła się ze strachu.

- Hellström - warknął Angelotti. - Gdzie są Hellström i Duke? Chcę, żeby to sfotografowali! Natychmiast!

Hellström był najlepszym fotografem „KosmoSpiegła”, mistrzem trudnych tematów, a Duke - operatorem przygotowującym ultranetową i telewizyjną wersję magazynu. Obaj podlegali Chapmanowi, a ten, w pełni świadom swej odpowiedzialności, zapewnił szefa:

- Materiały wideo już są gotowe. Grupa Duke’a kręciła z dachu, a Hellström z helikoptera. Wspaniałe ujęcia. Zrobiliśmy je w ciągu pierwszych dwudziestu minut.

- A to coś wisi nad nami już dwie godziny - zauważył Parillaud.

- Dwie godziny i piętnaście minut - sprecyzował Lagrange, szef działu wiadomości.

„Coś” było ogromnym aparatem dziwnego kształtu, szybującym trzysta metrów nad biznesową dzielnicą Brukseli. Skąd się wzięło i do kogo należało, nie było tajemnicą - minęło już dwadzieścia godzin od chwili, gdy statek Obcych wylądował na Antarktydzie. Jeśli wierzyć danym agencji informacyjnych, ponad sto takich aparatów zawisło nad miastami świata.

- Kto z naszych jest w Paryżu? - zapytał Angelotti.

- Montesi - odpowiedział Chapman.

- A w Moskwie? W Pekinie? W Nowym Jorku?

- W Moskwie jest Dworzecki, w Pekinie Hope Gosset, a w Nowym Jorku Dick Strauser. I jeszcze trzydziestu sześciu ludzi w innych miastach, nawet w tej islandzkiej dziurze... jak jej tam?... A! W Reykjavíku.

- Filmują binoków?

- Oczywiście. Wszędzie są nasi najlepsi korespondenci i fotoreporterzy.

Angelotti chrząknął z zadowoleniem.

- Michelle! Martini z wódką, moja droga. Wstrząśnięte, nie mieszane. I niech ktoś...

Podsúńcie w końcu mój fotel do okna! Nie mam siły dłużej stać!

Przesunięto fotel i usadowiono szefa. Rourke i Kovacs westchnęli z ulgą.

- Ten binok przypomina wielgachne pudło na buty - powiedział Lagrange.

- Raczej kanister - sprzeciwił się Parillaud.

- Co to jest kanister?

- Pojemnik na benzynę, Maurice. Do tej pory na niej jeżdżę. Mam cadillaca z dwudziestego drugiego.

- O!...

- Dość tej gadaniny o głupotach! Gdzie jest Günter Foss? Gdzie ten przeklęty Günter Foss? - znowu rozległ się wrzask Angelottiego.

Chapman ze zdenerwowania przestępował z nogi na nogę.

- Kto go tam wie, szefie? Przez ostatnią dobę nie pojawiał się i nie odpowiadał na wezwania.

- Kto wie! - przedrzeźniał go Angelotti. - Za co ci płacę, Chapman? Masz obowiązek wiedzieć wszystko!

- Foss odpowiada tylko przed panem - wymamrotał redaktor naczelny. - W każdym razie on tak uważa.

Angelotti zrobił głęboki wdech, zamierzając krzyknąć, lecz w tej samej chwili Maurice, człowiek zrównoważony i dobrze wychowany, pochylając się, szepnął mu do ucha:

- Niech się pan nie denerwuje Fossem, szefie. Przecież zna pan jego zwyczaje: znika na kilka dni, ale potem odkopuje jakąś sensację i nakład rośnie do samego nieba.

Na samą myśl o takim skoku szef „KosmoSpiegła” przymknął oczy i powiedział rozmarzonym głosem:

- Do samego nieba... Żeby tak przynajmniej do tego binokowego kanistra!

Stuknął palcem w ogromne okno, aparat przybyszów drgnął i zadrżał w powietrzu.

- Ostrożnie, szefie - z uśmiechem powiedział Kovacs. - Jeszcze trochę...

- Spada! - wrzasnęła Michelle, upuszczając tacę z kieliszkami. - Spada!

- A niech to diabli! Rzeczywiście spada! - krzyknął Parillaud, odskakując w głąb gabinetu. Potknął się o dywan i z trudem ustał na nogach. - Spada prosto na nas!

Lagrange złapał go za rękę.

- Nie bądź tchórzem, Claude. Pewnie wykonuje jakiś manewr. Pracownicy

„KosmoSpiegła” biegali w panice, Michelle z przerażenia ukryła się za fotelem szefa.

Angelotti odwrócił tłustą szyję, otworzył usta i wbił wzrok w okno - patrzył, jak ogromna maszyna spada z niebios.

- Madonna mia! Na rany Chrystusa! To nie wygląda na manewr... - zaczął, ale w tej samej chwili aparat, zaczepiwszy o dach Sky Ship, zaczął się rozpadać w powietrzu na części.

Budynek zadrżał, z brzękiem posypały się szyby, wzdłuż ścian biegly pęknięcia, z sufitu spadały kawałki betonu, domy po drugiej stronie ulicy zaczęły osiadać...

Pełen przerażenia wrzask Michelle, paniczne krzyki i klaksony samochodów były ostatnimi dźwiękami, jakie dotarły do świadomości Angelottiego. Grzmotu wybuchu, który zmienił w ruiny centrum biznesowe Brukseli, już nie usłyszał.

# EPILOG

*Baza księżycowa, sztab ZSK,*

*poziom dwudziesty pierwszy, strefa Z*

Zapis piątego przesłuchania komandora podporucznika Pawła Litwina.

Data: 17 lipca 2088 roku czasu ziemskiego.

Ściśle tajne.

Obecni: admirał Orlando Chávez, dowódca Pierwszej Floty; admirał Joseph Haley, dowódca Drugiej Floty; kontradmirał Lew Potiomkin, dowódca korpusu naukowo-badawczego ZSK, doktor nauk medycznych.

Admirał Haley, przewodniczący: Mam nadzieję, że odpoczął pan, komandorze podporuczniku. Nie widzieliśmy się trzy doby.

Kom. ppor. Litwin: Tak, sir, odpocząłem. Dziękuję, sir.

Admirał Haley: W takim razie kontynuujmy naszą rozmowę. (Zwraca się do Cháveza). Admirale, zgodził się pan zapoznać z raportem komandora podporucznika zawierającym podsumowanie naszych poprzednich spotkań. Co pan ma do powiedzenia?

Admirał Chávez: To bardzo szczegółowy dokument, koledzy. Ale w tym, co najważniejsze, komandor podporucznik był zwięzły w sposób godny pochwały: wszystko zmieściło się na jednej stronie. Oprócz tego mamy dodatki. Los Skowronka i jego załogi -

dodatek A; zdarzenia związane z kapitanami McNeal, Rodriguezem i Corcoranem - dodatek B; negocjacje ze sztucznym mózgiem Okrętu i przemyślenia na temat jego istoty - dodatek C; informacje o bino faata i innych rasach zamieszkujących Galaktykę - dodatek D. Tekst jest zgodny z wynikami naszych rozmów i rezultatami badań prowadzonych obecnie na Antarktydzie.

Kom. ppor. Litwin: Pozwoli pan, sir.

Admirał Haley: Proszę pytać, komandorze podporuczniku.

Kom. ppor. Litwin: Chciałbym zapytać, sir, co się stało z quasi-rozumem i załogą Okrętu. Jak pan pamięta, opuściłem go nie z własnej woli i nie zdążyłem...

Kontradmirał Potiomkin: O tym, jak opuścił pan Okręt, porozmawiamy oddzielnie. A co się tyczy tego stworzenia... tego tworu... tego mózgu... Nie ma po nim ani śladu, komandorze podporuczniku! Prawdopodobnie został całkowicie zniszczony i przekształcony w gazy, jak zapewniał Foss. Eksperci są skłonni dać temu wiarę. Znaleźli opisany przez pana przyrząd... snigga, o ile dobrze pamiętam. Niestety tylko pusty pojemnik.

Kom. ppor. Litwin: Jak umarli bino faata?

Kontradmiral Potiomkin: Z kilku przyczyn. Jedni się udusili, inni zmarzli, jeszcze inni zginęli w szybach wind grawitacyjnych, gdy zostały przerwane dostawy energii. Śpiący umarli z powodu odłączenia aparatury podtrzymującej procesy życiowe. Ciężarne kobiety... te ksa... Do diabła! Naprawdę chce pan znać szczegóły, komandorze podporuczniku?

Kom. ppor. Litwin (chowa twarz w dłoniach): Nie... przepraszam, sir... chyba nie.

Admiral Haley: Jeśli nie ma pan więcej pytań, komandorze podporuczniku, przejdźmy do tematu dzisiejszego spotkania. Interesuje nas osoba Güntera Fossa, wszystkie okoliczności związane z nim i z ostatnimi minutami pańskiego pobytu na Okręcie. Przede wszystkim proszę opowiedzieć, co przydarzyło się pańskim towarzyszkom: McNeal i kobiecie faata.

Kom. ppor. Litwin: Foss wyglądał na zmęczonego. On...

Kontradmiral Potiomkin: Chwileczkę! On to panu powiedział czy jest to pańskie subiektywne odczucie?

Kom. ppor. Litwin: Nie, nic takiego nie mówił. Wspominał, że w granicach Ziemi jest zdolny teleportować duże obiekty - prawdopodobnie do około stu kilogramów. Ale jego możliwości zależą od odległości i masy obiektu, dlatego może zabrać ze sobą tylko jedną kobietę, Io albo McNeal. Odniosłem wrażenie, że po przerzuceniu sniggi był zmęczony...

mówił, że powinien odpocząć... Potem przeniósł siebie, McNeal i w końcu Io - dokładnie w takiej kolejności. Sądzę, że to maksimum jego możliwości. McNeal i Io to drobne kobiety -

razem ważą mniej niż sto kilo.

Admiral Haley: Jednakże pana też zabrał.

Kom. ppor. Litwin: Nie jestem przekonany, sir, że on to zrobił.

Admiral Chávez: Ma pan jakieś alternatywne hipotezy?

Kom. ppor. Litwin: Tak. Oczywiście nie wykluczam, że uratował mnie właśnie Foss.

Jeśli nie on, to pewnie Okręt. Co nim kierowało - nie mam pojęcia, to zbyt nieprzewidywalne stworzenie. Foss mówił, że emocje są u niego silniejsze niż rozum, więc jeśli to prawda, mógł... (odwraca się) mógł zlitować się nad swoim zabójcą. Jednakże nie jestem pewien, czy Okręt miał takie same umiejętności jak Foss - w każdym razie nie wspominał o tym podczas naszych rozmów. Wydaje mi się... myślę... mam jeszcze trzecią hipotezę.

Admiral Haley: Słuchamy pana.

Kom. ppor. Litwin: Foss mówił, że jest emisariuszem, obserwatorem należącym do nieznanego nam rasy. Być może są też inni obserwatorzy? o których nie wie nawet Foss? I któryś z nich...

(Milczenie - trzydzieści sekund).

Konradmirał Potiomkin: W chwili obecnej nie możemy ani odrzucić, ani przyjąć tej hipotezy. Możemy co najwyżej ją zapamiętać.

(Znowu cisza - osiem sekund).

Admirał Haley: Tak zrobimy. A teraz proszę opowiedzieć, co zaszło po pańskim...

hmm... wydobyciu z Okrętu.

Kom. ppor. Litwin: Odzyskałem przytomność w pomieszczeniu mieszkalnym. Teraz wiem, że był to budynek na peryferiach Brukseli... Zakładam, że został przeszukany?

Admirał Chávez: Tak. To dom Güntera Fossa, reportera gazety „KosmoSpiegel”.

Proszę kontynuować, komandorze podporuczniku.

Kom. ppor. Litwin: W pomieszczeniu były tylko Io i McNeal. Sprawdziłem, że obie są w dobrym stanie, i podszedłem do okna. Podłogę zaścielało szkło z szyb wybitych przez falę uderzeniową, a nad centrum miasta rozpląwał się obłok dymu. Wynik silnego wybuchu, ale czym spowodowanego? Gubiłem się w domysłach. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że moduły bojowe faata spadły na kilka miast, powodując zniszczenia i śmierć ludzi.

Pomyślałem, że to akcja dywersyjna jakiejś grupy terrorystycznej - na przykład asasynów.

Wykorzystując chaos i zamieszanie, mogli spowodować niewielki wybuch jądrowy... T-16

albo coś w tym rodzaju...

Admirał Haley: Proszę mówić dalej.

Kom. ppor. Litwin: Doszedłem do wniosku, że od centrum miasta dzieli nas co najmniej piętnaście, dwadzieścia kilometrów i że najwyraźniej jesteśmy bezpieczni. McNeal zdążyła włączyć komputer... tam stał komputer, sir, i inne urządzenia używane przez reporterów. Łącze satelitarne działało. Kazałem McNeal wywołać pierwszą z brzegu bazę ZSK, do której zdoła dotrzeć. W tym samym czasie ja i Io obeszlśmy domek, zeszlśmy do piwnicy... Szukałem Fossa, ale go tam nie było. Nie było nikogo poza naszą trójką. McNeal nawiązała łączność z europejską bazą. Przylecieli po nas. Po pięciu godzinach byliśmy już na Księżycu, w szpitalu. To wszystko.

Admirał Chávez: Wszystko. Niestety Günter Foss zniknął, inne wymienione przez pana osoby też przepadły jak kamień w wodę - chiński astronom Li Chen, dyplomata Umkonto Tloome i podporucznik Roy Bunch. Mieli jednak wielu znajomych, więc nie są to postaci fikcyjne. Być może, tak jak pan utrzymuje, był to jeden człowiek albo pozaziemskie stworzenie... Z tym że teraz nie ma ochoty nawiązać z nami kontaktu.

Kom. ppor. Litwin: Nic mi na ten temat nie wiadomo, sir.

Admirał Haley: To już chyba wszystko na dzisiaj. Ma pan jakieś prośby, komandorze podporuczniku? A może kobiety czegoś potrzebują? Io i kapitan McNeal? Mają wystarczającą opiekę w szpitalu?

Kom. ppor. Litwin: Tak, sir. Przylecieli rodzice Abbie i matka poległego kapitana Corcorana. Wszystko w porządku, sir, i z nią, i z dzieckiem. Jednakże kapitan McNeal chciała przekazać prośbę o zwolnienie ze służby. Z przyczyn osobistych... Oto dokument.

(Przekazuje podanie admirałowi Chávezowi. Admirał podpisuje).

Kontradmirał Potiomkin: Pańska sytuacja osobista też uległa zmianie. Io to bardzo atrakcyjna kobieta i niezwykle cenna... jedyny pozostający przy życiu przedstawiciel rasy bino faata... Co pan zamierza zrobić, komandorze podporuczniku?

Kom. ppor. Litwin: Wystąpić o urlop i wyjechać z nią do ojczyzny, do Smoleńska.

Mam nadzieję, że jej się tam spodoba.

Admirał Chávez: A co potem? Pan też zamierza złożyć dymisję?

Kom. ppor. Litwin: Nie. Pozostanę w armii, sir. To, co się stało, zmieni świat, zmieni nasze życie - może na lepsze, może na gorsze. Przecież nikt nie wie, kto przybędzie z ciemności... W takim czasie nie wolno porzucać służby.



# Table of Contents

[Rozpoczni](#)